

ROCZNIK siemianowicki MUZEALNY

Nr 13

2014



ROCZNIK
siemianowicki
MUZEALNY

Nr 13

2014

SIEMIANOWICE ŚLĄSKIE 2014

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Zdzisław Janeczek

Grzegorz Musiał

Artur Garbas

Leszek Drabicki

Jarosław Bednarz

REDAKCJA I KOREKTA:

Krystian Hadasz

OPRAC. GRAFICZNE I SKŁAD:

Adam Malski

NA OKŁADCE:

Kościół pw. Św. Michała Archanioła w Michałkowicach

(fot. Jarosław Bednarz)

DRUK:

Text Partner, Katowice

WYDAWCA:

Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich

41-100 Siemianowice Śląskie, ul. Chopina 6

tel. 32 228 50 80

www.muzeum.siemianowice.pl

ISSN 1644-8154

S P I S T R E Ś C I

ARTYKUŁY

Bogumiła Hrapkowicz-Halorowa KS. BISKUP CZESŁAW DOMIN - CZŁOWIEK NIEZWYKŁY.....	5
Zdzisław Janeczek MIROSŁAW JAN KICIŃSKI (1943-2004). CZŁOWIEK - ARTYSTA I JEGO CZASY.....	41
Małgorzata Derus SIEMIANOWICKIE PARAFIE W ROZWOJU HISTORYCZNYM.....	113
Wojciech Kempa PODZIEMNE ŻYCIE SIEMIANOWIC	137
Zdzisław Janeczek SIEMIANOWICKA SPOŁECZNOŚĆ ŻYDOWSKA W OKRESIE II RP I NIEMIECKIEJ OKUPACJI	158

Z KART SIEMIANOWICKICH ANNAŁÓW

Teresa Weintrit OŚWIATA WCZORAJ I DZIŚ - OCZAMI DŁUGOLETNIEGO NAUCZYCIELA..	170
Piotr Dwornik PUBLICZNOŚĆ, A WŁAŚCIWIE PRZYJACIELE.....	182
Jakub Halor REJS „SIEMIONA” NA ISLANDIĘ	191
Urszula Krakowska WSPOMNIENIA O HUCIE ŚW. JERZEGO	204
Franciszek Guzy WSPOMNIENIA.....	210

OMÓWIENIA, OPINIE, RECENZJE

Zdzisław Janeczek MELPOMENA I POLIHYMNIA W PROGACH ZAMECZKU MICHAŁKOWICKIEGO. OD ZWYCZAJNOŚCI DO KRAINY DŹWIĘKU I WYOBRAŹNI	219
--	-----

Zdzisław Janeczek HENRYK KOCÓJ: „DYPLOMACI SASCY WOBEC POWSTANIA KOŚCIUSZKOWSKIEGO”	225
Zdzisław Janeczek RAZEM W WALCE O WOLNOŚĆ I W DRODZE NA POWSTAŃCZĄ GOLGOTĘ. WSPOMNIENIE O DOMINIE BRANDYSIE I AUGUSTYNIE KADŁUBKU	233
Wiesława Konopelska OKNA ŚLĄSKIEJ DUSZY	237
Krzysztof Lisowski PRZESTRONNE MILCZENIE ANDRZEJA SZUBY	243
Katarzyna Młynarczyk MODA (I KOBIECOŚĆ) NIEJEDNO MA IMIĘ.....	247
Katarzyna Młynarczyk CZARODZIEJKA URSZULA FIGIEL.....	251
Katarzyna Młynarczyk DOKĄD WRACAĆ - SKĄD ODCHODZIĆ	254
Marcin Wądołowski JAKUBOWICE JAKO MIEJSCE SIEMIANOWICKO-CZELADZKICH SPORÓW GRANICZNYCH NA PRZESTRZENI DZIEJÓW	257
Michał Kuryś O „PODRÓŻY DO POLSKI” AUGUSTA SCHOLTISA	266
Michał Kompała O WSPÓŁCZESNYCH PROBLEMACH ŚLĄSKIEJ TOŻSAMOŚCI.....	270
Krzystian Hadasz WSPÓŁCZESNOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ MUZEALNICTWA	281
Krzystian Hadasz NOWE OBLICZA EDUKACJI MUZEALNEJ.....	284
Krzystian Hadasz EDUKACJA MUZEALNA W POLSCE	287
KALENDARIUM WYSTAW I IMPREZ W MUZEUM MIEJSKIM.....	289
AUTORZY „SIEMIANOWICKIEGO ROCZNIKA MUZEALNEGO”	295

KS. BISKUP CZESŁAW DOMIN – CZŁOWIEK NIEZWYKŁY

6 lipca 2014 r. minęła 85. rocznica urodzin ks. biskupa Czesława Domina, rodowitego michałkowiczana, Honorowego Obywatela Miasta Siemianowic Śląskich¹.

To chyba dobra okazja, żeby przypomnieć dzieje życia i dokonania naszego współobywatela, zaliczanego słusznie do najwybitniejszych przedstawicieli polskiego Kościoła katolickiego II połowy XX wieku. Okazja podwójnie dobra, bo przecież ta rocznica zbiega się z inną - ćwierćwieczem III Rzeczypospolitej, która mogła powstać m.in. dzięki takim ludziom jak biskup Domin, głęboko wierzącym w sens drogi życiowej, jaką obrali. Był nazywany pięknie i trafnie „biskupem ubogich”, albo „biskupem miłosierdzia”, ale prawdą jest

też, że był mocarzem, który wziął się za bary z potwornym kryzysem gospodarczym i niewyobrażalną biedą, jaka w latach 80. ub. stulecia dotknęła Polaków. I wyszedł z tego starcia zwycięsko, choć trudno się oprzeć wrażeniu, że przypłacił to zwycięstwo ofiarą własnego zdrowia i życia.

Był z pewnością człowiekiem niezwykłym, o tak bogatej osobowości, tak głębokiej wiedzy życiowej i rozlicznych talentach, że do dziś wzbudza żywe zainteresowanie. W ciągu prawie dwóch dekad, jakie minęły od jego śmierci, która nastąpiła 15 marca 1996 r., powstały liczne publikacje wspomnieniowe, artykuły naukowe, prace magisterskie i doktorska, pozycje biograficzne i analityczne, poświęcone dziełom, jakie pozostawił po sobie ten niezwykły człowiek, dziełom wymiernym w sensie materialnym, ale przede wszystkim duchowym. Już kolejne pokolenie młodych adeptów teologii i nauk społecznych czerpie inspiracje z głębokiej duchowości księdza biskupa, być może także próbuje naśladować go, co byłoby ze wszech miar pożądanym. Nie tylko zresztą w odniesieniu do księży czy biskupów, ale po prostu każdego człowieka i to niezależnie od jego światopoglądu.



Biskup Czesław Domin 1929–1996

Co jest tak fascynującego w tej postaci? Ludzie, którzy go znali, którzy byli blisko niego w różnych okresach jego życia, współpracowali z nim, nie ukrywają, że budził w nich najwyższy szacunek, a równocześnie głęboką sympatię, swoją postawą i przymiotami, sposobem bycia, otwartością i serdecznością, poczuciem humoru. Potrafił zjednywać sobie nawet tych, którzy nie tylko nie sprzyjali Kościołowi, ale wręcz byli do niego nastawieni nieprzyjaźnie. Umiał też zyskiwać przychylność szerokich kręgów osób związanych instytucjonalnie z reżimem - urzędników, wojskowych, służb celnych, co było niewątpliwie bardzo pomocne przy organizowaniu wielkiej akcji charytatywnej Kościoła w latach 1980-1990.

Opowiadała jedna z bliskich współpracownic biskupa, że któregoś dnia, krótko po ogłoszeniu stanu wojennego, szedł on wczesnym rankiem, razem z księdzem Marianem Malcherem, dyrektorem charytatywnym diecezji, na pociąg do Warszawy. Idąc z kurii na dworzec kolejowy w Katowicach musieli oczywiście przejść koło posterunku wojskowego. Żołnierze, widząc wystającą spod kożucha sutannę biskupa, a chodził w niej celowo, żeby było od razu wiadomo, że jest duchownym, nie tylko że nie wylegitymowali idących, ale ustawili się w szeregu na baczność i pozdrowili ich grzecznie: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Czy poznali biskupa, czy też po prostu zachowali się zgodnie z chrześcijańskim wychowaniem - trudno powiedzieć². W każdym razie w świadectwach osób, które osobiście zetknęły się z biskupem Dominem powtarzają się opowieści o jego charyzmatycznej osobowości: o niezwykłej dobroci, wrażliwości na ludzką krzywdę, nieustającej gotowości do pomagania innym. Był człowiekiem głębokiej wiary i ufności w Miłosierdzie Boże, rozmodlonym, a jednocześnie bardzo mocno osadzonym w rzeczywistości, konkretnym w działaniu, konsekwentnym w dążeniu do celu i niezwykle pracowitym. Obecny metropolita katowicki, ks. arcybiskup Wiktor Skworc w jednym ze swoich wspomnień o biskupie Czesławie określił go zwięźle trzema słowami „człowiek modlitwy, czynu i miłości”³, a każde z tych określeń można obudować setkami przykładów potwierdzających ich trafność.

Wojenne dzieciństwo

Przyszły biskup urodził się - przypomnijmy - 6 lipca 1929 r. w Michałowicach, górniczej gminie, która nawet swoją nazwą jest powiązana z tutejszym kościołem p.w. św. Michała Archanioła, najstarszym spośród wszystkich siemianowickich świątyń. Jego ojciec Franciszek był urzędnikiem w kopalni Michał, matka Rozalia z Podgórskich prowadziła dom, ale udzielała się też aktywnie w życiu parafii, czy w Towarzystwie Matek Polek. Czesław Konstanty, bo takie imiona nadano przyszłemu biskupowi

na chrzcie, był najstarszym dzieckiem państwa Dominów. Potem jeszcze urodziła się im córka Irena i syn Andrzej, który, niestety, zmarł krótko po przyjściu na świat. Była to rodzina bardzo pobożna, kochająca się, patriotyczna, pracowita, żyjąca według szanowanej w owych czasach zasady, która w niemal każdym porządnym śląskim domu widniała wyhaftowana na makatkach w kuchni: „Modlitwą i pracą ludzie się bogacą”. W takiej atmosferze – modlitwy, pracy, poszanowania boskich przykazań upływało dzieciństwo chłopca, który ponoć od najmłodszych lat chciał być księdzem. Na pewno było to dzieciństwo szczęśliwe, wypełnione rodzinnym ciepłem, ale dość wcześnie zakłócone przez wojnę. Czesław dorastał w trudnych okupacyjnych realiach i powojennej biedzie. Na szczęście był bardzo zdolny, zaliczył szkołę podstawową i pierwsze klasy gimnazjalne podczas okupacji i zaraz po wojnie dostał się do gimnazjum a potem liceum im. Adama Mickiewicza w Katowicach. W 1948 r. zdał maturę i od razu złożył podanie o przyjęcie do Śląskiego Seminarium Duchownego, które wówczas miało swą siedzibę w Krakowie. Seminarzyści byli równocześnie studentami Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Początki kapłaństwa

28 czerwca 1953 r. Czesław Domin otrzymał w kolegiacie Wszystkich Świętych w Krakowie święcenia kapłańskie z rąk biskupa Franciszka Jopa, a mszę prymicyjną odprawił w swej ukochanej farze michałkowskiej i tutaj w ramach wakacyjnego zastępstwa rozpoczął swą pierwszą duszpasterską posługę. Potem przez kilka miesięcy był substytutem w Miotku, następnie został przeniesiony do parafii Chrystusa Króla w Katowicach (które wówczas nazywały się Stalinogrodem), ale nie zagrzeł tam miejsca, bo szybko okazało się, że nie zamierza powiększyć grona księży wiernopoddańczych wobec reżimu komunistycznego⁴, więc posłano go na prowincję. Najpierw był wikarym w parafii św. Katarzyny w Czechowicach-Dziedzicach, potem w parafii św. Mikołaja w Lublińcu. Z takim zapałem oddawał się tam pracy duszpasterskiej, że zachorował na przewlekły nieżyt gardła i na pewien czas utracił głos⁵. I wtedy, zbiegiem okoliczności czy też zrządzeniem Opatrzności, biskup Stanisław Adamski, który wraz z pozostałymi biskupami wrócił już do diecezji z przymusowego wygnania, w marcu 1957 r. mianował młodego, energicznego wikarego o niezłomnej postawie, notariuszem Kurii Diecezjalnej w Katowicach, a w rok później także duszpasterzem akademickim. W 1964 r. młody ksiądz przyjął kolejne obowiązki – kierownika Referatu Duszpasterskiego diecezji katowickiej, potem, w 1968 r. z rąk nowego już biskupa katowickiego, Herberta Bednorza, otrzymał nominację na członka Diecezjalnej Komisji Ekumenicznej, był też referentem

Duszpasterstwa Maryjnego w diecezji. Wcześniej przez kilka miesięcy pracował jako wikariusz-ekonom w parafii Matki Boskiej Szkaplerznej w Gierałtowicach, po to, żeby przygotować się do samodzielnego kierowania parafią. I faktycznie w 1969 r. bp H. Bednorz mianował księdza Czesława proboszczem parafii św. Marii Magdaleny w Tychach i dziekanem dekanatu, ale Wydział ds. Wyznań Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach nie wyraził zgody na objęcie przez niego tej funkcji, uzasadniając to tym, że nominat nie daje władzom państwowym gwarancji przestrzegania przepisów państwowych⁶. Sytuacja powtórzyła się kilka miesięcy później, gdy ordynariusz katowicki mianował ks. Czesława wikariuszem-ekonomem parafii Niepokalanego Poczęcia NMP w Katowicach. Odwołania do Urzędu ds. Wyznań w Warszawie nic nie dały i wówczas roztropny biskup Bednorz, który wysoko oceniał osobowość i talenty pracowitego kurialisty, przekazał swoje opinie o nim i sugestie Stolicy Apostolskiej.

Nominacja na biskupa

Na nominację nie trzeba było długo czekać. Została ogłoszona 9 czerwca 1970 r., a 15 sierpnia tego roku, w święto Wniebowzięcia NMP, biskup Herbert Bednorz, wraz z biskupami pomocniczymi diecezji Juliuszem Bieńkiem i Józefem Kurpasem, dokonał konsekracji ks. Czesława na biskupa. Jako zawołanie swej posługi obrał sobie nowy biskup słowa „Któż jak Bóg”, te same, które widnieją po dziś dzień w głównym ołtarzu michałkowskiej fary.

Świeżo nominowany biskup z zapalem rzucił się w wir nowych obowiązków, a przybywało ich ciągle. Jako wikariusz generalny biskupa katowickiego zajmował się sprawami personalnymi wikariuszy, sprawami finansowymi Kurii i diecezji, potem także sprawami gruntowymi, sprawował opiekę nad księżmi chorymi i emerytami, nad inteligencją techniczną w diecezji. Podczas I Synodu Diecezji Katowickiej w latach 1972-1975 przewodniczył Komisji ds. Małżeństwa i Rodziny, a od września 1975 r. był także członkiem Prezydium V Sesji Plenarnej Synodu. Zasiadał w Radzie Kapłańskiej, Radzie Duszpasterskiej, potem również w Diecezjalnej Radzie Administracyjnej. Od czerwca 1977 r. do końca swej posługi w Katowicach był też archidiakonem Kapituły Katedralnej, opiekował się duszpasterstwem akademickim diecezji, a od września 1980 r. przejął także opiekę nad proboszczami, starszymi wikariuszami, wizytacjami, nadzór nad Referatem Finansowym i Gospodarczym Kurii Diecezjalnej i in. Trzeba też przypomnieć, że jako członek Konferencji Episkopatu Polski bp. Domin uczestniczył w pracach jej różnych komisji: ds. Realizacji Uchwał Soboru Watykańskiego II, ds. Powołań Kościelnych, ds. Apostolstwa Świeckich.

Przewodniczący Komisji Charytatywnej

W 1980 r. prymas Polski, kardynał Stefan Wyszyński powierzył mu kierowanie Komisją Episkopatu ds. Duszpasterstwa Dobroczynnego, która w rok później otrzymała nazwę Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski. To był punkt przełomowy w biografii katowickiego biskupa, ale na pewno nie przypadkowy. W ciągu dziesięciu lat swej biskupiej posługi Czesław Domin dał się poznać szeroko jako człowiek i kapłan o nieprzeciętnej wrażliwości na ludzką biedę, chorobę, niesprawiedliwość. Zawsze był taki - co potwierdzają liczne świadectwa osób, które go znały; współczujący, uczynny, chętny do pomocy, a przy tym niezwykle skromny.

Ks. Stanisław Sierla, bardzo bliski przyjaciel księdza, potem biskupa, Domina, który przejął po nim obowiązki duszpasterza akademickiego diecezji, a potem był przez długie lata proboszczem w Michałkowicach, w swojej książce autobiograficznej pt. „Życie darowane mi po raz drugi” pisze sporo o łączącej ich przyjaźni (także m.in. o wspólnym muzykowaniu, bo obaj byli niezwykle utalentowani muzycznie), przytacza też pewien epizod jaki miał miejsce w 1962 r. na obozie z młodzieżą z Duszpasterstwa Akademickiego. Wybrali się na ten obóz do Rydzewa nad jeziorem Niegocin wspólnie z księdzem Czesławem, mającym już doświadczenie w organizowaniu wyjazdów ze studentami.

„Całe dni spędzaliśmy nad jeziorem i w kajakach, a wieczory przy ognisku. Piosenki i gitara przyciągały mieszkańców wioski, a zwłaszcza dzieci i młodzież. [...] Ks. Czesław wtajemniczał nas w życie obozowe. Nauczył nas też modlitwy różańcowej w pięciu językach w intencji pięciu kontynentów świata. Zapamiętałem jego maksymę życiową: „Zachowuj się tak, jakbyś był o jeden stopień niżej w hierarchii społecznej, a zachowasz pokorę i zdobędziesz sobie serca ludzkie”. Kazał nam też ćwiczyć mimikę twarzy do uśmiechu. To nic nie kosztuje a zjednywa rozmówcę bardziej niż słowa⁷.” Tej zasady trzymał się ks. Czesław do końca życia, także jako biskup, którego nazwisko poznał w latach 80. niemal cały świat, zjednując sobie przychylność bogatych i wdzięczność biednych, a także po prostu zwyczajną ludzką życzliwość na co dzień.

Opowiada ks. dr Krzysztof Bąk, obecny dyrektor Caritas Archidiecezji Katowickiej, że poznał biskupa Domina będąc jeszcze ministrantem w katedrze katowickiej, a potem gdy był już klerykiem, biskup zawiózł go kiedyś osobiście do seminarium do Krakowa. - Wysiedliśmy z samochodu, biskup wziął moją pierzynę zapakowaną w papier i obwiązaną sznurkiem, w drugą rękę moją walizkę, ja wziąłem w ręce dwie torby i idziemy do drzwi, a tam już na ganku rektor z władzami seminaryjnymi czekają, bo dowiedzieli się, że biskup przyjeżdża. No i konsternacja, bo to raczej się nie zdarza, żeby biskup klerykowi walizkę nosił. Ale taki

właśnie był biskup Domin. Bezpośredni, uczynny. Nawet jak byłem jeszcze ministrantem i stałem na przystanku, a on przejeżdżał samochodem, to przystawał i podwoził mnie. Z czasem stał się moim powiernikiem, przyjacielem, no i przełożonym. Widać dostrzegł we mnie dobry narybek do pracy charytatywnej i gdy już zostałem księdzem, wciągnął mnie do tej działalności, powierzając coraz bardziej odpowiedzialne zadania - wspomina ks. Bąk.

- To prawda, zawsze kiedy miał miejsce w samochodzie, zatrzymywał się na trasie, zwłaszcza jak było zimno i podwoził ludzi. Był bardzo wyczulony na ludzkie problemy. Dla niego drugi człowiek był zawsze na pierwszym miejscu - potwierdza ks. infułat Rudolf Brom, bliski przyjaciel i długoletni współpracownik biskupa Domina, dziś już na emeryturze. - Jeśli ktoś potrzebował pomocy, reagował natychmiast. Pamiętam, że gdy powiedziałem mu o moim koleźce księdzu, który zachorował na nowotwór, biskup natychmiast zapytał, jak możemy mu pomóc i pojechał ze mną do chorego. A wtedy ogromne nadzieje wiązano z „tołpą” - preparatem, który miał pomagać w leczeniu raka, co potem nie potwierdziło się w praktyce. Biskup błyskawicznie załatwił lek. Dostarczono go z Wrocławia do Katowic nocnym pociągiem. Niestety, lek nie pomógł, kolega zmarł w siódmym roku kapłaństwa.

Takich opowieści można przytaczać wiele. Ksiądz, potem biskup Czesław pomagał materialnie studentom, wspierał wielodzietne rodziny (np. kupując im pralki), osobiście odwiedzał chorych i niepełnosprawnych ludzi, troszczył się o starszych księży, potrafił zorganizować pomoc w każdej, wydawałoby się, beznadziejnej sytuacji.

Nic zatem dziwnego, że prymas, kardynał Stefan Wyszyński, dostrzegając autentyczne zaangażowanie biskupa Domina w działalność charytatywną, jego zdolności organizacyjne i pracowitość, właśnie jemu powierzył kierowanie tą komisją Episkopatu, która w sytuacji narastającego w Polsce kryzysu ekonomicznego i politycznego miała odegrać niezwykle rolę. Czyżby mądry prymas przewidział to w roku 1980?

Miłosierdzie z Ewangelii

Działalność charytatywna Kościoła nie była oczywiście niczym nowym, jej źródła tkwią bowiem głęboko w Ewangelii, a uczynki miłosierdzia są wręcz obowiązkiem każdego chrześcijanina. Już w średniowieczu tworzono np. przy klasztorach szpitale, przytułki, jadłodajnie dla ubogich itp. W drugiej połowie XIX wieku w Stanach Zjednoczonych, także w Europie Zachodniej, zaczęły powstawać związki dobroczynne Caritas. Zaczęły się one rozwijać także w Polsce międzywojennej, uzyskały status prawno-kanoniczny ze strony Episkopatu i prawno-administracyjny ze strony państwa.

Podczas okupacji wszelka działalność polskich organizacji, także religijnych została zakazana. Do prowadzenia działalności opiekuńczej, którą władze okupacyjne nie zamierzały się zajmować, powołano Radę Główną Opiekuńczą (RGO), która funkcjonowała w terenie poprzez tzw. polskie komitety opiekuńcze, a te z kolei ze względu na ogrom zadań chętnie, choć w zasadzie nielegalnie, przyjmowały pomoc przedwojennych związków Caritas, także parafii, czy zgromadzeń zakonnych.

W latach 1944-45, w miarę jak front posuwał się na zachód, na terenach wyzwolonych Caritas natychmiast przystępowała do działania. Poszczególne diecezje kolejno reaktywowały swoje dawne struktury, a już w czerwcu 1945 roku na Jasnej Górze Episkopat Polski zlecił Komisji ds. Charytatywnych, na czele której stanął metropolita krakowski, ks. Adam S. Sapieha, powołanie Krajowej Centrali Caritas z siedzibą w Krakowie, która szybko nawiązała kontakty z katolickimi organizacjami charytatywnymi w USA, śpieszącymi z pomocą zrujnowanemu krajowi. Potrzeby ludności były ogromne. Szacuje się, że co najmniej 25 proc. mieszkańców Polski oczekiwało natychmiastowej pomocy materialnej. Ok. 700 tys. osób było niezdolnych do pracy w wyniku wojny. Ludność miast wręcz przymierała głodem. Szalała gruźlica i inne choroby. Udział Caritas w dziele pomocy potrzebującym był wtedy nie do przecenienia. Polska otrzymała w latach 1945-1949 od zagranicznych organizacji charytatywnych pomoc o wartości ponad 77,6 miliarda dolarów. Szacuje się, że niemal połowa tej kwoty trafiła do polskich obywateli poprzez Caritas. Dla przykładu: w 1949 r. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej przeznaczyło w budżecie na cele dobroczynne kwotę 4 miliardów zł, natomiast w tym samym roku Caritas wydatkowała na ten sam cel blisko 2 miliardy zł. W ramach działalności Caritas zakładano domy opieki, sierocińce, kuchnie i punkty dożywiania dzieci, ochronki, domy noclegowe itd. Prowadziły je najczęściej siostry zakonne, ale nie tylko⁸.

Likwidacja Caritas

Diecezjalne związki Caritas, które przed wojną miały status stowarzyszeń z pełną osobowością prawną, zaraz po wojnie złożyły u władz państwowych odpowiednie dokumenty do ponownej rejestracji, ale sprawa utknęła w Ministerstwie Administracji Publicznej i mimo interwencji przeciągała się przez lata, aż w styczniu 1950 r. komunistyczne władze zlikwidowały kościelną Caritas. Jej nazwę, cały majątek, wszystkie agendy i prowadzone przez nią instytucje charytatywne (domy opieki, sierocińce, szpitale, przedszkola itp.) przejęło państwo, a nominalnie podległe państwu Zrzeszenie Katolików Caritas. PRL, jak wszystkie pozostałe państwa komunistyczne w Europie (z wyjątkiem, co ciekawe, NRD, gdzie Kościół katolicki, mimo że katolicy stanowili tam mniejszość

wyznaniową, zachował prawo do prowadzenia działalności charytatywnej), podporządkowała się także w tym względzie Moskwie. W Związku Radzieckim już w 1929 r. dekretem państwowym zakazano kościołom i związkom wyznaniowym prowadzenia jakiejkolwiek działalności społecznej, w tym także charytatywnej. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał się wyłamać z tego zakazu, kościelną działalność dobroczynną obłożono 65- procentowym podatkiem, co oczywiście uniemożliwiło prowadzenie jakichkolwiek akcji ogólnospołecznych, ale nie zwolniło przecież Kościoła z posługi miłosierdzia, które jest obok liturgii i nauczania jednym z jego trzech podstawowych filarów. Wszystkie zadania polskiej Caritas przejęła więc Komisja Episkopatu ds. Duszpasterstwa Miłosierdzia, która przez wszystkie lata była gwarantem zachowania ciągłości tradycji działalności charytatywnej. Również we wszystkich diecezjach funkcjonowały wydziały, a w parafiach mniej lub bardziej aktywnie działające zespoły charytatywne. Dzięki zachowaniu tych struktur, a przede wszystkim działającym w ich ramach ludziom, w roku 1981, gdy zaszła taka potrzeba, można było natychmiast rozpocząć akcję rozdziału darów, które zaczęły napływać z zagranicy.

Czas „Solidarności”

Biskup Domin, nowo powołany w 1980 r. przewodniczący komisji, która od stycznia 1981r. nosiła już nazwę Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski, z mocnym poparciem Sekretariatu Episkopatu, natychmiast rozpoczął starania o przywrócenie pełni praw kościelnej Caritas. KCEP bowiem, podobnie zresztą jak wszystkie inne komisje Episkopatu, nie miała osobowości prawnej, nie mogła więc prowadzić żadnej działalności gospodarczej, ale przecież nie tylko o to chodziło. Komunistyczne władze PRL bezprawnie zagarnęły cały majątek Caritas, ale także jej nazwę, która w świetle międzynarodowego prawa własności intelektualnej jest nazwą zastrzeżoną wyłącznie dla instytucji i organizacji charytatywnych Kościoła katolickiego. Uszanowały to także inne kościoły chrześcijańskie, przyjmując dla swych instytucji charytatywnych inne nazwy, mimo że opierają się na tej samej ewangelicznej podstawie – nauczaniu Chrystusa.

Biskupowi Dominowi bardzo zależało na odzyskaniu przez kościelną Caritas należnych jej praw. Rozmowy prowadzone z ówczesnym kierownikiem Urzędu ds. Wyznań, ministrem Jerzym Kuberskim szły w dobrym kierunku, opracowano już nawet statut tej instytucji, ale ogłoszenie stanu wojennego oczywiście sparaliżowało wszelkie działania w tej sprawie. W latach 1983-1985 powołana została kościelno-rządowa Komisja ds. Redakcji Projektu Dokumentu dotyczącego statusu Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce. Jeden z rozdziałów tego dokumentu dotyczył także

Caritas. Rząd PRL nie zgodził się jednak na jego zatwierdzenie i dopiero pod koniec lat 80. można było wrócić do tego tematu, ale już w zupełnie innej sytuacji politycznej.

Tymczasem napięcie w kraju rosło. Związek Zawodowy „Solidarność”, opierając się na 10-milionowej rzeszy swoich członków, głośno upominał się o prawa obywatelskie dla Polaków w ich ojczyźnie. Wybuchwały strajki, pogarszało się zaopatrzenie, ale ludzie poczuli powiew wolności. Biskup Domin zajmował się organizowaniem prac Komisji⁹, sprawował swoje codzienne biskupie obowiązki, ale podejmował się też innych zadań. Np. na początku 1981 r. pośredniczył z ramienia Kościoła razem z biskupem Januszem Zimniakiem

w rozmowach załóg zakładów strajkujących na Podbeskidziu ze stroną rządową. 5 lutego udało się osiągnąć porozumienie i zakończyć strajk, ale w kraju wciąż nie było spokojnie, coraz to wybuchwały konflikty, chociażby z powodu nieprzestrzegania przez władze PRL-owskie porozumień sierpniowych i szykan wobec czołowych działaczy „Solidarności”.

Atmosferę przygnębienia i beznadziejności w społeczeństwie pogłębiły tragiczne wydarzenia majowe. 13 maja 1981 r. miał miejsce zamach na papieża Jana Pawła II, 28 maja zmarł prymas Stefan Wyszyński. Zabrakło nagle dwóch największych dla niemal wszystkich Polaków autorytetów moralnych. Ocalony jednak cudem papież mógł już początkiem lipca mianować nowym metropolitą warszawskim i gnieźnieńskim i prymasem Polski ks. biskupa Józefa Glempa, który deklarował kontynuowanie misji swojego poprzednika na rzecz spokoju i dobra społeczeństwa. Ale spokoju nie było. Pogłoski o manewrach wojsk radzieckich na terenach graniczących z Polską (a przecież na terenie naszego kraju i tak stacjonowały regularne jednostki radzieckie), zmiany na najwyższych stanowiskach partyjnych (Stanisława Kanię zastąpił Wojciech Jaruzelski), wciąż pogarszające się zaopatrzenie w żywność (gigantyczne kolejki po wszystko i totalnie puste półki w sklepach) – wszystko to potęgowało w społeczeństwie strach, poczucie narastającego chaosu i wręcz jakiegoś zbliżającego się kataklizmu. O to zresztą chodziło władzy. Im większa



5 lutego 1981r. – L. Wałęsa w obecności b-pa Domina podpisuje porozumienia strajkujących na Podbeskidziu z komisją rządową (zdj. z arch. ks. R. Broma)

destabilizacja wszystkich dziedzin życia, tym łatwiej będzie przekonać obywateli o konieczności wprowadzenia stanu wojennego. I stało się to 13 grudnia 1981 r. Aresztowania, internowania, czołgi na ulicach, pacyfikacja zakładów pracy, zabici górnicy na „Wujku”, do tego trzaskająca zima, głód zagładający do wielu rodzin i paniczny strach o zdrowie i życie najbliższych, zabranych nocą z domów i wywiezionych nie wiadomo dokąd – tak kończył się w Polsce dramatyczny rok 1981.

Kościół a stan wojenny

W tej sytuacji „siłę spokoju” wykazał polski Kościół katolicki, sprzyjający „Solidarności”. W odpowiedzi na stan wojenny kardynał Józef Glemp powołał 17 grudnia 1981 r. Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom, działający w ramach Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski. Poszczególne sekcje Komitetu Prymasowskiego miały za zadanie dotarcie do internowanych z posługą duszpasterską, pomocą prawną, pomocą materialną w postaci paczek z żywnością, odzieżą, podstawowymi środkami higieny. Nocą 13 grudnia 1981 r. internowano blisko 6 tys. osób. Wiele z nich wyciągnięto z mieszkań wręcz w piżamach i narzuconych na nie w pośpiechu płaszczach czy swetrach, pozostawiając zapłakane rodziny bez żadnej informacji, co się stanie z aresztowanymi. Dlatego w Warszawie, przy kościołach św. Marcina oraz św. Anny uruchomiono specjalne punkty informacyjne dla rodzin, gdzie próbowano na bieżąco ustalać miejsca pobytu internowanych.


Na wzór Komitetu Prymasowskiego od razu w grudniu zaczęły powstawać biskupie komitety pomocy w diecezjach. Zmobilizowano księży i wolontariuszy w dekanatach i poszczególnych parafiach, by dotrzeć

URZĄD DO SPRAW WYZNAŃ Warszawa, dnia 18. 12. 1982.

PRZEPUSTKA Nr 87

W porozumieniu z Ministrem Spraw Wewnętrznych stwierdzam,
ze biskup Czesław Dominiak
ma prawo poruszania się na terenie PRL, bez ograniczeń w czasie
godzin milicyjnych.

Kierownik Urzędu do Spraw Wyznań
Minister
Jerzy Kuberski



Przepustka
b-pa Cz. Domina
z okresu stanu
wojennego

z pomocą internowanym i ich bliskim, potem osobom zwalnianym z ośrodków internowania, pracownikom wyrzucanym z zakładów pracy za strajki itp. Często wymagali oni nie tylko pomocy materialnej i finansowej, ale także medycznej, psychologicznej, prawnej itp. W sumie w okresie stanu wojennego funkcjonowało w Polsce ponad 70 takich punktów pomocy.



Blogosławieństwo papieża Jana Pawła II dla biskupa Domina (luty 1982 r.)

Zważywszy, że przez ośrodki internowania przeszło w tym czasie ok. 10 tys. osób, wszyscy, którzy angażowali się w dzieło pomocy, mieli pełne ręce roboty. Współpracowali oni bezpośrednio z Komisją Charytatywną Episkopatu Polski.

Ks. biskup Czesław Domin wraz z pozostałymi członkami komisji znalazł się – jeśli tak można powiedzieć – na pierwszej linii frontu. Jako przewodniczący KCEP zaczął dowodzić wielką akcją pomocy charytatywnej napływającej z zagranicy. Pełnił równocześnie funkcję zastępcy przewodniczącego Biskupiego Komitetu Pomocy w Katowicach. Znacząca część darów przychodzących z zagranicy trafiała przede wszystkim do osób dotkniętych represjami; więzionych czy internowanych, a także będących na wolności, ale pozbawionych środków do życia. Otrzymywali oni żywność, odzież, środki czystości, leki, w miarę możliwości także zasiłki pieniężne.

Transporty z darami

Dary z zagranicy zaczęły napływać do Polski już w roku 1980, gdy kryzys gospodarczy powszechnie dotknął obywateli, w pierwszej kolejności właśnie od zagranicznych organizacji Caritas. Przed świętami Bożego Narodzenia 1980 r. francuska Secours Catholique przysłała do Polski samolot z mlekiem i odżywkami dla dzieci Warszawy. Zaraz potem reaktywowano dawny komitet Noel pour la Pologne, który do kwietnia 1981 r. dostarczył do Polski 380 ton żywności.

„[...] W początkowej fazie akcja nie była skoordynowana – mówił w wywiadzie dla miesięcznika „Znaki Czasu” biskup Domin – wysyłano to, co udało się zdobyć. Zatem poczęliśmy my przysyłać informacje o aktualnie najważniejszych potrzebach. Najważniejsze wówczas były: mleko w proszku dla niemowląt, tłuszcze, kasza manna, ryż, cukier, odżywki



Rozładunek samochodu z darami z Niemiec przed siedzibą kurii w Katowicach

dla dzieci, mięso w konserwach. Zauważył Pan, że nie ma w tym spisie kawy czy czekolady?. Uważaliśmy je za artykuły luksusowe. Nie wypadało o nie prosić¹⁰. [...]

W zasadzie jednak nie trzeba było prosić. W stronę Polski potoczyła się dosłownie lawina darów przede wszystkim z krajów Europy Zachodniej, Stanów Zjednoczonych i Kanady. Z pomocą ruszyły episkopaty poszczególnych krajów i organizacje działające w ramach Caritas Internationalis z centralą

w Rzymie, także organizacje dobroczynne niekatolickie, a nawet pojedyncze parafie. Niemiecka Konferencja Biskupów wyasygnowała w 1981 roku pół miliona marek na zakup lekarstw dla Polski, a także finansowała zakup żywności dla organizowanej przez Kościół akcji wakacyjnej dla młodzieży (przykładowo w r. 1982 w takiej akcji uczestniczyło ok. 80 tys. dzieci i młodzieży, a w sumie w latach 1982-1990 blisko 1,8 mln osób). Episkopat Węgier, nie mając własnych środków, zwrócił się wiernych i w ten sposób zebrano 4 mln forintów, które poprzez Międzynarodowy Czerwony Krzyż przekazano na zakup żywności z życzeniem, aby w jej rozdziale uczestniczył polski Kościół. Spośród organizacji katolickich w Europie największą aktywnością wykazały się Niemiecki Związek Caritas, Austriacki Związek Caritas i Pomoc Katolicka z Francji, ale warto wspomnieć, że pomagała również Caritas z NRD - szczególnie diecezji wrocławskiej. Spoza Europy trzeba przede wszystkim wymienić Catholic Relief Services z USA, dzięki której w 1981 r. nadeszło do polski 7800 ton żywności o wartości ponad 11 mln dolarów, a w 1982 r. jeszcze więcej.

Szczególne zasługi w organizowaniu pomocy dla naszego kraju miał z pewnością prezydent Caritas Internationalis, ks. prałat Georg Hüssler, który zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego osobiście przyjechał do Polski jako kierowca ciężarówki z żywnością, żeby na miejscu zorientować się w sytuacji, a potem, w stałym kontakcie z biskupem Dominem, organizował kolejne transporty z pomocą humanitarną. Europejska Wspólnota Gospodarcza wyasygnowała w 1981 r. na pomoc dla nas 8 mln dolarów, które zostały przekazane Polsce poprzez organizacje kościelne, fundacje i Czerwony Krzyż dziesięciu krajów członkowskich EWG. W Parlamencie

Europejskim z inicjatywy frakcji konserwatystów i chrześcijańskich demokratów, ale także z udziałem niektórych liberałów i gaulistów, w lipcu 1982 r., w obecności biskupa Domina, została powołana podgrupa Amici Poloniae, której celem było niesienie pomocy społeczeństwu polskiemu w okresie stanu wojennego, a dzięki inicjatywom tej grupy Polska otrzymywała pomoc humanitarną z EWG aż do roku 1990, kiedy to ogłoszono program PHARE¹¹. We Francji powstało ok. 400 komitetów pomocy dla Polski, wobec czego rząd francuski poprzez swego ambasadora w Warszawie zwrócił się do Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski o stworzenie centrali koordynującej ich działalność i faktycznie prymas Glemp za zgodą władz francuskich powołał w Paryżu Biuro Koordynacyjne KCEP, którym kierował ks. prof. Eugeniusz Plater. Było to jedyne takie biuro na świecie.

Z pomocą spieszyły jednak nie tylko instytucje i organizacje katolickie, czy szerzej biorąc - chrześcijańskie, ale i inne związki wyznaniowe, stowarzyszenia świeckie, fundacje dobroczynne, związki zawodowe, nie mówiąc już o oficjalnych organach rządowych poszczególnych państw.

Tysiące ton, miliony dolarów

Największe ilości darów w postaci żywności, odzieży, leków, środków czystości, środków sanitarnych itp. dostarczono do Polski w latach 1982-1983.

Gabriela Kreihs w swojej książce pt. „Dobro ukryte w archiwach” przytacza zestawienia otrzymanych darów na podstawie sprawozdań sporządzonych przez Jana Bajera w latach 1981-1987¹².

Wśród krajów europejskich prym wiodła Republika Federalna Niemiec. Już w 1981 r. dostarczono stamtąd 1950 ton głównie żywności, w 1982 r. - 22.924 tony, w 1983 - 10.537 ton, w 1984 r. - 7727 ton.

Od 1984 r. zaczęto już zdecydowanie ograniczać wielkość dostaw podstawowych artykułów pierwszej potrzeby, na rzecz innych form pomocy np. dostaw sprzętu medycznego, wyposażenia szpitali, sprzętu rehabilitacyjnego, budowy ośrodków dla niepełnosprawnych. Z RFN jednak do końca 1987 r. przychodziły transporty z różnymi artykułami, choć już w mniejszych ilościach. Z Francji w r. 1982 nadesłano 10.235 ton, a w 1983 - 6700 ton darów, Austria przysłała nam w r. 1982 - 6409 ton darów, a w 1983 - 1670 ton. Z niewielkiej Belgii dostarczono odpowiednio w ciągu tych dwóch lat 3925 i 1173 tony. Z Holandii - 4495 ton i 2072 tony, z Włoch - 6558 i 2204 tony, ze Szwajcarii 1627 i 1241 ton, z Wielkiej Brytanii - 2817 i 1963 tony darów. Znaczej pomocy udzieliły też Szwecja, Norwegia, Dania, nawet mała Islandia, Lichtenstein, czy Luksemburg dołożyły swoje cegiełki do gigantycznej puli darów, jakie w ramach solidarności z polskim narodem docierały do naszego kraju i to nie tylko z Europy.

Ks biskup Domin
z młodymi wolon-
tariuszami, którzy
przyjechali z darami
z Munster
w Niemczech



Największymi ofiarodawcami w Stanach Zjednoczonych były Catholic Relief Services (w skrócie CRS, pełna nazwa National Conference of Catholic Caritas USA) oraz Kongres Polonii Amerykańskiej z jego prezesem Alojzym Mazewskim. W latach 1981-1987 CRS przekazała Polsce poprzez KCEP 277.411 ton mąki, ryżu, oleju, mleka, masła, serów i innych artykułów pierwszej potrzeby jak np. wyprawki dla niemowląt. Była to pomoc przeznaczona przede wszystkim dla rodzin i osób indywidualnych. Druga część programu pomocowego USA była kierowana za pośrednictwem organizacji CARE do polskiego Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej z przeznaczeniem dla instytucji publicznych takich jak szpitale, domy starców, domy opieki, sierocińce itp. Koszty transportu morskiego pokrywał rząd USA, a wykonawcą zadań przewozowych było Przedsiębiorstwo Spedycji Międzynarodowej C. Hartwig – Gdynia. Dyrektor przedsiębiorstwa Władysław Gogolewski w kwestiach dotyczących transportu darów bezpośrednio współpracował z biskupem Dominem. Przedstawiciele CRS wielokrotnie odwiedzali Polskę nawet z ekipami telewizyjnymi, by zorientować się, jak zorganizowana jest dystrybucja darów i nie szczędzili słów uznania dla polskich pracowników charytatywnych wszystkich szczebli, a dla ich lidera, czyli przewodniczącego KCEP w szczególności i często z nim bezpośrednio uzgadniali szczegóły dalszej pomocy dla Polski.

Z kolei Fundacja Charytatywna Kongresu Polonii Amerykańskiej rozpoczęła bardzo energicznie pomagać rodakom w kraju już w r. 1981, o co zresztą prosił osobiście przewodniczący NSZZ „Solidarność” Lech Wałęsa, a także Episkopat Polski. Do roku 1990 Fundacja Kongresu przysłała do Polski ponad 11 tys. ton darów o wartości przeszło 171 mln dolarów. Były to odżywki dla dzieci, leki, witaminy, sprzęt medyczny, wyposażenie szpitali, żywność, odzież, obuwie, środki czystości, ale także nasiona,

warzywa, narzędzia rolnicze itp. W tym przypadku koszty transportu, w sumie blisko 7 mln dolarów, pokryło polskie Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej. Podział tych darów spoczywał całkowicie w rękach KCEP. Dary przychodziły także od Polonii kanadyjskiej, argentyńskiej, australijskiej i z innych krajów świata, gdzie żyli nasi rodacy. Z biegiem lat coraz mniejsze stawały się dostawy artykułów pierwszej potrzeby i żywności, a coraz większe specjalistycznego sprzętu medycznego, aparatury diagnostycznej, karetka pogotowia, leków, środków opatrunkowych itp. Wiele specjalistycznego sprzętu do wyposażenia szpitali było osobistym darem papieża Jana Pawła II.

Zarządzanie i logistyka

Przytaczane tu liczby absolutnie nie obejmują całości pomocy, jaką Polska otrzymała w latach 80. Są tylko wybranymi przykładami, mającymi uzmysłowić skalę tej pomocy. W praktyce były to niezliczone transporty wielotonowych ciężarówek docierające wręcz nieprzerwanie do przejść granicznych na zachodzie i południu kraju. Dary zza Oceanu płynęły statkami, a potem też były rozwożone ciężarówkami po kraju. Jak sobie radzono z ich dystrybucją?

Centrala KCEP mieściła się w Katowicach. I stąd biskup Domin dowodził akcją obejmującą cały kraj. Na wstępie opracowano zasady rozdziału darów, tak aby trafiły one sprawiedliwie do wszystkich diecezji, w pierwszej kolejności do najbardziej potrzebujących, a więc do osób aresztowanych, skazanych i internowanych oraz ich rodzin, do rodzin wielodzietnych, rodzin z niemowlętami, do chorych, niepełnosprawnych, starszych wiekiem, pozbawionych renty itd. Już w marcu 1981 r. biskup Domin przygotował „Informacje dla ofiarodawców przysyłających żywność do Polski za pośrednictwem kościelnej akcji charytatywnej”. Związły dokument dosłownie w kilku punktach zawiera wszystkie informacje dotyczące akcji¹³. W kolejnych latach modyfikowano te informacje w zależności od potrzeb

W biurze KCEP, które mieściło się w budynku naprzeciwko kurii katowickiej zainstalowano telefaks, bo telefony, zwłaszcza w okresie „rozmów kontrolowanych” okazały się mało przydatne. Było to urządzenie w tamtych latach dość rzadkie i niewątpliwie jego instalacja wymagała specjalnych pozwoleń, ale bez niego porozumiewanie się ze światem byłoby niemożliwe. Biskup – ze zrozumiałych względów – nie chciał mieć w swoim mieszkaniu telefonu.

– Oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że jest inwigilowany przez służby bezpieczeństwa – mówi ks. Rudolf Brom. – Sądzę, że biskup Bednorz też był tego świadom, bo polecił nam zamieszkać we dwójkę w tym samym budynku przy ul. Generała Zajączka w Katowicach. Obok były ga-

Wśród darów były także inkubatory dla niemowląt



raże milicyjne i w pobliżu Komenda Miejska MO. Milicja kręciła się tam przez cały czas, więc chyba żaden „nieznany sprawca” nie mógłby się prześlizgnąć. Czasem sprawdzaliśmy czy biskup jest śledzony. Ja wsiałem do jego auta i jeździłem po mieście, a za mną cały czas poruszał się ten sam samochód na prywatnych numerach rejestracyjnych, który wcześniej już zaobserwował biskup Czesław. Dlatego wszystkie kontakty, a było ich bardzo wiele, odbywały się głównie za pomocą tegoż telefaksu, który obsługiwała najczęściej siostra Andrzeja - boromeuszka (nosiła nawet przezwisko siostra Telefaks). Ona umawiała biskupa z kontrahentami na konkretną godzinę, zazwyczaj było to po 22. I wtedy ustalano, kiedy przyjadą kolejne transporty z darami, co przywieżą, dokąd mają się skierować po przekroczeniu granicy, jakie są najpilniejsze potrzeby itp. Te rozmowy trwały często do późna w nocy, a rano, zwykle już przed piątą, biskup był w kaplicy i odprawiał mszę św. Bywały sytuacje, że w ogóle nie spał, albo, jadąc gdzieś dalej samochodem z kierowcą, zdrzemnął się na chwilę, ale nie za długo, bo miał zwyczaj także modlić się w samochodzie wspólnie z towarzyszącymi mu osobami i dopiero po modlitwach omawiał z nimi bieżące sprawy.

Najtrudniejsza była z pewnością pierwsza zima po ogłoszeniu stanu wojennego, bo akcja przebiegała w sposób spontaniczny. Bywało, że pod kurie przyjeżdżało równocześnie kilkanaście wielkich ciężarówek. Trzeba było rozładować samochody, nakarmić i przenocować zmęczonych kierowców, którzy rano wracali do granicy, żeby zrobić miejsce dla kolejnych transportów. Wygospodarowano pomieszczenia w piwnicach, urządzono magazyny w baraku, gdzie „urzędował” diecezjalny dyrektor charytatywny, ks. Marian Malcher, prawa ręka biskupa Domina i jego dozgonny przyjaciel. Towary wyładowywali najczęściej studenci seminarium i wolontariusze, ale w późniejszym okresie włączało się też do akcji wojsko.

Zdarzało się, że samochody były przetrzymywane po kilkanaście godzin na przejściach granicznych, bo choć 23 lutego 1981 r. władze PRL-owskie zwolniły całkowicie z opłat celnych żywność, leki i inne artykuły pierwszej potrzeby, to jednak kontrola celna obowiązywała i była często bardzo skrupulatna. Szukano oczywiście nielegalnych druków, sprzętu, materiałów poligraficznych itp. Bywało, że jakieś mniej trwałe artykuły spożywcze zepsuły się, ale to były rzeczy marginalne. Generalnie akcja charytatywna rozwijała się w błyskawicznym tempie i choć nie wszyscy reprezentanci władzy patrzyli przychylnie na to, że dominującą rolę w jej organizowaniu odgrywa Kościół (służby nieraz uprzykrzały życie osobom zaangażowanym w rozdzielnictwo darów), to jednak i oni musieli uznać jej znaczenie dla społeczeństwa. Przy rozdawnictwie darów nie pytano nikogo o przekonania religijne czy polityczne, co biskup Domin wyraźnie podkreślał w swoich zaleceniach dla diecezji i parafii.

Stosunkowo szybko udało się zapanować nad dystrybucją dostaw. Po wcześniejszych uzgodnieniach transporty były od razu kierowane do poszczególnych diecezji, a tam już diecezjalni dyrektorzy charytatywni rozsyłali je po parafiach, które bezpośrednio przekazywały dary potrzebującym. Zajmowali się tym księża i członkowie parafialnych zespołów charytatywnych. Szacuje się, że w roku 1983 armia tych wolontariuszy liczyła ok. 125 tys. osób.

W centrali KCEP w Katowicach od świtu do późnej nocy pracowały siostry boromeuszki, zatrudniono także osoby świeckie znające języki obce, bo przecież trzeba było jakoś dogadywać się z obcokrajowcami – darczyńcami z różnych stron świata, kierowcami i konwojentami ciężarówek z darami, a także prowadzić rozległą międzynarodową korespondencję. Biskup Domin bardzo dbał o to, aby darczyńcy otrzymywali nie tylko prośby o takie czy inne przesyłki, ale także podziękowania za nie. Często osobiście pisał listy z podziękowaniami. Ponadto wszystkie przesyłki kierowane na adresy KCEP i diecezji były skrupulatnie rejestrowane i księgowane (akta są przechowywane w archiwach Caritas Polskiej, a częściowo także w archiwach diecezjalnych).

Współpraca z władzami

Naturalną kolejną rzeczą KCEP musiała się kontaktować na bieżąco z rządem i instytucjami państwowymi, zwłaszcza z Ministerstwem Zdrowia i Opieki Społecznej. Już 15 maja 1981 r. Prezydium rządu wydało decyzję w sprawie koordynacji przewozu i rozdziału darów z zagranicy, w której m.in. upoważniło ministra finansów do sfinansowania wydatków związanych z transportem, spedycją i dystrybucją darów kierowanych do jednostek organizacyjnych Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej, Polskiego Czerwonego Krzyża oraz Komisji Charytatywnej Episkopatu

Polski. Powstała rządowa komisja ds. podziału darów, której przewodniczył wicepremier Jerzy Ozdowski, a zasiadający w niej przedstawiciele Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, KCEP, Polskiej Rady Ekumenicznej, PCK i PKPS wymieniali się informacjami na temat otrzymywanej pomocy. Podobne komisje działały też w województwach. Chodziło przede wszystkim o to, żeby wyeliminować przypadki korzystania z pomocy z różnych źródeł przez te same osoby, a także uzgodnić zakres aktualnych potrzeb. 15 grudnia 1981 r. minister zdrowia i opieki społecznej polecił lekarzom wojewódzkim, aby udzielili wszelkiej pomocy przedstawicielom KCEP w magazynowaniu i przewożeniu darów, zwłaszcza leków i środków medycznych. Leki, które przychodziły z zagranicy, rozdawano bezpośrednio potrzebującym w utworzonych specjalnie do tego celu aptekach diecezjalnych. Pewnie starsze osoby pamiętają jeszcze to okno w budynku naprzeciwko katowickiej kurii, przez które pod nadzorem farmaceutycznym wydawano bezpłatnie przywożone medykamenty, dopiero potem uruchomiono aptekę już lepiej przystosowaną do obsługi klientów. Z czasem ta współpraca KCEP z Ministerstwem Zdrowia odbywała się na bardzo wielu płaszczyznach, wymagających specjalistycznej wiedzy medycznej.

Ułatwienia dla dobroczynności

Jedną z priorytetowych kwestii było uwolnienie działalności charytatywnej prowadzonej przez Kościół od 65-procentowego podatku. Biskup Domin wraz z arcybiskupem Bronisławem Dąbrowskim i ks. prałatem Karolem Dłopolskim rozmawiali m.in. o tym z ministrem Kuberskim podczas spotkania, jakie odbyło się 23 lutego 1982 r. w Urzędzie d.s. Wyznań. Z pewnością podobnych rozmów było więcej i okazały się skuteczne. 19 października 1982 r. w Dzienniku Ustaw ukazało się rozporządzenie ministra finansów, które zrównywało działalność charytatywną Kościoła z podobną działalnością instytucji państwowych, zwalniając od podatku dochodowego wydatki na cele dobroczynne¹⁴. Było to niezwykle ważne rozporządzenie także z tego względu, że umożliwiło rozpoczęcie wielu inwestycji charytatywnych, takich jak np. domy dla narkomanów w diecezji częstochowskiej, dom dla niewidomych w diecezji gdańskiej, dom starców dla byłych więźniów obozów hitlerowskich w diecezji krakowskiej czy ośrodki dla młodzieży niepełnosprawnej w diecezji katowickiej. Równocześnie czyniono starania o zwolnienie kościelnych instytucji charytatywnych z podatku od nieruchomości i od lokali. Stało się to faktem 25 lipca 1985 r. I tak krok po kroku kościelna dobroczynność zyskiwała należne jej miejsce w życiu społecznym.

4 listopada 1985 roku minister zdrowia i opieki społecznej Tadeusz Szelachowski podczas uroczystej gali wręczał dyplomy i medale wdzięczności wszystkim instytucjom dobroczynnym, które organizowały pomoc

z zagranicy dla narodu polskiego w okresie kryzysu gospodarczo-politycznego. Odebrali je także delegowani na tę uroczystość przez biskupa Domina przedstawiciele KCEP – jej sekretarz ks. dr Zdzisław Sawiński i ks. kanonik Stefan Gralak – diecezjalny dyrektor charytatywny archidiecezji warszawskiej. Sam biskup Domin spotkał się 24 lutego 1986 r. z Adamem Łopatką, ówczesnym ministrem ds. wyznań. Były podziękowania za dotychczasowe ułatwienia prawne dla kościelnej działalności charytatywnej, słowa uznania dla dokonań KCEP i oczywiście rozmowy na temat kolejnych rozwiązań prawnych sprzyjających jej funkcjonowaniu. Minister nie zgodził się co prawda na to, by KCEP mogła uzyskać osobowość prawną, ale doradzał politykę „małych kroków”, zapewnił też, że państwo będzie z zadowoleniem przyjmować wszelkie inicjatywy Kościoła mające na celu tworzenie placówek opieki. Pozytywnym efektem tej rozmowy była również zgoda na prowadzenie rachunku bankowego na zasadach przewidzianych dla organizacji pomocy społecznej. KCEP uzyskała ją na piśmie już 12 marca 1986 r. Był to niewątpliwie kolejny sukces biskupa Domina w jego dążeniach do przywrócenia działalności charytatywnej Kościoła należnej jej rangi.

Współpracownicy biskupa wspominają jak konsekwentnie potrafił „drażnić skałę”, cokolwiek miał załatwić, zabierał się do tego natychmiast, żeby nie powstawały zaległości, sam brał na warsztat najtrudniejsze sprawy, osobiście prowadził korespondencję z ministerstwami i agendami rządowymi, a czytając jego pisma czy wystąpienia, trudno nie podziwiać stylu, w jakim były pisane: są zwięzłe, bardzo konkretne, często ujęte w punktach, z bardzo przejrzystą i logiczną argumentacją. Miał też dar przekonywania innych do swoich racji, ale bez jakiegokolwiek nacisku; raczej prosił o rozważenie sprawy, uzasadniał, dlaczego warto postąpić właśnie tak a nie inaczej. Swoim spokojem i uśmiechem potrafił rozbroić oponentów.

- Pewnie trudno w to uwierzyć, ale ja przez wszystkie te lata, kiedy blisko współpracowaliśmy na co dzień i mieszkaliśmy „przez ścianę”, nigdy nie widziałem go zdenerwowanego. Chyba nic nie było w stanie wytrącić go z równowagi – wspomina ks. Rudolf Brom, a trzeba pamiętać, że ta współpraca trwała blisko 20 lat. A przyjaźń do końca życia biskupa.

Caritas to nie filantropia

Przewodniczący KCEP nie ograniczał swej działalności do kierowania zagraniczną akcją charytatywną na terenie Polski i żmudnych zabiegów dyplomatycznych i administracyjnych o uznanie przez władze PRL-owskie roli Kościoła w państwie, którego obywatele w przeważającej większości byli przecież katolikami. Jak uważa ks. dr hab. Adam Rybicki, profesor KUL, najwybitniejszy chyba znawca dzieła życia biskupa Domina i wni-

kliwy analityk jego duchowości, wiele wskazuje na to, że „[...] osobiście czuł się on (bp Domin – u.m.) odpowiedzialny za rozwój dzieł miłosierdzia w Polsce. Wynikało to nie tylko z jego funkcji [...], lecz jeszcze bardziej z autentycznego zainteresowania tą dziedziną życia Kościoła. Nie tylko więc sam tworzył i inicjował poszczególne dzieła, lecz także stymulował cały polski Kościół, duchowieństwo i wiernych do jak najszerzego objęcia polskiego społeczeństwa dziełami charytatywnymi¹⁵ Biskup wielokrotnie, czy to w oficjalnych wystąpieniach na posiedzeniach KCEP, czy na konferencjach Episkopatu, czy w wywiadach dla prasy, wyrażał bardzo zdecydowanie swoją opinię o istocie działalności charytatywnej. Czyny miłosierdzia nazywał „wizytówką Kościoła”¹⁶. Na 225 Konferencji Plenarnej Episkopatu, nawiązując do faktu zwolnienia dobroczynności kościelnej z 65-procentowego podatku, mówił: „Jest to szansa dla Kościoła w Polsce lat 80-tych. Jeżeli Kościół nie wykorzysta tej szansy, nie będzie wiarygodny wobec społeczeństwa następnych dziesięcioleci. Nie wolno nam oglądać się ciągle na pomoc zagraniczną, lecz musimy mobilizować siebie do własnej działalności charytatywnej¹⁷.” I dalej tłumaczył: „Budujemy liczne – czasem imponujące świątynie, tak bardzo potrzeba (środków – u.m.) na seminaria duchowne oraz niezbędne obiekty parafialne jak probostwa i domy katechetyczne. Są to sprawy doniosłe, ważne dla przyszłości Kościoła w Polsce. Byłoby jednak z naszej strony wielkim błędem, gdyby te akcje i budowy przysłały nam widok na zubożałego Polaka. [...] Mamy w Polsce tysiące osamotnionych starców oczekujących na łóżko w domu opieki. Mamy w Polsce setki sierot społecznych z urzędową decyzją skierowania do domów dziecka, walęsających się między budkami od piwa i zbierających butelki po wódce i piwie, aby kupić sobie bułkę i ...papierosy. Mamy także bezdomnych i włóczęgów. Mamy dziesiątki tysięcy dzieci i młodzieży niepełnosprawnej. Jeżeli nasza duszpasterska działalność nie zaowocuje dziełami miłosierdzia, to może nadejść czas, że NOWE KOŚCIOŁY BĘDĄ STAC PUSTE. [...] Budowy, inwestycje usprawniające organizację pracy i życia kościelnego są ważne, ale dzieła miłosierdzia wymagają również naszej pilnej, aktywnej i ofiarnej uwagi. Chodzi o tworzenie i budowę nowych placówek charytatywnych, zarówno w sensie materialnym jak i organizacyjnym, w ramach istniejących możliwości i praw”¹⁸.

I zachęcając zgromadzonych na konferencji biskupów, by w każdej diecezji zbudowano jakieś konkretne dzieło na rzecz potrzebujących, argumentował: „Na Sądzie Ostatecznym nie będziemy pytani, ile wybudowanych przez nas kościołów otrzymało wyróżnienie architektoniczne, ale będziemy musieli zdać sprawę z doli najbiedniejszych bliźnich w naszych diecezjach i parafiach: nieuleczalnie chorych, niepełnosprawnych, nałogowych alkoholików, narkomanów, zagrożonych dzieci w łonie matki itd.”¹⁹

Instrukcja dla diecezji i parafii

Potrzebę budowania dzieł miłosierdzia uzasadniał biskup Domin nie tylko na konferencjach duszpasterskich, upowszechniał ją też na łamach „Wiadomości Charytatywnych”, periodyku, który ukazywał się nieregularnie, w zależności od potrzeb i możliwości pod redakcją ks. dr. Karola Dłopolskiego, sekretarza KCEP, a po jego śmierci, w czerwcu 1982 r. funkcję naczelnego redaktora objął kolejny sekretarz komisji ks. dr Zdzisław Sawiński. Natomiast biskup Domin wspierał redakcję swoimi inicjatywami i często sam pisał do kolejnych wydań sprawozdania i artykuły, kładąc w nich nacisk na to, by rozwój pracy charytatywnej był powiązany z rozwojem kultu Miłosierdzia Bożego, którego był wielkim orędownikiem. Dla kapłanów i pracowników charytatywnych „Wiadomości” były też podstawowym źródłem informacji o wszystkim, co mogło pomóc w organizowaniu tej działalności w diecezjach i parafiach. Chodziło bowiem o to, aby nie sprowadzała się ona do rozdawnictwa darów i nie umarła śmiercią naturalną z chwilą, gdy dary przestaną napływać.

Przygotowana pod kierunkiem przewodniczącego KCEP „Instrukcja Konferencji Episkopatu Polski o pracy charytatywnej w parafiach”, zatwierdzona w listopadzie 1986 r. przez prymasa kard. Józefa Glempa, stała się podstawową wykładnią formacyjną zarówno dla duchowieństwa jak i katolików świeckich w kwestii sprawowania posługi miłosierdzia. Natomiast w artykułach na łamach „Wiadomości Charytatywnych” biskup Domin szczegółowo wyjaśniał, jak powinny być zorganizowane zespoły charytatywne w parafiach, na konkretnych przykładach, m.in. śląskich parafii w Chorzowie czy Bogucicach pokazywał np. na czym polegać ma praca opiekunki rejonowej, jak tworzyć różne sekcje pomocy potrzebującym.

Oto jak według biskupa powinna działać np. opiekunka chorych w szpitalu: „Odwiedziny chorych należących do rejonu a przebywających w szpitalu przekraczają zwykle możliwości czasowe opiekunki rejonowej. W tym celu powstaje sekcja odwiedzin chorych w szpitalu. Rejonowe meldują co niedzielę na karteczce adresy chorych z danego rejonu, podając równocześnie adres szpitala i ewentualnie numer pokoju, w którym się chory znajduje. Sekcyjna (np. uczennica 4. klasy liceum) odbiera te karteczki z zakrystii i organizuje wśród swoich koleżanek (pomocnice charytatywne) wyjazdy do różnych szpitali w daną niedzielę. Pieniądze na pokrycie kosztów podróży autobusem, pociągami lub tramwajem daje sekcyjnej ksiądz proboszcz z kasy św. Antoniego. Podarunek np. kilku jabłek lub symbolicznego kwiatka będzie dla chorego miłym dowodem, że parafia o nim pamięta nie tylko w modlitwach²⁰.” Gorąco zachęcał biskup do tworzenia grup samopomocy sąsiedzkiej, bo przecież często się zdarza, że ktoś potrzebuje opieki przez kilka tygodni, gdy stały opiekun musi np. pójść do szpitala.

Wydaje się wręcz nieprawdopodobne, że przewodniczący KCEP przy wszystkich swoich rozlicznych obowiązkach w kraju i za granicą, bo trzeba dodać, iż w latach 1981-1985 był także członkiem Komisji Stałej Caritas Europa oraz członkiem Rady Wykonawczej Caritas Internationalis, znajdował jeszcze czas, aby zajmować się takimi szczegółami jak wizytowanie zespołów charytatywnych przy parafiach, ale tak właśnie było. Zależało mu na tym, by wyzwolić w ludziach, którzy zdecydowali się pomagać bliźnim w potrzebie, wewnętrzną motywację i energię do samodzielnego działania. Poza tym był przecież przez cały ten czas biskupem pomocniczym w Katowicach i wykonywał wszystkie należące do niego zadania. Nie było więc niczym nadzwyczajnym, że jeździł po parafiach z wizytacjami pasterskimi, a także w ramach swych biskupich obowiązków sprawował nadzór nad sprawami finansowo-gospodarczymi kurii, czuwał nad pracami diecezjalnej Komisji ds. Liturgii, zajmował się bierzmowaniami, sprawami proboszczów itp. W 1983 r. w imieniu biskupa ordynariusza przewodniczył Komisji Organizacyjno-Technicznej Diecezjalnego Komitetu przygotowującego pielgrzymkę papieża Jana Pawła II w Katowicach. Trudno uwierzyć, ale z czasem przybywało mu tych obowiązków. Np. w 1985 r. nowy ordynariusz ks. bp Damian Zimoń mianował go ekonomem diecezji katowickiej, a w następnym roku przewodniczącym Rady ds. Ekonomicznych oraz członkiem Kolegium Konsultorów. Później wszystkie te funkcje zostały przedłużone na kolejną kadencję aż do r. 1991.

Po awarii w Czernobylu

Tymczasem życie przynosiło nowe wyzwania. 26 kwietnia 1986 r. doszło do katastrofy w elektrowni atomowej w Czernobylu na Ukrainie. Substancje radioaktywne przedostały się do atmosfery, zagrażając ludziom mieszkającym na skażonym terenie, obejmującym ok. 100 tys. km. kw. ówczesnych republik radzieckich - Białorusi, Ukrainy, częściowo także Rosji. Radioaktywne chmury dotarły też do wielu państw ościennych. Nad Polskę pierwsza radioaktywna fala powietrza nadeszła nocą z 27 na 28 kwietnia. Centralne Laboratorium Ochrony Radiologicznej w Warszawie wykryło ją nad ranem. Specjaliści z CLOR nie dowierzali własnym oczom, ale koledzy z innych krajów (Szwecji, Finlandii także Francji i Wielkiej Brytanii) potwierdzili wielokrotne przekroczenia norm promieniowania. Władze ZSRR nie powiadomiły nikogo o zagrożeniu. Na szczęście polskie władze zareagowały prawidłowo i posłuchały lekarzy specjalistów z Ministerstwa Zdrowia i Ministerstwa Obrony Narodowej. W ciągu 24 godzin przygotowano i zaczęto podawać dzieciom i młodzieży do 16. roku życia roztwór nieradioaktywnego jodu pod nazwą lugol. Akcja była prowadzona w przedszkolach, szkołach, ośrodkach zdrowia, aptekach. Zalecono, aby dzieci nie spożywały mleka „prosto od krów”, które pasły się na skażonych pastwiskach itd.

Komisja Charytatywna Episkopatu Polski błyskawicznie dowiedziała się o katastrofie i związanym z nią niebezpieczeństwie kanałami caritasowskimi. Z Austrii, Australii, Belgii, Francji, Holandii, Republiki Federalnej Niemiec, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii, Włoch, Stanów Zjednoczonych i Kanady niemal natychmiast przesłano telexy z pytaniem, jak można pomóc. I biskup Domin nie zawahał się poprosić natychmiast o mleko w proszku dla niemowląt i małych dzieci. W pierwszych dniach maja do Polski znowu zaczęły docierać transporty z darami. Americanes Foundation wyczarterowała do Warszawy specjalny samolot ze 100 tonami mleka w proszku, witaminami i innymi niezbędnymi w tej sytuacji darami. 8 maja 1986 r. KCEP wydała „Informację w sprawie mleka w proszku dla małych dzieci w sytuacji zagrożenia radiologicznego”. W porozumieniu z Ministerstwem Zdrowia i Opieki Społecznej, KCEP zaczęła rozdawać sprawdzoną już drogą, poprzez diecezjalne wydziały charytatywne, dekanaty i parafie po kilogramie mleka wszystkim dzieciom do 3. roku życia niezależnie od wyznania, światopoglądu czy religijnego zaangażowania rodziców. Należało tylko przyjść po odbiór mleka z książeczką zdrowia dziecka. Na okładce książeczki odnotowywano ilość wydanego mleka. W sumie KCEP otrzymała od zagranicznych darczyńców i rozdzieliła wtedy ponad 1744 tony mleka w proszku. Ta natychmiastowa pomoc najlepiej świadczy o tym, jak wielkim zaufaniem i życzliwością w różnych kręgach za granicą cieszyła się komisja i jej przewodniczący.

Może warto w tym miejscu przypomnieć, że pięć lat później, w nowych warunkach ustrojowych odrodzona Caritas Polska zaprosiła do Polski na dłuższy wypoczynek dzieci z Białorusi, które ucierpiały na zdrowiu podczas katastrofy w Czernobylu. Z pewnością była to inicjatywa biskupa Domina, już wówczas przewodniczącego tej instytucji, a ten jakże piękny gest w pełni oddaje istotę dobroczynności, jakiej hołdował. Dobroczynności wynikającej z Ewangelii, z misji Kościoła, z głębi ludzkiego serca. Dobroczynności, która jest daniem, dzieleniem się z bliźnimi tym co się ma, a nie dzieleniem tego co dadzą inni. Wielokrotnie o tym mówił, także w cytowanym już wywiadzie dla „Znaków Czasu”. „[...] Proszę zauważyć, że akcja pomocy zagranicznej, w skali z jaką mieliśmy do czynienia, miała dobre i złe strony - pomagała ludziom żyć, ale i przyzwyczajala, że ktoś z zagranicy daje za darmo. Przyzwyczajala do brania. Tymczasem Episkopat Polski wielokrotnie zwracał uwagę, iż prawidłowe rozumienie chrześcijańskiej zasady pomocy bliźniemu obowiązuje wszystkich, którzy mogą dzielić się tym, co mają, z tymi, co mają trochę mniej. Przykład zagranicy musi i na nas wpłynąć pozytywnie w tym właśnie kierunku. Będąc wdzięcznymi innym narodom - musimy myśleć, czego to nas uczy. Pierwsze efekty

mieliśmy, gdy zaapelowaliśmy do sumień wiernych w Polsce w czasie pomocy dla głodującej Etiopii. Biedna Polska katolicka zareagowała prawidłowo - wysyłając i żywność i koce tragicznie biednym Afrykańczykom. Wszystko pochodziło ze zbiórek przyparafialnych²¹ [...] W 1985 r. Polska z inicjatywy KCEP wsparła Etiopię, a w trzy lata później Armenię, która ucierpiała podczas trzęsienia ziemi. Z czasem taka charytatywna pomoc dla krajów dotkniętych klęskami żywiołowymi stała się czymś naturalnym i znakomicie funkcjonuje także dziś.

Medale wdzięczności

W roku 1986 biskup Domin wyruszył w tzw. podróż wdzięczności. Na początku czerwca, gdy nastroje po katastrofie czernobylskiej już się trochę uspokoiły, akcja rozdawnictwa mleka w proszku przebiegała zgodnie z planem, przewodniczący KCEP oraz diecezjalni dyrektorzy charytatywni udali się na pielgrzymkę do Rzymu, gdzie m.in. modlono się w intencji wszystkich darczyńców, którzy wspierali Polaków w biedzie. Papieżowi Janowi Pawłowi II wręczono medal wdzięczności KCEP za jego ogromną pomoc. Medal zaprojektował



Biskup Domin wśród amerykańskich darczyńców



Medal wdzięczności wręczany najbardziej zasłużonym ofiarodawcom

znany śląski rzeźbiarz Zygmunt Brachmański. Na jego awersie były wyryte ręce łamiące chleb, napis „Ojciec Twój... odda Tobie”, a na rewersie bukiet kwiatów, słowa „Bóg zapłać” w kilku językach i napis „Komisja Charytatywna Episkopatu Polski 1985”. Podczas Konferencji Komisji Stałej Caritas Internationalis w Rzymie w 1985 roku takie medale otrzymały też w podzięce za pięcioletnią pomoc osoby i instytucje, które najbardziej przysłużyły się Polsce.

Na przełomie czerwca i lipca 1986 r. podczas blisko dwutygodniowej podróży po Stanach Zjednoczonych, na zaproszenie Fundacji Charytatywnej Kongresu Polonii Amerykańskiej, biskup Domin wraz z towarzyszącym mu ks. Sawińskim odwiedzili kilkanaście miast z największymi skupiskami polonijnymi, byli goszczeni w siedzibie Episko-



W USA bp Domin spotkał się m.in. z senatorem E. Kennedym



Z wiceprezydentem G. W. Bushem

patu USA w Waszyngtonie, Centrali Catholic Relief Services w Nowym Jorku, w kurii kardynała Johna Króla w Filadelfii, w siedzibach wielu innych dostojników kościelnych, ale także w Białym Domu, w Kongresie USA, w Sekretariacie Stanu, w Ambasadzie PRL, oczywiście w Kongresie Polonii Amerykańskiej, spotykali się z przedstawicielami stowarzyszeń i organizacji, które wspomagały Polaków w najtrudniejszych latach. W podzięce wręczali medale wdzięczności KCEP.

Podczas zebrania Rady Dyrektorów Kongresu w Filadelfii, na które zaproszono polską delegację, biskup Domin przedstawił wciąż dramatyczną sytuację leczenia w Polsce. Brakowało wszystkiego - nie tylko specjalistycznych leków czy nowoczesnych narzędzi medycznych, ale również podstawowych medykamentów, środków opatrunkowych, antybiotyków, pościeli szpitalnej, nici chirurgicznych itd. Biskup nie zawahał się też poprosić o pomoc w ratowaniu ok. 20 tys. polskich niemowląt i dzieci chorych na fenylketonurię, którym potrzebna jest żywność bezglutenowa, a także o wsparcie dla oddziału dziecięcego w Śląskim Centrum Chirurgii Serca w Katowicach-Ochojcu. Listę potrzeb przygotowali szef Centrum prof. dr hab. Leszek Giec i ówczesny kierownik tego oddziału doc. dr hab. Zbigniew Religa i Polonia stanęła na wysokości zadania, dostarczając potrzebne rzeczy w kolejnych miesiącach i latach. Podpisano też wówczas porozumienie o wyjazdach polskich lekarzy na trzymiesięczne staże do szpitala Deborah Heart and Lung Center w Brown Mills w New Jersey, co stało się możliwe dzięki wysiłkom prezeasa Fundacji tego szpitala Stanleya Fryczyńskiego.

Przewodniczący KCEP z pewnością zdawał sobie sprawę ze skuteczności swoich działań w trakcie bezpośrednich kontaktów z darczyńcami, toteż chętnie się z nimi spotykał, kiedy przyjeżdżali do Polski, sam też w miarę możliwości i potrzeb wyjeżdżał do zachodnich krajów europejskich, a sposób bycia, urok osobisty i znajomość języków obcych z pewnością przysparzały mu przyjaciół, którzy pomagali jak mogli.

Pomoc niepełnosprawnym

W drugiej połowie lat 80. działania biskupa Domina coraz mocniej zaczęły się koncentrować na tworzeniu placówek charytatywnych o różnym charakterze, ale przede wszystkim ośrodków dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnej, a także dla młodych osób uzależnionych od narkotyków (pierwszy dom dla nich pod nazwą „Betania” został otwarty pod Częstochową już w 1984 r., a w jego prowadzenie zaangażowali się wolontariusze Monaru). Stało się to możliwe w zasadzie już po tym, jak biskup wynegocjował z rządem PRL zwolnienie działalności charytatywnej Kościoła z 65-procentowego podatku, a w późniejszych latach także od podatków lokalnych czyli podatku od nieruchomości, w których prowadzona jest działalność charytatywna oraz podatku drogowego od samochodów używanych do tej działalności. Ale normalną kolejną rzeczą najpierw należało nakarmić głodnych, a więc zająć się doraźną pomocą, która płynęła do nas z zagranicy, równocześnie przygotowując grunt do przyszłych inwestycji. Zresztą od samego początku tej wielkiej akcji charytatywnej chore i niepełnosprawne dzieci i młodzież były traktowane priorytetowo nie tylko przy rozdzielaniu darów.

KCEP zorganizowała np. skuteczną pomoc dla dzieci i młodzieży z wadami słuchu, sprowadzając tysiącami aparaty słuchowe. Już w 1983 r. dr Bożena Laskiewicz z Wielkiej Brytanii, inicjatorka i współzałożycielka organizacji Medical Aid for Poland, przekazała do Polski ponad 283 tys. sztuk używanych aparatów słuchowych przewodowych. Trafiły one do Zakładów Naprawczych Polskiego Związku Głuchych w Ostrowcu Świętokrzyskim, tam były sprawdzane, naprawiane i przekazywane najpierw uczniom szkół dla głuchoniemych, a w dalszej kolejności osobom dorosłym poprzez poradnie PZG. W kolejnych latach sprowadzono blisko 50 tys. nowych aparatów. Diecezjalni dyrektorzy charytatywni prowadzili wykazy poradni zajmujących się diagnozą i rehabilitacją wad słuchu i kierowali tam rodziców, którzy zauważyli niedosłuch u swoich dzieci.

Inną niezwykle pożyteczną akcją były tygodniowe kursy dla dzieci z cukrzycą i ich rodziców. Odbywały się one w latach 1987-1989 w Katowicach. Uczestniczyli w nich także lekarze z różnych stron kraju. Oczywiście nie wszyscy mogli przyjechać do Katowic, ale wszystkie dzieci z cukrzycą z całej Polski otrzymały bezpłatnie podręcznik pt. „Podstawowe wiadomości o cukrzycy insulino-zależnej”. Jego autor Luther B. Travis ze Stanów Zjednoczonych na prośbę KCEP wydał zgodę na przetłumaczenie książki na język polski, rezygnując z należnych mu honorariów pod warunkiem, że podręcznik zostanie wydany właśnie przez KCEP i rozprowadzony po kosztach własnych. Biskup Domin uzyskał zgodę polskich władz na wydanie podręcznika medycznego. Tłumaczenia dokonała grupa lekarzy, pod nadzorem krajowego konsultanta ds. leczenia cukrzycy prof. Jana Tatonia,

papier na książkę ofiarowali rodzice dzieci cukrzycowych z RFN, koszty druku pokryło Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i w styczniu 1989 r. książka w ilości 10 tys. egzemplarzy trafiła do odbiorców.

Oczywiście długo można by wyliczać zasługi KCEP i jej przewodniczącego dla podtrzymywania stanu zdrowia Polaków w czasach, kiedy kupno zwykłego bandaża było często problemem, a co dopiero mówić o specjalistycznych lekach, aparaturze diagnostycznej, a nawet podstawowym sprzęcie medycznym. Za pośrednictwem KCEP do szpitali trafiały sztuczne nerki, ultrasonografy, elektrokardiografy, igły i strzykawki, materiały opatrunkowe, wyposażenie całych oddziałów szpitalnych. Szacuje się, że w latach 1982-1987 Kościół przekazał do placówek służby zdrowia i samych pacjentów różnego rodzaju środki medyczne na sumę ok. 340 mln dolarów²².

Pierwsze ośrodki rehabilitacyjne

Równoległe, choć odrębnym torem, toczyły się sprawy budowy ośrodków dla dzieci niepełnosprawnych, o tyle bardziej skomplikowane, że potrzebne były w tym wypadku nie tylko środki finansowe, ale najpierw mnóstwo różnego rodzaju zezwoleń, uzgodnień, dokumentacji, projektów. Na ogół w tamtych czasach trwało to wiele, wiele lat. A jednak jakimś cudem (jakim - to pewnie wiedział tylko biskup Domin) udawało się przyspieszać terminy, wciągać do pomocy instytucje, które jeszcze kilka lat wcześniej nie byłyby skłonne pomagać Kościołowi. Tak było np. z Ośrodkiem Rehabilitacyjnym dla Dzieci Niepełnosprawnych Ruchowo z Zaburzeniami Umysłowymi przy parafii św. Jadwigi w Rybniku. Proboszcz parafii ks. Henryk Joško wystąpił z propozycją budowy ośrodka w czerwcu 1987 r. Inicjatywę poparł natychmiast ordynariusz katowicki bp Damian Zimoń. KCEP zadeklarowała kompletne wyposażenie ośrodka przy pomocy Centrali Caritas we Freiburgu i innych darczyńców z Niemiec i Holandii. Urząd Wojewódzki w Katowicach nie tylko dość szybko uwinął się z wszystkimi formalnościami, ale dołożył swoją „cegiełkę” do budowy, która ruszyła 15 czerwca 1988 r. Do grona fundatorów zagranicznych dołączyły też kopalnie Rybnickiego Okręgu Węglowego, Elektrownia Rybnik, Huta Silesia i inne zakłady pracy z okolic Rybnika, Fundusz Ochrony Zdrowia, ZUS, a także Urząd Miasta w Rybniku, któremu ksiądz Joško zasugerował, aby to właśnie miasto przejęło gotowy ośrodek w użytkowanie. I tak się stało. Niezwykle potrzebną placówkę oddano do użytku 1 września 1990 r. z udziałem władz kościelnych, ale i licznych osobistości szczebla państwowego, wojewódzkiego i regionalnego, bo przecież był to już nowy rozdział historii Polski - Polski demokratycznej. Rybnicki Ośrodek dla Dzieci Niepełnosprawnych im. Jana Pawła II funkcjonuje do dziś.



Budowa ośrodka Caritas w Rusinowicach

Więcej czasu zajęła budowa Ośrodka Szkoleniowo-Rehabilitacyjnego dla Dzieci Niepełnosprawnych pw. św. Rafała Archanioła w Rusinowicach koło Lublińca. Wstępne prace rozpoczęły się w 1987 r. Środki finansowe pozyskano z funduszy rządu amerykańskiego. Obiekt oddano do użytku w czerwcu 1994 r.

W tym samym 1987 r. pani Marta Krzysteczko podarowała diecezji katowickiej ponad 23-hektarową posiadłość w Borowej Wsi koło Mikołowa z budynkiem mieszkalnym, zabudowaniami gospodarczymi, polami uprawnymi i łąkami, z przeznaczeniem na cele charytatywne. Zdecydowano, że powstanie tam ośrodek dla młodzieży niepełnosprawnej. Wymagało jednak

wiele zachodu, żeby w ogóle przejąć nieruchomość.

- Chodziliśmy z obecnym arcybiskupem Wiktorem Skworcem, ówczesnym kanclerzem kurii, niezliczoną ilość razy do Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, jeździliśmy do Urzędu ds. Wyznań w Warszawie, wydeptywaliśmy schody od biura do biura, od jednego ważnego urzędnika do innego ważnego urzędnika, żeby załatwić zezwolenia, jakieś przydziały na materiały budowlane, bo przecież były one wtedy wręcz nie do zdobycia - wspomina tamte czasy ks. dyrektor Krzysztof Bąk, który był wtedy wikarym w parafii Bożego Narodzenia w Rudzie Śląskiej - Halembie, a więc niedaleko Borowej Wsi. To w nim właśnie upatrzył sobie biskup Domin odpowiedniego człowieka do pokierowania budową, a potem działalnością ośrodka.

- Powierając mi to zadanie, powiedział: - Wiesz co, zanim pojedziesz zobaczyć to miejsce, najpierw pojedź ze mną. I pojechaliśmy we trójkę, z żyjącą jeszcze wtedy panią Marią Krzysteczko do Krakowa, do Sanktuarium w Łagiewnikach i tam modliliśmy się przed cudownym obrazem, a potem ksiądz biskup opowiadał mi o niezwykłej mocy Miłosierdzia Bożego. Odwiedziliśmy też panią Marię Hyłową, wdowę po profesorze Adolfie Hyle, który malował obraz „Jezu, ufam Tobie” pod dyktando siostry Faustyny, gdzie również nasłuchałem się niezwykłych opowieści związanych z tym obrazem. I wtedy uwierzyłem, że z pomocą Bożego Miłosierdzia podołam temu gigantycznemu zadaniu, które w tamtych warunkach wydawało się niemożliwe do wykonania - opowiada ks. Bąk.

Na budowę ośrodka „Miłosierdzie Boże”, bo taką nazwę otrzymała ta placówka, nie było specjalnych funduszy. Trzeba było je zdobywać z różnych źródeł, a jednym z nich były osobiste pieniądze biskupa Domina.

- Dosłownie każdy grosz, jaki dostał z kolędy, wizytacji, czy innych usług kapłańskich, przeznaczal na budowę. Dzwonił do mnie, żebym przyjechał, wyciągał z kopert po sto, dwieście zł i dawał mi, żebym kupił jakiś drut czy drewno, żeby tylko budowa posuwała się naprzód. To było oczko w jego głowie. Bywało, że dwa, trzy razy w tygodniu wpadał do Borowej Wsi, nierzadko z jakimiś gośćmi z zagranicy, pokazywał im postępy w pracy i zachęcał, żeby dołożyli do tego dzieła po parę dolarów albo marek. I dzieło rzeczywiście posuwała się naprzód, także dzięki wielkiej liczbie osób z bliższej i dalszej okolicy, które bardzo chętnie przychodziły do pomocy przy budowie - kontynuuje swą opowieść ks. Bąk.

Komuś, kto pamięta jeszcze realia tamtych czasów, wyda się to trudne do uwierzenia, ale takie są fakty: 1 listopada 1990 r. do ośrodka wprowadzili się pierwsi pensjonariusze, a ks. Bąk został jego dyrektorem z misją dalszej rozbudowy placówki. W kolejnych latach skromny na początku ośrodek



Ośrodek Caritas w Borowej Wsi. Bp Domin wśród pensjonariuszy



Spotkanie w domu samotnej matki, 1993 r.

przekształcił się w wielki kompleks socjalno-rehabilitacyjno-szkoleniowy dla niepełnosprawnych dzieci i młodzieży. Mieszka tu stale ok. 200 osób, kolejnych 300 przyjeżdża na rehabilitację i różnego rodzaju zajęcia terapeutyczne. Na terenie ośrodka jest też zakład pracy chronionej zatrudniający ok. 50 osób i zakład aktywności zawodowej, gdzie w gospodarstwie rolnym pracuje ok. 30 osób o dużym stopniu niepełnosprawności. Podopieczni ośrodka kończą szkoły średnie, często studia, usamodzielniają się. Wielu jest też zatrudnianych w samym ośrodku jako wychowawcy, terapeuci, pracownicy administracji, recepcji, centrali telefonicznej itp.

Pełnia praw dla Kościoła

Uruchomienie ośrodka zbiegło się z innymi ważnymi wydarzeniami. 10 października 1990 r. Konferencja Episkopatu Polski powołała Caritas Polską jako kościelną instytucję charytatywną o zasięgu ogólnokrajowym, a jej pierwszym dyrektorem został ks. biskup Czesław Domin. Zaraz potem zostało powołanych 19 diecezjalnych instytucji Caritas. Nareszcie, po czterdziestu latach, Kościół odzyskał pełnię tożsamości odebranej mu przez komunistyczne władze PRL. A stało się to na mocy tzw. ustaw majowych. Kolejne ustępstwa rządu czynione w latach 80. pod presją straszliwego kryzysu gospodarczego, któremu właśnie Kościół potrafił sprawnie zaradzić, miały swój satysfakcjonujący finał właśnie w maju 1989 r. 26 i 27 kwietnia tego roku na posiedzeniach Sejmu premier Mieczysław Rakowski wniósł pod obrady posłów projekty ustaw, regulujących stan prawny Kościoła w Polsce. 17 maja 1989 r. zostały przyjęte trzy ustawy: o stosunku Państwa do Kościoła Katolickiego w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, o wolności sumienia i wyznania oraz o ubezpieczeniu społecznym duchownych²³. Ustawa pierwsza m.in. bardzo szczegółowo określała, jakie instytucje kościelne są osobami prawnymi, poczynając od Konferencji Episkopatu Polski, a na różnych kościelnych placówkach użyteczności publicznej kończąc. Cel tak ważny dla całego Kościoła katolickiego został osiągnięty. Caritas Polska miała odzyskać to wszystko, co zostało jej zabrane w 1950 r. Niewykluczone, że biskup Domin skakał wtedy pod niebiosa z radości, może skomponował jakiś hymn dziękczynny (swoją drogą warto by się też kiedyś przyjrzeć muzycznej twórczości tego niezwykłego duszpasterza, bo jest on autorem wielu pieśni kościelnych. Pisał teksty i muzykę, grał na wielu instrumentach i pięknie śpiewał). Na pewno jednak wiadomo, że objął patronatem wielki koncert charytatywny pt. „Gwiazda Nadziei”, który odbył się w katowickim „Spodku”. Wzięli w nim udział polscy i szwedzcy artyści i także osobiście biskup Domin. Natomiast uzyskane z koncertu pieniądze, ok. 20 tys. dolarów, przeznaczył na powstające właśnie ośrodki rehabilitacyjne dla dzieci niepełnosprawnych.

Początek lat 90. to równocześnie początek III Rzeczypospolitej, początek wielkich przemian polityczno-gospodarczych, bolesnych dla wielu obywateli reform, a także nowej fali biedy, związanej z bezrobociem. Biskup Domin rzucił się w ten wir przemian z tą samą energią, jak to czynił w poprzedniej dekadzie, ale również z uwzględnieniem nowych realiów. Polska była wolna i demokratyczna, ale gospodarczo bardzo zapóźniona. Pojawiły się nowe obszary biedy, a z zagranicy nie przychodziły już transporty z darami, choć zaczęły się pojawiać zupełnie nowe formy pomocy gospodarczej dla naszego kraju. Po to, by pomóc ludziom, często w skrajnej nędzy trzeba było sięgnąć do tej samopomocy, o której biskup Domin wielokrotnie mówił wcześniej. Jego zdaniem, to właśnie na parafiach, na zespołach charytatywnych powi-

nien spocząć obowiązek rozeznania lokalnych potrzeb i organizowania podstawowej pomocy dla potrzebujących. Zachęcał do organizowania zbiórek dla biednych, organizowania kuchni polowych, ochronek, kolonii letnich dla dzieci z ubogich rodzin, itp. i nawoływał kapłanów, aby swoim stylem życia nie wywyższali się ponad swoich parafian. Sam żył - jak wspominają świadkowie - niemal w ubóstwie, choć przez jego ręce przechodziły ogromne sumy pieniędzy. W tym czasie, gdy wybuchł konflikt zbrojny na Bałkanach, zaangażował się też mocno w pomoc dla Chorwacji.

Jesienią 1991 r. został powołany przez papieża Jana Pawła II na członka Nadzwyczajnego Synodu Biskupów Europy, który miał określić zadania Kościoła w nowej sytuacji społeczno-politycznej Europy po upadku komunizmu. Wzbudził duże zainteresowanie swoim wystąpieniem o integracji Europy poprzez działania charytatywne. Krótco potem, 1 lutego 1992 r. papież mianował biskupa Domina ordynariuszem diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej w związku z przejściem jego poprzednika, biskupa Ignacego Jeża, na emeryturę. 23 lutego 1992 r. odbył się uroczysty ingres nowego ordynariusza do katedry w Koszalinie.

Ordynariusz w Koszalinie

Dane mu było zarządzać nową diecezją zaledwie cztery lata, ale dokonał w tym czasie tak wiele, że do dziś jest wspominany na Pomorzu z wdzięcznością, a jego dzieła nadal są żywe i rozwijają się, bo zostawił po sobie godnych następców. Swoją misję duszpasterską rozpoczął od zapoznawania się z rozległą diecezją, z sytuacją mieszkańców. Podczas wizytacji odwiedzał rodziny wielodzietne, ludzi niepełnosprawnych, chorych. Opierając się o struktury Caritas, które utworzył już biskup Jeż, zabiegał o to, by potrzebujący otrzymali niezbędną opiekę i wsparcie materialne, ale od razu przystąpił też do budowy różnych placówek charytatywnych. Kiedy w 1992 r. radzieccy żołnierze i ich rodziny opuścili koszary i osiedle wojskowe w Kołobrzegu-Podczelu, położone w lesie około pół kilometra od morza, poczynił starania o jeden z budynków, w którym wcześniej był szpital. Po gruntownym remoncie i adaptacji pomieszczeń powstał tam ośrodek charytatywny, do którego przyjeżdżały dzieci z biednych czy dysfunkcyjnych rodzin. Ośrodek p.w. św. Michała Archanioła przyjmował ok. 5 tys. dzieci rocznie, a biskup Domin był tam bardzo częstym gościem, rozmawiał z dziećmi, grał na gitarze, śpiewał z nimi piosenki i pomagał w rozwiązywaniu ich problemów. Po śmierci biskupa Domina ówczesny dyrektor ośrodka, ks. Wacław Grądalski wystąpił z inicjatywą, aby nadać mu imię założyciela. W rok później utworzono w ośrodku izbę pamięci poświęconą ks. biskupowi Czesławowi Dominowi. Podobny ośrodek p.w. Aniołów Stróżów powstał w samym Kołobrzegu. Podczas wakacji wypoczywa tam ok. 700 dzieci z ubogich rodzin.

Jako ordynariusz diecezji mógł sobie biskup pozwolić na wprowadzanie całkiem niekonwencjonalnych pomysłów, które też okazały się strzałami w dziesiątkę. Jednym z nich była pierwsza w Polsce Bursa Katolicka p.w. św. Stanisława Kostki dla chłopców w Szczecinku. Biskup Domin szybko zorientował się, że na terenie rozległej diecezji bardzo szwankuje komunikacja i młodzież ma ogromne kłopoty z dojazdem do szkół, a wielu rodziców nie stać po prostu na wynajęcie stacji czy opłacanie internatu. Postanowił więc zaadaptować jeden z budynków parafialno-katechetycznych w mieście (bo lekcje religii zostały przeniesione do szkół) na internat dla zdolnych chłopców z biednych rodzin. Pierwszych sześciu wychowanków przyjęto w 1993 r., równocześnie remontując pomieszczenia i rozbudowując obiekt, z którego po dziś dzień korzysta ok. 20 osób.

Kolejnym nietuzinkowym pomysłem był program pn. „Koza żywicielka”. Widząc jak wielką biedę cierpią rodziny wiejskie po likwidacji PGR-ów, postanowił obdarować najbardziej potrzebujących... kozami. To niewielkie zwierzę jest niezwykle pożyteczne, bo zje byle co, latem wystarczy mu trawa, zimą obierki z ziemniaków i siano, a daje bardzo zdrowe mleko. W latach dzieciństwa księdza biskupa na Śląsku też hodowano dużo kóz. W 1994 roku biskup sprowadził więc z Holandii 100 tych zwierząt, ale chętnych było dużo więcej, więc trzeba było powołać specjalną komisję, która zajęła się ich rozprowadzeniem, żeby było sprawiedliwie. W następnym roku sprowadzono kolejną partię kóz, a potomstwem tych, które trafiły do gospodarstw wiejskich wcześniej, też obdarowano kolejne rodziny. Akcja została mocno nagłośniona w mediach i zyskała wielu naśladowców, także w innych regionach Polski. Biskup Domin poszedł jednak jeszcze dalej. Na leżących ugiorem popegeerowskich polach niedaleko Koszalina (oczywiście uzyskując odpowiedni tytuł prawny) założył gospodarstwo rolne Caritas Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeszkiej pn. nazwą Carol (skrót od słów Caritas i Rolnicza), gdzie znalazło zatrudnienie wielu byłych pracowników PGR. Gospodarstwo szybko zaczęło przynosić wymierne dochody, w przeciwieństwie do zlikwidowanych PGR-ów.

Ostatnie przesłanie

Wymieniłam tu tylko te najbardziej spektakularne przykłady działalności charytatywnej ordynariusza koszalińsko-kołobrzeszkiego. Kto wie, czym jeszcze zadziwiłby świat, gdyby nie dopadła go ciężka choroba, która ujawniła się w połowie 1995 r. Leczył się intensywnie i pracował niemal do końca swoich dni, ale nowotwór był wyjątkowo złośliwy. Szlachetny biskup zmarł 15 marca 1996 r. w Klinice Onkologicznej w Warszawie. W testamencie napisał m.in.: „Uczestników pogrzebu proszę, by

zamiast kwiatów i wieńców złożyli ich równowartość na budowę dzieł charytatywnych. [...] Pieniądze i wszystkie inne przedmioty w moim mieszkaniu, biurze itd. mają być wykorzystane na cele diecezjalne, zwłaszcza charytatywne²⁴.”

Pogrzeb biskupa Domina 21 marca 1996 r. zgromadził tłumy, nie tylko dostojników Kościoła pod przewodnictwem prymasa kard. Józefa Glempa, ale zwyczajnych ludzi, którzy przyjechali z całej diecezji, aby pożegnać swojego dobroczyńcę. „Nikt nie ma wątpliwości, że przy tej trumnie winny zabrzmieć słowa Chrystusa z 25 rozdziału Ewangelii wg św. Mateusza²⁵. Posługa biskupa Czesława, trwająca długich 26 lat jest niezwykłym żywym komentarzem słów Pana Jezusa. Wasz pasterz niemal dosłownie karmił głodnych i spragnionych, przyodziewał nagich i leczył chorych. [...] Jego całkowite oddanie i poświęcenie zmieniło świadomość wielu ludzi nieraz żyjących z dala od wspólnoty Kościoła” – tak mówił do zgromadzonych ks. arcybiskup katowicki Damian Zimoń. A papież Jan Paweł II w telegramie kondolencyjnym pisał m.in. o zmarłym: „[...] Kochał człowieka, autentycznie troszczył się o jego potrzeby. Stał blisko ludzkich spraw i starał się je rozumieć. Dziękuję Mu dzisiaj za przykład jaki dał swoim życiem²⁶.”

Pamięć o niezwykłym biskupie nie zatarła się przez lata, jakie minęły od jego śmierci. Wręcz przeciwnie, jakby w miarę upływu czasu nabierała znaczenia. Wiele dzieł, które dzięki niemu powstały, funkcjonuje nadal. Niektóre zmieniły profil albo właściciela. W diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej w dwa lata po śmierci biskupa Domina powstała Fundacja Charytatywna jego imienia, która za cel stawia sobie szeroko pojętą pomoc bliźniemu i podtrzymuje pamięć o patronie.

Patrząc na opisaną wyżej bardzo skrótowo działalność biskupa Domina, trudno nie zadać sobie pytania: jak to możliwe, że jeden człowiek potrafił w ciągu jednego, wcale nie najdłuższego życia (niespełna 67 lat) dokonać tak wiele. Prawda, nie pracował sam. Zawsze miał wokół siebie grupę ludzi, którzy mu pomagali, kilkunastoosobową Komisję Charytatywną, kilkuosobowy sztab oddanych pracowników administracyjnych w Centrali KCEP w Katowicach, niezastąpionego ks. Mariana Malchera, diecezjalnego dyrektora charytatywnego i innych księży kurialistów, wreszcie całą armię pracowników charytatywnych we wszystkich diecezjach i parafiach. Ale jak to zrobić, żeby ta gigantyczna machina obracała się równomiernie, bez zgrzytów, pod kierunkiem jednego człowieka?

- Zawsze tylko jeden człowiek jest maszynistą, a zespół mu pomaga. Tylko taki zespół działa sprawnie, który ma dobrego lidera. A biskup Domin był wyśmienitym liderem. Umiał zgromadzić wokół siebie dużą grupę osób i zaraził ich swoją dobrocią i miłością – tłumaczy ks. dr Krzysztof Bąk.

A cytowany tu już ks. dr hab. Adam Rybicki w swojej książce, a wcześniej w swojej pracy doktorskiej, przekonująco udowadnia, że w przypadku biskupa Domina, „który nie był teologiem zajmującym się intelektualnym pogłębianiem prawd wiary i problemów z zakresu teologii i duchowości [...], ale „praktykiem i duszpasterzem” właśnie czyny miłosierdzia stały się „źródłem i szczytem życia duchowego”²⁷.” Poprzez te czyny szlachetny biskup, rodem z Michałkowic, dążył do chrześcijańskiej doskonałości. Toteż dość często słyszy się głosy, nie tylko z ust jego przyjaciół i ludzi wiele mu zawdzięczających, ale także utytułowanych teologów, że istnieją mocne podstawy, aby podjąć starania o wszczęcie procesu beatyfikacyjnego niezwykłego biskupa.

W tym miejscu pragnę podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tego artykułu, przywołując w rozmowach ze mną swoje osobiste wspomnienia związane z biskupem Czesławem Dominem: zwłaszcza ks. infułatowi dr. Rudolfowi Bromowi i ks. dr. Krzysztofowi Bąkowi a także osobom, które chciały pozostać anonimowe. Szczególnie dziękuję ks. dr. Wacławowi Grądalskiemu oraz pani Marii Szypszak z kołobrzesckiej Fundacji Charytatywnej im. Biskupa Czesława Domina za informacje dotyczące działalności biskupa na terenie diecezji koszalińsko-kołobrzesckiej, a zwłaszcza za udostępnienie jego zdjęć, będących w posiadaniu fundacji.

PRZYPISY:

1 Rada Miasta w Siemianowicach Śląskich 14 kwietnia 1994 r. podjęła uchwałę o nadaniu ks. biskupowi Czesławowi Dominowi tytułu Honorowego Obywatela Miasta Siemianowic Śląskich - jak czytamy w uzasadnieniu - „w dowód uznania za trudną i pełną zaangażowania służbę jako przewodniczącego Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski na rzecz społeczeństwa i Kościoła oraz niezmierną szlachetność i dobroć”. Ks. biskup osobiście uczestniczył w uroczystości nadania, która odbyła się 19 maja 1994 r.

2 Biskup Czesław Domin otrzymał przepustkę nr 87 wydaną przez Urząd do spraw Wyznań w porozumieniu z ministrem spraw wewnętrznych 18 stycznia 1982 r. Uprawniała ona przewodniczącego KCEP do poruszania się na terenie PRL bez ograniczeń w czasie godzin milicyjnych

3 Ks. bp Wiktor Skworc, (wówczas biskup tarnowski), Wspomnienie: Człowiek modlitwy, czynu i miłości, Caritas, nr 1 /1999 r. str. 5-6

4 Ks. Czesław Domin rozpoczął swą posługę kapłańską w 1953 r., a więc w okresie niezwykle trudnym dla Kościoła katolickiego. Diecezją katowicką (po wygnaniu w 1952 r. przez władze komunistyczne prawowitych biskupów śląskich: Stanisława Adamskiego, Juliusza Bienka i Herberta Bednorza), zarządzał wikariusz kapitulny ks. Filip Bednorz, a po jego śmierci w 1954 r. ks. Jan Piskorz, obaj narzućeni przez władze PRL-owskie. Kanoniczni biskupi wrócili na stałe do diecezji dopiero 5 listopada 1956 r. źródło: A. Grajewski, Wygnanie, Katowice 1995.

5 Píše o tym Gabriela Kreihs w swojej książce pt. Dobro ukryte w archiwach, Katowice 2004, w oparciu o akta personalne ks. biskupa Domina w aktach Archiwum Kurii Archidiecezjalnej w Katowicach, str. 37

6 W PRL mianowany przez biskupa proboszcz nie mógł objąć swego stanowiska bez zgody Wydziału ds. Wyznań Wojewódzkiej Rady Narodowej.

7 Ks. S. Sierla, Życie darowane mi po raz drugi, Świbie 2004 r., str. 103

8 Ks. J. Majka, Diecezjalne związki „Caritas” na terenie PRL w latach 1945-1950, „Wiadomości Charytatywne” nr 4/1988

9 W skład KCEP w jej pierwszej kadencji oprócz ks. bp-a Domina - przewodniczącego, wchodziło jeszcze 4 biskupów - bp Julian Groblicki - zastępca przewodniczącego, bp Jan Kulik - ogólnopolski duszpasterz chorych, bp Jan Mazur i bp Józef Kurpas, 4 kapłanów - ks. prałat Karol Dłopolski - sekretarz komisji, ks. dr Jan Białobok - z-ca sekretarza, ks. prałat Adam Pawłowski i ks. dr Józef Wojciechowski, 2 zakonników - o. Bruno Pawłowicz - ogólnopolski duszpasterz niewidomych i o. Michał Mroczkowski, 2 siostry zakonne - s. Akwina Filipowicz i s. Aniela Prendowska oraz 2 osoby świeckie -p. Jadwiga Świerczewska i p. Aniela Lossow. W kolejnej kadencji od 1984 roku w składzie komisji zaszły tylko niewielkie zmiany: zmarłego ks. K. Dłopolskiego zastąpił na stanowisku sekretarza ks. dr Zdzisław Sawiński, doszły też nowe osoby. Każdy z członków komisji miał określony zakres spraw, którymi się zajmował, szczególną jednak rolę pełnili sekretarze KCEP ks. K. Dłopolski, potem ks. Z. Sawiński; źródło G. Kreihs, dz. cyt., str. 47

10 S. Siwek, Pomoc. Rozmowa z ks. biskupem Cz. Dominem, „Znaki Czasu” R. 1987, nr 8/4 str. 10

11 Program PHARE (skrót od nazwy Poland and Hungary Assistance for Reconstructing of their Economics) został utworzony w 1989 r. w celu wsparcia przemian ustrojowych i gospodarczych w Polsce i na Węgrzech. Potem program został rozszerzony na inne kraje Europy Środkowo-Wschodniej, a w 1997 r. przekształcono go w instrument pomocy przedakcesyjnej dla krajów ubiegających się o członkostwo w Unii Europejskiej. W latach 1990 - 2003 Polska otrzymała z Programu PHARE ok. 3,9 mld euro bezzwrotnej pomocy finansowej, najwięcej spośród państw kandydujących do UE.

12 Zestawienie zamieszczone w: G. Kreihs, dz. cyt. str. 85 - 86

13 Tamże, str. 87 - 89

14 Dziennik Ustaw PRL z 1982 r. Nr 35, poz. 233

15 Ks. A. Rybicki, Duchowy wymiar działalności charytatywnej w życiu i myśli biskupa Czesława Domina (1929-1996) w: Roczniki Teologiczne, Tom XLIX, zeszyt 5/2002, str. 192

16 Tamże, str. 191

17 Tamże, str. 191

18 Tamże, str. 193

19 Tamże, str. 194

20 Ks. bp Czesław Domin, Powołanie i zadania parafialnego zespołu Charytatywnego w: „Wiadomości Charytatywne” nr 1-2/1988 str. 23

21 S. Siwek, dz. cyt. str. 17

22 G. Kreihs, dz. cyt. str. 103

23 Dz. U. PRL z 1989 r. Nr 29, poz. 154-156

24 Rozmówiony w miłosierdziu. Wspomnienia o księdzu biskupie Czesławie Dominie 1929 - 1996 Opracowanie ks. Wacław Grądalski, str. 272

25 Odniesienie do słów Chrystusa: „Pójdźcie, błogosławieni Ojca mego, weźcie w posiadanie królestwo przygotowane wam od założenie świata! Bo byłem głodny, a daliście mi jeść; byłem spragniony, a daliście Mi pić; byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie; byłem nagi, a przyodzialiście Mnie; byłem chory, a odwiedziliście Mnie; byłem w więzieniu, a przyszliście do Mnie. Wówczas zapytają sprawiedliwi: „Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym i nakarmiliśmy Ciebie? spragnionym i daliśmy Ci pić? Kiedy widzieliśmy Cię przybyszem i przyjęliśmy Cię? lub nagim i przyodzialiśmy Cię? Kiedy widzieliśmy Cię chorym lub w więzieniu i przyszliśmy do Ciebie? A Król im odpowie: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych Mnieście uczynili”. Ewangelia wg św. Mateusza, Rozdz. XXV w. 34-40. Pismo Święte. Nowy Testament. Tłumaczenie Tysiąclecia

26 G. Kreihs, dz. cyt. str. 46

27 Ks. A. Rybicki, Duchowy wymiar działalności charytatywnej [...] str. 198

BIBLIOGRAFIA :

Kreihls Gabriela, *Dobro ukryte w archiwach. Akcja dobroczynna Kościoła Katolickiego w czasie kryzysu gospodarczego i politycznego w Polsce lat 1981-1990*, Księgarnia św. Jacka, Katowice 2004

Sierla Stanisław, ks., *Życie darowane mi po raz drugi*, Świbie 2004 r., str. 103

Rybicki Adam, ks., *Zaufajcie miłosierdziu! Biskup Czesław Domin (1929-1996)*, Księgarnia św. Jacka, Katowice 2002

Rybicki A. *Duchowy wymiar działalności charytatywnej w życiu i myśli biskupa Czesława Domina (1929-1996)* w: *Roczniki Teologiczne*, Tom XLIX, zeszyt 5/2002

Rozmówiony w miłosierdziu. Wspomnienia o księdzu biskupie Czesławie Dominie 1929-1996, Opracowanie ks. Wacław Grądalski, Wydawnictwo Diecezji Pelplińskiej „Bernardinum”, Pelplin 2000

Wiktor Skworc, ks. bp, *Wspomnienie: Człowiek modlitwy, czynu i miłości*, Caritas, nr 1 1999 r. str. 5-6

Siwiek Sławomir, *Pomoc. Rozmowa z ks. biskupem Cz. Dominem*, „Znaki Czasu” R. 1987, nr 8/4

Domin Czesław, ks. bp, *Informacje dla ofiarodawców przysyłających żywność do Polski za pośrednictwem kościelnej akcji charytatywnej (według sytuacji z marca 1981 r.)*, w: „Wiadomości Charytatywne” nr 50/1981

Domin Cz. *Powołanie i zadania Parafialnego Zespołu Charytatywnego* w: „Wiadomości Charytatywne” 1988 nr 1-2

Domin Cz, *Doświadczenia Komisji Charytatywnej Episkopatu w latach 1980-1987 przygotowanie do wznowienia działalności kościelnej „Caritas” w Polsce* w: „Wiadomości Charytatywne” nr 4/1988

Instrukcja Konferencji Episkopatu Polski o pracy charytatywnej w parafiach w: „Wiadomości Charytatywne” nr 1-2/1988

Majka Józef ks., *Diecezjalne związki „Caritas” na terenie PRL w latach 1945-1950*, „Wiadomości Charytatywne” nr 4/1988

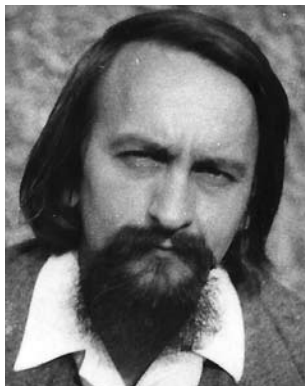
Sawiński Zdzisław, ks. *Środki materialne na realizację działalności charytatywnej Kościoła w Polsce*, w: „Wiadomości Charytatywne” nr 4/1988

MIROŚLAW JAN KICIŃSKI (1943-2004) CZŁOWIEK – ARTYSTA I JEGO CZASY

Wstęp

Mirosław Kiciński urodził się po to, by zostać artystą, od początku wierzył, że przez całe życie będzie malował i rzeźbił, tworzył wnikliwe i niepowtarzalne dzieła, które przedstawią rzeczywistość nieznaną wcześniej innym artystom i pokażą nowy sposób postrzegania świata poprzez bryłę rzeźby, światło, kolor, cień, fakturę w zmiennych porach dnia. Malował i rzeźbił od dziecka. Był cierpliwym, łagodnym i grzecznym synem ale twardym jak skała gdy chodziło o marzenia. Uparcie trzymał się zasady, że artyści nie są w stanie zniszczyć bieda i niedostatek gdy ma silną wolę by tworzyć. Także do jego życia można odnieść słowa Tadeusza Makowskiego¹: „Artyści są jak wędrownie ptaki, którym życie podcina skrzydła, gdzie los zdarzy”². Jednak wszelkie przeciwności pokonywał dzięki niewzruszonemu „uporowi byka”. Długo błąkał się krętymi ścieżkami, zanim napotkał drogę, gdzie na jej końcu czekał go jako taki dostatek. Jako mistrz o niezaprzeczalnej pozycji dawał przykład skromnego życia i nie nudził skargami na ciernie, które go raniły, nie wspominał dni, kiedy kładł się spać z pustym żołądkiem. Od początku miał świadomość, iż artystą nie zostaje się w jeden dzień.

Jego prawdziwymi mistrzami byli August Rodin i August Zamoyski, a także Bertel Thorvaldsen³ i jego uczeń Jakub Tatarkiewicz⁴ oraz przyroda. Bardzo dobrze znał i podziwiał dzieła przedstawicieli szkoły włoskiej: Donatella⁵, Lorenzo Ghibertiego⁶, Filippo Brunelleschiego⁷, Michała Anioła⁸, Benvenuto Celliniego⁹, Antonio Canovy¹⁰ a ze współczesnych Alberto Giacomettiego¹¹. Fa-



M. Kiciński, lata 80.



Alberto Giacometti



Chrystus Ukrzyżowany. Fragment Drogi Krzyżowej. M. Kiciński. Kościół Parafialny pw. Ducha Świętego w Bytkowie

i wiary”¹². Artysta, jak słusznie zauważył ks. Henryk Pyka, „zwracając się w kierunku sztuki sakralnej zrozumiał, że jego realizacje muszą być czymś więcej niż »zwierciadłem życia« i projekcją naszych tęsknot”¹³.

M. Kiciński był przekonany, że bohaterowie czasów biblijnych byli ludźmi tak samo jak my; zmarszczki, brodawki, grymasy znano we wszystkich czasach, i można stworzyć dzieło sztuki nie kryjąc żadnej z naszych ułomności. W swoich pracach gloryfikował cnotę wieczną, miłosierdzie i człowieka. Nie interesowały go dziwactwa w sztuce, uważał bowiem, że to co normalne, jest dość cudowne. Nie aspirował do dzieł, które miały przede wszystkim denerwować i prowokować. Podzielał opinię Balthusa¹⁴, iż „W dziedzinie historii sztuki idiotów nigdy nie brakowało, chociaż nie było ich tylu co dziś”¹⁵.

Żył w czasach buntu społecznego, obywatelskiego i moralnego przeciw zniewoleniu, który w przypadku twórcy trudno oddzielić od jego buntu artystycznego. Jednak gdy brał dłuto do ręki, bunt artystyczny górował nad wszelkim innym. Kim był i dokąd zmierzał w swym twórczym pędzie zmarły przedwcześnie Mirosław Kiciński?

Dom i rodzina

Mirosław Kiciński urodził się 1 I 1943 roku w Konradowie w Ziemi Częstochowskiej, dawnym zaborze rosyjskim, jako syn górnik, kolejno zatrudnianego w kopalniach rud żelaza: „Paweł”¹⁶, „Jerzy” i „Dźbów”¹⁷. Przyszedł na świat w rodzinie wielodzietnej. Anna Jarecka (1909-1987)¹⁸, córka Włodzimierza i Marii Skwarczyńskiej z Kluczy, urodziła Feliksowi Ki-

cińskiemu (1902-1978) czterech synów: Feliksa, Juliana, Zygmunta i trzy córki Marię, Stefanię i Zuzannę. Mirosław był ich szóstym dzieckiem. W domu rodzinnym M. Kicińskiego mimo biedy i ubóstwa materialnego panował duch polskiego patriotyzmu. Ojciec uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej i służbę



Rodzice artysty

zakończył w stopniu kaprała. Z tamtych dni wyniósł szacunek dla polskiego munduru i tradycji wojskowych, szczególną atencją obdarzając osobę Naczelnika Państwa, a później I Marszałka Józefa Piłsudskiego. Gdy dotrzymał on danego słowa, gdy zwracał się do podkomendnych mówiąc: „Chciałem by Polska, która tak gruntownie po 1863 roku o mieczu zapomniała, widziała go błyszczącym w powietrzu w rękach swych żołnierzy”¹⁹. Stąd także atencja F. Kicińskiego dla maciejówki i szarej burki komendanta, który gdy wyprowadzał swoich chłopców w bój musiał zmagać się z widmem „żołnierza bez Ojczyzny”²⁰.

Nazwisko Kicińskich pojawia się jednak dużo wcześniej w kręgu zaangażowanych w ruch socjalistyczny i narodowo-wyzwoleńczy. Jednym z wyróżniających się swą aktywnością działaczy ruchu socjalistycznego w Krakowie był Jan Kiciński (1851 - zmarły przed 1933) student Szkoły Sztuk Pięknych. Na przełomie 1878/1879 r. należał on do grona bliskich współpracowników twórcy I Proletariatu w czasie jego kilkumiesięcznej działalności w dawnej stolicy Polski, a w 1880 r. stanął przed sądem w Krakowie, jako jeden z oskarżonych w głośnym procesie Ludwika Waryńskiego²¹ i 34 innych działaczy socjalistycznych. Jan Kiciński był nie tylko czynnym działaczem kółek samokształceniowych studentów SSP ale i jednym z najaktywniejszych agitatorów, organizatorem kółek rewolucyjnych i kolporterem wydawnictw socjalistycznych. Po zakończeniu procesu przeniósł się do Lwowa i żywą współpracę utrzymywał z Polską Partią Socjalistyczną będąc członkiem Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska Cieszyńskiego (PPSD). Ostatecznie Jan Kiciński, artysta malarz,



Feliks Kiciński – ojciec rzeźbiarza



Rodzina artysty w strojach regionalnych

przyjaciół Jacka Malczewskiego²² trafił pod sztandary Józefa Piłsudskiego. W czerwcu 1908 roku we Lwowie uczestniczył w zebraniu założycielskim nowej organizacji, której nadano nazwę Związek Walki Czynnej. Wzięli w nim udział między innymi: Kazimierz Sosnkowski²³, Józef Piłsudski²⁴, Marian Kukiel²⁵ i bracia Mieczysław²⁶ i Stefan²⁷ Dąbkowscy. Regulamin ZWC określał, iż celem organizacji było poza granicami Rosji prowadzenie przygotowań do przyszłego powstania zbrojnego w zaborze rosyjskim, którego zwycięstwo oznaczało proklamowanie niepodległej republiki demokratycznej²⁸. W gronie tym oprócz Jana Kicińskiego znalazł się także student Akademii Sztuk Pięknych Edward Rydz²⁹. Tak więc Jan Kiciński zanim w 1914 roku

trafił pod sztandary Legionów Józefa Piłsudskiego, wziął udział w tworzeniu pierwszych zawiązków wojska polskiego.

Pamięć o bohaterach tamtych czasów była fundamentem niepodległości Rzeczypospolitej. Feliks Kiciński mimo przeobrażeń ustrojowych i propagandy komunistycznej do końca swoich dni pozostał piłsudczykiem. Sentyment do tej postaci przekazał swojemu synowi Mirosławowi. Jako kawaler Feliks Kiciński jakiś czas pracował na kolei. W Konradowie osiadł na 3,5 hektarowym gospodarstwie swojej żony Anny z Jareckich Kicińskiej, jednak nie miał wielkiej wiedzy na temat uprawy roli. W tej materii przesadnie żartowano, iż „gdy u sąsiada rosło zboże po szyje, to u Feliksa tylko po pas”. Nie znał się też na inwentarzu żywym. Jak podjął decyzję zakupu konia, to nabył go z demobilu wojskowego. Wierzchowiec ten nie chciał ani ciągnąć pługa, ani dać się zaprząć do wozu, za to pięknie chodził pod wierzch i galopował po okolicznych łąkach. Tak więc domem i zagrodą zajmowała się jego żona z pomocą dzieci, starsi synowie Julian i Zygmunt siali i orali. Ojciec był człowiekiem wymagającym, dbającym zarówno o swój autorytet, jak i wygląd, miał opinię eleganta będąc w tamtych czasach szczęśliwym posiadaczem kilku garniturów i par butów. Ponadto przestrzegał porządku w obejściu i utrzymywał w nienagannym stanie rowy melioracyjne. Na jego polecenie bardzo często zamiatano podwórze, zbierano nawet kurze pióra i odchody oraz dużą dbałością otaczano trawnik, który

w niedzielę był udostępniany turystom z miasta, którzy w drodze do lasu na grzyby zostawiali u Kicińskich rowery.

Mama Mirosława Kicińskiego była kobietą skromną, o wielkim takcie, delikatnej duszy, zawsze starannie ubraną, bardzo pracowitą i zaradną, odgrywającą uświęconą rolę żony i matki. W gruncie rzeczy sama prowadziła całą gospodarkę i czuwała nad potrzebami domu. Poza zajęciami gospodarskimi dużo uwagi i czasu poświęcała dzieciom ucząc ich wierszy i pieśni patriotycznych. Ta ciepła atmosfera delikatnych matczynych uczuć, naiwnej sztuki i poezji, otaczająca w dzieciństwie i młodości M. Kicińskiego w znacznym stopniu przyczyniła się do obrania drogi, jaką poszedł później.

Spokój domu zburzyła wojna. Już 3 IX 1939 r. powiat częstochowski został zajęty przez oddziały niemieckiej 10 armii gen. Walthera von Reichenau³⁰. Niemcy dopuścili się względem ludności cywilnej wielu zbrodni, rozstrzeliwano dla sterroryzowania i złamania ducha oporu. „Gwałty na polskich kobietach podczas kampanii wrześniowej nie były czymś wyjątkowym, lecz okrutną codziennością. Wywoływało to zgorszenie nawet wśród części niemieckich oficerów. Na przykład gen. Johannes von Blaskowitz od października 1939 r. do lutego 1940 r. składał memoriały na ręce głównodowodzącego Walthera von Brauchitscha, w których protestował przeciwko »masowemu gwałtom, rabunkom i mordom« dokonywanym [...] przez żołnierzy Wehrmachtu”³¹. W rezultacie tych raportów 14 V 1940 r. popadł w niełaskę i został odwołany z dowództwa.

W październiku 1939 r. ustalono podział terenów okupowanych na obszary podległe Generalnemu Gubernatorstwu i na ziemie włączone do III Rzeszy. W Gnaszynie przebiegała granica, a sama miejscowość, podobnie jak Konradów, znalazła się w po niemieckiej stronie. Hitlerowcy utworzyli obozy przejściowe dla mieszkańców Gnaszyna i okolicznych wsi. Obozy te mieściły się m. in. w budynku niedaleko rzeźni w Ostrowach i w Gnaszyńskiej Manufakturze. Tutaj żołnierze Wehrmachtu dopuszczali się szeregu okrucieństw i gwałtów. Ciała pomordowanych grzebali współwięźniowie lub okoliczni mieszkańcy. Kilkanaście zwłok złożono w dole śmierci zlokalizowanym w pobliżu gnaszyńskiej szkoły powszechnej



M. Kiciński, rzeźby różne

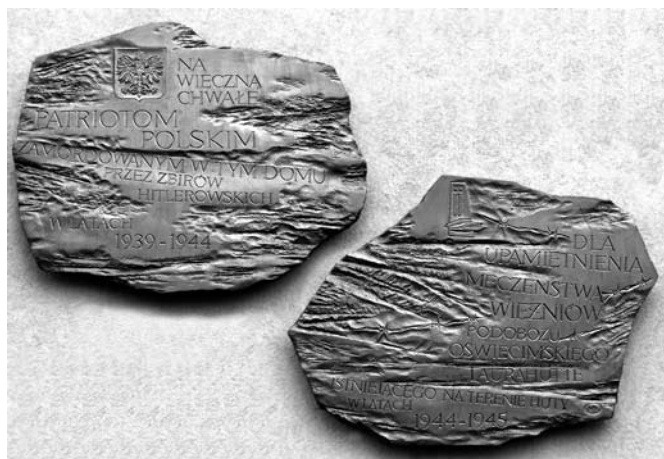


M. Kiciński, *Tryptyk*

nr 11, do której po wojnie uczęszczał na zajęcia M. Kiciński. Zabudowania szkolne zajęli Niemcy, a lekcje odbywały się w ramach tajnego nauczania w domach prywatnych.

Równie straszne rzeczy działy się w pobliskiej, wcielonej z całą gminą Dźbów, Blachowni, która otoczona lasami stała się rejonem działań partyzanckich. Niemcy już w pierwszych dniach okupacji nakazali miejscowej

ludności przystąpienie do pracy. Ponad tysięczna Blachownia stała się miastem powiatowym o nazwie Kreis Blachstadt. Miał tu swą siedzibę Landrat-starosta oraz funkcjonowała ekspozytura tajnej Policji Państwowej Gestapo, później Gehaim Staats Polizei, a także komenda żandarmerii obejmująca 6 rejonów. Miejscowość ta stała się miejscem kaźni i ogniskiem terroru na cały dawny powiat częstochowski. Komendantem był Herman Donau, a szefem miejscowego Gestapo Hans Christiansen, którego bali się nawet Niemcy. Ponadto w Blachowni działał Arbeitsamt, który organizował polowania na ludzi przeznaczonych do wywózki na roboty przymusowe i nie tylko. „Młode Polki były porywane z ulic i wsadzane do burdeli dla wojska. Odurzone narkotykami i alkoholem szybko się »zużywały«. Wtedy wysyłano je do KL Auschwitz”³². W pobliżu huty Blachownia powstał SS Bodenamt, urząd ds. przesiedleńców niemieckich i urząd gminy dla Niemców. Wyrzucano Polaków z ich zagrod i domów, do których wprowadzali się przesiedleńcy z Niemiec. Wydzielono specjalne ścieżki „tylko dla Niemców”. Od 1942 roku do Blachowni przyjeżdżali z Rzeszy zainteresowani zakupem zakładu od państwa. Ostatecznie hutę wraz z kolonią fabryczną, okoliczne grunty, staw, surowce, materiały i wyroby za 650 000 marek nabył niemiecki przemysłowiec. Odtąd zakład funkcjonował pod nazwą Eisenwerke Handler i nastawiony był na produkcję wojenną, m.in. powłok bomb, zaś większość załogi stanowili przymusowi robotnicy - rekrutowani z pośród miejscowych rolników, krawców, szewców, piekarzy, rzeźników oraz dzieci od 14 lat. Praca miała charakter niewolniczy, dzień liczył 11 godzin, a głodowe zarobki obciążono 15% podatkiem. Z powodu niskich płac, za które nie można było utrzymać rodziny, robotnicy polscy zatrudnieni w kopalni



*Kamienie Pamięci.
M. Kiciński.*

Inskrypcje:
 1. NA WIECZNA
 CHWAŁĘ PATRIOTOM
 POLSKIM ZAMOR-
 DOWANYM W DOMU
 PRZEZ ZBIRÓW HITLE-
 ROWSKICH W LATACH
 1939-1944
 2. DLA UPAMIĘTNI-
 ENIA MĘCZENSTWA
 WIEŹNIÓW
 PODOBOYLI
 OSWIECIMSKIEGO
 „LAURAHUTTE” ISTNIE-
 JĄCEGO NA TERENIE
 HUTY W LATACH
 1944-1945

rudy w Gnaszynie rozpoczęli w dniu 17 IV 1940 r. strajk protestacyjny. Feliks Kiciński był z tego strajku wyłączony, gdyż przepompownia musiała działać bez przerwy, aby woda nie zatopiła kopalni. Sytuacja ta uchroniła go przed represjami okupanta. Sześciu przywódców strajku zostało aresztowanych przez żandarmerię z Lublińca. Niemcy przystąpili do krwawej pacyfikacji. O terrorze, jaki stosowali względem ludności świadczą przypadki zabójstw podczas przesłuchań, których dopuszczał się komendant posterunku żandarmerii Hans Trodel.

24 IV 1944 r. około godz. 10.00 przywieziono od strony Blachowni 10 mężczyzn i powieszono ich na oczach ok. 2000 ludzi. Jeden ze skazańców krzyknął w momencie poprzedzającym egzekucję: „Jeszcze Polska nie zginęła” i „Niech żyje Chrystus Król”. Był to ksiądz katolicki. Zwłoki powieszonych, kierujący akcją szef miejscowego gestapo Hans Christiansen, kazał załadować na samochód, który odjechał w kierunku Blachowni.

Był to szczególnie trudny okres także dla rodziny Kicińskich. Mirek miał wtedy roczek. Brakowało wówczas większości artykułów pierwszej potrzeby, a także poczucia bezpieczeństwa. Gdy ojciec, wbrew zakazowi pod karą śmierci, mełł zboże na żarnach, syn Julian pilnował czy w obejściu nie pojawił się ktoś obcy. Anna Kicińska aby pomóc mężowi w utrzymaniu licznej rodziny podjęła się niebezpiecznego zajęcia, jakim był czarnorynkowy handel materiałami tekstylnymi przez strzeżoną w Gnaszynie granicę Generalnej Guberni. O jej nowym zajęciu poinformował Niemców jeden z sąsiadów, który był ich stałym informatorem. Przed wywózką do obozu w KL Auschwitz lub plutonem egzekucyjnym, uratowała Kicińskich właścicielka miejscowego sklepu, u której zatrzymali się żandarmi. Dowiedziawszy się jaki jest cel ich wizyty w Konradowie posłała z ostrzeżeniem swojego małego syna. W ostatniej



Krucyfiks. M. Kiciński

chwili Anna Kicińska zdążyła wynieść materiały z domu i ukryć w polu pod plewionymi chwastami. Niemieccy żandarmi mimo usilnych starań przeszukawszy dom, obejście i pole musieli pozostawić Kicińskich w spokoju. Za to sąsiad kontynuował swój donosielski proceder także w okresie rządów władz komunistycznych.

Dom Kicińskich położony w pobliżu granicy oddzielającej Generalną Gubernię od III Rzeszy oraz na przedpolu dużego kompleksu leśnego był także obiektem zainteresowań ruchu oporu. W ich stodole często nocowali żołnierze Armii Krajowej, nierzadko około 40 mężczyzn. Starszy z braci Julian nosił im w wiadrze gorącą kawę. Podczas jednego z postojów partyzanci zabrali im krowę, w pobliskim lesie znaleźli jej łeb z rogami. Z początkiem 1945 roku po raz pierwszy od lasu pojawili się Rosjanie, szukali jedzenia, kobiet i „Germańców”. Przyprawdzili ze sobą niemieckiego żołnierza, którego zastrzelili. Dom przeszukali od piwnic po strych, a następnie wyrzucili z niego gospodarzy. Po takich wizytach Kicińskim w łóżkach pozostawały jedynie wszy, w pościeli odór brudnych ciał, dziegciu, machorki, w powietrzu swąd podłej gorzałki i wspomnienie o czynach ponurych i ohydnych wojaków – gwałtach, rozstrzelaniach, wieszaniach, pożarach i rabunkach, o wszystkim co Francisco Goya utrwalił na papierze, w całej ich mrocznej okropności, złe sny pełne odrażających okaleczeń i nieznanych okrucieństw. Ponadto musieli się zmagać ze strachem i głodem. Odtąd dość często gościli na przemian partyzantów i Rosjan. Były to formacje tyłowe mające czas na rabunek i gwałty. Wpadali na podwórze, groźnie wyglądający, jacyś szarzy, brudni, o mongolskich rysach, dzicy, o wrogich, ciemnych i złych twarzach, niechlujnie umundurowani, z karabinami na sznurku, nierzadko uzbrojeni w szable. Wreszcie pojawiło się NKWD³³, którego lękano się jeszcze bardziej, jak niemieckiego gestapo. Tych pochłaniała chęć wyłapania wszystkich żołnierzy Armii Krajowej i sympatyków polskiego rządu na uchodźstwie w Londynie oraz przeciwników komunistycznego PKWN. O funkcjonariuszach NKWD sowieccy żołnierze mawiali, iż „Rosjanie ich nie cierpią, a Polacy się boją. I obie strony mają rację!”. Ci sami jednak żołnierze korzystali z każdej nadarzającej się okazji do gra-

bieży. W drodze z pracy patrol radziecki wymusił na Feliksie Kicińskim zamianę pamiątkowego zegarka z dewizką na rower, który musiał oddać innym sowietom czekającym na upatrzoną ofiarę za rogiem najbliższego domu.

W okolicy robiło się coraz niebezpieczniej. Pojawiły się oprócz NKWD oddziały Urzędu Bezpieczeństwa i KBW, których głównym celem była likwidacja członków podziemia niepodległościowego, byłych żołnierzy Armii Krajowej, którzy przez cały okres wojny chronili miejscową ludność i korzystali z jej pomocy. Takim oparciem dla polskich partyzantów był również położony na kraju lasu dom Kicińskich. Tymczasem w nowej rzeczywistości politycznej aresztowaniami objęto nawet

ludzi sympatyzujących z AK i rządem emigracyjnym. O rozmiarze represji świadczą liczby podane przez Marię Turlejską: 8668 konspiratorów poległych w walce i 79 tys. aresztowanych za pracę na rzecz podziemia oraz ponad 5000 wyroków śmierci z przyczyn politycznych. W historiografii pojawia się też liczba 21 tys. zmarłych w więzieniach. W domu Kicińskich stawiano sobie pytanie „czy to wojna domowa, czy nowa okupacja?” Wstrząsające wrażenie wywarła śmierć jednego z najdzielniejszych w okolicy partyzantów Zygmunta Czajkowskiego (1915-1952), ps. „Wierzbą”³⁴, byłego żołnierza Oddziału kpt. Jerzego Kurpińskiego „Ponurego”³⁵, pod którego dowództwem brał on m.in. udział w brawurowej akcji na obóz Sonnderdienslu w Myszkowie i operacji wysadzenia niemieckiego wojskowego pociągu między Porajem i Częstochową. 7 XI 1944 r. „Wierzbą” uczestniczył w udanym zamachu na żandarma Schuberta z Żarek, zwanego „krwawym Julkiem”. Oddział „Ponurego” na rozkaz gen. Leopolda Okulickiego³⁶ został rozwiązany 17 I 1945 r. w Sierakowie, jego oficerowie zostali jednak aresztowani przez NKWD. Mimo to „Ponury” na początku września 1945 r. uczestniczył w posiedzeniach Komisji Likwidacyjnej Armii Krajowej przy ul. Raclawickiej w Częstochowie by umożliwić swoim żołnierzom powrót do cywilnego życia. Niestety, komunistyczne sądy wojskowe nie uznały podpisanej umowy, twierdząc, że „nie ma ona mocy ustawy sejmowej”. Nastąpiły aresztowania ujawnionych, których skazano na najwyższe wyroki. W tej sytuacji ppor. Z. Czajkowski nękany przez NKWD i UB ukrywał



Pieta. M. Kiciński



Macierzyństwo. M. Kiciński

się. Z Urzędu Bezpieczeństwa w Częstochowie rozsyłano po okolicy monity: „w razie ustalenia aresztować i odstawić do tutejszej jednostki”. W wyniku zdrady nocą z 30 na 31 VIII 1952 r. częstochowska milicja i ORMO otoczyły dom Heleny i Ludwika Czajkowskich w Przyrowie, w czasie przeszukania zastrzelono ich syna Zygmunta, ps. „Wierzbą”, a ciało wywieziono w nieznanym kierunku. Zamordowany był wnukiem Marcjanny Billewiczówny herbu Mogiła, przedstawicielki rodu, z którego pochodziła matka Józefa Piłsudskiego i babka kompozytora Mieczysława Karłowicza³⁷, a także bohaterka sienkiewiczowskiego *Potopu*.

W sytuacji zastosowania totalnego terroru wszyscy byli u kresu wytrzymałości psychicznej i fizycznej. Partyzanci zdawali sobie również sprawę z tego, „że także i ci, dzięki którym mogli dotychczas działać i walczyć, odczuwają ogromne zmęczenie i zaczynają mieć dość całej wojaczki, nocnych najść, dokonywanych przez UB rewizji, aresztowań, gwałtów i rozbojów”³⁸. Czasy powojenne były równie ciężkie, jak niemiecka okupacja i dokuczliwe, jak sowieckie „wyzwolenie”. Brakowało wszystkiego, także żywności i odzieży. Przez pewien czas Mirosław mieszkał u starszej siostry Marii Rosińskiej w Trzebiszowicach w okolicach Jeleniej Góry, gdzie rozpoczął naukę w miejscowej szkole powszechnej i kontynuował do uzyskania promocji do trzeciej klasy. Tamtejszy krajobraz rozbudził jego wrażliwość na uroki przyrody. Szkołę podstawową ukończył jednak w Gnaszynie. Szczególną estymą darzył wówczas, jako pedagoga, jej kierownika Franciszka Pytla, który jako wykładowca matematyki wraz z małżonką w procesie kształcenia kładł duży nacisk na naukę historii i wpajał młodzieży szacunek dla tradycji narodowych. Zwrócił on ponadto uwagę na uzdolnienia artystyczne chłopca i namawiał go do kontynuowania nauki w Liceum Technik Plastycznych w Częstochowie. Jednak nie wszyscy nauczyciele, jak F. Pytel, realizowali założenia etyczno-moralne zgodne z etosem zawodu. W tym czasie nowa władza prowadziła ofensywę ideologiczną i posługiwała się kadrą wyselekcjonowaną, której zadaniem była nie tylko indoktrynacja ale i nadzór polityczny nad młodzieżą. Wypytywali podopiecznych czym zajmują się ich rodzice, jakie czytają książki i gazety, z kim się spotykają i o czym mówią, jakich rozgłośni słuchają, czy aby nie Radia Wolna Europa? Obserwacja tego typu zachowań sprowokowała Czesława Miłosza do napisania

Zniewolonego umysłu, traktatu będącego refleksją o kondycji ludzkiej, etyce, wolności i zniewoleniu. Mirosław nie dawał się jednak wciągać w takie dyskusje i dyplomatycznie zmieniał temat rozmowy. Gorzej w takich sytuacjach radził sobie jego starszy brat Zygmunt, który nieopatrznie wygadał, iż w domu są książki oraz, że chętnie czytają zarówno rodzice, jak i rodzeństwo. Feliks Kiciński wezwany do szkoły długo musiał tłumaczyć się, podać jakie tytuły są przedmiotem ich lektury, złożyć wyjaśnienia, iż nie zagra-



Projekt pomnika Żydów. M. Kiciński

żają one komunistycznemu państwu polskiemu i jego sojuszom z ZSRR.

M. Kiciński od dziecka był przyzwyczajany do dyscypliny i samodzielności. Dużą wagę przykładano w jego domu do różnych umiejętności, które zapewniały samowystarczalność. Zabawki robili sami. Feliks wyrzeźbił pięknego konia na biegunach dla synów. Ich wyobraźnię chłopięcą rozpałał prostymi, a barwnymi opowiadaniem o przejściach wojennych. Matka uczyła córek sztuki haftu i szydełkowania. Chętnie sięgano po dobro tak rzadkie, jak książki. Wzorem ojca mały Mirek zaczął sam robić zabawki i rzeźbić w drewnie koniki, sarny, jelenie, a i kije rzeźbami przyozdabiał. Potrafił także z łupin orzechów, migdałów i z pestek brzoskwiń rzeźbić nader misterne kolczyki. Później zainteresowało go malarstwo. Umiał dostrzec i wyrazić poezję lasu, pola i łąki. Malował nie tylko wiejskie chaty i życie chłopskie. Portretował najbliższych, malował konie, świętych, a dla sąsiadek makatki olejne, przyjmował także zlecenia dla szkoły. Namalował wówczas cykl z kwiatami i owocami: jabłkami, gruszkami, chryzantemami, daliaми, kasztanami, przede wszystkim zaś z rumianymi jabłkami, które rosły w ogrodzie rodziców. Zarobione pieniądze przeznaczał na pędzle i farby. Nie unikając ludzi, przyglądał się uważnie niebu, zieleni, śniegowi zwierzętom i kwiatom. Kochał je szczególnie wrażliwym uczuciem. W swoich poszukiwaniach krajobrazów doświadczał wiele radości. Po nieskończonej liczbie godzin rysowania zatęsknił do własnej pracowni i poczuł chęć zgłębienia tajników sztuki. Obrazy jego pokazywały życie miejscowości: kobiety cieszące się chwilą wytchnienia od niemal nieustannego wysiłku i grupy mężczyzn przy pracy. Malował farbami olejnymi w plenerze, a potem w domu dokonywał jeszcze retuszy. Były to między innymi jasne i świetliste pejzaże z krzewami i drzewami



M. Kiciński, rzeźby różne

o wytwornych kształtach. Można sobie wyobrazić M. Kicińskiego snującego się ze szkicownikiem po polach i pośród chat, niekiedy w towarzystwie któregoś z braci lub szkolnego kolegi. Wdychającego zapach dzikiego tymianku i rumianku deptanego butami, czujnie nasłuchującego wiosennego skowronka lub furkotu skrzydeł kuropatwy. Był pod urokiem zapachów pól i łąk, światła, chmur i rosy. Krajobrazy i natura stały się częścią jego genetycznego posagu twórcy.

Ojciec nie przeszkadzał zapędom artystycznym syna i wystawiał jego prace w hali przepompowni kopalnianej, której wnętrze w krótkim czasie zamieniło się w pierwszą galerię artysty. Pewne uzdolnienia manualne i plastyczne wykazywali

także starsi synowie. Julian wyrabiał biżuterię z jelenich rogów, korale z orzechów włoskich i toczonych w drewnie kulek. Z kolei Zygmunt zbudował z zapalek na wzór szopek krakowskich makietę Jasnej Góry.

Mirek, jako najmłodszy z synów stał się ulubieńcem matki co naraziło go na ataki słowne ze strony braci i ojca, którzy obdarzyli go przezwiśkiem: „Maminy Cycuś”. Z czasem ojciec określał go epitetem: „szpagatowego inteligenta” lub nazywał „księżułkiem”. Wątlej budowy nie nadawał się do ciężkiej pracy fizycznej, nawet w kuchni nie było z niego dużego pożytku, gdyż nie znosił obierania ziemniaków, których szorstka skórka budziła w nim nieprzyjemny dreszczyk.

Gdy Mirek ukończył szkołę powszechną i oznajmił rodzicom, iż nie chce być niedzielnym malarzem i ma zamiar dalej kształcić się w rzemiośle artystycznym w Częstochowie, ojciec opowiedział się za praktyką syna w zawodzie stolarskim. Argumentował, iż w ten sposób nie będzie trzeba ponosić dodatkowych kosztów, kupować butów, ubrań, itp. Ponadto uważał, iż sztuka to sprawa głodnego żołądka i pustego portfela. Mirek dowiedział się od ojca, że „artysta-malarz w Polsce jest jakąś omyłką w naturze, duszą strąconą na ziemię, na ciężką pokutę czyścicową za grzechy, popełnione na innej planecie i skazaną na rzucanie pereł przed wieprze”. Dodatkową trudnością było codzienne pokonywanie odległości 7 km z Konradowa do stacji w Gnaszynie, a po lekcjach w Częstochowie z Gnaszyna do Konradowa jeszcze raz musiał odbyć taką samą drogę. Niewątpliwie miał talent, ale czy miał szansę na sukces? Rodziło się także pytanie z czego żyć?

Lata nauki i wyrzeczeń

W latach 1959-64 uczęszczał do utworzonego w 1947 r. Państwowego Liceum Technik Plastycznych³⁹, które powstało ze zreorganizowanej Wolnej Akademii Sztuk Pięknych w Częstochowie. Miasto to nie było

wprawdzie mekką nauczycieli sztuk pięknych, ale działało tu kilku artystów cieszących się co najmniej sławą lokalną. Tutaj nauczył się podstaw rysunku i rzeźby, a także rzemiosła artystycznego. W szkole funkcjonowało kilka kierunków kształcenia: techniki rzeźbiarskie, ceramika i metaloplastyka (biżuteria). W Częstochowie zetknął się z gronem



Dom Frankiego przy Alei NMP 14 w Częstochowie

rówieśników pragnących uczyć się, patrzeć, chłonąć i stawić czoło nadzwyczajnym wyzwaniom, jakie mogło stwarzać obcowanie z dziełami sztuki zgromadzonymi w klasztorze jasnogórskim. I chociaż wstydził się, jeździł na zajęcia w górniczych butach i płaszczu ojca. Przetrwać pomogły mu miłość do sztuki i chwilowa zgoda na ubóstwo. Po latach, jego syn Jacek, również artysta rzeźbiarz, zastanawiając się nad wyborami ojca napisał: „O ile ja nie wyobrażałem sobie innego zawodu, który chciałbym uprawiać (no może oprócz zawodu kierowcy mechanika bo motoryzacja do dzisiaj jest moją pasją) bo w pewnym sensie wychowałem się w pracowni rzeźbiarskiej, tak ojciec musiał naprawdę być zdeterminowany, aby z małej wioski na skraju lasu wyrwać się wprost na ASP w Warszawie”⁴⁰.



Popiersie Adama Mickiewicza wykonane przez licealistę M. Kicińskiego

Liceum Technik Plastycznych mieściło się początkowo w centrum miasta w Domu Alfreda Frankiego, przy Alei Najświętszej Marii Panny 14. Do dyspozycji szkoły oddano sześć pomieszczeń, w liczbie tej mieściła się kancelaria i gabinet dyrektora. Oprócz tego na pierwszym piętrze wydzielono dwa pokoje lekcyjne: pracownię fizyko-chemiczną i magazyn podręczników. Ponadto uczniowie dysponowali jedną ubikacją i małym pomieszczeniem kuchennym. Warsztaty biżuteryjne mieściły się w lokalu prywatnym przy ulicy Ambula-



Świadectwo dojrzałości M. Kicińskiego

nauczycieli, jak i uczniów. W tej sytuacji przyznano szkole nowy lokal w Alei u Sióstr Zmartwychwstank. Funkcję dyrektorki sprawowała wówczas Maria Wierzbicka, legenda częstochowskiej plastyki, a wychowawcą przyszłego artysty rzeźbiarza był Józef Wójcicki, wykładowca języka polskiego.

Mirosław Kiciński lubił swoją szkołę, a szczególnym zaufaniem darzył Gabriela Hajdasa, który odkrył w nim talent rzeźbiarski i namówił do tej trudnej dyscypliny sztuk pięknych. Zapoznał się także z niełatwą sztuką i rzemiosłem jubilerskim. Był czytany i miał własny pogląd na wiele spraw. W tym czasie zawiązała się również trwała przyjaźń M. Kicińskiego ze starszym Jerzym Dudą-Graczem. Razem współpracowali ze szkolnym kółkiem teatralnym, dla którego przygotowywali scenografię i dekoracje. Czym dla tych chłopców z okolicznych wsi, marzących o karierze artysty, była szkoła i najświętsze miejsce Polaków, świadczy wypowiedź jednego z przyjaciół: „Myszę, że mój »Najnowszy Testament« zaczął się realizować na przełomie lat 40 i 50., kiedy razem z Matką wystawiałem przed Jasnogórskim Szczytem, próbując wymodlić wolność dla Ojca i Brata. Kiedy każde wakacje spędzałem pod klasztorem szkicu-jąc pielgrzymów, odpusty, jarmarki i architekturę. Przeżywając pierwsze artystyczne uniesienia, przy obcowaniu ze sztuką religijną i sarmacką w częstochowskich kościołach”⁴¹. Jednym z nauczycieli, którego Mirek dobrze zapamiętał był Krzysztof Wielgut, który wykładał fizykę i historię.

toryjnej, zaś warsztaty ceramiczne urządzono w lokalu wynajętym przy ulicy Tadeusza Kościuszki. Piec ceramiczny uruchomiono w piwnicy. Grono pedagogiczne tworzyli m.in.: Tadeusz Miśkiewicz, nauczyciel plastyki oraz Stanisław Łyszczarz, Roman Kulasiewicz i Adam Kacperczyk, którzy prowadzili zajęcia z ceramiki. Za warsztaty jubilerskie odpowiadali: Stanisław Szeląg, Zygmunt Kempa i Bolesław Koćwin. W pracowni rzeźby nauk udzielali: Gabriel Hajdas i Czesław Dukat. Z kolei woźna Władysława Malinowska pilnowała porządku, sprzątała sale oraz gotowała herbatę dla uczniów i grona profesorskiego. Wiele w tym wszystkim było improwizacji i poświęcenia zarówno ze strony



Licealni koledzy M. Kicińskiego, od lewej: Jerzy Duda-Gracz, Jerzy Kędziora i Roman Lonty

Uczył on M. Kicińskiego i jego kolegów pieśni patriotycznych i polskich tańców narodowych oraz nieocenzurowanej najnowszej historii Polski. Przełożeni K. Wielguta niechętnie odnosili się do jego programu edukacyjnego, który odbiegał od oficjalnych wytycznych⁴². Ten tak ważny okres w życiu artysty spotkał się z następującą oceną: „Jestem pewien, że tata był rzeźbiarzem z krwi i kości. Oglądając dzisiaj jego jakże ekspresyjny portret Adama Mickiewicza, który wykonał przygotowując się do egzaminów wstępnych do ASP można śmiało stwierdzić, że już wtedy był dojrzałym, wytrawnym rzeźbiarzem. Umiejętność uchwycenia prawidłowych proporcji czyli uchwycenia podobieństwa można się nauczyć, pewnych zabiegów estetyzujących również. Natomiast wycucie silnej zdecydowanej bryły rzeźbiarskiej, twórcze patrzeć na otaczający świat, podświadomą percepcję rzeźbiarską otrzymuje się od Boga jako tzw. talent. Niewątpliwie mój Ojciec jeszcze jako mały Miruś taki dar potrafił rozwijać. Nie brakowało mu determinacji również w angażowaniu starszych braci w kopaniu gliny pod konradowskim lasem, to właśnie z tej gliny powstawały pierwsze rzeźby. Dokładnie tak samo jak Camille Claudel⁴³ bez żadnych porad starych mistrzów mały Miruś zdobywał samodzielnie swoje rzeźbiarskie doświadczenie”⁴⁴.

Państwowe Liceum Technik plastycznych w Częstochowie ukończyło oprócz Mirosława Kicińskiego wielu znakomitych artystów, m.in.: Jerzy Duda-Gracz⁴⁵, Jerzy Kędziora⁴⁶, Marian Michalik⁴⁷ i Roman Lonty⁴⁸.

W tym okresie ogród przed domem rodziców w Konradowie zapełnił się rzeźbami Mirka. W sadzie stały gipsy: husarzy, królów i świętych oczywiście nie mogło zabraknąć popiersia Włodzimierza Lenina i Józefa Stalina, to był znak czasu. Temat ten musiał „inspirować” największych m.in. jego mistrza prof. Mariana Wnuka. O kolorycie epoki świadczy historia związana z osobą Franciszka Starowieyskiego⁴⁹ i plakatem z głową Lenina (1960 rok), na którym napisał: „Ten plakat namalowałem pędzlem do golenia Marka Hłaski⁵⁰” i „Na tym plakacie najwięcej zarobiłem”. Zaś



Rzeźbiarz August Zamoyski



Pomnik kardynała Adama Sapiehy przed kościołem o. Franciszkanów w Krakowie, autorstwa A. Zamoyskiego

w gablocie z przyrządami do malowania przy jednym z nich umieścił karteczkę z napisem „pizdomierz”. F. Starowieyski w sposób żartobliwy manifestował swą wierność zawołaniu rodowemu artysty: *Etiamsi omnes, ego non* (Jeśli nawet wszyscy, to ja nie)⁵¹. Urząd Bezpieczeństwa uznał to jednak za profanację i zażądał przed otwarciem wystawy usunięcia prowokatorskich napisów zaś ich autora poddano stałej inwigilacji⁵². W okresie propagowania przez władze socrealizmu szczególnego wyrazu nabrały słowa Stanisława Ignacego Witkiewicza⁵³: „Urodzić się garbatym Polakiem - to wielki pech, ale urodzić się do tego jeszcze artystą w Polsce, to już pech najwyższy”⁵⁴. Dowodem na to były losy Augusta hr. Zamoyskiego z Jabłoni na Lubelszczyźnie⁵⁵. W latach 1940-1955 mieszkał w Brazylii, gdzie założył i prowadził szkoły rzeźby w Rio de Janeiro i São Paulo. Od 1955 roku do śmierci mieszkał i tworzył we Francji. W 1956 roku przyjechał do kraju i wygłosił szereg odczytów o swoich doświadczeniach rzeźbiarskich. W Polsce bywał jeszcze wielokrotnie w latach 1963-1964 aby wybrać młodych polskich rzeźbiarzy na stypendium do Francji. Wyraził także chęć pozostania w kraju i prowadzenia zajęć akademickich. Niestety władze nie miały

zaufania do artysty emigranta, w dodatku o rodowodzie arystokratycznym. W ten sposób pokolenie Mirosława Kicińskiego straciło bezpowrotnie szansę na kontakt z jednym z najwybitniejszych polskich rzeźbiarzy, a także zgłębianie pod jego okiem tajemnic tej trudnej sztuki.

M. Kiciński poza malarstwem i rzeźbą interesował się lotnictwem. Marzył o członkostwie w utworzonym w 1945 r. częstochowskim aeroklubie, którego bazą było lądowisko Częstochowa-Rudniki. Aeroklub ten miał duże osiągnięcia. Składał się z pięciu sekcji: samolotowej, szybowcowej, mikrołotowej, spadochroniarskiej i paralotniarskiej. Organizował wiele imprez wysokiej rangi w wielu konkurencjach lotniczych m.in. szybowcowych, spadochronowych, akrobacji modelami na

uwięzi i innych. Zawody organizowane były na lotnisku w Runikach oraz na miejskim stadionie żużlowym Arena Częstochowa. M. Kiciński był ich częstym obserwatorem. Miał także pociąg do mechaniki, ciekawiła go motoryzacja i sporty samochodowe, później należał do klubu automobilowego w Katowicach.



Automobil Klub Śląski – legitymacja członkowska M. Kicińskiego

W okowach Amora

29 VIII 1964 r. poślubił Krystynę z domu Małczak, ślub cywilny odbył się w Gnaszynie, a kościelny w Kalei koło Grabówki. Pannę młodą poznał jeżdżąc ze starszymi braćmi po okolicy, uczestnicząc w ich rozrywkowych eskapadach. Sceneria przypominała trochę groteskowo-realistyczną materię opowieści Edwarda Redlińskiego, autora *Konopielki*. Krystynę (uczennicę Technikum Odzieżowego w Piotrkowie) na zabawę w Kalei zabrała siostra i jej koleżanki zaprzyjaźnione z młodymi Kicińskimi. Odtąd Mirek i Krystyna zaczęli się spotykać regularnie, a zimą dodatkową okazją były organizowane w Kalei kuligi. Wkrótce miał się przekonać czym jest miłość i przyznać rację siedemnastowiecznemu poecie Robertowi Herrickowi⁵⁶, że to wyjątkowe uczucie „jest kręgiem w ruchu: krąży bez przesłania. W zawsze tak samo słodkiej wieczności kochania”.

Po jednej ze schadzek Mirka napadli miejscowi chuligani, bijąc i targając za włosy rzucili na ziemię i kopalni. Z opresji uratowali go starsi bracia, najpierw próbując perswazji, a później gdy ta zawiodła, zostali im tylko gołe pięści. Napastnicy nie przebierali w środkach, Juliana Kicińskiego zranili nożem w głowę, a Zygmunt stracił modnego buta. Ostatecznie



Fotografia ślubna Miroslawa i Krystyny Kicińskich

udało się im wyrwać młodszego brata z rąk oprawców i odjechać na motorze. Incydent ten jednak nie miał żadnego wpływu na stan uczuć M. Kicińskiego do Krystyny. Pisywał listy, w których wspominał chwile razem spędzone, te które „wryły mu się w pamięć”. Do swojej ukochanej 2 IV 1962 r. zwracał się w następujących słowach: „Abyś lepiej zrozumiała to co napiszę, przypomnij sobie wiosnę z najdrobniejszymi szczegółami: z lepkimi pączkami, które nikną i powstaje listek, a to Ci nie sprawi trudności gdyż jest już wiosna”.

*Już się ta chwila w pamięci zaciera,
Zielone pączki w mgłę się rozplývają,
A w nich niknie mi z przed oczu chwila,
Która była mych wspomnień przystanią.*

*Gdym dostał od wiatru liść jesienny
Darmo w lesie wspomnień szukałem tej wiosny,
Kiedy był on pączkiem lepkiem i niewinnym,
A w nim ten dzień radosny.*

*Widząc poranną zorzę
Co po nocy wróży pogodę prześliczną
Przed nią tylko hołd wdzięczności złożę
Gdyż mi przypomina tę chwilę graniczną.*

W innym miejscu wspominał dzień dyngusowy, gdy „wieczorem zapoznał” swoje miłowanie. Łączył on je z wiosną, która budzi świat do życia. W kolejnym liście od serca dedykował wiersz *Motyl*, którego bohater:

*Modry kwiatek w locie trącił
I rozsypał żółty pył,
Wonny miód w kielichu zmącił,
Kiedy zdrowie wiosny pił.*

W listach tych często pisanych wierszem M. Kiciński jawił się jako człowiek wrażliwy i artysta bliski naturze, którą studiował od dziecka. Natura dla chłopca wychowanego na wsi była mistrzem i źródłem. Przez poznanie dzieł przyrody dochodził do poznania Stwórcy tylu cudownych rzeczy, a swą pracę traktował jako hołd złożony naturze. Nie znał lepszej definicji sztuki niż: „Sztuka to człowiek dodany do natury – natury, rzeczywistości,



Brzemiennej żona. M. Kiciński



M. Kiciński, fotografia z lat studenckich

prawdy, z których artysta wydobywa sens, interpretacje, charakter, które wyraża, odsłania, wydobywa, wyzwala, wyjaśnia⁵⁷. Potrafił wyrażać swoje myśli nie tylko przy użyciu pędzla i dłuta lecz także słów.

Już w początkach małżeństwa młodzi Kicińscy doświadczyli wiele przeciwności losu. Na pewno nie dotyczyło ich powiedzenie, iż przyjemność posiadania bogactwa materialnego wiąże się z kupowaniem rzeczy, z którymi tak wygodnie żyć. Mirek i Krystyna musieli pogodzić się z rzeczywistością i uznać, że jedyne co potrzebują, to jedzenie, ubranie i dach nad głową. I to mieli, choć nie w nadmiarze. Całą nadzieję pokładali w przyszłości, tej najlepszej krainie na świecie.

Warszawa – przyłodek burz i nadziei

Złożył dokumenty z wnioskiem o przyjęcie do działu rekrutacji i naboru warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Z wybranymi pracami i dokumentacją fotograficzną udał się do Warszawy na egzaminy wstępne.. Wielkim przeżyciem była informacja, iż został przyjęty mimo ograniczonego limitu, na jedno miejsce przypadło dziewięciu kandydatów.

Od października 1964 r. studiował na Wydziale Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Mieszkał w pokoju sześćoosobowym w słynnej Dziekance przy Krakowskim Przedmieściu, gdzie kwaterowali wszyscy artyści plastycy i muzycy. Ograniczenia i codzienne kłopoty studenta nie osłabiły jego wewnętrznej dyscypliny i determinacji. I choć nikt naprawdę nie może przywyknąć do dręczącej go nędzy, bo od niej gorzkniejze zupa i ucieka sen, to jednak wciąż był zaangażowanym artystą. Przekonania takie żywił również dzielący z nim pokój inny młody (przedwcześnie zmarły) rzeźbiarz z Częstochowy Zdzisław Cierniak. Nie tylko wykonywali wspólne prace zlecone, dzieli między siebie honorarium ale i razem „uganiali się za jedzeniem”.



Dziekanka

Do historii przeszła wspólnie przyrządzona z kilkudziesięciu jaj jajecznica z boczkiem, która nasyciła głód wielu przyjaciół i znajomych. Innym razem aby zdobyć jedzenie musiał sprzedać zegarek. Korzystał także ze studenckiej stołówki i minimum socjalnego. Niedostatki rekompensowała atmosfera bohemy artystycznej oraz liczne przyjaźnie i znajomości zawierane w klubie studenckim, gdzie dorabiał zatrudniony w charakterze „bramkarza”. Wtedy zaprzyjaźnił się z Jonaszem Koftą⁵⁸, który ukończył liceum plastyczne i studiował na Wydziale Malarstwa warszawskiej ASP. Właśnie wówczas ujawnił się talent literacki i kabaretowy J. Kofty; od 1964 r. był on kierownikiem literackim „Hybryd”. M. Kiciński także dość często spotykał się i prowadził długie rozmowy z braćmi Maciejem i Damianem Damięckimi, debiutującymi aktorami w „Teatrze Dramatycznym” i „Teatrze Współczesnym”.

Wszyscy oni gardząc mieszczańskimi wartościami, marzyli o wolności, swobodzie i tworzeniu, przyczyniali się do narodzin własnej legendy. Zwłaszcza malarze i rzeźbiarze stanowili o sile tej grupy. Żyli niepokorni w biedzie, z trudem zdobywając uznanie. Czym byłaby Warszawa bez własnej bohemy? Świat M. Kicińskiego dobrze opisuje wiersz francuskiego poety Arthura Rimbauda:

*Włóczyłem się - z rękoma w podartych kieszeniach,
W bluzie, co już nieziemską prawie była bluza,
Szedłem pod niebiosami, wierny ci, o Muzo!
Oh! La la! Co za miłość widziałem w marzeniach!
Szeroką dziurę miały me jedyne portki,
W drodze, pędrak - marzyciel, układałem wiersze,
Na wielkiej Niedźwiedzicy miałem swą oberżę,
A od mych gwiazd na niebie płynął szelest słodki.
Słuchałem gwiazd w te dobre wieczory wrześnieowe,
Siedząc na skraju drogi, i czułem, że głowę,
Jak mocne wino, rosa kroplista mi zrasza.
Lub gdy w krąg fantastycznych cieni rosły tłumy
Jak gdybym lirę trącał, wyciągałem gumy,
Stopę mając przy sercu, z zdartego kamasza.*

Sytuacja M. Kicińskiego nie odbiegała od dość powszechnej normy życia studenckiego. Wystarczy przywołać, jako przykład osobę Zbigniewa Herberta, którego w epoce „szarego gomułkowa” ciągle wspierali rodzice⁵⁹, a on sam często spacerował po Warszawie marząc o jedzeniu. Poeta jakiś czas jadał w stołówce, gdzie do głównego dania - zupy darmo dodawano bez ograniczeń chleb. Miał jednak środki finansowe na podróż tramwajem tylko w jedną stronę. Początkowo dojeżdżał na posiłek, a wracał piechotą. Jednak zanim dotarł do domu był głodny więc



Podczas przygotowań do zajęć rzeźbiarskich

zmienił taktykę i z pustym żołądkiem maszerował do baru, a na kwatere docierał z poczuciem sytości korzystając z tramwaju. Tak więc młodzi artyści tworzyli dość liczne grono ludzi, którzy bardzo często dostawali od rodziny „na zupe i buty”, za to żyli pocieszając się nawzajem, mówiąc, że „pozostaje im talent”. I chociaż nie było im łatwo, byli młodzi, zakochani, pełni ideałów i marzeń o wielkich dokonaniach artystycznych.

Warszawa otwierała przed M. Kicińskim nowe możliwości. Działy tu mechanizmy wymiany informacji, których brakowało w prowincjonalnym Konradowie i Gnaszynie. Wystawy objazdowe, łatwy dostęp do zbiorów, muzea, wydawnictwa artystyczne, reprodukcje w masowych nakładach. Nigdy nie brakowało miejsc, gdzie można było zatracić się w tańcu, skosztować duchowej strawy na najwyższym poziomie lub świetnej rozrywki. Szkoda, że nie zachował się żaden szkicownik z tamtych czasów, z którego można by się dowiedzieć o ludziach poznanych, oglądanych przezeń miejscach, rzeźbach, czy obrazach, które zrobiły na nim wrażenie. Można tylko snuć domysły, co tam widział i co myślał o tym mieście. Według relacji najbliższych, którzy go znali, bardzo się interesował wszystkim, co go otaczało. Wolne chwile poświęcał na rozmowy z wiernymi przyjaciółmi, pełne wesołości i artystycznego zapału, albo na przechadzki po starej Warszawie, na wycieczki w towarzystwie rodziny na wieś. Nic więc dziwnego, że życie Kicińskiego nie było bogate w awantury romantyczne ani też nie obfitowało w skandale, które mogłyby zadowolić próżną ciekawość⁶⁰.



Akt – rzeźba M. Kicińskiego, wyróżniona ASP w Warszawie

Mimo, iż studiował rzeźbę ciągle powracał do malarstwa. Często w pracach studyjnych pozowali mu członkowie rodziny i koledzy. Tak między innymi powstał akt młodej kobiety pt. *Brzemenna żona*. Jego pasję malarską potwierdzają także wspomnienia syna: „Pamiętam świetne obrazy taty z okresu studiów i zaraz po nich. Do dziś mam przed oczami duży portret kobiety z czarnym psem na kolanach na bordowym tle czy zupełnie inny, bardzo zimny przedstawiający dwóch chłopców z patykiem w ręku. Jednego i drugiego zawsze się trochę obawiałem, posiadały bardzo silny ładunek emocjonalny”⁶¹.

Z żoną Krystyną, która w Warszawie kończyła Studium Nauczycielskie odwiedzał kluby studenckie, m.in. „Hybrydy” Nie zaliczył jednak słynnego koncertu Micka Jegera w Sali Kongresowej w 1967 r., bowiem małżonka przedkładała teatr nad koncerty rockowe, chodzili więc na występy Edwarda Dziwońskiego⁶² i Adolfa Dymczy⁶³ w Teatrze Syrena, a przede wszystkim na przedstawienia z Mieczysławą Ćwiklińską⁶⁴ w Teatrze Polskim i Nowym. Podziwiali jej rolę Babki w spektaklu *Drzewa umierają stojąc* zagraną po raz pierwszy 1 XI 1958 r. w Teatrze Romaitości. Była to jej ostatnią słynna rola. Aktorka grała ją do kwietnia 1971 r., występując w niej około 1500 razy. Uczęszczali także do opery i na koncerty symfoniczne. Czasami kupowali książki u bukinistów, którzy w pudłach wystawiali na sprzedaż prawdziwe rarytasy, na które ówczesne władze patrzyły niechętnym okiem, gdyż była to niekontrolowana sprzedaż, ułatwiająca dostęp do słowa pisanego i głoszonych w nim idei nie zawsze zgodnych z panującym ustrojem. Jednak Kicińcy musieli się bardzo liczyć z wydatkami, które mogły naruszyć ich chwiejną równowagę budżetową studenckiego małżeństwa. Na jedną z wspólnych zabaw sylwestrowych w Instytucie Lotnictwa M. Kiciński zarobił przygotowując oprawę plastyczną sali balowej. Później zatrudnił się w warszawskiej pracowni szlifowania bursztynów. Podjął również współpracę z Dessą, dla której robił patery, kinkiety i biżuterię. Dla żony wykonał piękną obrączkę, jako wyraz żywionych do niej uczuć. Często jednak nie pozostawało nic innego, jak powtarzać słowa mistrza Augusta Rodina,

iż „Artysta daje przykład. Uwielbia swój zawód; najcenniejszą nagrodą jest mu dobra robota”⁶⁵.

W tym czasie wśród jego nauczycieli znaleźli się twórcy tej miary co prof. Marian Wnuk, prof. Kazimierz Gustaw Zemła⁶⁶, prof. Jerzy Mieczysław Jarnuszkiewicz⁶⁷ i Tadeusz Łodziama⁶⁸. Natomiast w gronie jego rówieśników wyróżnił się Adam Myjak⁶⁹, późniejszy rektor warszawskiej ASP. M. Kiciński często brał udział w konkursach i wystawach zdobywając nagrody i wyróżnienia, m.in. w konkursie na medal z okazji rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej (II nagroda) oraz w konkursie na pomnik pomordowanych w obozie niemieckim w Majdanku-Lublinie. Uwagę



Pióropusz. Kompozycja M. Kicińskiego
ASP w Warszawie

joury zwrócił na wystawie prac studentów rzeźbą *Siedząca*, będącą aktem młodej kobiety, za którą otrzymał wyróżnienie.

Dużym przeżyciem były wypadki marcowe 1968 r., których był naocznym świadkiem i mimowolnym uczestnikiem. Wtedy ostatecznie stracił resztę „zapału do budowy socjalistycznej Ojczyzny”. Jeszcze w liceum dał się namówić na przewodniczenie ZMS-owi, którą to funkcję przejął po Jerzym Dudzie-Graczu. Teraz z okien Dziekanki krzyczał z innymi w obronie bitych i zatrzymywanych przez milicję kolegów i koleżanek. Najbrutalniej poczynali sobie jednostki ZOMO (Zmotoryzowanych Oddziałów MO), które tłukły bojowymi pałkami do krwi. Celem nie było rozpędzenie demonstracji, której uczestnicy chcieli się rozejść, lecz steryoryzowanie środowiska studenckiego. M. Kiciński doświadczył ataku armatek wodnych i świec dymnych na akademik, który w ten sposób uległ pacyfikacji i „demolce”. Jego obserwacje były zgodne z relacją Zbigniewa Raszewskiego, który wspominał: „O 18.00 dotarłem już tylko na róg Krakowskiego [Przedmieścia - Z.J.] i Koziej. Tłum właśnie szturmował kino „Kultura”, śpiewając *Jeszcze Polska nie zginęła*. Mnóstwo gapiów. Wśród huku granatów i nieopisanej wrzawy wycofałem się przez Kozią. O 19.00 nie mogłem się przedostać na Krakowskie. Olbrzymi tłum zalegał część Miodowej, całą Kapitulną i całe Podwale. W zasadzie byli to gapie, wrogo usposobieni do milicji, ale jeszcze [...] nie dość »wkurzeni«, jakby oczekujący jakiegoś wydarzenia, które by ich wprowadziło do akcji.



Wiec studencki 8 III 1968 r. na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego

Z odgłosów, które dochodziły od Placu Zamkowego i z relacji gapiów wywnioskowałem, że [...] toczyła się formalna bitwa ludności z milicją. W akcji były samochody pancerne z działkami wodnymi i wyrzutnie gazów łzawiących. Warszawiacy walczyli na kije, kamienie, łańcuchy rowerowe, kawały pasów transmisyjnych (z mutrą na końcu), butelki. [...] Na Krakowskim pobojuwisko: resztki barykad z ławek ogrodowych, kamienie, żerdzie powyrywane z ławek – połamane! – znać, że machano dosyć raźnie. W Kinie „Kultura” i w dawnej Resursie wybite szyby. Ale poza tym sklepy nietknięte”⁷⁰.

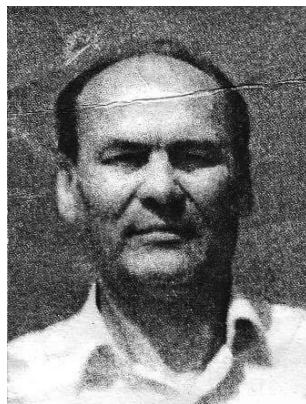
Nie przeszkadzało to władzom oskarżyć studentów o dokonanie dwóch napadów na zgrupowanie aktywu w kinie „Kultura” oraz zwolnić z uczelni grupę profesorów. Brutalna akcja sił porządkowych wywołała demonstracje także w innych miastach. Władze w odpowiedzi zorganizowały w całej Polsce masówki, których uczestnicy posłusznie wyrażali oburzenie rozwydrzeniem studentów. Dostało się także niektórym literatom i publicystom: Pawłowi Jasienicy i Januszowi Szpotańskiemu. 19 III 1968 r. I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka, w transmitowanym przez radio i telewizję przemówieniu wspominał m.in. Stefana Kisielewskiego, który podjął się na zebraniu Warszawskiego Oddziału Związku Literatów Polskich „obrony niejakiego [Janusza – Z.] Szpotańskiego, który został skazany na 3 lata więzienia za reakcyjny paszkwil, ziejący sadystycznym jadem nienawiści do naszej partii i do organów władzy państwowej. Utwór ten – według Gomułki – zawiera jednocześnie pornograficzne obrzydliwości, na jakie może się zdobyć tylko człowiek tkwiący w zgniliznie rynsztoka, człowiek o moralności alfonsa”⁷¹. Ta ostra filipika partyjna, na temat której Kiciński słuchał komentarzy w audycjach Wolnej Europy i BBC, dotyczyła „oper” J. Szpotańskiego pt. *Cisi i gęgacze, czyli bal u Prezydenta*, w której pod postacią Gnoma został ośmieszony W. Gomułka. Kolorytu dodawały, jak wspominał artysta, cytowane „wulgarne” i drastyczne fragmenty poematu drwiącego z władzy i funkcjonariuszy partyjnych, np.:

*Ja jestem cichy, lecz nowoczesny,
nie żaden tępy żłób,
miłośnik rocka i colicoca,
a nade wszystko dup!*

*Mnie nie zabawi już Nowa Huta
ni sześćioletni plan,
lecz kiedy dziwka ciągnie mi druta,
to wtedy frajdę mam!*

Na szczęście M. Kicińskiego ominęły represje, jakie dotknęły wielu jego kolegów i wykładowców oraz pisarzy. Jeszcze podczas studiów wykonał oświetlenie i drewniany *Ołtarz Chrystusa Zmartwychwstałego* w małym kościółku w Gnaszynie (dzielnicy Częstochowy). Wówczas zaprzyjaźnił się z księdzem Wacławem Stępieniem, w latach 1962-1986 proboszczem Parafii Przemienienia Pańskiego. Niestety kościół wraz z ołtarzem spłonął. W tym samym czasie przyjął zamówienie na wykonanie *Drogi Krzyżowej* w Dąbrowie Strzemieszycach. Z czasem będzie realizował coraz więcej zleceń z dziedziny sztuki sakralnej.

Miał szczęście w doborze nauczycieli. Dużą estymą i zaufaniem darzył lwowiaków: Tadeusza Łodzianę i profesora Mariana Wnuka. Zresztą nie on jeden. Taki oto wizerunek mistrza przekazał nam jeden z jego uczniów: „Był eleganckim panem o nienagannych manierach, przystępnym, tolerancyjnym i wyrozumiałym. Dyskretnym opiekunem co biedniejszych studentów. Miał duże poczucie humoru, był duszą każdego towarzystwa, pogodnym, niesłychanie towarzyskim kompanem, powszechnie lubianym przez środowisko ludzi kultury, w którym najchętniej przebywał. Był znany z tego, że będąc w towarzystwie dyskretnie płacił zawsze rachunki – czy to w kawiarni, czy w restauracji. Nigdy nie udało mi się Profesora na tym przyłapać. Niejednokrotnie ratował nas, studentów biesiadujących w restauracji, od skandalu, gdy zabrakło pieniędzy – nawet gdy przebywał tam nie z nami. [...] Był bardzo wrażliwym i uczuciowym człowiekiem. Okazywał radość ze swoich sukcesów, porażki przeżywał ciężko i samotnie. Był ambitny – we Lwowie mówiło się: trzymał fason swój jak szpic. Reprezentował typ dżentelmena – to określenie po wojnie stało się nieadekwatne wobec czasów, w jakich przyszło nam żyć”⁷².



Rzeźbiarz Gustaw Zemła



Prof. Marian Wnuk, artysta rzeźbiarz i nauczyciel M. Kicińskiego

Studenci wiedzieli, że przed wojną prof. M. Wnuk był na stypendium w Paryżu i we Włoszech. Do Włoch udał się by studiować m.in. pomniki konne – pod kątem konkursu na pomnik Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Gdy „pomnik był już gotowy w gipsie, a fragment – Marszałek na koniu – był w robocie”⁷³, na Prima Aprilis brać studencka podłożyła pod figurę atrapę końskich odchodów. „Było dużo śmiechu, ale i strachu, bo nie byli pewni reakcji Profesora. Potraktował ten uczniowski dowcip wyrozumiale”⁷⁴.

Profesor dzielił się ze swoimi studentami wiedzą, doświadczeniem artysty i wrażeniami. „Rozmowy z nim zamieniały się w niekonwencjonalne zajęcia z historii i teorii sztuki, zupełnie inne niż lekcje, które mieliśmy w programie. Mówił ciekawie, opisując rzeźby Rodina⁷⁵, Maillola⁷⁶, Despiau⁷⁷ i innych. Był wtedy pod wielkim wrażeniem rzeźby francuskiej”⁷⁸. Swoim uczniom poświęcał dużo czasu i uwagi. „Profesor przychodził do [...] pracowni przynajmniej raz dziennie. Korektę prowadził indywidualnie, niemal szeptem, by nie przeszkadzać innym. Obowiązywała cisza i wzorowa dyscyplina. Nie pamiętam, by kiedykolwiek podnosił głos. Przeważnie korekta i rozmowy przeciągały się poza cztery godziny codziennego studium natury, bo tak się ten przedmiot wówczas nazywał. W czasie dyskusji o sztuce Profesor stawiał pytanie: czym różni się rzeźba leżąca w przydrożnym rowie od wraku samochodowego? Odpowiedź: rzeźba jest dziełem sztuki, natomiast wrak pozostaje szmelcem. Po wojnie, nie przypominam sobie, by Profesor posługiwał się w dyskusjach tym testem. Myślę, że w dobie happeningów, antysztuki i instalacji – wrak samochodowy stał się tworzywem rzeźbiarskim”⁷⁹.

Mirosław Kiciński i inni studenci szanowali profesora, „starego lwowiaka” także za jego postawę w okresie drugiej wojny światowej. Przeżył ciężkie doświadczenie okupacji sowieckiej. W 1939 roku – Armia Czerwona i formacje NKWD zajęły Lwów, ukochane miasta prof. M. Wnuka. Jak zanotował autor wspomnienia: mieszkańców potraktowano „jak klasowego wroga. »Wyzwalano« nas od wszystkiego wartościowego – od zegarków (sławne »dawaj czasy!«) po węgiel. Zostaliśmy bez opału na zimę. Dekret władz radzieckich z 1 listopada 1939 r. ustalił, że zostaliśmy obywatelami ZSRR – bez pytania i zgody. Lwów w owym czasie gościł niemal całą ówczesną elitę intelektualną Polski. NKWD zarządziło spis bieżenców – uciekinierów z głębi Polski. Spis był pułapką”⁸⁰.

Od profesora i jego asystentów mogli się dowiedzieć, jak przebiegała okupacja sowiecka i jakie były jej konsekwencje. Prawda ta miała smak owocu zakazanego przez władze PRL. „Nie mogliśmy wyjść ze zdumienia – wspominał Łodziama, lwowiak i jeden z nauczycieli M. Kicińskiego – jak nasze miasto podupada z każdym dniem. Jak w parę tygodni można zmienić jego oblicze, które upodobniło się do miast [radzieckich – Z.J.], które zwiedziliśmy. Powstały nowe gipsowe pomniki Stalina i Lenina

siedzących na ławce – poślacane, z fabryki rzeźb. Na elewacjach kilometrami ciągnęły się transparenty pisane cyrylicą. Zaniedbane wystawy, brud i smród dziegciu, który snuł się za defilującymi bojcami. A wojsko śpiewało: »jesli zawtra wojna, jesli zawtra w pochod«⁸¹.

M. Kiciński, pamiętał relacje rodziców o roku 1945 r. na Ziemi Częstochowskiej. Wypowiedzi M. Wnuka i relacje T. Łodziany dopełniały obrazu spustoszenia jakie przyniosła wojna i dramatu Polaków w latach 1939-1945. Dodatkowo mógł się dowiedzieć o zniszczeniach, jakie dotknęły kulturę polską, o sowieckich i niemieckich represjach wymierzonych w polską inteligencję. Jednym z zagrożonych był jego mistrz prof. M. Wnuk. „Szkole wzywali chudożniki, m.in. akademik Gierasimow⁸². Były mitingi, pojono nas wódką wspominał Łodzianina – w celu rozwiązania języków. Studenci sowieccy zadawali nam pytania: »Znajesz kto eto Mikelandżelo⁸³, a?« Mieli nas za »niekulturny naród«. Przecież to oni, jak wmawiała propaganda, przynosili nam wolność, swobodę, pokój, kulturę przodującego narodu, no i cywilizację. Nie muszę mówić, jakie to miało pokrycie w otaczającej nas rzeczywistości⁸⁴, która z każdym dniem była bardziej ponurą.

„Uciekinierów wywożono. Profesor Wnuk z żoną Józefą, energiczną osobą, uratowali Aleksandra Rafałowskiego, malarza (po wojnie profesora ASP w Warszawie). Nie uratowano przed wywózką Czesława Rzepińskiego, malarza (po wojnie profesora i rektora ASP w Krakowie), który dwa lata szedł piechotą do kraju, gdy go z łagru zwolniono. Lwów zasiedlali Rosjanie w miejsce wywożonych na nieludzką ziemię lwowiaków. Uczyliśmy się trudnego systemu państwa sowieckiego. Pobieraliśmy bolesne lekcje, które w niedalekiej przyszłości miały się przydać w PRL-u⁸⁵. Doświadczeniami tymi przy różnych okazjach dzielili się w zamkniętym gronie ze studentami. Bogatsi o wiedzę o dwóch okupantach, której nie mieli mieszkańcy z centralnej i zachodniej Polski, a tym bardziej indoktrynowani rówieśnicy M. Kicińskiego. Dzięki wspomnieniom swoich nauczycieli T. Łodziany i M. Wnuka poznawali oni najnowszą historię Polski. M. Kiciński, jako syn żołnierza J. Piłsudskiego, tym bardziej był otwarty na takie wspomnienia i rozmowy, które kształtowały jego poglądy polityczne i patriotyzm.

Na obszarze w 1939 r. wcielonym do ZSRR inne były doświadczenia Polaków z Niemcami. 22 VI 1941 roku wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Nastąpiła paniczna ucieczka Rosjan. „NKWD wymordowało więźniów, podpalamo więzienia. O Niemcach nie wiedzieliśmy nic poza tym, że nadchodzi inny wróg – wspominał profesor Łodzianina – 4 lipca rozstrzelali profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza na stokach Wuleckich. Gestapo przy pomocy agentów ukraińskich aresztowało Polaków i Żydów. Nadszedł czas pogardy. Zaktywizował się ruch oporu ZWZ-AK.



Prof. Adam Myjak

We wrześniu otwarto szkołę pod nazwą Kunstgewerbeschule in Lemberg. Studiowaliśmy nadal⁸⁶. Profesor Wnuk mimo zagrożenia pozostał ze swoimi studentami. Jednym z nich był Tadeusz Łodziana, który tak opisywał wydarzenia: „Po roku zamieniono szkołę na zakłady artystyczne dla potrzeb miasta. Cały budynek zajęły wojska żandarmerii. Wydzielono nam dostęp do pracowni. Niemcy zaangażowali naszych profesorów, Mariana Wnuka i Józefa Starzyńskiego, do prac dekoracyjno-rzeźbiarskich w teatrze im. Łesi Ukrainki⁸⁷, mieszczącym się w sta-

rym gmachu hrabiego Skarbka obok Teatru Wielkiego⁸⁸.

Profesor Marian Wnuk podjął się działalności konspiracyjnej w szeregach AK, włączając się do akcji „Żegota”, której celem było niesienie pomocy Żydom. „W 1944 r. niespodziewanie wyjechał do Warszawy. Okazało się, że w jego mieszkaniu Gestapo urządziło »kocioł«. Profesor z żoną wprost z ulicy opuścili Lwów. [...]”⁸⁹. Po wojnie wziął udział w konkursie



M. Kiciński i jedna z jego prac na ASP w Warszawie

przed Olimpiadą 1948 r. w Londynie. W 1949 r. objął pracownię rzeźby na ASP w Warszawie. W 1950 roku sprowadził do stolicy swojego ucznia Tadeusza Łodzianę, i zatrudnił w charakterze asystenta na Wydziale Rzeźby.

M. Kicińskiemu i innym studentom, T. Łodziana relacjonował: „Pracowaliśmy w piwnicach odbudowującego się zespołu pałacowego Raczyńskich, obecnej siedziby ASP. Nie mieliśmy pracowni ani mieszkań. Wieczorem spotykaliśmy się w restauracji „Kameralna” przy ul. Foksal, gdzie w pałacu Zamoyskich mieściła się siedziba Związku Polskich Artystów Plastyków i Stowarzyszenia Architektów. W „Kameralnej” codziennie spotykało się przyjezdnych artystów spoza stolicy: Jacka Pugeta⁹⁰, Stanisława Teisseyre⁹¹, Jerzego Bandurę⁹², Marię Jaremiankę⁹³, małżeństwo Skarżyńskich⁹⁴ i wielu innych. W barku siadywał Marek Hłasko, Janusz Minkiewicz⁹⁵, Józef Prutkowski⁹⁶ i inni literaci. Później pojawił się Zbigniew Cybulski⁹⁷.

M. Kiciński, jako student trafił na okres poszukiwań warsztatowych profesora M. Wnuka. W latach sześćdziesiątych [...] powoli odchodził on od rzeźby realistycznej. Poszukiwał innych środków wyrazu, zaczął rzeźbić bezpośrednio w materiale, w ogródku przy pracowni na Mokotowie. Ponadto przybyło mu obowiązków z tytułu pełnienia ważnych funkcji na uczelni. „Od 1959 roku Marian Wnuk urzędował przez dwie kadencje jako rektor ASP. Brał udział w najrozmaitszych zebraniach, komisjach w Związku i w Ministerstwie. Zabierało mu to wiele czasu [...]”⁹⁸. Studenci i jego współpracownicy byli także świadkami nagonki na ich mistrza i jego rozterek. Coraz częściej „Był przygnębiony. Zauważyłem – odnotował T. Łodziana – że coś się z nim dzieje, że to już nie ten nasz ideał. Podupadał na zdrowiu, załamywał się nerwowo i psychicznie. Tryb życia i odpowiedzialność za szkołę zaważyły na jego kondycji. W 1966 r. NIK razem z MKiS prowadziły kontrolę. Były rozmaite zastrzeżenia, doszukiwano się uchybień, nawet w dydaktyce. Inspektorzy wogóle nie rozumieli specyfiki uczelni artystycznej. Ich przedłużająca się obecność w szkole była bardzo stresująca dla Profesora. [...]. Rozpoczął przygotowania do nowego roku akademickiego. I nagle,



Rzeźba M. Kicińskiego na ASP w Warszawie



Dyplom ASP M. Kicińskiego

trzy lata po tym smutnym wydarzeniu w 1970 r. uzyskał dyplom warszawskiej ASP w pracowni prof. Mariana Wnuka. Przez cały ten czas towarzyszyła mu żona Krystyna i urodzony w lutym 1966 r. syn Jacek, który nie przypadkowo obrał profesję ojca¹⁰⁰. Tak po latach wspominał swoje dzieciństwo: „Glina, gips, drewno, żywica i inne podstawowe materiały rzeźbiarskie obok kamienia i metalu istnieją dla mnie od zawsze. To właśnie ich zapach, a nawet smak znam od urodzenia, dlatego nie wahałem się nawet przez chwilę przy wyborze swego zawodu. Nie powiem, abym rzeźbę wyssał z mlekiem matki lecz na pewno wyrastałem w pracowni rzeźbiarskiej poznając jej tajemnice, oswajając się z materiałami, narzędziami, przyjemnościami i zagrożeniami. Już jako trzylatek błądząc po przepastnych korytarzach Dziekanki (akademika uczelni artystycznych w Warszawie) odwiedzałem niezwykle pokoje rzeźbiarzy, malarzy aktorów i aktorek wchłaniając jeszcze nie do końca świadomie aurę artystycznego, akademickiego świata. Już później jako student gdańskiej akademii odwiedzałem kolegów w Dziekance miałem okazję zweryfikować swoje wspomnienia i wyobrażenia tego miejsca. Miałem wrażenie, że czas się zatrzymał, nic się nie zmieniło, te obrazy pamiętam do dzisiaj. Jako przedszkolak pamiętam, że namalowałem pierwszy, olejny obraz bo przecież sztaluga z farbami wtedy zawsze stała w domu. Pomagałem tacie mieszać gips i stukać w kawalet aby bąbelki powietrza wypłynęły na powierzchnie płynnego jeszcze gipsu. Pomagałem sklejać elementy do gipsowego projektu pomnika. Po prostu od pierwszych lat ogarniałem rzeczywistość rzeźbiarza, malarza, plastyka”¹⁰¹.

Roczną służbę wojskową Mirosław Kiciński odbył w ramach Wojskowego Studium Uniwersytetu Warszawskiego w Łodzi. Po ukończeniu studiów wraz z żoną zamieszkał na rok w Nowym Mieście nad

w najmniej oczekiwanej chwili – odszedł. Był wrzesień 1967 roku”⁹⁹. Mirosław Kiciński utracił swojego ulubionego nauczyciela i mistrza.

Odbył się uroczysty pogrzeb na koszt państwa. Trumnę okrytą kirem wystawiono w pracowni. Z kaplicy na cmentarz nieśli ją jego uczniowie, którzy zjechali z całej Polski. Spoczął w kwaterze Zasłużonych. M. Kiciński



M. Kiciński podczas służby wojskowej, książeczka wojskowa

Pilicą, gdzie oboje małżonkowie otrzymali pracę w miejscowej szkole. M. Kiciński prowadził dla młodzieży kurs rysunku, a ponadto zajęcia kulturalno-oświatowe w Jednostce Wojsk Lotniczych. Tutaj 19 VI 1971 r. urodziła się jego córka Agnieszka.

Okres ten pokazuje, jak niełatwa była rola artysty w czasach socjalizmu realnego. Wymagało to prawdziwych talentów dyplomatycznych. Statusu tego nie regulowały żadne dające się wyegzekwować umowy. M. Kiciński musiał zachować nieustającą czujność w najdrobniejszych sprawach, żeby nie tylko nie ukręcić bicz na samego siebie, ale nie otrzymać ciosu w plecy od konkurentów czy wrogów, których nie podejrzewał o złe zamiary. Państwowy mecenat w znacznej mierze zależał od kaprysu lokalnego sekretarza PZPR. W grę mogły też wchodzić zamówienia ze strony Kościoła katolickiego. Sytuacja wymagała więc od twórcy prawdziwych talentów dyplomatycznych. W razie potrzeby M. Kiciński umiał zdobyć się na małe pochlebstwo, ale służalczość była mu obca. W najwyższym stopniu posiadał zaletę, jaką jest zdrowy rozsądek. Ponadto miał kręgosłup moralny, zachowywał przy tym elastyczną postawę wobec życia. Niestety na początku kariery znaczącą część życia musiał spędzić na zajmowaniu się czymś innym, niżby tego pragnął.



Legitymacja ZPAP

Okres katowicki

W 1971 r. Mirosław Kiciński wraz z rodziną przeprowadził się na Śląsk. Tyranizowany przez demona obowiązków zawodowych w wolnych chwilach uciekał do pracowni przyjaciół, a później swojej, by powrócić do marzenia o sztuce, któremu wymagania życia tak bardzo stawały na przeszkodzie. Przez cztery lata był zatrudniony w katowickim Biurze Projektów Metali Nieżelaznych - „Bipromet”. Pracował wówczas nad



Nad morzem z żoną Krystyną i córką Agnieszka



Legitymacja Związku Zawodowego Hutników
Poniżej: Legitymacja Członka Brygady Pracy Socjalistycznej



Jerzy Duda-Gracz, Jacek Durski¹⁰², Zygmunt Brachmański¹⁰³, Stanisław Barnaś¹⁰⁴ i Igor Neubauer¹⁰⁵, Była to grupa ludzi barwnych i otwartych na świat. I. Neugebauer, artysta malarz, członek grupy „Arkat”, jeszcze jako student przedpołudniami ćwiczył na perkusji, grywał również w orkiestrze jazzowej.

Spotykali się w pracowni M. Kicińskiego ludzie o naturze oryginalnej, ekscentrycznej nawet, oddawali się niekończącym dyskusjom i sporom. Upadek wszechpotężnego kierunku zwanego socrealizmem obdarzył wolnością zarówno malarzy, jak i rzeźbiarzy. Odtąd artyści mogli uprawiać sztukę swobodnie i według swoich idei, jeśli je posiadali.

Rzeźbiarz Gerard Grzywaczyk¹⁰⁶ wspominał M. Kicińskiego, jako artystę, który „rzetelnie wypełniał przestrzeń naszego bytowania swoimi dziełami sztuki, zgodnie z misją swojego powołania. On wiedział, czym ma wypełnić swoje życie. Częścią swojego jestestwa tkwił w tradycji swoich korzeni, a drugą częścią brnął w przyszłość, w kształtowanie naszej przestrzeni, tej rzeczywistej, nas otaczającej, jak i mentalnej, ludzkiej”¹⁰⁷. Walczył z próżnością i pragnieniem zdobycia pieniędzy, tymi jak mawiał największymi wrogami artysty.

M. Kiciński był już wówczas dojrzałym mężczyzną o sylwetce smukłej i eleganckiej, słusznego wzrostu, o wyrazistych oczach, spojrzeniu spokojnym ale pełnym siły, wysokim czole, wystających kościach policzkowych i sklepieniu czaszki mówiących o energii i woli, wąsatej twarzy okolonej brodą i długich włosach opadających na szyję. O oczach marzycielskich, szukających, badawczych, czasami szelmowskich. Gdy palił papierosa z nieobecny spojrzeniem, pograżony w marzycielskim fanie, odnosiło się wrażenie, że świat należy do umysłów kontemplacyjnych. Na co dzień w jego twarzy dominowała wesołość, serdeczność i łagodność, która jed-



Artysta Jacek Durski



Rzeźbiarz Gerard Grzywaczyk



Rzeźbiarz Zygmunt Brachmański



Mirosław Kiciński, fotografia z lat 80.

nak pod wpływem mocniejszego impulsu zewnętrznego potrafiła zmienić się w stan charakterystyczny dla duszy „walecznego, dzikiego Wikinga”¹⁰⁸.

W środowisku twórców „ogarniętych pewną dozą egocentryzmu” zapamiętano, iż Mirosław Kiciński był „Bardzo prawy i prostolinijny nie wahał się piętnować zachowań nieetycznych [...]. Wynikało to z jego poczucia wartości i misji, jaką twórca ma do spełnienia”¹⁰⁹. Wielokrotnie w naszym środowisku – pisał Gerard Grzywaczyk – sprawował on funkcje komisarza wystaw i plenerów: w Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku, jak i Katowickim Parku Leśnym, był również prezesem Katowickiego

Oddziału Związku Artystów Rzeźbiarzy”¹¹⁰. Miał także poczucie humoru, nie stronił od żartów na swój temat i kolegów. Kiedyś nawet zastanawiał się w sposób żartobliwy czy Pan Bóg jest zadowolony z nowoczesnych artystów, którzy fałszują i psują wszystko to, co Wszechmocny ukazał w przyrodzie jako najpiękniejsze do oglądania, rzeźbienia i malowania.

Ale artyści nie mogli zapomnieć o otaczającej ich rzeczywistości politycznej, która narzucała im różne ograniczenia i nieraz piętrzyła trudności. Czasy wczesnego Edwarda Gierka stwarzały pozory, że system odrzuci represje i pozwoli społeczeństwu funkcjonować w warunkach względnej swobody. Jednak w połowie lat siedemdziesiątych

zaczęły się ujawniać symptomy załamania gospodarczego. Władze w czerwcu 1976 roku ogłosiły podwyżki cen co wywołało spontaniczne wystąpienia załóg w Ursusie i Radomiu. Użyto przeciwko robotnikom siły, ale Edward Gierek nie wyraził aprobaty na użycie broni. Zatrzymanych bestialsko bito w komendach Milicji Obywatelskiej, stosując tzw. ścieżki zdrowia. Części wytoczony procesy. Mirosławowi Kicińskiemu wydarzenia te przypominały to czego był naocznym obserwatorem w marcu 1968 roku w Warszawie, wtedy jednak maltretowano studentów, a nie robotników, których wówczas wyprawiano na ulice przeciw zbuntowanej



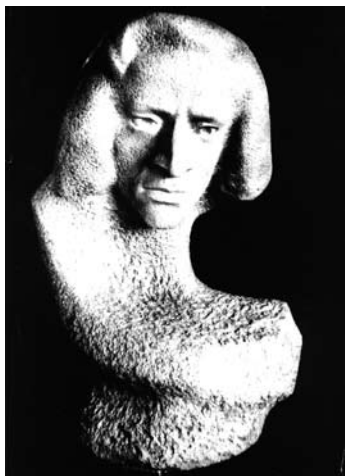
Księga dziejów, rzeźba M. Kicińskiego

młodzieży akademickiej. Z zainteresowaniem śledził rozwój wydarzeń oraz działania takich ludzi jak Jacek Kuroń i Antoni Maciarewicz, którzy w lipcu 1976 roku założyli Komitet Obrony Robotników. Odtąd on i jego znajomi częściej słuchali rozgłośni zagranicznych.

Narodziny w sierpniu 1980 roku ruchu społecznego, jakim był NSZZ „Solidarność”, dały początek nadziei, jakie z tym zrywem wolnościowym wiąжали również artyści. Niestety 13 XII 1981 roku „Nadszedł czas stanu wojennego; bardzo trudnych chwil upodlenia narodu, trudny czas dla kultury, rozwiązywania stowarzyszeń twórczych, braku zamówień ze strony Państwa. Dla zapewnienia egzystencji sobie i rodzinie, Mirek uruchamia zakład kamieniarski. Z czasem sytuacja się poprawia. Kościół okazuje się być otwarty na sztukę. Staje się głównym mecenasem. I tu na polu sztuki sakralnej Mirek odnajduje się w pełni. Ta tematyka staje się jakby przygotowaniem jego osoby do głębszych rozważań nad wiarą, teologią, tak jakby Bóg chciał przez to uporządkować w nim całe jego życie, bo wyznaczył już datę kresu jego ziemskiej wędrówki”¹¹¹. Wypowiedź kolegi artysty potwierdzają słowa duchownego: „Wspólnie przeżywalismy radość »stworzenia« każdej kolejnej stacji drogi krzyżowej, O pokorze artysty świadczy otwartość z jaką przyjmował uwagi i sugestie. Wpatrując się w przedstawienie postaci Chrystusa w poszczególnych stacjach rodziła się myśl, że to artysta użyczył Mu swojej własnej twarzy, Przypomniałem sobie wtedy słowa Pana Jezusa »Kto chce pójść za mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech mnie naśladuje«”¹¹² (Mt 6,24). Był wstrząśnięty tym co stało się 16 XII 1981 r. na KWK „Wujek” (od kul ZOMO zginęło 9 górników) i innych spacyfikowanych zakładach w Gdańsku, Warszawie, Wrocławiu, Świdniku i Krakowie, uciekał więc od brutalnej rzeczywistości w sacrum sztuki religijnej. Dobrze rozumiał słowa Krzysztofa Czabańskiego, który pisał w ostatnim 37 numerze „Tygodnika Solidarność”: „Władza może pokazać swoje zdecydowanie. Na skrzyżowaniach staną czołgi, patrole milicyjne i wojskowe wyroją się na ulicach, Ale karabin nie zastąpi reformy gospodarczej ani nie zapełni pustych półek w sklepach. Karabin w ogóle niczego sensownego nie załatwi”.



Pączkowanie, rzeźba M. Kicińskiego



Pomnik Chopina, rzeźba M. Kicińskiego

M. Kiciński, podobnie jak większość Polaków musiał się zmagać z niedogodnościami, jakie wiązały się z Dekretem datowanym 12 XII 1980 roku, na mocy którego Rada Państwa (przy głosie sprzeciwu Ryszarda Reiffa¹¹³) wprowadziła stan wojenny na całym obszarze Polski. Ukonstytuowała się Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego pod przewodnictwem gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Na mocy dekretu zawieszono działalność wszystkich organizacji, stowarzyszeń i związków zawodowych w tym NSZZ „Solidarność”, zakazano organizowania strajków i akcji protestacyjnych oraz zwoływania wszelkiego rodzaju zgromadzeń i manifestacji. W tej sytuacji M. Kiciński nie mógł się spotkać nawet

ze swoimi kolegami artystami, którzy należeli, jak reszta twórców do kasty podejrzanych „elementów antysocjalistycznych”. Wiele zakładów pracy zmilitaryzowano, powołano do służby czynnej dużą liczbę rezerwistów. Według rzecznika prasowego rządu Jerzego Urbana 13 XII 1981 r. internowano w całym kraju około 5000 osób. Aresztowano – 746. Ogłoszono godzinę milicyjną od 22.00 wieczorem do 6.00 rano, zakazano przebywania bez zezwolenia poza miejscem zamieszkania

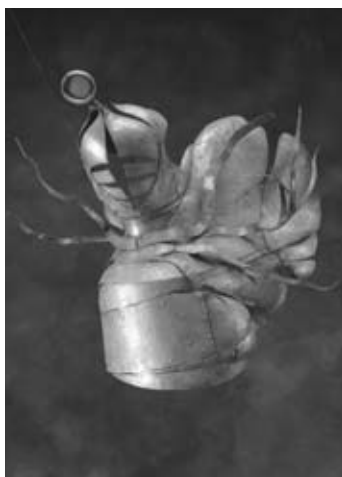


Odstąpienie pomnika poświęconego górnikom KWK „Halemba”, według projektu M. Kicińskiego 1981 r.

dłużej niż 48 godzin. Wszędzie panoszyli się komisarze wojenni. Wprowadzono cenzurę przesyłek pocztowych i wyłączo-
no połączenia telefoniczne. Wstrzymano
wszystkie wyjazdy obywateli polskich za
granicę. Zawieszono wydawanie wszel-
kich pism poza „Trybuną Ludu” i „Żołnie-
rzem Wolności”. Polskie Radio i Telewizja
nadawały tylko swe I programy. Spikerzy
występowali publicznie w mundurach.
Zaprzestano sprzedaży benzyny dla samo-
chodów prywatnych. Zawieszono obrady
Kongresu Kultury Polskiej, a w sklepach
nie można było niczego kupić bez kartek.
Z czasem coraz wyraźniej było widać
rysujący się pat polityczny i krach gos-
podarczy. Nie był to klimat sprzyjający
artystom i wielu z nich trudno było się
odnaleźć w nowej rzeczywistości. Ruch
wydawniczy i kultura zeszyły do podziemia.

M. Kiciński odczuł wówczas po raz
pierwszy znużenie, do którego przyczynił
się klimat polityczny i sytuacja ekonomiczna
w kraju. „Był zmęczony speluniastą ulicą
Mariacką lat siedemdziesiątych i osiem-
dziesiątych gdzie życie bohemy artystycznej
pulsowało między Kaktusami a Marchołem,
miedzy PSP a Marchołem, między ZPAP
gdzie był skarbnikiem a Marchołem, póź-
niej między ZAR-em, którego był prezesem
i znowu Marchołem a pośrodku zawsze
po drodze była jego pracownia. To tutaj do
późnych godzin nocnych obradowali kole-
dzy rzeźbiarze, malarze, graficy i poeci”¹¹⁴.

M. Kiciński w okresie stanu wojennego,
którego konsekwencją był zastój na rynku sztuki, jeszcze raz wrócił do
wyuczonego zawodu technika-jubilera. Nawiązał współpracę z firmą
„Plastyka” w Bytomiu, skąd otrzymał materiał - srebro na wykonanie
wzorów pierścionków, obrączek, kolczyków i wisiorków. Na ich podsta-
wie otrzymał zamówienie na wykonanie dużej ilości biżuterii, od 500 do
1000 sztuk, w zależności od wzoru. Jednak ze względu na ograniczenia
techniczne, w warunkach domowych, nie był w stanie go zrealizować.



M. Kiciński: Rzeźby różne



Głowa górnik, rzeźba M. Kicińskiego



Statuetka Siemiona

W konsekwencji przedsięwzięcie to zamiast zapewnić dochody stało się powodem kłopotów, gdyż artystę obciążono karami umownymi za nie wywiązanie się ze zlecenia.

W grodzie Siemiona

W tych burzliwych czasach był już obywatelem miasta Siemianowice Śl. Mieszkał na nowym osiedlu przy ulicy generała Walerego Wróblewskiego¹¹⁵ 59/24, W tym okresie 20 VI 1978 r. zmarł ojciec rzeźbiarza Feliks Kiciński. W 1987 r. odeszła matka artysty Anna z Jareckich Kicińska. Mirosław był zdruzgotany śmiercią tak bliskiej mu osoby. Maria stanowiła czynnik łagodzący w rodzinie, to ona pierwsza pogodziła się z decyzją syna, że zostanie rzeźbiarzem, ona sprawiała, że wizyty w domu były prawdziwą radością, wreszcie on był jej dumą. Był niepokieszony. Zawsze darzył rodziców uczuciem. Zrobili to, co uważali za najlepsze dla niego. Mieli własną wizję spełnienia. Zapracowali na to. Okazali mu hojność w ramach swoich skromnych możliwości, tym większą, iż ich poglądy na życie różniły się aż tak bardzo, co dopiero po ich śmierci sobie uświadomił.

Straty te i ból łagodziła rodzina i grono bliskich mu znajomych. Głęboka przyjaźń łączyła go od czasów licealnych z Jerzym Dudą Graczem.



Płaskorzeźba M. Kicińskiego upamiętniająca Pierwsze Powstanie Śląskie

Razem organizowali teatrzyki, spotkania z poezją, do końca byli ze sobą w bliskim kontakcie. Namawiał księdza Konrada Zubla, bytkowskiego proboszcza, by Duda-Gracz namalował na jego zamówienie stacje *Drogi Krzyżowej*. W tym celu nawet zaprosił przyjaciela na spotkanie z księdzem K. Zublem. Ostatecznie J. Duda-Gracz nie podjął tego zlecenia. Ponadto chętnie spotykał się z miejscowymi plastykami: Stanisławem Barnasiem, Janem Jończykiem¹¹⁶ i Józefem Antonim Kramarzem¹¹⁷.

M. Kiciński lubił zwierzęta. Przygarnął więc na wycieczce w Tatrach bezdomnego psa, którego dzieci nazwały „Santosem”. Odtąd był to jego nierozłączny towarzysz, fetowany przez całą rodzinę. Towarzyszył panu w pracowni i podczas budowy domu. To czarujące zwierzę zachwycało jego właściciela i wszystkich wokół dopóki nie zaginęło w niewyjaśnionych okolicznościach.

W tym czasie brał aktywny udział w życiu artystycznym prezentując swoje prace na wystawach w kraju i za granicą, były to m.in.: okolicznościowa wystawa z okazji VI Dni Miasta. Siemianowice 1977 r., „Małe formy rzeźbiarskie”. Katowice 1978 r. „Sztuka zwierciadłem życia”. Katowice 1978 r., wystawa okręgowa ZPAP. Katowice 1978 r., poplenerowa wystawa rzeźby. Racibórz 1978 r., poplenerowa wystawa rzeźby. Siemianowice 1978 r., „Polska Sztuka”. Miskolc 1981 r., wystawa okręgowa ZPAP. Szczecin 1982. Ponadto tworzył pomniki, rzeźby plenerowe, liczne tablice pamiątkowe i inne realizacje między innymi: pomnik Fryderyka Chopina w Pabianicach-1975 r., plenerowe rzeźby w WPKiW w Chorzowie oraz w Parku Leśnym w Katowicach-Muchowcu, monumentalne herby Raciborza (przy każdym z siedmiu wjazdów do miasta), wykonał także plenerową rzeźbę w Rybniku - 1978 r. Jego prace znajdują się m.in. w zbiorach Muzeum Medalierstwa we Wrocławiu. M. Kiciński brał udział w życiu stowarzyszeń artystycznych m.in. był członkiem władz katowickiego Związku Polskich Artystów Plastyków piastując pod koniec lat siedemdziesiątych funkcje skarbnika. W trudnym okresie lat osiemdziesiątych był współorganizatorem Związku Artystów Rzeźbiarzy, którego przez jedną kadencję był prezesem związku. W 1982 roku otrzymał stypendium Ministra Kultury i Sztuki. W 1985 r. przeniósł swą działalność



Monument w Katowicach-Kostuchnie, autorstwa M. Kicińskiego, poświęcony bł. Stanisławowi Kubiście, werbiście zamordowanemu przez Niemców w 1940 r.



Jaszczur, rzeźba M. Kicińskiego

twórczą do pracowni w Wymysłowie pod Piekarami Śląskimi, gdzie zrealizował między innymi: pomnik Wojciecha Korfantego dla Siemianowicach Śl. - 1986 r. (wykonany w piaskowcu), pomnik Powstańców Śląskich w Rudzie Śl.-Kochłowicach - 1987 r. (wykonany w sztucznym kamieniu), pomnik „Żydów pomordowanych w Katowicach w latach 1939-45” - 1989 r. (wykonany

w granicie), obelisk ku czci poległych górników - Ruda Śląska-Halemba, obelisk św. Stanisława Kubisty¹¹⁸ - Katowice-Kostuchna - 2000 r. (współautor Jacek Kiciński junior.).

Tematyka zamówień odzwierciedlała przemiany zachodzące w kraju po zawieszeniu stanu wojennego. Coraz częściej odbywały się prelekcje, odczyty, spotkania z udziałem polityków opozycyjnych, koncerty, wystawy fotograficzne, przedstawienia teatralne, aukcje dzieł sztuki. Niezwykle uroczysty charakter nadawano, obchodzonym jawnie po raz pierwszy od dziesiątków lat, rocznicom narodowych powstań (200-lecie Insurekcji Kościuszkowskiej, wystawienie Panoramy Raławickiej) i 200-lecie Konstytucji 3 maja, na które zaproszono do Warszawy Zbigniewa Brzezińskiego¹¹⁹.

Owoce ofensywy propagandowej władz Siemianowic Śl. był wspomniany już pomnik Wojciecha Korfantego (dłuta M. Kicińskiego), którego ideę przejęto od ludzi związanych z NSZZ „Solidarność”. Przez wiele lat propagowała jego budowę Anna Szanecka, znana w mieście działaczka społeczna i pedagog (później nadano jej tytuł honorowego obywatela miasta). Z jej inicjatywy przy NSZZ „Solidarność” został zawiązany Komitet Budowy Pomnika i rozpoczęto kampanię, którą przerwał stan wojenny ogłoszony 13 XII 1981 r. Do tego czasu „Solidarność” nawiązała współpracę z Miejskim Komitetem Stronnictwa Demokratycznego, która dotyczyła również ustalenia wspólnej listy kandydatów do Rady Miejskiej. Liderzy SD, jak Tadeusz Sztuka (wieloletni przewodniczący Towarzystwa Przyjaciół Siemianowic Śl.) i związany z nim Hubert Mokrus oraz Jan Korfanty byli także zaangażowani w realizację monumentu. Delegalizacja NSZZ „Solidarność” oznaczała ubezwłasnowolnienie związanego z ruchem



M. Kiciński, rzeźby różne

społecznym Komitecie Budowy i stworzyła możliwość wyłonienia nowego gremium kontrolowanego przez ówczesne władze polityczne. Towarzystwo Przyjaciół Siemianowic powołało Społeczny Komitet Budowy, którego liderem został były sekretarz PZPR Jan Piotrowski.

W 60 rocznicę trzeciego powstania śląskiego na skwerze przy Alei Sportowców został wmurowany akt erekcyjny. Z poparciem władz prace kontynuowano. 3 V 1986 r., w 65 rocznicę trzeciego powstania śląskiego, odsłonięto pomnik autorstwa Mirosława Kicińskiego. Na jego cokole widniała inskrypcja: „Wojciech Korfanty (1873-1939). W 65 rocznicę wybuchu III Powstania Śląskiego, wybitnemu synowi Ziemi Śląskiej, Komisarzowi Plebiscytowego, przywódcy III Powstania Śląskiego, ofiarują siemianowiczanie, 3 maja 1986 r.”. Uroczystość odbyła się z udziałem pocztów sztandarowych i asysty kompani honorowej Wojska Polskiego oraz weteranów powstań śląskich: Jana Janickiego, Pawła Chruszcza, Antoniego Kapicy, Franciszka Kruczka i Konrada Segrodnika. Złożyli oni wieńce i kwiaty razem z młodzieżą harcerską, członkami ZBOWiD-u, przedstawicielami zakładów pracy i delegacjami: siemianowickiego osiedla noszącego imię dyktatora trzeciego powstania i miejscowości Korfantów na Opolszczyźnie. Rangę wydarzenia miał podnieść udział najważniejszych lokalnych notabli: wojewody katowickiego Tadeusza Wnuka, przewodniczącego Woje-



M. Kiciński przy pracy nad pomnikiem Korfantego



Projekt pomnika Wojciecha Korfantego



Pomnik Wojciecha Korfantego w Siemianowicach Śl.

wódzkiego Komitetu SD Stanisława Słowika, sekretarza Wojewódzkiego Komitetu PZPR w Katowicach Jana Rachwalika, sekretarza Wojewódzkiego Komitetu ZSL Władysława Lalika, przewodniczącego PRON-u w Katowicach Andrzeja Pawliszewskiego. Władze stołeczne reprezentował członek Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR Jerzy Romanik, górnik KWK „Siemianowice”. W imieniu gospodarzy gości witał były prezydent Marek Prokop¹²⁰, I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR.

Podczas tej uroczystości Jan Piotrowski, jako reprezentant Społecznego Komitetu Budowy Pomnika złożył raport o gotowości do ceremonii odsłonięcia monumentu. Ponadto przypomniał, że uchwałą



Montaż pomnika przed siemianowickim USC. Od lewej: Jan Piotrowski, prezydent Marek Prokop, Jan Korfanty (bratanek Wojciecha), Anna Pękacz i M. Kiciński

MRN sprzed pięciu laty postanowiono w ten sposób uczcić pamięć Wojciecha Korfantego, a wykonawcą rzeźby wyznaczono Mirosława Kicińskiego.

Ceremonii odsłonięcia dokonali członkowie rodziny dyktatora: Stefania i Jan Korfanty (córka i syn Jana, najmłodszego brata Wojciecha). W akcie odsłonięcia uczestniczył także powstaniec Wacław Niesobski. Podniosłą atmosferę podkreślił montaż słowno-muzyczny, w którym wykorzystano fragmenty odezwo Wojciecha Korfantego, kierowanych w dniach powstania do ludu śląskiego. Dodatkowo Józef Skrzek, Chór Męski im. Fryderyka Chopina, harcerski zespół „Słoneczni” wykonali wiązaną pieśń powstańców. Teksty recytował Jan Lipski, aktor Teatru Nowego w Zabrzu.

Wojewoda katowicki podziękował inicjatorom i wykonawcom zamierzenia, a także społeczności Siemianowic Śl., która była fundatorem i patronem pomnika. Na koniec odbył się *Apel poległych w bojach powstańczych*, a kompania honorowa oddała salut. W cieniu mówców pozostał artysta rzeźbiarz, który w tłumie gapiów śledził przebieg uroczystości i w milczeniu kontemplował swoje zmagania z przewodniczącym Społecznego Komitetu Budowy Pomnika, który miał własną wizję monumentu i nie ułatwiał pracy rzeźbiarzowi.

Od 1992 roku Mirosław Kiciński pracował nad mniejszymi i monumentalnymi realizacjami rzeźby sakralnej w kościołach w całej Polsce, były to następujące zamówienia: Siemianowice-Bytków, kościół p.w. św. Ducha - monumentalna *Droga Krzyżowa* (metalizowana żywica poliestrowa) 1995-98 r., Pajęczno kościół p.w. Narodzenia Pańskiego-rzeźba *Dzieciątka Jezus* (polichromowana żywica poliestrowa) - 2002 r., Częstochowa Dźbów kościół p.w. realizacja ołtarza św. Jana Chrzciciela - płaskorzeźba *Chrzest Chrystusa* (polichromowana żywica poliestrowa) 2002 r., Szczecin-kościół p.w. Miłosierdzia Bożego-monumentalne płaskorzeźby: *Ostatnia Wieczerza* (współautor Jacek Kiciński) 1999 r., *Droga Krzyżowa* oraz rzeźbiarska kompozycja *Zesłanie Ducha św.* (polichromowana żywica poliestrowa) 2000 r. - Katowice



Laur Bytkowa dla Artysty, nadany uchwałą Kapituły 25 VIII 2005 r.



Jezus. Kościół pw. Miłosierdzia Bożego w Szczecinie

Bogucice realizacja monumentalnej drogi krzyżowej wokół kościoła p.w. św. Szczepana 2000-2004 r. Wiele prac Mirosława Kicińskiego znalazło się w rękach prywatnych i instytucji państwowych. Ostatnio opracował wraz z synem artystą rzeźbiarzem Jackiem Kicińskim *Laur Bytkowa*, statuetkę wręczaną za służonym mieszkańcom miasta dla Bytkowa.

Z tej długiej listy największym dla Siemianowic Śl. przedsięwzięciem artystycznym było podjęcie realizacji projektu rzeźbiarskiego Mirosława Kicińskiego, który dyskutowany z władzami kościelnymi już w latach osiemdziesiątych, zyskawszy uznanie arcybiskupa metropolity katowickiego Damiana Zimonia oraz przewodniczącego diecezjalnej Komisji do Spraw Architektury i Sztuki Sakralnej zatwierdzony został 14 VI 1996 roku. Kompozycja przedstawia stację *Drogi Krzyżowej*. O wielkości dzieła świadczą m.in. wymiary kompozycji figuralnej o łącznej długości 44 m i wysokości 1,15 m. Stacje *Drogi Krzyżowej* pełnią równocześnie funkcję dekoracji rzeźbiarskiej chóru i obiektu służącego kultowi. Praca Mirosława Kicińskiego wyróżnia się nie tylko syntetyczną formą i walorami rzeźbiarskimi. Autor przekroczył czysto dekoracyjny schemat, tworząc formę o dużych wartościach rzeźbiarskich i mocnej ekspresji tematycznej. Fryz balkonowy wykonany został w brązie koloidalnym. W pracach tych towarzyszył ojcu Jacek Kiciński, autor m.in. figury Jezusa Miłosiernego poświęconej 21 stycznia 2000 roku. Artysta wykorzystał architektoniczne założenie



Ostatnia Wieczerza, Kościół pw. Miłosierdzia Bożego w Szczecinie

wnętrza, „realizując sugestywny w formie fryz, który jest czymś więcej niż wypełnieniem betonowej balustrady chóru. Rzeźby są wyraziste w formie i nacechowane ekspresją. Wyraźne jest tu odejście od czystej dekoratywności przedstawień. Chrystus »wydarty« jest z tej samej materii, która oczekuje godziny Odkupienia. Materia ta woła »pragnę«. Tak woła Chrystus na wizerunku *Ukrzyżowania*¹²¹ Matthiasa Grünewalda”¹²².

Równie imponującym monumentem była *Droga Krzyżowa* dla kościoła pod wezwaniem Miłosierdzia Bożego w Szczecinie. Rzeźby poszczególnych stacji drogi krzyżowej, wysokie na 1,2 m zawieszono zostały na balustradzie empory. Ksiądz biskup wyraził podziw i uznanie dla M. Kicińskiego, zaznaczając, iż świątynia ta jeszcze do niedawna nazywana bunkrem, dzięki artyście pięknieje zarówno od strony zewnętrznej, jak i od wewnątrz. Budowa szczecińskiej drogi krzyżowej była prowadzona etapami, począwszy od 2001 roku. W całości zawisła ona dopiero jesienią 2003 roku. Oglądający odnoszą wrażenie, iż wyrzeźbione w mistrzowski sposób postacie – żyją! Dla tej świątyni wykonał ponadto *Ostatnią Wieczerzę*¹²³ (przy współudziale syna Jacka) i *Zesłanie Ducha Świętego*.

Trzecią i ostatnią *Drogę Krzyżową* wykonał M. Kiciński dla kościoła pod wezwaniem św. Szczepana w Katowicach-Bogucicach. Tutaj w XVII, XVIII i XIX w. do cudownego obrazu Matki Boskiej Bogucickiej (patronki Katowic) pielgrzymowali wierni z okolicznych miejscowości Górnego Śląska oraz odbywały się głośnie odpusty. Nieprzypadkowo więc artysta swą *Drogę Krzyżową* zrealizował w plenerze, nawiązując w ten sposób do założeń fundowanych wokół świątyń pielgrzymkowych. M. Kiciński mając na uwadze historię miejsca i tradycję drózek kalwaryjskich „wprowadził w bliskie otoczenie kościoła formy medytacyjne”¹²⁴. *Droga Krzyżowa* M. Kicińskiego łączy nie tylko przeszłość z współczesnością. „Prowadząc od kościoła do cmentarza, podpowiada tym, którzy nawiedzają to miejsce: »nie chcę abyś się smucił, jak ci, co nie mają nadziei«. Ostatnie stacje okalają kaplicę, w której sprawuje się Eucharystię za zmarłych”¹²⁵.



Droga Krzyżowa w kościele pw. św. Szczepana w Katowicach-Bogucice



Autoportret. M. Kiciński

Może zastanawiać tak głębokie zaangażowanie artysty w misterium śmierci i zmartwychwstania. Przypadek śmierci heroicznej, zasługującej na wdzięczność współczesnych i pamięć potomnych łączył on z doświadczeniami swojego pokolenia. Stąd prace symbolizujące niezniszczalność idei czy dokonań bohaterów i chęć utrwalenia ich egzystencji w świecie wartości stworzonych przez człowieka. W kontekście religijnym wieczność istnienia oznaczała dla M. Kicińskiego udział bądź w Królestwie Bożym, dostępnym dla wybranych, bądź niezniszczalność pojętą w znaczeniu panteistycznym, odnoszącą się do potęgi świata stworzonego. W kraju pozbawionym niepodległości, okupowanym i wyniszczanym przez dwa totalitaryzmy: czerwony i brunatny, w którym ginęły miliony ludzi, motyw śmierci i grobu zyskał znaczenie szczególne. Uświadamiał męczeństwo ofiar i okrucieństwo wrogów, topiących we krwi każdy odruch dążeń wolnościowych. Podtrzymywał także powinność zemsty i sycił niepodległościowe aspiracje narodu. Polegli i pomordowani dołączyli do grona ofiarników, z których krwi miała zmartwychwstać Polska. O tym wszystkim opowiedział nam M. Kiciński słowami i rzeźbą. Oprócz realizacji pomników bohaterów i trzech *Dróg Krzyżowych* dał wyraz swoim emocjom i intencjom w wypowiedzi pt. *Wyrzeźbione piórem*.

„Zrealizowana rzeźba żyje już życiem własnym. Niezależnie od tego co by się powiedziało. A jednak chciałoby się o niektórych rzeczach wspominać. Ktoś mi powiedział, że *Droga Krzyżowa* w Bytkowie to obraz człowieka schyłku XX wieku. To święta prawda. W zmieniającej się fizjonomii postaci Chrystusa, jak w soczewce kumulują się nasze utrapienia i bolączki. Chrystus w swym sponiewieraniu-niepodobny do siebie. Ciało zniekształcone, szaty podarte, obrzucony błotem i zniewagą. Totalne sponiewieranie godności ludzkiej.

Takim był również mijający wiek. Takimi byli ludzie – oprawcami i ofiarami. Wiek totalnych wojen, masowych grobów, upadek wiary, społeczne i wewnętrzne rozdarcie. Ekspresja wydarzeń sprzed dwóch tysięcy lat, staje się ekspresją współczesności. *Guernica* Picassa już nie szokuje. Artyści sięgają po coraz nowe środki wyrazu, by sprostać wyzwaniom czasu. Nie jest to wyścig, ale walka o człowieczeństwo, walka o człowieka.

Droga Krzyżowa otacza nas, jak współczesna panorama. Wydarzenia przedstawione są lapidarnie, odarte z detali. Reszty dopełni wyobraźnia widza. To dopełnienie jest istotne, ponieważ widz staje się współtwórcą. To go angażuje i wciąga.

Zaangażowanie emocjonalne, żarliwość i spontaniczność z jaką wykonywałem tę pracę – konkludował M. Kiciński – pozostawiły ślad, wyczuwalne piętno. W finałowej stacji krzyżowej, pękają skały. Natura się burzy. Ludzka sprawiedliwość legła w gruzach. Pęka nasze serce, rozsypuje się nasza obojętność. Podążając za Chrystusem ku nieuchronnemu przeznaczeniu stajemy zdumieni i skruszeni nad grobem ale z wiarą i nadzieją, że jak On zmartwychwstaniemy.

Tak to odczuwam, ale czy odczuwają tak samo inni? Ten odwieczny głód odpowiedzi pozostanie niewiadomą.

Drugą, niejako wtórną funkcją tej płaskorzeźby, to współtworzenie architektury wnętrza. Zanim zrodziła się koncepcja *Drogi Krzyżowej* odbyły się gorące dyskusje. Oczywiście miały one duży wpływ na projekt i realizację¹²⁶.

Wyrzeźbione piórem kończą się podziękowaniami dla uczestników dyskusji za trafne rady, adresowane m.in. do architekta K. Laske i członków Komisji Artystycznej przy Kurii w Katowicach. M. Kiciński dziękował również ks. Konradowi Zubłowi, za powierzenie wykonania *Drogi Krzyżowej* i przykładną współpracę.

Gerard Grzywaczyk taki nakreślił portret twórcy *Drogi Krzyżowej*: „Wysoki, smukły, wręcz powiedziałoby się chudy, był Tytanem o niespożytych siłach. Niezwykle pracowity. Nie mogłem się nadziwić jego determinacji. Z jednej strony stapał mocno po ziemi: budował dom i pracownię, urządzał ogród ze stawem, zabiegał o godne warunki dla rodziny, a z drugiej strony, głową błędził w obłokach szukając natchnienia do pracy twórczej. Projekty – wielość projektów dla zrealizowania jednej rzeźby i znowu projekty, i następne realizacje, i tak przez kilkadziesiąt lat. Ale to nie było wszystko co go zajmowało. Był oddanym dla kolegów rzeźbiarzy”¹²⁷.



M. Kiciński, rzeźby różne



Artysta w swojej pracowni w Wymysłowie

Również najbliżsi członkowie rodziny M. Kicińskiego podkreślali znaczenie w jego życiu pracy i „iskry”, jaką obdarzył go Bóg. „Talent i podstawowe narzędzie to dar, a resztę musisz już zrobić sam, pewnie takie przesłanie otrzymał od Boga, to dokładnie tak, jak w przypowieści biblijnej o talentach i przestrodze przed zmarowaniem daru. I rzeczywiście ciężka, czasami w ręcz mordercza praca to jego domena. Jak to się potocznie mówi »wszystkiego dorabiał się sam«. Od pierwszego ołówka, dłuta, mieszkania, pracowni, budował swój rzeźbiarski świat mozolnie i wytrwale. Nawet syna następcę sobie wychował i w ten sposób zadbał o to aby jego cały trud, doświadczenie i dorobek nie przeminął, nie przepadł”¹²⁸.

Ojciec i syn

Pracownia w Wymysłowie naprzeciw domu krytego czerwoną dachówką. Piękne pomieszczenie pełne wesołości i światła, zimą ciepło daje kominek. Nie ma tu nic prócz narzędzi potrzebnych rzeźbiarzowi; ozdoby stanowią zawieszane na ścianach szkice i małe formy rzeźbiarskie, odlewy w brązie lub żywicy. Żadnego przepychu, surowe wnętrze, gdzie rozpoczęte prace mówią o nieustającej aktywności, uporze i wysiłku twórczym artysty. Rosnąca wokół zieleń przydaje wdzięku, jest świadectwem umiaru, wesołości i równowagi duchowej. Po pracowni snuje się suka Alaski, owczarek niemiecki, która strzeże spokoju gospodarza tego obiektu.

Ogród, który zdaje się obszerny, trochę w nim kwiatów, trochę krzaków, trochę drzew, trochę murawy no i mały zarybiony staw, zdobię rzeźby i odlewy gipsowe. M. Kiciński bardzo lubił to miejsce, tu spędził ostatnie lata życia, tu ścigał swoje marzenia o sztuce, tu mógł oddać się pracy płodnej, przynoszącej spokój, dodającej w ciężkiej chorobie otuchy. Spędzał godziny poranne na obserwowaniu oparów nocnych w postaci mgły. Odróżniał delikatny ślad szronu. Zachwycał się ostatnimi promieniami słońca na wodzie i niebie oraz wszystkimi gwiazdami, które wyznaczyły sobie spotkanie w jego stawie. Na nowo odkrywał w sobie żywą miłość

natury. Obserwował jak liście poruszają się pod tchnieniem poranka, a kwiaty budzą się, radosne z drżącą kroplą rosy w kielichu, wsłuchiwał się w śpiew ptaków i szum traw. Ten zakątek miał dla niego jeszcze jeden urok; nie tylko oddychał tu swobodą i pracował, ile zapragnął, ale czuł się jeszcze otoczony serdeczną przyjaźnią, w pobliżu



Na budowie domu w Wymysłowie

miał bowiem żonę Krystynę, syna Jacka, córkę Agnieszkę i ukochane wnuki: Bartka, Oliwkę i Filipa. Z zainteresowaniem obserwował ich pierwsze poczynania artystyczne oraz cieszył oczy barwami obrazów córki Agnieszki Kicińskiej-Baki. Odwiedzali go przyjaciele i znajomi wrażliwi na przyrodę, którzy tak jak on lubili rozmyślać z dala od wielkomiejskiego zgiełku i znajdowali przyjemność w obcowaniu z pięknym pejzażem. Tym bardziej, iż gospodarz był gościnny i w najdelikatniejszy sposób rozumiejący przyjaźń. Doświadczył jej między innymi ksiądz Jan Morcinek, który po latach wspominał: „Mirośława Kicińskiego spotkałem i poznałem szukając - artysty rzeźbiarza; który miał wykonać stacje drogi krzyżowej na terenie najstarszego sanktuarium maryjnego archidiecezji katowickiej w Katowicach- Bogucicach. Dyskusje, omawianie koncepcji realizacji tego wielkiego przedsięwzięcia pozwalały coraz lepiej poznać samego artystę, Od-pierwszego spotkania ujęło mnie ciepło i atmosfera domu w Wymysłowie, w którym mieszkał. Gościnny, otwarty, życzliwy dla ludzi Pan Mirośław żył tym co robił. Był dumny ze swoich dzieł, bo w nich zostawił coś z siebie”¹²⁹.

I najważniejsze o czym należy pamiętać, Wymysłów było to miejsce, w którym od pewnego czasu działało dwóch rzeźbiarzy, szczególnie sobie bliskich - ojciec



W Wymysłowie z żoną Krystyną



Artysta w swojej pracowni w Wymysłowie

rzeźbiarzy w jednej pracowni żyło cały czas w sielance. Nie, nie tak nie mogło być i nie było. Czasem panowała zupełna cisza kiedy każdy z nas skupiał się na swojej pracy, na swoim dziele i długimi godzinami nie odzywaliśmy się do siebie aby nagle jedna uwaga, pytanie czy spostrzeżenie wywołało dyskusje czy wręcz spór o sposób potraktowania jakiegoś fragmentu czy całej rzeźby. Cisza rozdarta jak stara szmata do okrywania glinianych rzeźb zasklepią się równie szybko gdy po wypaleniu papierosa każdy z nas wracał do swojej, przerwanej pracy.

Poważny konflikt interesów zaczynał się wtedy kiedy np. Ojciec rzeźbił bytkowskie stacje drogi krzyżowej w glinie i potrzebował wilgoci w powietrzu i ciszy w „eterze”,



Jacek Kiciński przy pracy nad pomnikiem Hajdy

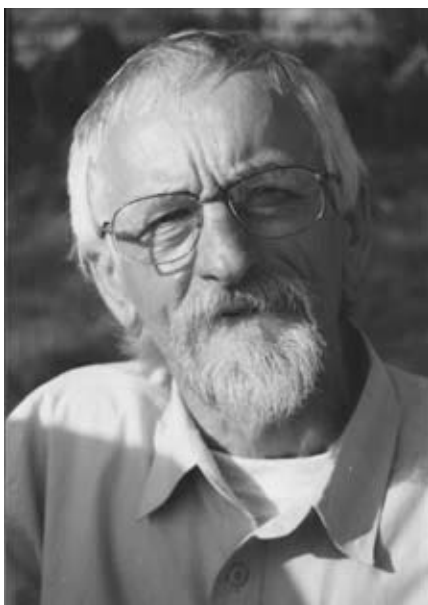
Mirosław i syn Jacek. O wzajemnych relacjach między artystami wiele mówi fragment Wspomnienia : „Na wsi jest spokój, cisza, jest pięknie, mam swoją przestrzeń do pracy i tworzenia - pisze Jacek Kiciński - ale obok również jest cała spuścizna artystyczna, skarbnica wiedzy zawarta w rzeźbach ojca. Często patrzę na nie teraz obserwując każdy fragment, bryłę, patynę, sposób wykonania i wykończenia. Przypominają mi się te chwile kiedy pracowaliśmy jeszcze razem ramie w ramie w jednej pracowni często potykając się o siebie, dyskutując, spierając się, o idee czy sposób ich interpretacji. Łatwo i lekko też nie było. Trudno przecież aby dwóch

a ja zaczynałem przekuwać duży krucyfiks z Załęża w kamieniu. Szlifierka kątowa, młotek pneumatyczny przerywał i wypełniał ciszę głośnym jazgotem a pył z piaskowca swoistą mgiełką ograniczał widoczność i osiadał powoli ale systematycznie na wilgotnych glinianych rzeźbach Taty. Potrzebowałem swojej osobnej, niezależnej pracowni. Gdy już ją wybudowałem i kupiliśmy obok naszej działki sta-

raż chałupę, którą można przekwalifikować na pracownię rzeźbiarską. Tata zachorował i szybko zmarł.

Jest nieurodzaj, ale i kryzys urodzaju i teraz właśnie ten mnie dopadł. Teraz mam do dyspozycji trzy pracownie i jestem sam. Podwójnie odczuwałem tę pustkę po odejściu Ojca bo pracując u siebie często w samotności zachodziłem po coś do jego pracowni, która była pusta, bez życia, martwa. Na szczęście nie bez ducha bo wciąż tam stoją rzeźby, makiety nawet narzędzia wykonane ręką mistrza i wciąż tkwią w miejscach gdzie je zostawił. Fragmenty glinianych rzeźb, które po wyjęciu z gipsowych negatywów zwykle wrzuca się do paki aby je rozbić i przerobić do powtórnego wykorzystania wciąż stoją i leżą na półkach jakby zostały odłożone tylko na chwilę a ta chwila wciąż trwa. To na nich jeszcze tkwią odciski palców z liniami papilarnymi twórcy. To skarbnica wiedzy o sposobie modelowania, rzeźbienia ale i namiastka żywego, aktywnego, twórczego ojca, dziadka.

Emocje, które w tej cichej dziś pracowni - galerii emanują ze swą całą siłą przenoszą energię twórczą na widza. Szczególna atmosfera twórczego misterium niewidoczna dla oka drzemie uśpiona w kawałkach gliny i tak jak ślady skorupiaków, kości dinozaurów w skamielinach czy odbite ciała mieszkańców Pompei w zastygłej lawie są dla nas skarbnicą wiedzy swoistą Księgą Dziejów. Taki tytuł nosi również jedna z rzeźb Ojca



Artysta – ostatnia fotografia portretowa



Wymysłów – artysta przed pracownią

ustawiona dziś w parku obok kościoła św. Antoniego w Siemianowicach. Świetnie, że Ojciec był rzeźbiarzem, twórcą, myślę, że nadal żyje i żyć będzie w swoich dziełach mojej i naszej pamięci...”¹³⁰.

Były to więc relacje na różnych płaszczyznach: ojciec-syn i mistrz-uczeń, pełne emocji, wzajemnego szacunku oraz miłości ojcowskiej i synowskiej, a także tej wielkiej namiętności jaką obaj żywili do sztuki. Oddaje to dobrze wypowiedź Jacka Kicińskiego: „Cieszę się, że te słowa dzisiaj mogę pisać jako aktywny, świadomy, doświadczony rzeźbiarz. Dzisiaj siedzę we własnej, nowej pracowni, która sąsiaduje z pracownią taty. Panuje tu artystyczna, twórcza atmosfera, rzeźbiarskie materiały i narzędzia a i sielski klimat. Bo to tutaj w niewielkiej wiosce pod lasem ojciec wybudował swoją pracownię i dom uciekając świadomie z zatłoczonych Katowic”¹³¹.

Zakończenie

Niezwykłe osiągnięcia artystyczne zawdzięczał w dużym stopniu swoim dłoniom, o których syn Jacek Kiciński napisał: „Tata słynął z długich,



M. Kiciński, *Skrzydłata I*

silnych lecz chudych rąk z żyłastymi silnymi dłońmi. Wielu tych, którzy ojca dobrze znali ale i ci, którzy tylko raz mieli okazje podać mu dłoń dobrze pamiętają jego rzeźbiarskie atrybuty. Pewnie to owoc treningu czyli ciężkiej, fizycznej pracy. Natomiast na zdjęciu z czasów zdanych egzaminów na uczelnie czyli w wieku około 21 lat na pierwszym planie widać już wtedy te silne rzeźbiarskie dłonie, które odziedziczył pewnie w genach”¹³². Także autora szkicu biograficznego, zawsze intrygowały ręce artysty. Ich anatomia przywoływała na myśl słowa Olgi Boznańskiej¹³³, która twierdziła „Cóż to za rozkosz malować rękę, gdy jest piękna, sucha, żyłasta, o długich palcach. Każda ręka ma swój wyraz, temperament i charakter. Jest ona dopełnieniem psychologicznym duszy”¹³⁴. Właśnie takimi dłońmi gdy dopadła go śmiertelna choroba wciąż chciał i tworzył nowe dzieła. Powtarzał słowa Williama Blake’a, iż „Pracowita pszczoła nie ma czasu na to, by być smutna”¹³⁵. Praca była wspaniałym regulatorem zdrowia psychicznego. Sztukę

postrzegał, jako „drzewo życia”. Zapominał o chorobie, wszelkich smutkach, bólach i zgorzknieniach, nie zdawał sobie z nich sprawy, kiedy był pochłonięty radością twórczenia. Do końca pracował nad pomysłami nowych realizacji między innymi nad cyklem plenerowych rzeźb pt. *Rajskie Ptaki*, w skład których wchodził projekt monumentalnej kompozycji rzeźbiarskiej pt. *Gniazdo* (wys. 8-10 m), której miejscem przeznaczenia był wjazd do Bytkowa od strony Katowic za wieżą telewizyjną. Do końca pracował z zaciekleścią, którą wielu młodych twórców nie mogłoby się pochlubić. Z obawy przed utratą czasu unikał wszelkich okazji, które przeszkodziłyby mu w pracy. Wszystkie swoje siły przeznaczał dla sztuki. Jednak choroba czyniła



M. Kiciński, *Statuetka Omega*

postępy, gdy ciało było wyczerpane zmęczeniem, a umysł udręką i niepokojem, gdy członki słabły, stawały się zimne i sztywne, a w płucach brakowało tchu, mógł powiedzieć sobie ze smutną pewnością, że jest świadkiem swojego końca. Dramaturgię tych chwil oddaje wypowiedź proboszcza parafii pod wezwaniem św. Szczepana w Bogucicach, księdza Jana Morcinka: „Droga krzyżowa wokół naszego kościoła realizowana była w latach 2000–2004. Nie wiedziałem wtedy o chorobie artysty, a On sam nigdy na len lemat nie mówił. Jak się potem okazało, było to ostatek dzieła jego życia. Kończąc je był coraz słabszy fizycznie. Dzieło kończył wraz z synem Jackiem. Chciał być obecny przy tym do końca. Ostatnia stacja umieszczona na maleńkim cmentarzyku przed kościołem sanktuarijnym przedstawia grób Chrystusa i nad nim znak Zmartwychwstania Baranka Paschalnego”¹³⁶.

Żeby złagodzić smutek, w którym mógł pogrążyć się artysta syn Jacek wpadł na pomysł by zgromadzić jego dzieła i pokazać publiczności. Niestety wystawa „Opus Vitae” w siemianowickiej Galerii „Po Schodach”, otwarta została dopiero 23 VI 2006 r. już po śmierci twórcy. Była wszechstronna, bogata i interesująca. Zgromadziła rzeźby, wśród których znajdowały się prace jeszcze z czasów studenckich. Prace ukazywały rozmaite możliwości jego talentu. Następną znacznie większą ekspozycję



M. Kiciński, *Kompozycja w drewnie*

zorganizowano w Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach. Jej dopełnieniem była wystawa w Dobieszowckim dworku pt. *Non Omnis Moriar* (17 IV 2009), która była wyrazem hołdu syna dla ojca. Oprócz kilkudziesięciu rzeźb na wystawę trafiły fotografie obrazujące dzieło Mirosława Kicińskiego. Zdjęcia przedstawiały rzeźby od czasów studiów akademickich aż po ostatnie prace, jakimi były trzy drogi krzyżowe. W dworku wyeksponowano rzeźby głównie o tematyce sakralnej.

Mirosław Kiciński - rzeźbiarz - zawsze pragnął zilustrować legendę powstania Siemianowic Śl., tworząc, jako znak rozpoznawczy miasta **Pomnik Siemiona, Michała i Macieja**, którego projektem (pierwowzorem) miał być

Siemion - statuetka wręczana Honorowym Obywatelom Siemianowic Śl. Jej współautorem był syn Jacek. Niestety nie było M. Kicińskiemu pisane spełnienie wszystkich wizji i pomysłów. Rzadko się zdarza, by artysta miał dość czasu, aby wykuć w kamieniu lub odlać w spżu wszystkie dzieła, które chciałby stworzyć. Tak było również w przypadku M. Kicińskiego. Przegrał walkę z chorobą nowotworową. Było to zaskoczeniem dla najbliższych i przyjaciół. Otoczony troskliwą i czułą opieką rodziny, zmarł 5 XII 2004 roku w szpitalu w Sosnowcu i został pochowany na cmentarzu Parafii Rzymsko-Katolickiej pod wezwaniem św. Ducha w Bytkowie. Mimo choroby, osłabienia i pewności bliskiej śmierci nie stracił nic ze swej łagodności i pogody.

O zmarłym artyście piękne wspomnienie pozostawił ksiądz Konrad Zubel, w którym odnotował: „Mirosława Kicińskiego znałem prawie 20 lat. Wspominam Go ze szczególną wdzięcznością jako człowieka prawego i szlachetnego, którego cechowała heroiczna wierności ideałom życia w prawdzie i wewnętrznej wolności, pełnej oddania pracy twórczej w kamieniu. Śp. Mirosław Kiciński był człowiekiem głębokiej wiary, przywiązania do Kościoła i troski o los tego dziedzictwa w sztuce rzeźbiarskiej, którą przekazał pokoleniom obecnym i przyszłym. Jego bogatej i wszechstronnej sztuce zawdzięczamy ukazanie radości i cierpienia, które są związane z człowiekiem. Pamiętamy Jego postawę, która była otwartym świadectwem i budującym przykładem. Żywimy przekonanie,

że był twórcą rzetelnej sztuki swojego rzemiosła. Niech to Jego bogactwo i doświadczenia służą formacji następnym pokoleniom¹³⁷.

Ksiądz Jan Morcinek, proboszcz parafii św. Szczepana w Katowicach-Bogucicach pożegnał twórcę wielu wspaniałych dzieł słowami: „*Droga Krzyżowa* została ukończona nie tylko w kamieniu, ale także w życiu wspaniałego człowieka - artysty - Mirosława Kicińskiego. Pan Życia powołał Go do siebie [...]. Oby obdarzył Go także udziałem w chwale radosnego Zmartwychwstania. ZA wielkie dzieło jakie zostawił w naszym sanktuarium zmarłemu Mirosławowi dziękowałem podczas Jego pogrzebu. Dziś czynię to jeszcze raz, w tym wspomnieniu, wdzięczny także za świadectwo Jego pięknego życia¹³⁸. Z kolei

rzeźbiarz Gerard Grzywaczyk konkludował: „Mirek poprzez swoje dzieła wpisał się na trwale w naszą pamięć, a kroniki zapiszą: Mirosław Kiciński żył i tworzył na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku¹³⁹.

Twórca pomnika Wojciecha Korfantego w Siemianowicach Śl., podobnie jak bliski mu Jerzy Duda-Gracz, który wielokrotnie powtarzał: „Maluję wyłącznie w Polsce, bo jestem człowiekiem chorym na Polskę¹⁴⁰, z tych



M. Kiciński, *Venus*



M. Kiciński, *Pączkowanie*

samych źródeł czerpał siły, którymi ożywił swoją pasję twórczą artysty rzeźbiarza. Obaj byli kontynuatorami myśli rodzimych twórców, bo trudno sobie wyobrazić rozwój sztuki bez kontynuacji. W ich dorobku społecznie zaangażowanym można się doszukać zarówno wezwania Jacka Malczewskiego: „Malujcie tak, aby Polska zmartwychwstała¹⁴¹, jak i Jana Matejki¹⁴²: „Sztuka jest bronią i nie wolno oddzielać jej od miłości Ojczyzny¹⁴³. Ci, którzy chcą znaleźć w tym dziele pogodę ducha i wyjątkową siłę, potępienie szpetoty cywilizacji i wraz z uderzającą świadomością polityczną, przywiązaniem do tradycji, żywym entuzjazmem dla wolności i oddanie Bogu.

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA :

- „Nagroda specjalna Dyrekcji Naczelnej Pracowni Sztuk Plastycznych”. Warszawa – 1967 r.,
- I, II Nagroda i wyróżnienie w konkursie na Odznakę Zasłużonego dla Huty Aluminium „Konin”
- Wyróżnienie na wystawie prac studentów za akt Siedząca – 1968 r.
- Nagroda ZPAP – „Małe formy rzeźbiarskie”. Katowice – 1977 r.,
- Nagroda IX Turnieju Poetyckiego i Plastycznego o „Złotą Lampę Górniczą”. Wałbrzych – 1977 r.,
- Wyróżnienie w konkursie „Dziedzictwo człowieka” – ZPAP Katowice 1977 r.
- II Nagroda na wystawie poplenerowej – Racibórz 1978 r.
- II Nagroda na Wystawie Okręgowej w salonie BWA, na której 145 artystów eksponowało 280 prac, w tym 153 obrazy, 87 grafik, 26 rzeźb oraz 15 tkanin i prac ceramicznych - 1978 r.
- Nagroda na Wystawie Okręgowej Katowice 1979 r., za rzeźbę Epitafium.
- Nagroda Zarządu Okręgu i Rady Artystycznej ZPAP Katowice – 1980 r.,
- III Nagroda w konkursie prac poplenerowych w WPKiW w Chorzowie
- I Nagroda w konkursie prac poplenerowych w WPKiW w Chorzowie
- „Złota Odznaka zasłużonemu w rozwoju województwa katowickiego” – 1986 r.
- 25 VIII 2005 r. uchwałą Kapituły przyznano artyście pośmiertnie Laur Bytkowa

WYSTAWY PO ŚMIERTNE :

- Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śl. - „Galeria Po Schodach”
- Muzeum Archidiecezjalne w Katowicach – Galeria „Fra Angelico”
- Wystawa w dworku w Dobieszowicach

BIBLIOGRAFIA :

Źródła rękopiśmienne

- Archiwum Rodzinne Kicińskich w Wymysłowie
- Notatki Krystyny Kicińskiej, żony artysty, mps.
- Relacja Krystyny Kicińskiej
- Relacja Juliana Kicińskiego, brata artysty
- Relacja Jacka Kicińskiego, syna artysty
- Wspomnienie księdza Konrada Zubła, proboszcza parafii pod wezwaniem św. Ducha w Bytkowie, mps.
- Wspomnienie artysty rzeźbiarza Gerarda Grzywaczyka, mps
- Wspomnienie księdza Jana Morcinka, proboszcza parafii w Katowicach-Bogucicach, mps.

- Dokumentacja ikonograficzna Krystyny i Jacka Kicińskich
- Korespondencja Mirosława Kicińskiego
- Dokumenty rodzinne: akty zgonów, ślubów i urodzin, dyplomy i wyróżnienia, katalogi.

Źródła drukowane i opracowania

- Mirosław Kiciński 1943-2004. Rzeźba. Katalog. Opracowanie graficzne Dziadosz. Wyd. Referat Kultury Urzędu Miasta Siemianowice Śląskie. [b.r.w.].
- Z. Janeczek: Bytkowskie szkice historyczne, Siemianowice Śląskie 2009.
- Z. Janeczek: Od Sancovic do Siemianowic. Szkice z dziejów miasta i okolic. Katowice 1993.
- Z. Janeczek: Siemianowicki słownik biograficzny. Suplement do monografii Od Sancovic do Siemianowic. Katowice 1996.

PRZYPISY:

1 Tadeusz Makowski (1882-1932), artysta malarz, przedstawiciel École de Paris. Studiował w latach 1902-1906 filologię klasyczną i polską na Uniwersytecie Jagiellońskim, 1903-1908 malarstwo w ASP w Krakowie u J. Stanisławskiego i J. Mehoffera. Na przełomie 1908/1909 wyjechał do Paryża, gdzie pozostał do końca życia. Nad Sekwaną malował początkowo pod wrażeniem fresków P. C. Puvis de Chavannes'a, a poznawszy grupę kubistów z Montparnasse'u, uległ ich wpływowi. Następnie wykonał zwrot ku studiom z natury. Malował pejzaże w duchu naiwnego realizmu i podobnie stylizowane kompozycje figuralne. „Wykorzystując i przetwarzając w poetyckiej wyobraźni wpływy dawnego malarstwa niderlandzkiego i holenderskiego, kubizmu, polskiej sztuki ludowej i współczesnych naiwnych realistów, wypracował indywidualny styl metaforyczny, emanujący lirycznym nastrojem”. Często na jego płótnach pojawiały się dzieci w scenach z życia wiejskiego, teatralnych, maskaradowych i karnawałowych, w prymitywizowanej i częściowo geometryzowanej formie. Uprawiał grafikę, m.in. drzeworytnicze ilustracje książkowe.

2 T. Makowski: *Pamiętnik*. Kraków 2003.

3 Bertel Thorvaldsen (1770-1844), rzeźbiarz duński, jeden z czołowych przedstawicieli klasycyzmu, twórca m.in. pomnika Mikołaja Kopernika i pomnika księcia Józefa Poniatowskiego w Warszawie.

4 Jakub Tatarakiewicz (1798-1854), najwybitniejszy polski rzeźbiarz pierwszej połowy XIX wieku; w 1830 r. pod wpływem Thorvaldsena wykonał rzeźbę *Umierająca Psyche*.

5 Donatello, właściwie Donato di Niccolò di Betto Bardi (ok. 1386-1466), rzeźbiarz włoskiego renesansu; działał we Florencji, Padwie i Sienie; uczeń Lorenzo Ghibertiego, obok którego jest twórcą renesansowego stylu w rzeźbie.

6 Lorenzo Ghiberti, właśc. Lorenzo di Bartolo (ok. 1378-1455), florencki rzeźbiarz, złotnik i architekt, a także teoretyk sztuki. Tworzył w okresie quattrocenta; jako teoretyk sztuki pozostawił 3-częściowy traktat *Commentari* będący podsumowaniem twórczości artystów włoskich XIV wieku.

7 Filippo Brunelleschi (1377-1446), florencki rzeźbiarz, architekt i inżynier tworzący w epoce quattrocenta, jeden z pionierów renesansowej architektury.

8 Michelangelo Buonarroti (Michał Anioł, Michelangelo di Lodovico Buonarroti Simoni (1475-1564), włoski malarz, rzeźbiarz, poeta i architekt epoki Odrodzenia..

9 Benvenuto Cellini (1500-1571), rzeźbiarz, złotnik, pisarz i medalier florencki, manierysta.

10 Antonio Canova (1757-1822), rzeźbiarz, malarz i architekt włoski, jeden z czołowych przedstawicieli klasycyzmu w rzeźbie; studiował sztukę antyczną, której wpływy są wyraźnie widoczne w jego twórczości; działał głównie w Rzymie, jest autorem grobowców papieży: Klemensa XIII i Klemensa XIV, oraz licznych popiersi portretowych; na zamówienie Napoleona I wykonał posągi: *Apollo* - wzorowany na samym Bonapartem oraz *Wenus* z 1804, do którego pozowała Paulina Bonaparte - Borghese, młodsza siostra cesarza Francuzów.

11 Alberto Giacometti (1901-1966), szwajcarski artysta rzeźbiarz i malarz surrealistyczny; od 1922 r. kilka lat pracował w Paryżu pod kierunkiem Antoine Bourdelle'a. Inspirowany sztuką sumeryjską i statuami z Wyspy Wielkanocnej kopiował motyw głowy i sylwetki, poświęcał wiele też uwagi sztuce egipskiej. Pochodzące z tego okresu studium czaszki, portrety i autoportrety, bliskie były kubizmowi. Giacometti spędził okres wojny w Genewie nie przestając rysować i rzeźbić. Gdy opuszczał miasto, wszystkie rzeźby były tak małych rozmiarów, że zdolał się zmieścić w niewielkim pudełku. Po powrocie do Paryża rzeźbił wydłużone, figury stojących kobiet i maszerujących mężczyzn. W jego rysunku sylwetka także zmieniła swój charakter.

12 H. Pyka: *Świadomość siły formy* [w:] Miroslaw Kiciński 1943-2004. *Rzeźba. Katalog*. Opracowanie graficzne Dziadosz. Wyd. Referat Kultury Urzędu Miasta Siemianowice Śląskie. [b.r.w.], s. 8.

13 Tamże.

14 Balthus właściwie Balthasar Klossowski de Rola (1908-2001, artysta malarz pochodzenia polskiego, zarówno jego ojciec, historyk sztuki Eryk Klossowski herbu Rola, jak i matka, Elżbieta Dorothea Spiro, córka kantora synagogi Pod Białym Bocianem Abrahama Baer Spiro, zajmowali się malarstwem; także wuj Balthusa, Eugen Spiro malował; w 1924 r. Balthus podjął w Paryżu studia artystyczne. Malarstwo Balthusa, oryginalne należy do najbardziej interesujących zjawisk XX-wiecznej sztuki. Twórca zachowuje realizm; nie przyłączył się do żadnej grupy ani szkoły. Częstym motywem jego dzieł są koty i młode dziewczęta. Oprócz obrazów Balthus tworzył także ilustracje książkowe oraz scenografie teatralne.

15 Balthus: *Pod prąd. Rozmowy z Constanzem Constantinim*. Przełożył J.M. Kłoczowski. Noir sur Blanc. Warszawa 2004.

16 Kopalnie odkrywkowe: „Paweł I”, „Paweł II”, „Paweł III”, „Paweł IV” uruchomiono w Gnaszynie Górnym.

17 W 1834 r. pod Dźbowem działała kopalnia rud żelaza „Antoni”. W 1897 roku rozpoczęto odkrywkowe i wieloszybikowe wybieranie rud żelaza w okolicach Dźbowa. Na przełomie XIX i XX wieku w okolicy Dźbowa znajdowała się kopalnia rud żelaza „Maria”, posiadająca 20 szybów. W latach 1935-1936 działała kopalnia podziemna „Aleksander III” należąca do spółki „Wspólnota interesów” Zakłady Górniczo-Hutnicze S.A. w Częstochowie. Podczas okupacji niemieckiej została uruchomiona kopalnia „Karol”. Kopalnia rud żelaza „Barbara” w Dźbowie została otwarta 1 XII 1954 r.

18 Anna Jarecka urodzona w miejscowości Libidza, zamieszkiwała w Konradowie nr 94, gmina Blachownia.

19 Józef Piłsudski: *Rozkaz na pierwszą rocznicę wojny*. Ożarów pod Lubartowem, 5 VIII 1915 roku.

20 Józef Piłsudski: *Rozkaz wydany w koloni Dubniak*, 6 VIII 1916 r.

21 Waryński Ludwik (1856-1889), pionier, działacz i ideolog ruchu socjalistycznego na ziemiach polskich; twórca i przywódca I Proletariatu, skazany w procesie proletariatchyków, zmarł w twierdzy szlisselburskiej.

22 Malczewski Jacek (1854-1929), artysta malarz, jeden z czołowych artystów Młodej Polski; założyciel i członek Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka”; profesor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych; malował obrazy związane z popowstaniową martyrologią nawiązując do twórczości poetyckiej J. Słowackiego i malarskiej A. Grottgera, także kompozycje rodzajowo-symboliczne i portrety.

23 Sosnkowski Kazimierz (1885-1969), wojskowy i polityk; członek PPS, współtwórca ZWC; najbliższy współpracownik Józefa Piłsudskiego; płk. Legionów Polskich - szef sztabu I Brygady; na kryzysie przysięgowym więziony w Magdeburgu; generał broni WP; minister

spraw wojskowych; inspektor armii; w czasie kampanii wrzesniowej 1939 r. dowódca frontu Południowego; następnie we Francji i Anglii – komendant Związku Walki Zbrojnej; zastępca prezydenta RP; naczelny wódz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie; Zmarł na emigracji.

24 Piłsudski Józef (1867-1935), działacz socjalistyczny, polityk, marszałek Polski; 1887-1892 więziony i zesłany na Syberię za udział w przygotowaniu zamachu na cara Aleksandra III; jeden z przywódców PPS; redaktor naczelny „Robotnika”; komendant Organizacji Bojowej PPS; współtwórca i komendant ZWC i Związku Strzeleckiego; komendant I Brygady Legionów Polskich i komendant Polskiej Organizacji Wojskowej; członek Tymczasowej Rady Stanu (szef Komisji Wojskowej); więziony przez Niemców w Magdeburgu; naczelnik państwa; od 1920 r. marszałek Polski; po zamachu majowym 1926 r. minister spraw wojskowych i generalny inspektor sił zbrojnych; dwukrotnie premier rządu.

25 Kukiel Marian (1885-1973), historyk wojskowości, działacz niepodległościowy; współzałożyciel ZWC; członek Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych; kapitan Legionów Polskich; generał dywizji WP, szef Wojskowego Biura Historycznego; dyrektor Muzeum XX Czarotoryskich w Krakowie; minister spraw wojskowych; w rządzie RP na emigracji dyrektor Instytutu Historycznego im. Gen. Władysława Sikorskiego w Londynie.

26 Dąbkowski Mieczysław (1880-1946), członek „Nieprzejednanych”, działacz PPS, organizator laboratoriów chemicznych wytwarzających materiały wybuchowe dla Organizacji Bojowej PPS; jeden z twórców ZWC; w Legionach Polskich dowódca saperów I Brygady; internowany w Beniaminowie; więziony w Raastadt i Werl; generał brygady WP; szef Dep. Inżynierii i saperów Ministerstwa Spraw Wojskowych, internowany w Rumunii, później w niewoli niemieckiej; zmarł na emigracji.

27 Dąbkowski Stefan (1884-1962), brat Mieczysław, członek Organizacji Bojowej PPS, ZWC, porucznik Legionów Polskich; pułkownik WP; senator RP; zmarł na emigracji.

28 J. Stachewicz: *Początki Związku Walki Czynnej*. „Niepodległość” 1930, t. II, s. 45. *Słownik biograficzny działaczy polskiego ruchu robotniczego*, t. III, 155.

29 Rydz Edward (1886-1941), ps. Śmigły, artysta malarz, polityk, wojskowy; członek ZWC, Związku Strzeleckiego – komendant okręgowy lwowski; pułkownik Legionów Polskich; 1917-1918 komendant główny Polskiej Organizacji Wojskowej; w czasie wojny polsko-bolszewickiej kolejno dowódca 3 Armii, Frontu Południowo-Wschodniego, 2 Armii i Frontu Środkowego; inspektor generalny sił zbrojnych, generał broni, od 1936 r. marszałek Polski; w wojnie obronnej 1939 r. naczelny wódz; internowany w Rumunii; w 1941 r. przedostał się do Polski; zmarł na atak serca w Warszawie.

30 Walter von Reichenau (1884-1942), zbrodniarz hitlerowski, generał Wehrmachtu, od 19 VII 1940 feldmarszałek III Rzeszy, politycznie sympatyzujący z NSDAP; uczestniczył w niemieckiej agresji na Polskę we wrześniu 1939 roku jako dowódca 10. Armii. Jego zadanie polegało na jak najszybszym przełamaniu sił Armii „Łódź” i „Kraków” i dotarcie do Warszawy. Wraz z 10. Armią współdziałały oddziały Einsatzgruppe II, m.in. dokonujące zbrodni na ludności cywilnej, którymi dowodził dr Schäfer. 1 października 1939 został mianowany Generaloberstem; ponosi odpowiedzialność za zbrodnie wojenne na obszarze działań podległych mu wojsk na terytorium Polski i ZSRR; jest m.in. odpowiedzialny za działalność specjalnych jednostek SS Einsatzgruppen, które zajmowały się masowym mordowaniem Żydów na okupowanych przez III Rzeszę terytoriach, gdzie działały podległe mu jednostki oraz likwidacją Rosjan, którzy podróżowali bez przepustek lub znajdujących się poza miejscem stałego przebywania; w październiku 1941 wydał specjalne instrukcje tzw. *Rozkaz Reichenau* dla Wehrmachtu, zezwalające na zbrodnicze praktyki wobec rosyjskich cywilów. Osobiście zatwierdził również decyzję o rozstrzelaniu 90 żydowskich sierot uwięzionych przez funkcjonariuszy Einsatzgruppen w Białej Cerkwi.

31 C. Gmyz: *Tabu okupacji. Niemieckie gwałty na Polkach*. Historia. „Do Rzeczy”. 2014, nr 1. s. 6; zob. P. Zychowicz: *Niemieckie piekło polskich kobiet*. Historia. „Do Rzeczy”. 2014, nr 1. s., 3.

32 Tamże., s. 6-9.

33 NKWD - Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR; skupił cały aparat represji policyjnych ZSRR – od milicji kryminalnej poprzez wywiad (INO) i kontrwywiad, wojska

ochrony pogranicza, administracyjne sądownictwo doraźne (trójki NKWD) po system obozów koncentracyjnych i pracy przymusowej Gułagu. NKWD była synonimem wszelkich zbrodni dokonanych przez rosyjskich komunistów. Organy NKWD były m.in. wykonawcą zbrodni katyńskiej oraz rozstrzeliwań Polaków po II wojnie; więzili w byłych niemieckich obozach koncentracyjnych żołnierzy AK, np. na Majdanku; przez więzienie NKWD na Zamku w Lublinie przeszło po wojnie do 1954 około 35 tys. Polaków, z czego 333 poniosło śmierć. Według danych sowieckich z 10 VI 1941, w przededniu agresji niemieckiej, w kresowych więzieniach przebywało ok. 40 tys. więźniów, w tym: w więzieniach Zachodniej Ukrainy ok. 21 tys. więźniów, w więzieniach tzw. Zachodniej Białorusi ok. 16,5 tys., pozostałe ok. 2,5 tys. więźniów znajdowało się w więzieniach na Wileńszczyźnie. Łącznie zamordowano ok. 35 tys. uwięzionych. Np. Brygidki (więzienie), więzienie śledcze NKWD - Zamarstynów, więzienie na ulicy Łąckiego we Lwowie tu wymordowano ok. 7 tys. więźniów, w Łucku ofiarą masakry padło ok. 2 tys. więźniów, w Wilnie ok. 2 tys., w Złoczowie ok. 700, Dubnie ok. 1000, Prowieniszkach 500 więźniów, oprócz tego w Drohobyczu, w Czortkowie, Berezweczcu, Samborze ok. 15 000, a na szlakach ewakuacji ok. 20 000 Polaków.

34 W. Zaleski: *Działania zbrojne i konspiracja na Ziemi Częstochowskiej w latach 1939-1947*. Wyd. Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej. Częstochowa 1999; Z. Zieliński: *Orły Ziemi Częstochowskiej*. (Armia Krajowa, Częstochowa, Janów, Myszów, Żarki, Przyrów, Jerzy Kurpiński, Ponury). Częstochowa 1998.

35 Jerzy Kurpiński ps. „Ponury” (1918-1955), żołnierz września 1939 r. i uczestnik bitwy pod Kockiem, oficer AK; stworzył pierwszy w rejonie częstochowskim tak dobrze zorganizowany oddział partyzancki; zbudował linie siedmiu bunkrów leśnych od Julianki do Zółwia, przyjął pierwsze zrzuć lotnicze na koszach „Trawa”, „Ogórek”, „Orzech”, „Oleandry”, „Olcha”; szkolił podoficerów i werbował do oddziału podchorążych z Częstochowy; z jego inicjatywy powstały placówki w Przyrówie, w Janowie, w Olsztynie. W Żarkach, założone przez nauczycieli, leśników, granatowych policjantów, które szkolił i przygotował do akcji odbioru zrzuć, sabotażu, ataków na tory kolejowe, zakłady rolne, urzędy gminne; ponadto nawiązał kontakty z władzami leśnymi, posterunkami policji granatowej, miejscowymi nauczycielami, związkami ziemian „Uprawa” i z księżmi, a w szczególności z ks. Serafinem Opalko, kapłanem AK; ukrywał się przed represjami UB na Śląsku i w Wielkopolsce; podczas próby aresztowania w hotelu „Fregata” w Warszawie, rzekomo wypadł z okna 4 piętra w dniu 22 V 1955 r. Zwłoki odebrała rodzina z więzienia w Mokotowie.

36 Leopold Okulicki, ps. Niedźwiadek (1898-1946), generał brygady Wojska Polskiego, współtwórca SZP-ZWZ-AK, ostatni komendant główny Armii Krajowej, komendant główny NIE, cichociemny; aresztowany i więziony przez NKWD m.in. na Łubiance (1941 i 1945), w Lefortowie (1941 i 1945) oraz na Butyrkach (1945-46). Zmarł w sowieckim więzieniu na Łubiance.

37 Mieczysław Karłowicz herbu Ostoja (1876-1909), polski kompozytor i dyrygent; autor kompozycji symfonicznych i poematów symfonicznych; reprezentant nurtu późnego romantyzmu, tatarnik, fotografik i publicysta.

38 J. Ślaski: *Żołnierze wykłęci*. Wydanie I. Warszawa [brw], s. 23.

39 W 1991 roku Ministerstwo Kultury i Sztuki nadało szkole imię Jacka Malczewskiego.

40 Jacek Kiciński: *Wspomnienie o ojcu rzeźbiarzu*. Archiwum Rodzinne Kicińskich w Wymysłowie.

41 Jerzy Duga Gracj. *Golgota Jasnogórska trzeciego tysiąclecia*. Wstęp o. Jan Golonka. Jasna Góra 2010, s. 5.

42 M. Kiciński po latach wspominał, iż jego nauczyciel Krzysztof Wielgut, później był wykładowcą w Seminarium Niższego Stopnia w Częstochowie, gdzie nauki pobierał siostrzeniec żony artysty, Szymon Gołuchowski, proboszcz parafii Narodzenia Pańskiego w Pajęcznie, który zapamiętał swojego nauczyciela, jako obrońcę polskości i kustosza kultury narodowej.

43 Camille Claudel (1864-1943), francuska rzeźbiarka, siostra Paula Claudel`a, poety i dyplomaty. Camille w dzieciństwie postanowiła zostać rzeźbiarką. Studiowała w Akademii Colarossiego. Około 1884 r. zaczęła rzeźbić w pracowni Rodina. Została jego

kochanką. Claudel i Rodin mieli na siebie ogromny wpływ artystyczny; mówiono nawet, że to Rodin wzorował się na pracach Claudel. Jej rzeźby były dynamiczne, wykonane na ogół w kamieniu i brązie. Octave Mirbeau pisał o niej „Rewolta przeciw naturze! Kobieta-geniusz!”; od 1906 r. stan zdrowia Camille Claudel się pogarszał. Zapadła ona na chorobę psychiczną. W jej trakcie zniszczyła większość swoich rzeźb. Brat Paul ubezwłasnowolnił ją, w efekcie czego trafiła z inicjatywy matki do szpitala psychiatrycznego Ville-Evrard w Neuilly-sur-Marne, żeby wkrótce w obliczu przybliżającego się frontu wojennego zostać przeniesioną do zakładu zamkniętego w Montfavet koło Awinionu. Spędziła tam ostatnie trzydzieści lat swojego życia.

44 Jacek Kiciński: *Wspomnienie o ojcu rzeźbiarzu*. Archiwum Rodzinne Kicińskich w Wymysłowie.

45 Jerzy Duda-Grac (1941-2004), polski malarz, rysownik, scenograf, pedagog. Ukończył Państwowe Liceum Technik Plastycznych w Częstochowie (obecna nazwa: Zespół Szkół Plastycznych im. Jacka Malczewskiego w Częstochowie), a następnie Wydział Grafiki filii Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, gdzie otrzymał dyplom w 1968; tam też w latach 1976–1982 był docentem, wykładowcą malarstwa i grafiki; w latach 1992–2001 wykładał w Europejskiej Akademii Sztuk w Warszawie, a później, aż do śmierci, pracował na stanowisku profesora na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Zmarł na atak serca 5 listopada 2004; w trakcie pleneru malarskiego w Łagowie.

46 Jerzy Marian Kędziora, ur. 1947 w Częstochowie; rzeźbiarz i medalier, projektant wnętrz, terenów zielonych i zurbanizowanych; nauczyciel w częstochowskim Zespole Szkół Plastycznych im. Jacka Malczewskiego, którego jest absolwentem. Od 2003 realizował symultaniczny pomnik muzyka i polityka Jana Ignacego Paderewskiego, którego pierwsze elementy zaistniały w Waszyngtonie, Chicago, Bydgoszczy, Kąsnej Górnej, Nowym Jorku. W 2008 r. wystawił swoje prace w parku Clifton, w Rotherhamie, na północy Anglii. W 1972 ukończył gdańską Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych (obecnie Akademia Sztuk Pięknych), uczestnik krajowych i międzynarodowych sympozjów i festiwali.

47 Marian Michalik (1947-1997), w 1966 r. ukończył częstochowskie Liceum Sztuk Plastycznych im. Jacka Malczewskiego. Po dyplomie zajmował się projektowaniem i grafiką użytkową. W 1979 r. został przyjęty do Związku Polskich Artystów Plastyków. Od tego czasu wystawiał swoje prace w kraju i za granicą. Zdobył wiele nagród na polskich i międzynarodowych konkursach. W 1987 r. został członkiem Europejskiej Akademii Sztuki, Nauki i Literatury w Paryżu. Jego obrazy, na których kreował światy tajemniczych martwych natur budowanych ze zwykłych przedmiotów, sprzedawały najlepsze galerie i domy aukcyjne. Krytyka uznała go za znaczącego przedstawiciela polskiego nurtu realizmu magicznego. 6 III 1997 r. zginął z żoną w wypadku samochodowym. Od 2001 r. w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie odbywa się Ogólnopolski Konkurs na Obraz dla Młodych Malarzy im. Mariana Michalika.

48 Roman Lonty (1943-2013), Architekt, grafik, malarz, nauczyciel akademicki; studiował malarstwo i architekturę wnętrz w PWSSP w Gdańsku. Dyplom z projektowania uzyskał w 1969 roku. Stypendysta Rządu Włoskiego: w 1978 roku zrealizował indywidualny program studyjno-projektowy w pracowniach najwybitniejszych włoskich twórców XX wieku. W 1985 r. zrealizował zbliżony projekt w Holandii i Belgii na zaproszenie fundacji Art Publicity w Dordrech; ponadto prowadził Galerię Lonty Petry, której częścią od roku 1994 była Galeria Autorska Dudy Gracza, do śmierci artysty w 2004 roku. Lonty odbył kilkadziesiąt podróży artystycznych; uczestniczył w plenerach malarskich m.in. w Meksyku, we Włoszech, w Hong Kongu, na Filipinach, w Chinach, Indiach, Nepalu, Tybecie, na Kubie, w Tajlandii, Laosie i Kambodży.

49 Franciszek Starowieyski (1930-2009), wybitny artysta plastyk; pochodził z rodziny szlacheckiej, pieczętującej się herbem Biberstein; brat prof. księdza Marka Starowieyskiego, znawcy tematyki biblijnej; małżonek Ewy Starowieyskiej (1930-2012), znanej scenografki; jego synem jest malarz i rysownik Antoni Starowieyski (ur. 1973). W latach 1949-1952 studiował malarstwo w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie u Wojciecha Weissa i Adama Marczyńskiego, a następnie w ASP w Warszawie u Michała Bylina, gdzie uzyskał dyplom w 1955. Sławę i uznanie zyskał w latach 60. serią plakatów teatralnych

i filmowych. Zajmował się malarstwem, plakatem, grafiką użytkową, scenografią teatralną i telewizyjną. Był twórcą tzw. teatru rysowania. Jego malarstwo cechowały fascynacja ciałem kobiecym, zmysłowością oraz refleksja nad przemijaniem i śmiercią. Wystawiał w galeriach i muzeach w Polsce oraz Austrii, Belgii, Francji, Holandii, w Kanadzie, Szwajcarii, USA, we Włoszech i in. Był laureatem wielu nagród, m.in.: Grand Prix na Biennale Sztuki Współczesnej w Saõ Paulo (1973), Grand Prix za plakat filmowy na festiwalu w Cannes (1974), Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu w Paryżu (1975), Annual Key Award gazety Hollywood Reporter (1975-1976), nagrody na Międzynarodowym Biennale Plakatu w Warszawie i na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Chicago (1979-1982); jego twórczość ostentacyjnie nawiązywała do starych XVII-wiecznych mistrzów i była przesycona groteską oraz humorem. Obraz *Divina Polonia Rapta Per Europa Profana*, co znaczy: *Boska Polska porwana przez świecką Europę* wystawiony w polskim przedstawicielstwie w Unii Europejskiej w Brukseli (1998) wywołał wiele kontrowersyjnych ocen. W 1994 r. otrzymał Nagrodę „Złotej Maski” za scenografię do komediodramatu *Ubu Król czyli Polacy* Krzysztofa Pendereckiego w Teatrze Wielkim w Łodzi, a w 2004 Nagrodę Ministra Kultury w dziedzinie sztuk plastycznych. W 2005 został odznaczony przez ministra kultury Waldemara Dąbrowskiego Złotym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis.

50 Marek Hłasko (1934-1969), prozaik i scenarzysta filmowy. Zdobył rozgłos i popularność dzięki nietypowemu stylowi twórczości, a także niekonwencjonalnemu zachowaniu (szczególnie ubiorowi). Był legendą młodego pokolenia, symbolem nonkonformizmu. Potężnie zbudowany (84 kg), w istocie nadwrażliwy, niepewny, ze skłonnością do depresji i inklinacja do awantur. Gdy nie chciano przedłużyć mu paszportu, poprosił o azyl polityczny w Berlinie Zachodnim. Po 3 miesiącach rozmyślił się i próbował wrócić do kraju, ale zanim doczekał się odpowiedzi wyjechał w 1959 do Izraela. Nie mógł żyć bez Polski, ale nie mógł także do niej wrócić. Wiódł życie tułaczę, chwytając się pracy fizycznej w celu zapewnienia sobie podstawowych warunków bytowych. Od 1960 mieszkał w Niemczech, z żoną, sławną niemiecką aktorką Sonją Ziemann. Piętnowany przez władze PRL.

51 I. Górnicka-Zdziech: *Przewodnik inteligentnego sokoła według Franciszka Starowieyskiego*. Warszawa 2004.

52 I. Górnicka-Zdziech. *Listy miłosne Franciszka Starowieyskiego*. Warszawa 2010, s. 124.

53 Stanisław Ignacy Witkiewicz, ps. Witkacy (1885-1939), polski malarz, fotografik, pisarz, dramaturg i filozof.

54 www.cytaty.w.szu.pl

55 Zamoyski August (1893-1970), polski rzeźbiarz; syn Tomasa Zamoyskiego i Ludmiły z węgierskiej linii Zamoyskich, wnuk Augusta Zamoyskiego (1811-1889). Pierwsze nauki pobierał w rodzinnym Jabloniu. Tutaj nauczył się podstaw rzemiosła rzeźbiarskiego; w majątku rodziców poznał ponadto podstawy kowalstwa i stolarstwa. Studiował za granicą: w Szwajcarii ekonomię na uniwersytecie we Fryburgu, potem w Niemczech w Heidelbergu filozofię. W Berlinie uczęszczał na kurs rysunku malarza Lovisa Corinthy. Podczas I wojny w 1914 dostał się do niewoli niemieckiej. W Berlinie pracował jako kamieniarz i snycerz, wieczorami chodził na kursy rysunkowe aktu w szkole Lewin-Funke. W snycerskim warsztacie gdzie pracował dostrzegł go przypadkowo Joseph Wackerle (wykładowca w berlińskiej Kunstwerbeschule) i zaproponował mu pracę u siebie. W 1917 r. przeniósł się do Monachium. W trakcie pobytu w tym mieście poznał Stanisława Przybyszewskiego i za jego pośrednictwem nawiązał kontakt z poznańską grupą ekspresjonistyczną „Bunt”. Po powrocie do kraju brał udział w wystąpieniach tej formacji a następnie przeniósł się do Zakopanego. Wraz z Leonem Chwistkiem, Tytusem Czyżewskim i Stanisławem Ignacym Witkiewiczem współtworzył grupę „Ekspresjonistów Polskich”, która wkrótce przyjęła nazwę Formistów. W 1920 r. odwiedził Nowy Jork. Od 1923 przebywał głównie we Francji, jednak kilka miesięcy w roku spędzał w Zakopanem, gdzie zachował pracownię. Równocześnie odnosił sukcesy sportowe. Rozgłosu nabrał jego przejazd rowerem z Paryża do Zakopanego - 2928 kilometrów po 130 dziennie. W 1929 roku był głównym organizatorem wystawy sztuki polskiej w Paryżu. W latach 1940-1955 mieszkał w Brazylii, gdzie założył i prowadził szkoły rzeźby w Rio de Janeiro i Saõ Paulo. Od 1955 roku do śmierci mieszkał

i tworzył we Francji. W 1956 roku przyjechał do kraju i wygłosił szereg odczytów o swoich doświadczeniach rzeźbiarskich.. Zmarł w Saint-Clar-de-Rivière, we Francji. W początkach swej twórczości Zamojski podejmował eksperymenty nawiązujące do ekspresjonizmu, kubizmu i futuryzmu. Wykonał m.in. rzeźby: Portret Rogera Raczyńskiego, Ich dwoje, Portret Antoniego Słonimskiego, Portret Leopolda Zborowskiego, Pomnik kardynała Adama Stefana Sapiehy przy kościele franciszkanów w Krakowie.; akty i portrety kobiece: Wenus, Wierka - głowa dziewczyny wiejskiej, Rhea czyli Ziemia, Pomnik Chopina w Rio de Janeiro, Portret Inge Vargas, synowej prezydenta Brazylii, Św. Jan Chrzcziciel, Ból istnienia - projekt na pomnik żołnierzy Armii Krajowej w Warszawie, Wniebowstąpienie, Zmartwychwstanie lub Przemienienie - projekt własnego nagrobka, Posąg kardynała Adama Stefana Sapiehy.

56 Robert Herrick (1591-1674), angielski poeta i duchowny, rojalista. Zaliczany do szkoły tzw. *Cavalier Poets*, autor głównie liryków miłosnych i epigramatów, kontynuator tradycji elżbietańskiej w poezji.

57 F. Vedovello: *Van Gogh, życie i twórczość*. Warszawa 2003.

58 Jonasz Kofta właśc. Janusz Kafta (1942-1988), polski poeta, dramaturg, satyryk, piosenkarz i malarz.

59 R. Żebrowski: *Zbigniew Herbert. „Kamień na którym mnie urodzono”*. Warszawa 2011, s. 568.

60 Jacek Kiciński: *Wspomnienie o ojcu rzeźbiarzu*. Archiwum Rodzinne Kicińskich w Wymysłowie. Komentarzem uzupełniającym do lat nauki i studiów rzeźbiarskich, dotyczącymi warsztatu i wyborów przed jakimi stawał artysta jest relacja syna Jacka: „Pewnego dnia kiedy w trzeciej klasie szkoły podstawowej, dosłownie pięć minut przed lekcją poczułem to niezbyt przyjemne zaciśnięcie gardła ze strachu (pewnie takie są pierwsze oznaki stresu) - nie mam zadania domowego -dowiedziałem się od kolegi. No cóż, solidnego wypracowania na temat: »Kim chciałbym zostać« już nie spreparuję. Dosłownie na kolanie napisałem jedno zdanie: »Chciałbym zostać rzeźbiarzem ponieważ ten zawód bardzo mi się podoba«. Moje wypracowanie musiałem trochę rozwinąć i uzupełnić o wstęp, rozwinięcie i zakończenie. Nie wspomnę już jaką ocenę otrzymałem za tą ignorancję. Oczywiście napisałem przykładowe wypracowanie i ocenę poprawiłem. Dzisiaj jak sobie o tym myślę to mógłbym znowu powiedzieć jednym zdaniem: »Jestem rzeźbiarzem ponieważ ten zawód bardzo mi się podoba«. Cała edukacja artystyczna to przecież sama przyjemność bo to kwintesencja zawodu rzeźbiarza. Nigdy ciężka i brudna robota mnie nie przerażała a wręcz do dzisiaj psychicznie przy niej odpoczywam, działała jak sport, wydziałają się endorfiny rozświetlając perspektywę gotowej rzeźby jak promyk słońca poranną rosę, która czasem zastaje mnie w pracowni”.

61 Jacek Kiciński: *Wspomnienie o ojcu rzeźbiarzu*. Archiwum Rodzinne Kicińskich w Wymysłowie.

62 Edward Dziewoński, Dudek (1916-2002), polski aktor, reżyser, satyryk.

63 Adolf Dymśa, właściwie Adolf Bagiński (1900-1975), polski aktor kabaretowy i filmowy.

64 Mieczysława Ćwiklińska, właściwie Mieczysława Trapszo, pseudonim Gryf, Lińska (1879-1972), polska aktorka teatralna i filmowa, śpiewaczka sopranowa.

65 J. Cassou: *Encyklopedia symbolizmu*. Warszawa 1997.

66 Kazimierz Gustaw Zemła (ur. 1 XI 1931 r.), artysta rzeźbiarz, pedagog; w latach 1952-58 studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Od 1958 roku uczył rzeźby w ASP; w latach 1973-76 był jej prorektorem, a w latach 1983-86 dziekanem. Od 1964 doktor, od 1987 roku profesor zwyczajny, członek Polskiej Akademii Umiejętności. Od 2006 roku Członek Rady Programowej Fundacji Centrum Twórczości Narodowej. Specjalizuje się w zakresie rzeźby pomnikowej, sakralnej, studyjno-kameralnej. Jest autorem m.in. pomnika na grobie podróżnika Toniego Halika na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie. Autor pomników: Powstańców Śląskich w Katowicach,, Władysława Broniewskiego

w Płocku, Polegli Niepokonani w Warszawie, Ludwika Waryńskiego w Warszawie, Jana Pawła II w Mistrzejowicach, Bitwy o Monte Cassino w Warszawie, Henryka Sienkiewicza w Warszawie, Pomnika Czynu Polaków w Szczecinie. Odznaczony: Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski i Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

67 Jerzy Mieczysław Jarnuszkiewicz herbu Lubicz (1919-2005), artysta rzeźbiarz, twórca pomnika Małego Powstańca w Warszawie; studiował w Krakowie w latach 1936-1938 w Instytucie Sztuk Plastycznych pod kierunkiem prof. Franciszka Kalfasa i prof. Karola Homolacsa. W 1939 r. uzyskał dyplom w Miejskiej Szkole Sztuk Zdobniczych w Warszawie. W latach 1947-1950 studiował na Wydziale Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie u Tadeusza Breyera i Franciszka Strynkiewicza. Od 1950 do lat 80. (przez 35 lat) prowadził w warszawskiej ASP pracownię rzeźby. W latach 60. tworzył geometryczne ażurowe rzeźby z metalu o ogromnych rozmiarach, ustawiane w przestrzeni miejskiej. Były to rzeźby z zespawanych odpadków: haków, ostrzy, bagnetów, łańcuchów, części urządzeń, kompozycji abstrakcyjnych, m.in. „Okien”, „Rytmów”, „Zagli”.

Był także twórcą tradycyjnych rzeźb. W 1960 w Kaliszu stanął pomnik Adama Asnyka jego autorstwa. Natomiast 30 maja 1983 odsłonięto w Lublinie na dziedzińcu KUL rzeźbę pomnikową Jana Pawła II i kardynała Stefana Wyszyńskiego. Jarnuszkiewicz jest także współautorem Międzynarodowego Pomnika Męczeństwa w Oświęcimiu-Brzezince, rzeźb w Elblągu, Ravnem (Słowenia). Zajmował się również medalierstwem i grafiką artystyczną.

68 Tadeusz Łodziana (1920-2011), artysta rzeźbiarz, pedagog; w latach 1937-1939, oraz 1941-1942 studiował w Instytucie sztuk Plastycznych we Lwowie. Po wojnie kontynuował naukę w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Sopocie. W latach 1949-1950 pracował tam jako młodszy asystent. W 1954 r. uzyskał dyplom Wydziału Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i rozpoczął pracę na uczelni. W latach 1966-1969, 1972-1968 był dziekanem Wydziału Rzeźby. W latach 1968-1972 był prorektorem uczelni. W 1989 r. uzyskał tytuł profesora zwyczajnego. Tworzył monumentalne pomniki, rzeźbę plenerową, kameralną i portrety. Jest autorem wielu pomników, m.in. marszałka J. Piłsudskiego na Placu Saskim w Warszawie.. Uroczystego odsłonięcia pomnika dokonała Jadwiga Jaraczewska, córka Piłsudskiego oraz prezydent RP Lech Wałęsa w 75. rocznicę bitwy warszawskiej 1920. Wśród jego realizacji na uwagę zasługują: Pomnik Mauzoleum Ofiar Faszyzmu, Łódź-Radogoszcz, 1961; pomnik Mikołaja Kopernika, Bogota 1974; Pomnik Żołnierza Polskiego i Niemieckiego Antyfaszysty, Berlin Friedrichshain, 1972; rzeźby Przydrożna i Otwarta , Nowy Jork, 1987; epitafium z popiersiem Stefana Starzyńskiego , Warszawa , Bazylika archikatedralna św. Jana Chrzciciela, 1981. Jest laureatem wielu nagród. m.in. w 1981 - Grand Prix na Międzynarodowym Biennale Rzeźby w Monaco za rzeźbę „Otwarta II”. Swoimi radami i doświadczeniem wspierał Muzeum Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Kulkówce Radziejowskiej, które powstało głównie z jego inicjatywy. Prof. Łodziana często mawiał „Wszystkie miłości przeminęły, pozostała jedynie miłość do Lwowa!” Do końca życia pozostał wierny swej lwowskiej ojczyźnie, którą szeroko popularyzował w świecie.

69 Adam Myjak (ur.1947 w Starym Sączu) - polski rzeźbiarz i pedagog, profesor zwyczajny Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Dzieciństwo spędził w Częstochowie, gdzie rozpoczął edukację szkolną. W 1958 r. wraz z rodzicami przeniósł się do Sandomierza, gdzie ukończył w 1965 roku I Liceum Ogólnokształcące - Collegium Gostomianum. Jeszcze w tym samym roku rozpoczął studia na wydziale rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, którą ukończył z wyróżnieniem w 1971 roku. Po obronie pracy dyplomowej związał się na stałe z macierzystą uczelnią, w której pracuje do dziś (tylko w latach 1979-1981 przebywał na stypendium twórczym w Duisburgu - RFN, gdzie na tamtejszym Uniwersytecie na Wydziale Sztuk Pięknych wykładał rzeźbę). Był trzykrotnie wybierany na rektora tej uczelni (1990; 1996; 1999). Prowadził też na ASP własną pracownię rzeźby. Ponadto był redaktorem graficznym pisma „Orientacja” oraz miesięcznika literackiego młodych „Nowy Wyraz”. Pierwsze sukcesy artystyczne zaczął odnosić już w czasach studenckich: zdobył I nagrodę za „Najlepszą pracę roku 1967 studentów Warszawy” - rzeźba; w 1968 roku dwie II nagrody - za rzeźbę i III nagrodę oraz wyróżnienie za rysunek na ogólnopolskim

konkursie o tematyce wojskowej; w 1970 roku - uhonorowany został III nagrodą w ogólnopolskim konkursie na dzieło plastyczne o tematyce kopernikowskiej; w 1971 roku - II nagrodą w ogólnopolskim konkursie „Człowiek, praca, środowisko”, II nagrodą za rzeźbę „Stary aktor”; 1972 roku zdobył I i II nagrodę w konkursie na medal kopernikowski, I nagrodę i wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie medalierskim z okazji XXX-lecia LWP; brązowy medal na III Festiwalu Sztuk Pięknych; w 1973 roku przyznano mu srebrny medal na IV Festiwalu Sztuk Pięknych; w 1979 roku - nagrodę Hiszpańskiej Federacji Żeglarskiej za rzeźbę „Żagiel” na VII Międzynarodowym Biennale „Sport w sztukach pięknych” w Barcelonie; w 1983 roku uzyskał wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie na pomnik powstania warszawskiego; w 1987 roku - nagrodę honorową X Międzynarodowej Sztuki Krajów Nadbałtyckich (Rostock); w 1990. Ponadto 1983 rok: Pomnik katyński dla tzw. Dolinki Katyńskiej na warszawskich Powązkach Wojskowych (zrealizowany, ale ze względów politycznych nie ustawiony, obecnie przed konkatedrą Matki Bożej Zwycięskiej na Kamionku), 1984 rok: Pomnik Tadeusza Kościuszki w Połańcu, Pomnik Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Zalesiu koło Warszawy. W 2005 został odznaczony przez ministra kultury Waldemara Dąbrowskiego Złotym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis.

70 Z. Raszewski: *Raptularz 1967-1968*. Warszawa 1993.

71 W. Gomułka: *Stanowisko partii - zgodne z wolą narodu*. Warszawa 1968.

72 T. Łodziana: *Wspomnienie o profesorze Tadeuszu Wnuku*. Warszawa, maj 1996.

73 Tamże.

74 Tamże.

75 August François-René Rodin (1840-1917), francuski rzeźbiarz.;w swoich pracach łączył elementy symbolizmu i impresjonizmu. Był prekursorem nowoczesnego rzeźbiarstwa.

76 Aristide Maillol (1861-1944), francuski malarz i projektant tkanin, a w późniejszym okresie także rzeźbiarz, tworcą w stylu secesji, nabizmu, a także w stylu klasycznym. Studiował na École nationale supérieure des beaux-arts w Paryżu.

77 Despiau Charles (1874-1946), francuski rzeźbiarz i rysownik; w latach 1907-14 współpracował z A. Rodinem, ale zainspirowany antykiem tworzył realistyczne i harmonijne dzieła, głównie akty i popiersia w marmurze bądź brązie.

78 T. Łodziana: *Wspomnienie o profesorze Tadeuszu Wnuku*. Warszawa, maj 1996.

79 Tamże.

80 Tamże.

81 Tamże.

82 Aleksandr Michajłowicz Gierasimow (1881-1963), był przeciętnym artystą, za to człowiekiem prominentnym w ZSRR. W latach 1903-1915 studiował w Moskiewskiej Szkole Malarstwa, Rzeźby i Architektury, przyjmując nurt antyawangardowy i oddając część sztuce reprezentacyjnej. Po odbyciu służby wojskowej w okresie I wojny światowej pracował jako scenograf; po założeniu w 1925 r. własnego studia malarzkiego w Moskwie, oddanie gloryfikował rewolucję. Oprócz malarstwa rodzajowego i krajobrazowego malował martwe natury i portrety oraz zajmował się scenografią i ilustratorstwem. Do historii sztuki przeszedł jako przedstawiciel realizmu socjalistycznego; portretował czołowe postaci okresu władzy radzieckiej; pisarza Maksyma Gorkiego, a także przywódców państwowych Włodzimierza Iljicza Lenina (Lenin na trybunie, 1929-1930) i Józefa Wissarionowicza Stalina (Stalin i Woroszyłow na Kremlu, 1938). Za ostatnią z prac otrzymał w 1941 r. Nagrodę Stalinowską; w 1945 r. namalował obraz Konferencja teherańska, który ilustrował ważne spotkanie przywódców koalicji hitlerowskiej w Iranie z 1943 r. Gierasimow zajmował wysokie stanowiska w strukturach decydujących o kształcie i kierunkach rozwoju sztuk pięknych w ZSRR: od 1925 r. jako członek, istniejącego od 1922 r. Stowarzyszenia Artystów Rewolucyjnej Rosji (AChRR), w 1928 r. przemianowanego na Stowarzyszenie Artystów Rewolucji (AChR) i działającego tylko do 1932 r. W latach 1947-1957 urzędował jako przewodniczący Akademii Sztuk Pięknych Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Uczestniczył w Kongresie Pokoju we Wrocławiu, na który przyjechał m.in. Pablo Picasso.

83 Michał Anioł (właściwie Michelangelo Buonarroti) (1475-1564), włoski rzeźbiarz, malarz, architekt i poeta; jeden z najwybitniejszych artystów renesansu.

84 T. Łodziana: *Wspomnienie o profesorze Tadeuszu Wnuku*. Warszawa, maj 1996.

85 Tamże.

86 Tamże.

87 Łesia Ukrainka, ukr. Леся Українка, właśc. Łarysa Kosacz-Kwitka, Лариса Косач-Квітка (1871-1913), ukraińska poetka, pisarka i krytyk literacki; córka pisarki Oleny Pczilki; debiutowała w 1884 r. dwoma wierszami opublikowanymi w lwowskim czasopiśmie „Zoria” („Gwiazda”). Oprócz licznych wierszy (tomy: *Na kryłach piseń*, *Dumy i mriji*, *Widhuky*) opublikowała również kilkanaście dramatów; często nawiązywała do starożytności, a także do współczesnych sobie prądów literatury zachodniej. Jako krytyk literacki, Łesia Ukrainka opublikowała szereg artykułów poświęconych historii i współczesności literatury europejskiej, w tym polskiej. Jest również autorką licznych przekładów na język ukraiński, m.in. Homera, Heinego, Hugo, Byrona i Mickiewicza.

88 T. Łodziana: *Wspomnienie o profesorze Tadeuszu Wnuku*. Warszawa, maj 1996.

89 Tamże.

90 Jacek Puget (1904-1977), artysta rzeźbiarz; syn rzeźbiarza Ludwika Pugeta; absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, uczeń Xawerego Dunikowskiego i Henryka Kuny; od 1923 r. uczeń Émile-Antoine Bourdelle; profesor Akademii Sztuk Pięknych. Autor rzeźb: „Słoneczko” (1923), „Popiersie dziewczyny” (1932), „Ecce Homo” (1943), popiersie Jana Cybisa (1946), Stefana Jaracza (1951), Henryka Sienkiewicza (1961-1966), tworzył także projekty scenograficzne dla teatru Cricot.

91 Stanisław Teisseyre (1905-1988), artysta malarz, rektor Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu i Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku (której siedziba mieściła się początkowo w Sopocie), poseł na Sejm PRL I kadencji z okręgu Gdynia. Syn profesora geologii Wawrzyńca Teisseyra. Po ukończeniu studiów wyższych z dziedziny sztuki we Lwowie kształcił się na uczelniach francuskich i włoskich. W 1934 był współorganizatorem Związku Zawodowego Artystów Plastyków we Lwowie. W latach 1939-1941 należał do Związku Radzieckich Artystów Plastyków. Po wojnie zakładał w Lublinie Związek Polskich Artystów Plastyków, wybrano go do krajowego Zarządu Głównego ZPAP (od 1952 przewodniczący). Pracował jako scenograf w Teatrze Wojska Polskiego w Lublinie, a później w Łodzi. Redagował pismo „Przegląd Artystyczny”. Był wybrany rektorem poznańskiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych (1947-1950, 1965) oraz sopoocko-gdańskiej ASP (od 1951 do 1962). W tej ostatniej był także dziekanem Wydziału Malarstwa (1962-1965). W początkach kariery tworzył w stylu socrealizmu. Należał do PZPR.

92 Jerzy Bandura (1915-1987), artysta rzeźbiarz, grafik, medalier; był uczniem Xawerego Dunikowskiego; od 1946 r. był wykładowcą w ASP w Krakowie. W roku 1957 uzyskał tytuł profesora; od 1947 r. należał do krakowskiej Grupy Dziewięciu Grafików. Tworzył drzeworyty i ekslibrysy. Tworzył prace medalierskie, projekty mebli, witraży i mozaik; tworzył rzeźby o tematyce sportowej i sakralnej. głównie znany był jednak jako twórca monumentalnych rzeźb i pomników. W 1986 wszedł w skład Ogólnopolskiego Komitetu Grunwaldzkiego. Autor takich realizacji jak: Pomnik tragedii skalbierskiej (1946); Pomnik Adama Mickiewicza w Nowym Sączu, Pomnik Mikołaja Kopernika w Chorzowie, Pomnik Zwycięstwa Grunwaldzkiego - odsłonięty w 1960 r., (razem z architektem Witoldem Cęckiewiczem).

93 Maria Jarema (1908-1958), artystka malarka, rzeźbiarka i scenografka; w kręgach artystycznych nazywana Jaremianką. W latach 1929-1935 studiowała rzeźbę w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w pracowni Xawerego Dunikowskiego; współzałożycielka awangardowej i radykalnie lewicowej Grupy Krakowskiej.

Przed wojną zajmowała się głównie rzeźbą, którą później porzuciła dla malarstwa. Tworzyła obrazy abstrakcyjne. Od 1951 wykonywała monotypie. Wykorzystując tę technikę i łącząc ją niekiedy z farbami olejnymi i temperami wykonała jedno z najsławniejszych swoich cykli malarskich: *Penetracje* oraz *Rytmy*. Współpracowała z teatrami Cricot,

Cricot 2 oraz teatrykiem kukielkowym Adama Polewki, który tworzył szopki polityczne w środowisku robotników. Była siostrą malarza Józefa Jaremy i Władysława Jaremy, aktora i twórcy Teatru Lalki, Maski i Aktora Groteska oraz żoną Kornela Filipowicza.

94 Lidia Minticz-Skarżyńska (1920-1994) i Jerzy Skarżyński (1924-2004), małżeństwo, wybitni scenografowie teatralni i filmowi oraz malarze.

95 Janusz Minkiewicz (1914-1981), pisarz, i satyryk; absolwent Uniwersytetu Warszawskiego (studiował filozofię); w latach 1940-1941 kierował wileńskim teatrem satyrycznym. Był kontynuatorem poezji Skamandrytów. Wydał m.in. zbiory wierszy *Nic świętego* (1939), *Kazania i skargi* (1946), *Pigułki* (1951), *Sonety warszawskie i pierwsze wiersze* (1956), *Wiersze wybrane 1944-1954* (1954). Był ponadto autorem humoresek, felietonów satyrycznych, szopek politycznych, polskiego libretta do operetki *Piękna Helena* Offenbacha, utworów dla dzieci (zbiór wierszy *Lenin w Poroninie*, 1951; *Ikar i spółka*, 1949; *Miś z parasolem*, 1946 i inne). Współpracował z „Przekrojem”, „Szpilkami”, „Cyrułikiem Warszawskim”. Zajmował się przekładami, głównie literatury rosyjskiej.

96 Józef Prutkowski właśc. Józef Nacht (1915-1981), pisarz i aktor; po wojnie krótko pełnił funkcję redaktora naczelnego pisma satyrycznego „Kocynder” w Katowicach, w 1949 r. przeniósł się do Warszawy. Początkowo kierował działem satyrycznym „Trybuny Wolności”; później przez wiele lat współpracował z Teatrem „Syrena” jako autor tekstów i wykonawca; ponadto współpracował z Polskim Radiem i tygodnikiem *Szpilki*.

97 T. Łodziana: *Wspomnienie o profesorze Tadeuszu Wnuku*. Warszawa, maj 1996.

98 Tamże.

99 Tamże.

100 Jacek Kiciński, ur.14.02.1966 r. w Częstochowie, absolwent PLSP Katowice 1981-86 i PWSSP Gdańsk 1987-92; Dyplom uzyskał na wydziale rzeźby w pracowni prof. Edwarda Sitka-1993 r.; Zajmuje się rzeźbą sakralną, monumentalną, portretową oraz kameralną realizując swoje prace w brązie, drewnie, sztucznych tworzywach, piaskowcu, granicie oraz innych opracowanych przez siebie technologiach. Prowadzi firmę „MORFES” s.c. RZEŻBA I ARCHITEKTURA WNĘTRZ, która realizuje często duże inwestycje od projektu do montażu w miejscu docelowym. Jego prace znajdują się w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą. Od 1999r. pracuje jako pedagog w Zespole Sztuk Plastycznych w Katowicach prowadząc pracownię rzeźby w metalu. **Wystawy indywidualne:** Gdańska Galeria Rzeźby „ZAR”- 93 r.; Galeria „TRIADA”-Sopot -93 r.; Galeria „PO SCHODACH” Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śl.-94 r.; Miejska Galeria Sztuki „EXTRAWAGANCE”- Sosnowiec-94 r.; GALERIA „A” Starogardzkie Centrum Kultury -Starogard Gdański -94r.; **udział w innych wystawach i plenerach:** „Malarstwo i Rzeźba”- zamek Gołub-Dobrzyń-93r.(wystawa poplenerowa); „Dyplom 92-93”-Warszawa -94 r.; „Salon Zimowy” Galeria „ZAR”-Warszawa-94r. (srebrny medal); „Młoda Rzeźba Gdańska”- Galeria „ZAR”-Gdańsk-94r.(II - nagroda); „Danziger Avangarde II” -Ratusz w Norderstedt - Hamburg-94 r.; Galeria „Sophie Edition”- wystawa po plenerze „Holz Symposium” -Berlin -95 r.; Udział w międzynarodowym eksperymentalnym projekcie „Kalejdoskop”-Berlin-95 r.; Galeria „EL”-„MY i...”- Elbląg -95 r.; „50-lecie PLSP Katowice”- Śląskie Centrum Kultury - Katowice -97 r.; „Ogrody Sztuki”- Czeladź -98 r.; „Konkurs na rzeźbę miejską”-Czeladź-98 r. (II-nagrada); Stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego-2000 r.; Wystawa Prac Pedagogów Ogólnokształcącej Szkoły Sztuk Pięknych w Katowicach-2000 r.; Galeria „PO SCHODACH” Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śl.-wystawa z okazji 75-ciolecia nadania praw miejskich; „Lengerch’2002.”-udział w międzynarodowym plenerze „Trinecke dny umeni” Trinec; 2003r.-udział w międzynarodowym, rzeźbiarsko-kamieniarskim plenerze. „Triennale Rzeźby Sakralnej, Kraków 2005 r.; Wystawa Prac Pedagogów Ogólnokształcącej Szkoły Sztuk Pięknych w Katowicach-2006 r.; „Śląskie Prezentacje” - Wilno 2006 r.; „Triennale Rzeźby Sakralnej, Kraków 2008 r.; Zbiorowa wystawa rzeźby środowiska śląskiego galeria „ELEKTROWNIA” -2008; Wystawa Prac Pedagogów Ogólnokształcącej Szkoły Sztuk Pięknych w Katowicach-2011 r.; Wystawa z okazji 15-tolecia Liceum Plastycznego w Zabrze-Dom Muzyki i tańca-2012. **REALIZACJE RZEŻBIARSKIE:** Ma na swoim koncie wiele realizacji świeckich i sakralnych między innymi: -rzeźby w Hotelu

Bałtyk w Gdyni; - plenerowa rzeźba pt. „Ławeczka” w Siemianowickim Parku Miejskim; - rzeźby na placu zabaw w Czeladzi; - „Ostatnia Wieczerza” (10x3m) realizacja w kościele p.w. Miłosierdzia Bożego w Szczecinie (wraz z ojcem Mirosławem Kicińskim); - figura Matki Bożej Boguckiej (wys.8m) Katowice Bogucice; - obelisk poświęcony pamięci św. Stanisława Kubiście - Katowice Kostuchna; - pomnik płk pilota Stanisława Skarżyńskiego Warta nad Wartą; - obelisk poświęcony pamięci śmierci dr T. Mieleckiego w Katowicach; - monumentalna Droga Krzyżowa na kalwarii Bazyliki NMP w Chełmie (piaskowiec, brąz) początek realizacji 2005 r.; - monumentalna rzeźba w parku na placu zabaw w Czeladzi - „Zyrafa” (ponad 5m); - monumentalna rzeźba Chrystusa Zmartwychwstałego do kościoła p.w. Miłosierdzia Bożego w Szczecinie 2006 r. wraz z nastawą ołtarzową 2007; - rzeźba orła jako zwieńczenie Pomnika Czynu Niepodległościowego w Siemianowicach Śląskich 2007; - płaskorzeźba portretowa upamiętniająca I rocznicę tragicznej śmierci Barbary Blidy. Siemianowice Śl. 2008 r.; - kamienne tablice upamiętniające siemianowickich policjantów zamordowanych przez Sowietów w Miednoje i innych obozach na wschodzie, Siemianowice Śl.2008; - pomnik Mirosława Breguły - Chorzów 2010; - płaskorzeźba portretowa upamiętniająca o. Ludwika Mzyka Chrzów-2012 r.; - nagrobny pomnik poległych żołnierzy - Siemianowice Śl. 2010 r.; - pomnik Wawrzyńca Hajdy (śląskiego Wernyhory, piekarzanina, społecznika)- Piekary Śląskie .2012 r.; -pomnik upamiętniający 750 lat lokacji Bobrownik - Bobrowniki 2013 r. REALIZACJE RZEŹBIARSKO KONSERWATORSKIE: -konserwacja zabytkowego nagrobka rodziny Skowrońskich w Siemianowicach Śl. ; -kopia figury św. Jana w Katowicach ul. Św. Jana; -rekonstrukcja i kopia figury Chrystusa na krzyżu (1,8m) Katowice Załęże; -konserwacja i rekonstrukcja rzeźb i płaskorzeźb na elewacji teatru im. St. Wyspiańskiego w Katowicach; -konserwacja zabytkowego krzyża wotywnego z wioski Bedersdorf - Katowice oś. 1000-lecia; -rekonstrukcja brakujących elementów (detal rzeźbiarsko-architektoniczny)kościół p w. N.M.P. w Katowicach; -konserwacja zabytkowego krzyża wotywnego pochodzącego z okolic ronda im. gen. Ziętka - Katowice Bogucice, parafia p w. św. Szczepana; -konserwacja zabytkowego nagrobka na cmentarzu ewangelickim w Katowicach. W 2014 r. laureat konkursu na pomnik rotmistrza W. Pileckiego w Warszawie

101 Jacek Kiciński: *Wspomnienie o ojcu rzeźbiarzu*. Archiwum Rodzinne Kicińskich w Wymysłowie

102 Jacek Durski (ur. 16 X 1943 w Poznaniu), artysta malarz, poeta, prozaik, rzeźbiarz; członek *International Association of Art.*; swoje prace plastyczne prezentował na 37 wystawach indywidualnych w kraju i za granicą, brał udział w 23 wystawach ogólnopolskich i międzynarodowych; w 1981 został zakwalifikowany przez Kunstpodium do pierwszej dziesiątki awangardowych malarzy Europy Wschodniej; w 1988 otrzymał Nagrodę Okręgową ZPAP. W 1988 otrzymał Nagrodę Okręgową ZPAP. Jest autorem płaskorzeźby-ołtarza *Poznań 56 - Katowice 81* w Kalkowie oraz współautorem *Prześwitu im. Strzeńskiego* w Lublinie. Mieszka w Sosnowcu.

103 Zygmunt Brachmański, urodził się w 1936 roku w Rydułtowach koło Rybnika. Ukończył studia w ASP w Krakowie (Wydział Rzeźby). Obecnie mieszka i pracuje w Katowicach. Jego prace są ozdobą wielu kościołów i placów w całej Polsce. Na szczególną uwagę zasługują: w Katowicach - Orły Śląskie, pomnik Harcerzy i Wojciecha Korfantego, w Dąbrowie Górniczej - Pomnik Fryderyka Chopina, w Chorzowie i WPKiW oraz parkach Katowic - rzeźby plenerowe, w Zawierciu - *Pomnik pomordowanych i poległych*, w Zarzu - *Pomnik Monte Cassino*, w Radlinie - *Pomnik Walki i Zwycięstwa*. Dużo uwagi poświęcił rzeźbie sakralnej i realizacji wnętrz w około 50 świątyniach diecezji katowickiej, krakowskiej, opolskiej i szczecińskiej. Dla Katedry pw. Chrystusa Króla w Katowicach wykonał *Drogę Krzyżową* i rzeźbę prymasa A. Hłonda. Dla bazyliki w Piekarach Śl. i katedry w Gliwicach ołtarze odlane w brązie. Pracował również na rzecz kościoła pw. Św. Ducha w Bytkowie. Na zamówienie sióstr z Panewnink podjął się wykonania rzeźby Madonny w marmurze karolińskim. W tym celu udał się do Rzymu, gdzie w pracowniach Muzeum Watykanu realizował to trudne przedsięwzięcie artystyczne. Prace Z. Brachmańskiego były prezentowane na wielu wystawach, m.in.: 1976 - BWA Rzeszów, 1979 - BWA Katowice, 1981 - Berlin NRD i BWA Katowice, 1983 Fra Angelico - Muzeum Diecezji Katowice, 1984 - Galeria „Na Piaskach” Czeladź, 1986 - Galeria „Centrum” Katowice, 1987 - BWA Katowi-

ce, 1988 - Bad Breisig - RFN, 1993 - Wystawa w Rybniku, 1998 - BWA Katowice. Rzeźby Z. Brachmańskiego były wielokrotnie wyróżniane a artysta nagradzany: 1964 - w konkursie rzeźbiarskim *Rzeźba jako element otoczenia człowieka pracy*, 1965 - wyróżnienie w konkursie *Człowiek i otoczenie*, 1970 - *Człowiek i Współczesność*, 1971 - *Człowiek i Maszyna*, 1972 - *Kobieta*, 1973 - *Nasz Kraj - Wielcy Nauki Polskiej*, 1978 - III nagroda w konkursie na *Pomnik Żołnierza Polskiego* w Katowicach, 1980 I nagroda w konkursie na *Pomnik Harcerzy* w Katowicach, 1983 - Nagroda *Trzech Powstańczych Skrzydeł* - za całokształt twórczości, 1984 - Nagroda Prezesa Rady Ministrów za *Pomnik Harcerzy*, 1993 - I nagroda w konkursie na *Pomnik Wojciecha Korfanteo* w Katowicach oraz nagroda Karola Miarki.

104 Stanisław Barnaś (1935-1981), absolwent Wydziału Ceramiki Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu, w latach 1961-1965 projektant w Zakładach Porcelany w Katowicach-Bogucicach, w latach 1966-1974 plastyk zakładowy KWK „Michał”, następnie miasta; zaprojektował słupy graniczne Siemianowic i zdobiące je mozaiki, był autorem mozaik ceramicznych w gmachu Biblioteki Miejskiej, w Szpitalu nr 1, i wystroju wnętrza Izby Tradycji, uprawiał także malarstwo sztalugowe, w 1982 r. współautoroprawy plastycznej wystawy „Tobie Polsko”, autorstwa zdziśława Janeczka; zmarł 1 II 1986 r. w Siemianowicach Śl.; pochowany na cmentarzu przy ul. Michałkowickiej.

105 Igor Neubauer (1936-1982), artysta malarz, związany z katowickim środowiskiem plastyków, członek Grupy „Arkat”; w latach 1956-1962 studiował na Wydziale Grafiki w Katowicach w filii krakowskiej ASP u A. Marczyńskiego; w 1971 uzyskał srebrny medal na wystawie Paryż-Jurissy; posługiwał się nasyconymi, często kontrastowymi barwami, kładzionymi delikatnie, drobnymi plamkami, uzyskując efekt drgania i zamglenia; tworzył symboliczne kompozycje figuralne, w których dominowały postacie nagich kobiet i mężczyzn. Twórczość Neubauera porównywana jest to dzieł symbolisty Odillona Redona, do którego sztuki odwoływali się surrealiści. Wraz z grupą „Arkat” współpracował z artystami takimi m.in. jak Andrzej Kowalski czy Roman Nowotarski oraz z młodym kompozytorem Mikołajem Góreckim.

106 Gerard Grzywaczyk, ur. 1941 r., artysta rzeźbiarz, absolwent AS w Krakowie, wydział rzeźby w pracowni prof. Jan Pugeta. Dyplom uzyskał w 1968 r. Autor realizacji monumentalnych, sakralnych, plenerowych, portretowych i medalierskich.

107 Archiwum Rodzinne Kicińskich w Wymysłowie. *Wspomnienie artysty rzeźbiarza Gerarda Grzywaczyka.*

108 Relacja Jacka Kicińskiego.

109 Archiwum Rodzinne Kicińskich w Wymysłowie. *Wspomnienie artysty rzeźbiarza Gerarda Grzywaczyka.*

110 Tamże.

111 Tamże.

112 *Wspomnienie księdza Jana Morcinka.* Archiwum Rodzinne Kicińskich w Wymysłowie.

113 Ryszard Reiff (1923-2007), polityk, prawnik, publicysta, przewodniczący Stowarzyszenia PAX, poseł na Sejm PRL IV i VIII kadencji, senator I kadencji. Podczas II wojny światowej członek ruchu oporu. Jako żołnierz AK dowodził kompanią w 3. batalionie 77 Pułku Piechoty AK walczącym na Nowogródczyźnie; w latach 1944-1946 więziony na terenie ZSRR; w latach 1950-1953 był redaktorem naczelnym „Słowa Powszechnego”. Kierował pracą organizacyjną Stowarzyszenia PAX; od 1981 do 1982 r. był członkiem Rady Państwa. 13 grudnia 1981 jako jedyny z 14 obecnych na posiedzeniu jej członków sprzeciwił się zatwierdzeniu uchwały o wprowadzeniu stanu wojennego i dekretu o stanie wojennym, za co został odwołany ze stanowiska. W okresie 1980-1982 przewodniczył Kołu Poselskiemu PAX. Jako reprezentant strony solidarnościowo-opozycyjnej był uczestnikiem obrad Okrągłego Stołu w zespole ds. reform politycznych. W latach 1989-1991 był senatorem z ramienia Komitetu Obywatelskiego, przewodniczącym senackiej Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. W trakcie kadencji przeszedł do klubu parlamentarnego Unii Demokratycznej. Od 1989 przewodniczył Związkowi Sybiraków.

114 Jacek Kiciński. *Wspomnienie o ojcu rzeźbiarzu.* Archiwum Rodzinne Kicińskich w Wymysłowie.

115 Walery Antoni Wróblewski (1836-1908), działacz rewolucyjno-demokratyczny i niepodległościowy, dowódca w powstaniu styczniowym, od kwietnia 1863 zastępca generała Onufrego Duchńskiego naczelnika sił zbrojnych województw augustowskiego i grodzieńskiego. W dniu 27 IV 1863 dokonał przeglądu pierwszego oddziału powstańczego. Poleciał odczytać zebrany manifest Rządu Narodowego i powstańczy dekret uwłaszczeniowy, po polsku i po białorusku; zwolennik ugrupowania Czerwonych; раннего przewiozła na stronę austriacką ciotka Marii Skłodowskiej; generał Komuny Paryskiej, działacz Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich.

116 Jan Jończyk - w 1956 r. absolwent ASP w Krakowie, architekt wnętrz, uczeń prof. Jana Budziły, autot ponad 80 projektów architektonicznych (m.in. Ośrodka Wczasowego w Jaszowcu, Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Tychach, Auli Rektorskiej Uniwersytetu śląskiego, nowego budynku Akademii Ekonomicznej w Katowicach, fragmentu dworca PKP w Katowicach, redakcji „Panoramy”, monumentów architektonicznych); w Siemianowicach Śl. przygotował realizację miejscowego Pałacu Ślubów, Biblioteki Miejskiej i Muzeum Miejskiego w dawnym spichlerzu; w otwartej w 1986 r. w Zawierciu Galerii „JJ” wystawiali swoje prace: Stanisław Batruch, Stefan Borzęcki, Stanisław Puchalik, Norbert Witek, Józef Sękowski, Stanisław Mazuś i Hanka Kruczkowska; był rzeczoznawcą Ministerstwa Kultury i Sztuki w zakresie sztuki współczesnej, uprawia także malarstwo sztalugowe.

117 Józef Antoni Kramarz - (ur. 1947 r.), absolwent ASP w Krakowie - Wydziału Grafiki w Katowicach (1976 r.), uprawiał malarstwo, grafike, plakat i fotografię artystyczną; drugą jego pasją było tatarnictwo.

118 Stanisław Kubista (1898-1940), ksiądz katolicki, werbista, błogosławiony Kościoła; był jednym z dziewięciorga dzieci Franciszka i Franciszki Czempki urodzonym w Kostuchnie, dzielnicy Katowic; naukę pobierał w Domu Misyjnym św. Krzyża księży Werbistów w Nysie. W okresie I wojny światowej został wcielony do armii Wilhelma II (1917-1919) i walczył na froncie francuskim; po demobilizacji rozpoczął nowicjat i studia filozoficzno-teologiczne w Zgromadzeniu Słowa Bożego w Möding. Śluby wieczyste złożył 29 IX 1926, a 26 V 1927 r. przyjął święcenia kapłańskie; jesienią 1928 r., skierowany został do domu zakonnego św. Józefa w Górnej Grupie. S. Kubista był nauczycielem gimnazjalnym, pełnił obowiązki mistrza nowicjatu, był także spirytuałem braci; wybudował i kierował drukarnią, był również prokuratorem prowincjonalnym; redagował pisma katolickie i publikował w „Małym Misjonarzu”, „Kalendarzu Małego Misjonarza”, „Kalendarzu Słowa Bożego”, „Skarbie Rodzinnym” i „Posłańcu Świętego Józefa”; ponadto był współorganizatorem Muzeum Etnograficznego eksponatów z Chin, Brazylii i Nowej Gwinei. W działalności duszpasterskiej był szczególnie ceniony jako spowiednik. Po wybuchu II wojny światowej już 27 X 1939 został aresztowany przez Gestapo, a następnie 5 II 1940 przewieziony do obozu przejściowego Zivilgefängenenlager Neufahrwasser w Nowym Porcie (filii obozu w Stutthofie), następnie do niemieckiego obozu koncentracyjnego Sachsenhausen 9 IV 1940 i zarejestrowany jako numer 21154. Zamordowany 26 IV 1940.

119 Zbigniew Brzeziński, ur. 1928 r. w Warszawie; amerykański politolog polskiego pochodzenia, sowietolog, geostrateg; w latach 1977-1981 doradca prezydenta Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego USA; kawaler Orderu Orła Białego.

120 Marek Prokop, ur. 1942 r. w Belgradzie, od 1965 r. w PZPR, członek plenum i egzekutywy KM PZPR, od 4 II 1982 r. do 1983 r. prezydent miasta Siemianowice Śl., I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR od 1 II 1984 r. do 31 XII 1986 r.

121 Matthias Grünewald, właśc. Mathis Gothard-Neithard (ok. 1480-1528), niemiecki malarz, architekt i inżynier (budowniczy urządzeń wodnych). od 1504 roku pracował jako malarz dla dostojników kościelnych z Aschaffenburga. Dla moguncckiego arcybiskupa Uriela z Gemmingen w 1508 r. przebudował rezydencję. Pracował także jako malarz przy ołtarzu frankfurckiego klasztoru dominikanów. W 1512 r. rozpoczął pracę nad najważniejszym dziełem malarskim swojego życia ołtarzem kościoła w Issenheim. Poświęcił jego realizacji cztery lata. Od 1514 r. przebywał na dworze Albrechta z Brandenburgi, księcia-elektora i arcybiskupa Magdeburga i Moguncji; ok. 1517 r. namalował obraz *Święty*

Erazm i Święty Maurycy na zlecenie Albrechta Brandenburskiego; dzieło miało ozdobić kościół kolegiacki w Halle. W 1519 r. namalował *Madonnę ze Stuppach* środkową tablicę Ołtarza Matki Boskiej Snieżnej z kolegiaty w Aschaffenburgu. Kolejne ważne dzieło mistrza to *Ukrzyżowanie*, część Ołtarza z Tauberbischofsheim, powstałe w latach 1523-1524. Grünewald w swoim malarstwie rozwijał tradycje średniowiecza, którym nadał najbardziej ekspresjonistyczny charakter; był zwolennikiem nauk Marcina Lutra; w jego obrazach postacie ludzkie przepełnione są cierpieniem, a cierpienie Jezusa pokazane jest niemal dosłownie, poprzez szaro-zielony kolor ciała pokrytego bolesnymi krwisto-fioletowymi ranami powstałymi w trakcie biczowania i drogi krzyżowej. Wizerunek Jezusa Grünewalda, to postać o rysach plebejusza. „Nigdy żadnego człowieka nie przedstawiono tak okropnie i brzydko” mawiali krytycy. Jednak to przedstawienie oddawało rzeczywistość; tę biblijną i tę współczesną artyście: cierpienie prostego człowieka z gminu. Autora *Ukrzyżowania* uznano, jako prekursora ekspresjonizmu.

122 H. Pyka: *Świadomość formy* [w:] *Mirośław Kiciński 1943-2004. Rzeźba. Katalog. ...*, s. 9.

123 H. Pyka: *Świadomość formy* [w:] *Mirośław Kiciński 1943-2004. Rzeźba. Katalog. ...*, s. 8-9: „Artysta przedstawił archetyp doskonałej wspólnoty, której osią jest osoba Jezusa Chrystusa. Kapłan, który staje przy ołtarzu do Mszy Świętej, a także wierni zgromadzeni wokół ołtarza, spoglądają niejako w zwierciadło. Rzeźba odsłania im i przypomina w trakcie celebracji eucharystycznej najgłębszy wymiar tego w czym uczestniczą. Wyraźniej w tym kontekście jawi się postać kapłana sprawującego Eucharystię »in persona Christi«. Wiele też tekstów biblijnych stosowanych w objaśnieniach misterium Wieczerzy Pańskiej znajduje plastyczne dopełnienie w owym eucharystycznym »vera ikon«, jakie wykonał Kiciński dla kościoła w Szczecinie”.

124 Tamże, s. 9.

125 Tamże.

126 Mirośław Kiciński: *Wyrzeźbione piórem*. Archiwum Rodzinne Kicinińskich w Wymysłowie.

127 Archiwum Rodzinne Kicinińskich w Wymysłowie. Wspomnienie artysty rzeźbiarza Gerarda Grzywaczyka.

128 Mirośław Kiciński: *Wyrzeźbione piórem*. Archiwum Rodzinne Kicinińskich w Wymysłowie.

129 *Wspomnienie księdza Jana Morcinka*. Archiwum Rodzinne Kicinińskich w Wymysłowie.

130 Jacek Kiciński: *Wspomnienie o ojcu rzeźbiarzu*. Archiwum Rodzinne Kicinińskich w Wymysłowie

131 Tamże.

132 Tamże.

133 Olga Boznańska (1865-1940), artystka malarka, członkini Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka”, Societe Nationale des Beaux Arts; stworzyła indywidualny styl malarzski, oparty na swobodnej interpretacji zasad impresjonizmu; malowała portrety, pejzaże i wnętrza.

134 M. Samlicki: *Olga Boznańska*. Sztuki Piękne. Rocznik II. 1925/6.

135 Danuta i Włodzimierz Masłowscy: *Księga aforyzmów świata*. Kęty 2000.

136 *Wspomnienie księdza Jana Morcinka*. Archiwum Rodzinne Kicinińskich w Wymysłowie.

137 *Wspomnienie księdza Konrada Zubla*. Archiwum Rodzinne Kicinińskich w Wymysłowie.

138 *Wspomnienie księdza Jana Morcinka*. Archiwum Rodzinne Kicinińskich w Wymysłowie.

139 *Wspomnienie artysty rzeźbiarza Gerarda Grzywaczyka*. Archiwum Rodzinne Kicinińskich w Wymysłowie.

140 Jan Kazimierz Kaspera: *Jerzy Duda-Gracz (1941-2004)*. www.marekl.com.

141 *Jacek Malczewski. Wielcy malarze - ich życie, inspiracje dzieło*. K. Czerni, A. Szczerski. Nr 92.

142 Jan Matejko (1838-1893), najwybitniejszy przedstawiciel polskiego malarstwa historycznego XIX w., dyrektor krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych; tworzył obrazy z dziejów Polski, portrety; zajmował się ponadto malarstwem ściennym.

143 M. Masłowski: *Maksymilian Gierymski i jego czasy*. Warszawa 1976.

SIEMIANOWICKIE PARAFIE W ROZWOJU HISTORYCZNYM

1. Michałkowice – parafia św. Michała Archanioła

Parafia michałkowicka jest najstarszą parafią znajdującą się w obecnych granicach administracyjnych Siemianowic Śląskich. Do 1873 roku Michałkowice należały do dawnego wielkiego powiatu bytomskiego, po podziale którego znalazły się w powiecie katowickim. Parafia należała od czasu powstania do diecezji krakowskiej. W 1811 roku biskup krakowski zrzekł się na rzecz biskupa wrocławskiego zwierzchnictwa nad dekanatem bytomskim i pszczyńskim, co zostało formalnie potwierdzone bullą papieską z 1821 roku¹.

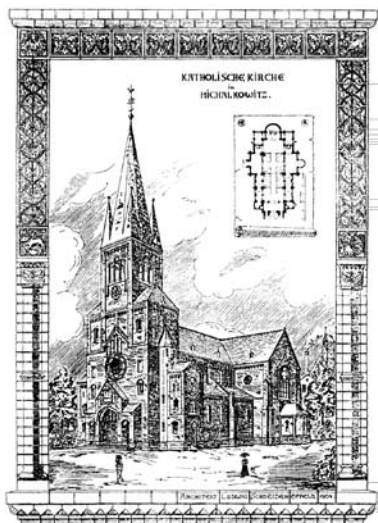
W kolektoriach świętopietrza z lat 1325-1328 znajdujemy pierwszą wzmiankę źródłową o parafii. Dowiadujemy się z niej, że przy istniejącym wówczas michałkowickim kościele brakowało plebana (nie płacił świętopietrza). W 1335 roku świętopietrze było płacone, z czego wynika, że obsadzono wakujące miejsce plebana². W 1402 roku właściciel Bytkowa i Michałkowic Maciej Wrochnik ponownie fundował kościół, zapewniając proboszczowi dziesięcinę z folwarku i wsi Michałkowice; przy kościele zbudowano plebanię. W 1598 roku ks. Krzysztof Kazimierski, kanonik krakowski, wizytował kościół. W aktach tej wizytacji pozostał najstarszy znany opis drewnianego kościoła z dzwonnica i sygnaturką. Na belce tęczowej znajdował się krucyfiks. Kościół wyposażony był w trzy ołtarze z murewanymi mensami, drewnianą chrzcielnicę, cztery kielichy (w tym trzy srebrne), miedzianą monstrancję, konfesjonał, ambonę, organy i chrzcielnicę. Ołtarze boczne nosi-



Kościół p.w. św. Michała Archanioła, widokówka archiw. ze zbiorów Piotra Spyrki



Stary kościół barokowy, fot. archiw. ze zbiorów parafii św. Michała Archanioła



Rycina z projektem kościoła, fot. archiw. ze zbiorów parafii św. Michała Archanioła



Oryginalny ołtarz, fot. archiw. z 1929 r. ze zbiorów parafii św. Michała Archanioła

ły wezwanie Najświętszej Maryi Panny oraz św. Jana Nepomucena. W kościele było także osiemnaście obrazów z wizerunkami świętych oraz cztery epitafia poświęcone pamięci członków rodziny Mieroszewskich. Jeszcze w XVI w. przy drewnianej plebanii założony został ogród. W 1720 roku odnotowano należące do majątku parafialnego chlewy, oborę, stodołę i spichlerz.

Podczas kolejnej wizytacji w 1756 roku wizytator nakazał budowę nowego kościoła. Ówczesny właściciel Michałkowic i patron kościoła - Anthon von Rheinbaben - ufundował za cmentarzem nową kaplicę p.w. św. Antoniego Padewskiego, poświęconą w 1780 roku. Kaplica ta pełniła funkcję krypty rodziny von Rheinbaben. W 1784 roku Rheinbaben ufundował także nową dzwonnice. W 1786 roku przystąpiono do budowy nowego kościoła, który poświęcił ks. dziekan Bartuzel 21 października 1787 roku. Koszty budowy pokryli Anthon von Rheinbaben, Lazarus Henckel von Donnersmarck, von Kloch, Józef Mikusz z Maciejkowic, proboszcz Pawlikowski i parafianie³. W połowie XIX w. barokowy kościół poszerzono o dwie nawy, krypty i kaplicę. W 1829 roku dobudowano do kościoła wieżę.

Wzrost liczby parafian z powodu napływu ludzi do pracy w kopalniach i hutach spowodował w 1899 roku podjęcie decyzji przez kolejnego proboszcza - ks. Maksymiliana Gerlicha - o budowie nowego kościoła. W Inwentarzu Parafialnym z 1951 r. w części A. Budynki

widnieje następująca notatka: „Kaplica patronacka z kryptą znajdowała się przy starym kościele i musiała być zniesioną z powodu budowy nowego kościoła. Parafia musiała ją wybudować na cmentarzu, inaczej nie byłoby zezwolenia na budowę nowego kościoła. Koszty wynosiły 8.000 Mk.



Nowy kościół neogotycki z pozostałościami barokowego, widokówka archiw. ze zbiorów Piotra Spyrki

Kaplica nie jest użytkowana od ostatniego patrona v. Rheinbabena nikt nie został w krypcie pochowany⁴. Wybudowaną wówczas kaplicą jest istniejąca do dziś na terenie cmentarza parafialnego w starszej jego części kaplica p.w. św. Jerzego, w której podziemiach zbudowano kryptę grobową i umieszczono tam trumny z doczesnymi szczątkami byłych właścicieli Michałkowic - członków rodziny von Rheinbaben.

Budowę nowego kościoła rozpoczęto 1 października 1902 r., ukończono w 1904 r. Projekt autorstwa budowniczego Ludwiga Schneidera⁵ z Opola uwzględniał pozostałości starego, barokowego kościoła, gdyż władze pruskie nie wydały zgody na wyburzenie ze względu na jego zabytkowe wartości. Pierwotny projekt zakładał usytuowanie zorientowanego kościoła wzdłuż północnej granicy działki przylegającej do drogi prowadzącej do Maciejkowic (obecnej ulicy Maciejkowieckiej)⁶. Ostatecznie, po trzech próbach zmiany lokalizacji bryły kościoła na istniejącej działce, zdecydowano się na usytuowanie kościoła na linii północ-południe (rezygnując tym samym z orientacji), w południowo-wschodniej części działki. Kościół został wybudowany w stylu neogotyckim, na rzucie krzyża łacińskiego z półkolistą absydą zamykającą prezbiterium. Nad wejściem zbudowana została masywna wieża, nad którą zaprojektowano ośmiograniasty hełm ze zwieńczeniem w formie iglicy zakończony krzyżem. Hełm pokryto blachą. Kościół jest bazyliką, z aneksami bocznymi po obu stronach wieży i przy prezbiterium (kaplica i zakrystia). Dwuspadowy dach kryty dachówką nakrywa cały kościół.

Prace murarskie wykonywał Teodor Wieczorek z Królewskiej Huty; dekorację wewnątrz (malowidła ściennie przedewszystkim w prezbiterium i na łuku tęczowym) wykonał artysta malarz Richter. Neogotyckie wyposażenie kościoła stanowiły: ołtarz główny, ambona i stacje Drogi Krzyżowej (wykonane przez firmę Carla Buhla z Wrocławia). Pośrodku ołtarza



Projekt ołtarza, archiwum parafii św. Michała Archaniola



Archaniół Michał z oryginalnego ołtarza, reprodukcja z „Gościa Niedzielnego” 1929, archiw. parafii św. Michała Archaniola

głównego umieszczony został obraz Juliana Wałdowskiego z Wrocławia⁷ z wyobrażeniem św. Archaniola Michała z mieczem w prawej dłoni i wagą w lewej⁸. W oknach doświetlających prezbiterium zamontowano witraże ufundowane przez Petera Mokrskiego⁹, właściciela browaru w Rozdzienu i brata Paula Mokrskiego, właściciela browaru siemianowickiego. Z pięciu witraży (umieszczony na osi prezbiterium przedstawiał Oko Opatrzności¹⁰), pozostały cztery, które przedstawiają św. Franciszka i św. Jadwigę Śląską oraz motywy geometryczno-roślinne¹¹. Organy wykonała firma Berschdorf z Nysy. W kościele znajdował się także ołtarz Św. Rodziny oraz figura Św. Antoniego przy wejściu głównym i krucyfiks wykonany przez Folka z Pawłowic. Przy ołtarzu bocznym na lewo od prezbiterium, umieszczono neogotycką chrzcielnicę, której czaszę otacza łaciński cytat z Ewangelii św. Marka. Na wieży umieszczone zostały cztery spizowe dzwony o nazwach: „Michał”, „Maria”, „Józef” i „Jan”. Część kosztów budowy kościoła (200.000 marek) pokrył książę Krystian Kraft Hohenlohe-Oehringen, właściciel Michałkowic. Rząd pruski udzielił zapomogi w wysokości 40.000 marek. Resztę w kwocie 65.000 marek pożyczono z Kasy Prowincjalnej Śląskiej. Konsekracji kościoła dokonał metropolita wrocławski ks. biskup Georg Kopp 12 czerwca 1910 r.

Kościół w opisanym powyżej stanie przetrwał dwie wojny światowe, zmianę przynależności państwowej, powstania śląskie oraz zmiany właścicieli Michałkowic. Zmiany w wystroju kościoła nastąpiły po dwudziestym pierwszym soborze

powszechnym Kościoła katolickiego (otwartym 11 października 1962 roku przez papieża Jana XXIII, a zakończonym 8 grudnia 1965 roku przez papieża Pawła VI). W Dokumentach Soboru Watykańskiego II znaleźć można Konstytucje o liturgii świętej „SACROSANCTUM CONCILIUM”. W rozdziale VII: Sztuka Kościelna i Sprzęty Liturgiczne¹² znajdujemy słowa odnoszące się do sztuki kościelnej czasów nam współczesnych: „Biskupi niechaj czuwają, aby stanowczo nie dopuszczają do kościołów i innych miejsc świętych dzieł artystów, które nie licują z wiarą i dobrymi obyczajami oraz pobożnością chrześcijańską lub obrażają prawdziwy zmysł religijny czy to z powodu nieodpowiedniej formy, czy też z powodu niskiego poziomu, przeciętności lub naśladownictwa”. „Przy ocenianiu dzieł sztuki niech ordynariusze miejscowi zasięgają opinii diecezjalnej Komisji Sztuki Kościelnej, a w razie potrzeby innych wybitnych znawców, jak również Komisji, o których mowa w art. 44, 45, 46.

Niech ordynariusze troskliwie czuwają, aby nie przechodziły w obce ręce ani nie niszczały sprzęty kościelne lub cenne przedmioty, które są ozdobą domu Bożego”. W poszczególnych diecezjach przełożyły się te zalecenia na Instrukcję Episkopatu Polski o ochronie zabytków i kierunkach rozwoju sztuki kościelnej (16 IV 1966). Czytamy w niej m.in.: „Projekty jakiegokolwiek budowy, przebudowy, rozbudowy, czy adaptacji kościołów i kaplic, tak diecezjalnych jak i zakonnych; wszelkie zamierzenia konserwacyjne, projekty polichromii, ołtarzy, obrazów, rzeźb, witraży i całego wyposażenia kościelnego (stacje Drogi Krzyżowej, chrzcielnice, ambony, konfesjonały, ławki, prospekty organowe, urządzenia oświetleniowe, klimatyzacyjne oraz projekty szat i naczyń liturgicznych) muszą być przed rozpoczęciem prac przedłożone do zatwierdzenia Komisji Diecezjalnej Sztuki Kościelnej przy Kurii Biskupiej, która w każdym wypadku służy też zainteresowanym pomocą i radą. Opracowanie projektów powinno nastąpić po wstępnym uzgodnieniu kompozycyjnym i tematycznym z Komisją szkiców dyskusyjnych, przez co uniknie się niepotrzebnych nieporozumień i kosztów. Podobnie i kosztorysy zamierzonych inwestycji zamierzonych inwestycji wymagają



Rzeźba św. Michała Archanioła, fot. M. Derus



Nowy ołtarz z lat 70. XX w., fot. L. Makówka

zатwierdzenia Kurii Biskupiej”. „Rządcom kościołów przypominamy, że nie są oni właścicielami, lecz tylko stróżami i opiekunami dzieł sztuki sakralnej, znajdującymi się w obiektach powierzonych ich pieczy. Dlatego w żadnym wypadku nie wolno im najmniejszych nawet dzieł sztuki (jak np. zniszczone obrazy, figury, tzw. świątki, lichtarze, stare księgi, zegary) przenosić do innych kościołów, zabierać z sobą na inną placówkę, sprzedawać lub darowywać. Dzieła takie należy zabezpieczyć przed kradzieżą i zniszczeniem, a jeśli ich stan nie pozwala na ekspozycję w kościele, trzeba przechowywać je w odpowiednim pomieszczeniu jako załączek ewentualnego muzeum parafialnego, lub też przekazać muzeum diecezjalnemu”. „Art. 124 Konstytucji o św. liturgii przypomina z naciskiem, by nie dopuszczać do wnętrz kościelnych dzieł bezwartościowych, przeciętnych i nieoryginalnych, oraz takich, które by swoją formą lub treścią obrażały zdrowy zmysł religijny. Mecenat Kościoła zawsze korzystał ze współpracy utalentowanych i wybitnych twórców. Jest rzeczą niepokojącą, że dziś często dzieje się inaczej: pomijanie prawdziwych artystów (w tej mierze także i twórców ludowych), powoduje zalew naszych kościołów przez seryjnie produkowane dzieła bez wartości artystycznych. Wprowadzenie jakichkolwiek zmian we wnętrzu kościelnym (np. wzniesienie stałego ołtarza versus populum co wymaga specjalnego zezwolenia ordynariusza) nie może w żadnym wypadku być okazją do niszczenia zabytków. Wszelkie adaptacje należy przeprowadzać z należytą rozważą i pod fachowym kierownictwem, po każdorazowym uprzednim uzgodnieniu z Diecezjalną Komisją Sztuki Kościelnej”. „Wielkim niebezpieczeństwem dla powagi i świętości Domu Bożego jest skradająca się do naszych świątyń źle rozumiana nowoczesność. Polega ona z jednej strony na usuwaniu pięknych i wartościowych przedmiotów jako przestarzałych, zamiast poddania ich fachowym zabiegom konserwatorskim, z drugiej zaś strony na umieszczeniu rzeczy nowych wprawdzie, lecz bezwartościowych”¹³.

W latach 70. XX w. dość dowolna interpretacja postanowień soboru sprawiła, że w części kościołów nastąpiły zasadnicze zmiany w wystroju ich wnętrz. Największe zniszczenia i dowolne przeróbki miały miejsce w diecezji katowickiej, o czym pisał ks. dr Leszek Makówka w t. 2 Wiado-

mości Konserwatorskich Województwa Śląskiego¹⁴. Tak było również w przypadku kościoła michałkowickiego. Przerobiona została niemal całkowicie część prezbiterialna kościoła. Usunięty został znajdujący się na osi prezbiterium witraż z 1904 r. z przedstawieniem tzw. „Oka Opatrzności”. W miejsce usuniętego witraża wykonany został w latach 70. XX w. witraż z przedstawieniem Ducha Świętego według projektu siemianowickiego artysty-plastyka Antoniego Kramarza¹⁵. Witraż ten, różniący się znacznie od witraży w pozostałych oknach prezbiterium, nie pasuje do wnętrza i stanowi dysonans z pozostałymi w prezbiterium oryginalnymi witrażami. Usunięto także nastawę



Rekonstrukcja oryginalnego ołtarza, fot. M. Derus

ołtarzową z ołtarza głównego i ołtarz boczny, ambona zachowała się fragmentarycznie. Dla lepszego wyeksponowania nowego ołtarza i próby umieszczenia go centralnie wykorzystano pierwsze przęsło nawy, co wiązało się z usunięciem balasek i likwidacją stopnia wychodzącego poza łuk tęczy. Natomiast dodano kilka stopni w miejscu ulokowania nowego ołtarza, jak również przy wyjściu z zakrystii, co spowodowało „efekt piramidy”, przy czym pierwszy stopień od strony nawy był zbyt wąski. Widać to doskonale na fotografii zamieszczonej na końcu wspomnianego wyżej artykułu ks. dr Leszka Makówki. W miejscu oryginalnej nastawy ołtarzowej ołtarza głównego znalazły się ciężkie, pionowe, proste betonowe słupy o niejednakowej wysokości-skrajnie wyższe, ku środkowi coraz niższe. Na nich umieszczony został duży wizerunek św. Michała Archanioła, wykonany z modnej w tym czasie metaloplastyki, czyli po prostu z blachy¹⁶. Takie nowoczesne rozwiązanie przestrzeni ołtarzowej zupełnie nie harmonizowało z neogotyckim wystrojem wnętrza kościoła.

Obraz z ołtarza drewnianego został ofiarowany parafii św. Michała Archanioła w Świdwinie¹⁷. Obecny proboszcz parafii św. Michała Archanioła, ks. Eugeniusz Kurpas, postanowił przywrócić nastawę ołtarzową zbliżoną do oryginalnej. Kontakt z ks. dr Leszkiem Makówką, prezesem firmy Ars Catholica sp. z o.o. spowodował podjęcie decyzji o przywróceniu poprzedniej wersji ołtarza. Rozpoczęły się prace projektowe na bazie zachowanego w archiwum parafii rysunku projektowego autorstwa Carla Buhla z Wrocławia¹⁸. Prace powierzone zostały katowickiej



Rekonstrukcja obrazu z ołtarza, fot. A. Zadora

Pracowni Konserwacji Zabytków Ars Catholica sp. z o.o., której kierownikiem jest dr Anna Zadora. Punktem wyjścia dla prac było odniesienie się do oryginalnego projektu ołtarza przeznaczonego do michałkowickiej świątyni. Pierwotny projekt ze wspomnianego rysunku został zrealizowany z pewnymi zmianami. Rysunek projektowy zakładał wykonanie pewnych partii z imitacji marmuru. W obecnie powstałej wersji ołtarza wykonano je z imitacji piaskowca. Główna postać patrona kościoła, św. Michała Archaniola, w pierwotnym projekcie prawe ramię z mieczem ma wzniesione do góry. Jak wiemy¹⁹, wersją zrealizowaną była postać stojąca na chmurze, z prawą ręką opuszczoną w dół i zwróconym w dół ostrzem miecza. Z oryginalnego, pierwotnego ołtarza, zachowały się następujące elementy: mensa ołtarzowa, trzy płaskorzeźby, rzeźby

Matki Boskiej, Baranka na księdze, czterech aniołów, św. Barbary i św. Floriana, krucyfiks ze zwieńczenia ołtarza oraz obraz Juliana Wałdowskiego z 1904 roku²⁰. Zachowane rzeźby i płaskorzeźby poddano zabiegom konserwatorskim we wspomnianej powyżej Pracowni Konserwacji Zabytków Ars Catholica. Z rzeźb trzeba było usunąć nieumiejętnie wykonane prze-malowania, a następnie odtworzyć oryginalną polichromię każdej rzeźby. Po wykonaniu wszystkich prac, rzeźby umieszczone zostały w zbudowanej nastawie ołtarzowej, w miejscach, gdzie znajdowały się pierwotnie. Zabrakło figury św. Jana, która się nie zachowała. Wyrzeźbiona została nowa, pełnoplaskowa figura z drewna lipowego. Obecnie czeka na pokrycie polichromią, po czym zostanie umieszczona na przeznaczonym jej miejscu w zwieńczeniu ołtarza. W nastawie umieszczono także, po zakończeniu niezbędnych prac konserwatorskich, przechowywane na plebanii płaskorzeźby. „Ostatnia wieczerza” została wmontowana jako antependium w ołtarz posoborowy. Zachowało się też tabernakulum, niegdyś pozłacane, pozbawione pozłoty przez nieumiejętne obchodzenie się z nim podczas sprzątnięcia kościoła, które także wmontowano we właściwe miejsce zgodnie z projektem. Z zachowanych z pierwotnego

retabulum ołtarzowego elementów wykorzystano wszystkie możliwe (obraz pozostał w parafii w Świdwinie), a obraz został namalowany na nowo. W ten sposób przywrócono kościołowi ołtarz, który harmonizuje z zachowanymi fragmentami neogotyckiego wyposażenia.

2. Siemianowice – parafia św. Krzyża

Na początku XIX w. parafia michałkowicka obejmowała Michałkowice, Maciejkowice, Bytków, Ignatzdorf (obecnie Wełnowiec – dzielnica Katowic) i Bańgów. W 1820 r. nastąpiła zmiana diecezji z krakowskiej na wrocławską; od 1822 r. do parafii michałkowickiej włączono także Siemianowice, Sądawki, Czekań i Przełajkę. W ościennej gminie, Siemianowicach, jedynym obiektem sakralnym w tamtym czasie była kaplica urządzona w pałacu Donnersmarcków w 1830 r.²¹ Na mocy decyzji Wrocławskiej Kurii Metropolitalnej wydanej dnia 24 stycznia 1834 r. wolno było w kaplicy pałacowej odprawiać jedną cichą mszę tygodniowo²². Od 12 czerwca 1844 r. odprawiał ją proboszcz parafii michałkowickiej – ks. Antoni Stabik. Brakowało jednak kościoła dla wciąż wzrastającej liczby mieszkańców Siemianowic. Zwrócono się z prośbą o pomoc do właściciela Siemianowic, hrabiego Hugona Henckel von Donnersmarck, z którego strony padła propozycja budowy kościoła w roku 1870, gdyż zajęty był w tym czasie budową kościoła w Nakle. Pomocy udzieliła hrabina Wanda von Gaschin, małżonka hr. Hugona. Pod jej patronatem rozpoczęto zbieranie składek na budowę kościoła tymczasowego. W 1866 r. uzyskano zgodę biskupa wrocławskiego na budowę kościoła tymczasowego. Hr. Wanda von Donnersmarck zakupiła teren i 12 czerwca 1867 r. rozpoczęto budowę, którą zakończono w listopadzie tego samego roku. 28 listopada odbyło się uroczyste poświęcenie z udziałem hrabiny Wandy, która wyposażyła kościół w obrazy ołtarzowe, szaty i paramenty liturgiczne. Nosił on wezwanie Matki Boskiej²³, której wizerunek znajdował się w ołtarzu głównym. Nowy kościół funkcjonował jako filialny parafii michałkowickiej, a dnia 12. grudnia 1867 r. Biskup Ordynariusz Wrocławski Henryk Foerster mianował księdza Hugona Stabika – bratanka michałkowickiego proboszcza Antoniego Stabika – kapelanem lokalii siemianowickiej, wydzielonej z parafii michałkowickiej 19 listopada 1868 r. 28 czerwca 1872 r. biskup erygował w Siemianowicach samodzielną parafię, a 26 marca 1873 r. mianował księdza Hugona Stabika jej proboszczem²⁴.

Cały czas gromadzono fundusze na budowę nowego kościoła. Hrabina Wanda upoważniła administratora dóbr hrabiów Henckel von Donnersmarck do dokonania przewłaszczenia gruntu na rzecz Katolickiej Gminy Kościelnej w Siemianowicach. Projekt kościoła wykonał bytomski budowniczy Paul Jackisch w 1881 r.²⁵ W 1884 r. kościół był już gotowy. Ołtarze – główny Mariacki i boczny Św. Krzyża wykonał Carl Buhl z Wrocławia.



Kościół św. Krzyża, widokówka archiwalna ze zbiorów Piotra Spyrki

Organy wykonała firma Schlag&Söhne ze Świdnicy. Drogę Krzyżową i obrazy w ołtarzu głównym i w bocznych namalował Joseph Fahnrot z Wrocławia²⁶. Freski na sklepieniach, w prezbiterium, w przyłączach arkad w nawie głównej i transepcie oraz na filarach wykonał Stolper z Nysy. Na filarach nawy głównej kościoła umieszczono drewniane, polichromowane rzeźby przedstawiające wizerunki świętych. Ambonę ozdobioną rzeźbionymi wizerunkami czterech Ewangelistów wykonał rzeźbiarz Lust z Wrocławia. Witraże zamówione zostały w pracowni Adolpha Seilera we Wrocławiu²⁷. Środkowy witraż przedstawia Grupę Ukrzyżowania, czyli Chrystusa na krzyżu, Madonnę po Jego prawej stronie i św. Jana po lewej. Scena ta oddzielona jest od monochromatycznego przedstawienia złożenia Chrystusa do grobu, usytuowanego poniżej Grupy Ukrzyżowania, na osi powyższej sceny. Witraż po lewej przedstawia ewangelistów św. Mateusza i św. Marka, po prawej św. Łukasza i św. Jana. Witraże w ramionach transeptu umieszczone w dużych czwórdzielnych oknach, wypełniają przedstawienia geometryczno-roślinne o powtarzalnych kwaterach. Dolny pas zajmują postacie czterech aniołów przyklękających na jedno kolano ukazanych z wstęgami trzymanymi w dłoniach. Na wieży kościelnej zawieszono trzy dzwony, które nosiły nazwy: Św. Jadwiga, Św. Maria i Św. Józef. Do dziś zachowały się jedynie nieliczne fragmenty bogatego wyposażenia kościoła, natomiast freski zostały całkowicie usunięte. Wielokrotnie przerabiane i remontowane organy zachowały jed-

nak swą szafę również dostosowaną do neogotyckiego wystroju wnętrza kościoła. 23 września 1884 roku uroczystej konsekracji kościoła dokonał biskup Herman Gleich, sufragan wrocławski. Całkowity koszt budowy wyniósł 360.000 marek, z czego większą część sumy, t.j. 300.000 marek ofiarowało Towarzystwo Akcyjne Zjednoczonych Hut Królewskiej i Laura oraz parafianie, a na sumę 60.000 marek zaciągnięto pożyczkę.

W 1887 roku Paul Jackisch zaprojektował plebanię, zbudowaną w 1888 r. Rozebrano w 1884 roku kościół tymczasowy, a na jego miejscu w 1910 r. zbudowano Kaplicę Ogrójca, w której znajdowała się rzeźba wielopostaciowa Chrystus w Ogrójcu²⁸. Od kilkunastu lat ta kaplica pełni funkcję kaplicy Wieczystej Adoracji, w związku z czym zmieniono jej wystrój. W 1915 roku dobudowano Oratorium i całość ogrodzono murem.

Msze w kościele odbywały się w języku polskim i niemieckim. Okólniki, listy pasterskie oraz inne pisma z Kurii Diecezjalnej we Wrocławiu przysyłane były również w wersji dwujęzycznej. Po Plebiscycie, kiedy Siemianowice zostały przyłączone do Polski i włączone do diecezji katowickiej, nadal odprawiano jedną mszę w języku niemieckim.

Podczas II wojny światowej kościół ucierpiał od bomby, która spadła w pobliżu probostwa; częściowo zostały uszkodzone witraże i mury kościoła. Remont kościoła po zniszczeniach wojennych zakończył się w 1950 roku. Prowadzono także bieżące prace remontowe, spowodowane uszkodzami górniczymi. W 1972 roku w ramach wspomnianych wyżej działań „posoborowych” usunięto niemal całe neogotyckie wyposażenie kościoła: ołtarz główny, ambonę i chrzcielnicę. W kolejnych latach znikaly dalsze elementy wyposażenia: ołtarze boczne (w roku 1975), żyrandole w latach 1973/1974, balaski, neogotyckie ramy Drogi Krzyżowej, rzeźby z filarów nawy głównej, jeden z czterech neogotyckich konfesjonałów, a w końcu skuto polichromię i freski, którymi pokryte były filary, przyłuczka arkad, ściany transeptu, prezbiterium i sklepienie. Nad wejściem zachował się portal z piaskowca, z umieszczonym w nim tympanonem z płaskorzeźbioną postacią



Wnętrze kościoła św. Krzyża, fot. Jan Mehlich

Matki Boskiej z Dzieciątkiem, którym oddają pokłon aniołowie. Kościół, plebania, oratorium i dawna kaplica Ogrójca (obecnie Wierzytwej Adoracji) zostały wyremontowane staraniem obecnego księdza proboszcza. Na remont czekają jeszcze witraże.

3. Siemianowice – parafia św. Antoniego Padewskiego

W 1835 r. Hugo I Henckel von Donnersmarck zawarł umowę z berlińskim bankiem braci Carla Daniela i Georga Moritza Oppenfeldów. Na mocy tej umowy Donnersmarck wdzierżawił bankowi Oppenfeldów działkę w południowej części Siemianowic. Na niej to bracia Oppenfeldowie zaczęli budować hutę żelaza w 1836 r. Wkrótce współwłaścicielem tej inwestycji został Hugo I von Donnersmarck, a hutę nazwano imieniem słynnej z urody małżonki Hugona - Laury von Hardenberg. Pierwsze piece pudlarskie nosiły imiona synów Donnersmarcka i widnieją na starych planach jako Alfonshütte, Lazyhütte i połączona z poprzednią Arthurhütte. Po wygaśnięciu umowy z bankiem braci Oppenfeld huta stała się wyłączną własnością Hugona Henckel von Donnersmarck, który nadal ją rozbudowywał, co spowodowało wzrost zapotrzebowania na robotników i wszelkiego rodzaju rzemieślników. W pobliżu huty powstawały osiedla robotnicze. Najstarsze z nich to kolonie o nazwach: Hugo, Wanda Colonie, Grabie i Neu Berlin. Przylegały do huty od stron wschodniej, zachodniej i północnej. Po zapewnieniu mieszkań należało zaspokoić inne potrzeby wciąż napływającej do pracy ludności. Pod koniec XIX w. powstały cztery katolickie szkoły ludowe, jedna ewangelicka, jedna żydowska oraz szkoły zawodowe. W 1873 r. rejon huty przekształcono w samodzielny obszar dworski Huta Laura, a w 1890 utworzono z niego gminę o tej samej nazwie. Do 1821 r. Gmina Huta Laura należała do parafii Św. Stanisława Biskupa w Czeladzi. Po zmianie przynależności diecezjalnej (Śląsk znalazł się w obrębie diecezji wrocławskiej) Huta Laura należała do 1868 r. do parafii Św. Michała Archanioła w Michałkowicach, a w latach 1868-1915 do parafii Św. Krzyża w Siemianowicach. W 1914 r. podczas wizytacji kardynała Koppa postanowiono podzielić parafię Św. Krzyża na część północną i południową i rozpoczęto starania o budowę kościoła. Ówczesny dyrektor koncernu „Zjednoczone Huty Królewska i Laura” - Ewald Hilger - przyrzekł dać teren pod budowę nowego kościoła, który planowano zbudować przy obecnym placu Ks. Piotra Skargi²⁹. Rozpisano konkurs na budowę kościoła; sprzedawano także cegielki - widokówki z wyobrażeniem przyszłego kościoła. Projekty konkursowe wykonały dwie firmy - Knoch&Kallmayr z Katowic i Richard Klomp. Do budowy kościoła nie doszło z powodu wybuchu I wojny światowej. Po jej zakończeniu ponowiono starania o budowę kościoła w Hucie Laura tym bardziej, że z macierzystej parafii Św. Krzyża część wydzielono i dnia 1 maja

1915 r. erygowano jako kurację Św. Antoniego Padewskiego. Pierwszym kuratusem został mianowany ks. Jan Bujara. Samodzielną parafię ustanowiono w cztery lata później - 1 maja 1919 r., a proboszczem został dotychczasowy kuratus ks. Bujara³⁰. Dewaluacja pieniędzy spowodowana wojną nie pozwoliła na budowę kościoła, postanowiono więc zaadaptować na potrzeby sakralne budynek hali targowej, zbudowanej wg projektu Theodora Heidricha w 1914 r. Urząd Parafialny Huty Laura wystąpił do Rady Gminnej Laurahuty o zakup hali targowej. W dniu 16 września 1922 r. Naczelnik Wydziału VII Urzędu Okręgowego przesłał do Urzędu Parafialnego w Hucie Laury akta dotyczące zakupu hali targowej³¹. Gmina Laurahuta zastrzegła sobie prawo natychmiastowego odkupienia budynku od Katolickiej Gminy Kościelnej w wypadku, gdyby budynek hali targowej był wykorzystywany do innych celów, niż religijne³².

W 1923 r. uzyskano zezwolenie na przybudowanie do kościoła zakrystii i salki według załączonego projektu Fischera&Feldla z Katowic³³. W 1927 r. rozpoczęły się prace adaptacyjne wewnątrz kościoła. W 1928 r. Jan Biasion i Stanisław Porębski, katowiccy architekci, przedstawili projekt adaptacji hali targowej na kościół. Projektowano dobudowę prezbiterium, podniesienie bocznych ścian hali o 4 m i dobudowanie dwóch wież przy wejściu głównym³⁴. W 1928 r. burmistrz Ferdynand Popek oraz Rada Gminna uchwalili przyjęcie gwarancji na pożyczkę w wysokości 70.000 zł na rozbudowę kościoła. Prace adaptacyjne trwały do 1931 r. Wykonany został projekt ołtarza, który zamówiono w Pawłowicach u Jana Seretty³⁵. W 1930 r. zakupiono organy wykonane przez firmę „Wojciech Zagórda i Syn” w Czer-



Kościół p.w. św. Antoniego Padewskiego, fot. www.encyklo.pl



Hala targowa w Laurahucie, widokówka archiw. ze zbiorów P. Spyrci

nichowie, zamontowane w 1931 r. W 1979 r. zbudowano nowe organy, które wykonała firma Włodzimierza Truszczyńskiego z Warszawy. W 1929 roku w pracowni Felczyńskich zamówiono dzwony o imionach: św. Antoni Padewski, św. Jan Ewangelista, św. Florian i Najświętsza Maryja Panna. W 1942 r. władze okupacyjne zarekwirowały wszystkie cztery dzwony. Nowe odlano po wojnie, staraniem ks. proboszcza Pawła Lubiny. Obecnie w kościele zainstalowane są dzwony z napędem elektrycznym³⁶. Autorem Drogi Krzyżowej był artysta malarz Otto Kowalewski z Katowic. Witraż z Matką Boską Różańcową wykonała krakowska pracownia Stanisława Gabriela Żeleńskiego według projektu artysty malarza Ottona Kowalewskiego³⁷. Konsekracji kościoła dokonał ówczesny ordynariusz diecezji katowickiej - ksiądz biskup Stanisław Adamski dnia 4 października 1931 r.

W 1945 r. rozpoczęto wyposażanie kościoła w witraże z siemianowickiej pracowni Fryderyka Romańczyka³⁸. W latach 1945-1947 wykonano i zamontowano w kościele 28 witraży z tej pracowni. Witraże przedstawiały wizerunki świętych. Witraż z wyobrażeniem Ducha Świętego był darem rodziny Romańczyków dla kościoła. Witraż z wyobrażeniem Boga Ojca (w prezbiterium kościoła) otrzymał srebrny medal na Ogólnopolskiej Wystawie Rzemiosła w Katowicach w 1947 roku. Pozostałe witraże przedstawiają popiersia świętych w górnej części kompozycji wpisane w okrąg, z girlandami kwiatów otaczającymi brzegi witraża.

4. Przełajka – parafia Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny

Przełajka początkowo należała do parafii w Czeladzi. Po 1821 r., kiedy to zmieniono diecezję krakowskiej na wrocławską, kościołem parafialnym dla Przełajki był kościół w Michałkowicach, oddalony znacznie bardziej, niż kościół w Czeladzi. Na posiedzeniu rady gminnej w 1912 r. podjęto uchwałę o konieczności budowy kościoła w Przełajce³⁹. Proboszcz michałkowicki ks. Maksymilian Gerlich przyrzekł przedstawicielom gminy, że dołoży wszelkich starań, żeby w Przełajce powstał kościół, a przynajmniej kaplica. We wsi zawiązało się „Towarzystwo zbierania funduszu na budowę nowego kościoła w Przełajce”. W ubogiej wsi nie było to łatwe zadanie, ale ks. proboszcz Gerlich zwrócił się w 1917 r. do zarządu Zjednoczonych Hut Królewskiej i Laury z prośbą o materialną pomoc. Zarząd huty taką pomoc przyrzekł w kwocie 20.000 marek, a następnie dalszą proporcjonalną do ilości zatrudnionych pracowników w hutach i kopalniach z Przełajki i Bańgowa. Ks. Gerlich informował o stanie rzeczy wrocławską kurię biskupią, lecz nie udało mu się uzyskać akceptacji kurii przed opuszczeniem Michałkowic⁴⁰. Planowany kościół miał powstać na pd krańcu wsi i miał być wspólny dla mieszkańców Przełajki i Bańgowa. Rozważano też możliwość budowy kościoła tylko dla Przełajki.

W 1940 r. administrator kościoła michałkowickiego, ks. Krawczyk, zwrócił się do katowickiej kurii biskupiej o wyrażenie zgody na odprawianie mszy niedzielnej w małej kaplicy przy drodze. Kuria wyraziła zgodę. W kwietniu 1942 r. utworzono w Przełajce tymczasową lokalnię. Lokalistą mianowany został ks. Ewald Kasperczyk, który w latach 1943/44 rozbudował małą kaplicę. Pierwsza wizytacja kanoniczna zaleciła prowadzenie księgi metrykalne chrztów, małżeństw i zgonów, a także księgę intencji mszalnych i zapowiedzi⁴¹. Historia budowy kościoła w Przełajce przypomina okoliczności budowy kościoła p.w. św. Antoniego Padewskiego. W okresie dwudziestolecia międzywojennego zebrano pieniądze na budowę kościoła w tej niewielkiej gminie (Przełajka należała do parafii michałkowickiej). Zanim zdołano przy-



Kościół p.w. Wniebowzięcia NMP w Przełajce, fot. M. Derus

stąpić do budowy kościoła według wykonanych wcześniej projektów, wybuchła II wojna światowa. W 1942 r. w Przełajce utworzona została lokalnia, z ks. Ewaldem Kasperczykiem jako lokalistą. Po zakończeniu wojny w 1947 r. lokalistą został mianowany ks. Wilhelm Kopiec, uprzednio wikary w parafii michałkowickiej, który rozpoczął na nowo starania o budowę kościoła. Przez dwa lata zbierano fundusze. W 1948 r. rozpoczęła się budowa murowanego kościoła, zakończona w 1951 r. Wykorzystano projekt jeńca wojennego, Jana Parsieglę z Wrocławia⁴², który to projekt wykorzystał katowicki architekt Jan Kapołka. Po pewnych zmianach wprowadzonych przez Kapołkę, budowę zrealizowano wg tego projektu. Zbudowano neorenesansowy kościół z przylegającą od wschodu kaplicą (według projektu miała być nakryta kopułą; pozostawiono ją bez kopuły i pokryto papą). 2 września 1951 r. kościół został poświęcony.

Kościół wyposażono w witraże zaprojektowane przez Wiktora Ostrzołka, absolwenta krakowskiego Liceum Plastycznego i Akademii Sztuk Pięknych.

Witraże w kościele p.w. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny umieszczone zostały w prezbiterium, w kaplicy i na ścianach fasady po bokach wejścia głównego. W kaplicy bocznej znajduje się pięć witraży z przedstawieniami niefiguralnymi, z symbolami Kościoła. Środkowe

części witraży w kolorach czerwonym i fioletowym, górne i dolne części każdego z nich w tonacji seledynowo-żółtej. W fasadzie kościoła znajdują się okrągłe niewielkie okna doświetlające schody prowadzące na emporę muzyczną. Okna zostały wypełnione witrażami z symbolami „Alfa” i „Omega” oraz symbolem maryjnym (spłecione litery tworzące imię: „Marya”) i splecionymi literami „IHS”.

5. Siemianowice – parafia Zmartwychwstania Pańskiego



Kościół p.w. Zmartwychwstania Pańskiego, fot. W. Łaszkiwicz



Kościół p.w. Zmartwychwstania Pańskiego, fot. M. Derus

Kościół ten budowany był jako kaplica przedpogrzebowa na założonym w 1910 r. przy ul. Michałkowickiej tzw. nowym cmentarzu⁴³. 1 listopada 1970 r. na terenie cmentarza został poświęcony kamień węgielny pod budowę kaplicy Zmartwychwstania Pańskiego wybudowanej w celu odprawiania w niej pogrzebów. W jej podziemiach usytuowano zakrytą oraz pomieszczenia spełniające funkcje salek katechetycznych. Mieszcząca około 500 osób kaplica znajdująca się na nowym cmentarzu stała się ośrodkiem duszpasterskim dla tej części Siemianowic. Poświęcenia kaplicy dokonał proboszcz parafii Krzyża Świętego ks. infułat Franciszek Jerominek. W 1972 roku utworzono na terenie parafii rektorat. Pierwszym rektorem kaplicy został dotychczasowy wikariusz parafii Krzyża Świętego ks. Ernest Müller. Jego następcą był ks. Stefan Gruszka, a następnie ks. Joachim Studnik, który po erygowaniu samodzielnej parafii został jej pierwszym proboszczem. Parafię Zmartwychwstania Pańskiego erygowano 22 marca 1981.

Kościół nakryty został bardzo stromym, dwuspadowym dachem. Na tle trójkątnej, wysokiej ściany zamykającej część prezbiterialną, namalowano fresk z wizerunkiem Chrystusa Zmartwychwstałego. Wnętrze wyposażono

w witrażu znajdujące się na ścianie za ołtarzem i w fasadzie kościoła. Kompozycja witrażowa za ołtarzem zwieńczona jest wyobrażeniem Ducha Świętego, poniżej widoczne są motywy symboliczne związane z wiarą katolicką (krzyż, paw, płonąca świeca). Witraż utrzymany jest w kolorystyce błękitno-zielonej z dodatkiem barwy fioletowej. Witraż znajdujący się nad wejściem wyobraża słońce. Nieznany jest projektant witraży. Przypuszczalnie był to siemianowicki artysta-plastyk, Antoni Kramarz i artystka Magdalena Kurek.

6. Bańgów – parafia Nawiedzenia NMP

Pierwsza wzmianka o osadzie Bańgów pochodzi z 1596 roku. W tym czasie wieś stanowiła własność rodziny Mieroszewskich. W 1692 roku wraz z Jakubowicami i Siemianowicami została sprzedana Bogusławowi Hunterowi von Grandon. Następnymi właścicielami dóbr siemianowickich (w tym Bańgowa) była rodzina Henckel von Donnersmarck. Mimo rozwoju przemysłu w XIX w. wieś zachowała rolniczy charakter. W 1951 r. samodzielna gmina Bańgów została przyłączona do Siemianowic. Parafią macierzystą miejscowych wiernych była parafia św. Michała Archanioła w Michałkowicach. Dopiero pod koniec XX w. staraniem ks. prałata Stanisława Sierli w Bańgowie wybudowano pawilon katechetyczny wg projektu architekta Adriana Szendzielorza, po czym Bańgów uzyskał status samodzielnej placówki (17 października 1988 r.). Konsekracji wzniesionej kaplicy⁴⁴ dokonał 7 listopada 1985 biskup Damian Zimoń. Parafię p.w. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny erygowano 1 stycznia 1990 r.

7. Bańgów – parafia św. Jana Sarkandra

Pod koniec lat osiemdziesiątych w Bańgowie powstało nowe osiedle. Pierwsi mieszkańcy przybyli tutaj w 1988 roku. W 1986 roku został oddany do użytku pawilon katechetyczny przy ul. Polnej. Powstała kaplica, późniejsza siedziba parafii Nawiedzenia NMP w dzielnicy Bańgów. W 1992 r. budowniczym i rządcą parafii został ks. Krystian Bujak. Zadekretowano budowę tymczasowej kaplicy pod wezwaniem bł. Jana Sarkandra, kapłana i męczennika⁴⁵.

Projekt nowej świątyni wykonał architekt mgr inż. Michał Kucziński. W bardzo krótkim czasie - 1994-1998



Kościół p.w. św. Jana Sarkandra w Bańgowie, fot. W. Łaskiewicz

- wzniesiono dom parafialny i probostwo. Jednocześnie prowadzono prace przy budowie kościoła. 1 stycznia 2004 roku dekretem ks. abp Damiana Zimonia została erygowana druga parafia w dzielnicy Bańgów. Z wydzielonej części osiedlowej, liczącej 3200 mieszkańców i przyłączonych dwóch domków jednorodzinnych z parafii Wniebowzięcia NMP w Przełajce, powstała parafia św. Jana Sarkandra, gdzie proboszczem mianowany został dotychczasowy duszpasterz parafii Nawiedzenia NMP w Bańgowie – ks. Krystian Bujak.

W 2006 wykonano witraż wielopostaciowy z postacią św. Jana Sarkandra trzymającego monstrancję⁴⁶ z unoszącą się nad nim Gołębicą Ducha Świętego. Witraż zaprojektowała Adrianna Szendzielorz-Walczak z Siemianowic, a wykonała pracownia Barbary Romańczyk w Siemianowicach Śląskich⁴⁷. Witraż ten został zamontowany na chórze, nad głównym wejściem do kościoła. Powstały także witraże w pozostałych elewacjach kościoła (kościół jest budowlą symetryczną) i w oknach doświetlających przestrzeń pod chórem muzycznym. Przedstawiają sceny z życia patrona kościoła, św. Jana Sarkandra.

8. Bytków – parafia Ducha Świętego

Bytków długo pozbawiony był własnego kościoła. Dawniej należał do parafii michałkowskiej. Po wojnie został zabudowany nowymi osiedlami i gęsto zaludniony, z powodu napływu ludności z różnych stron kraju



Kościół św. Ducha w Bytkowie

do pracy w przemyśle. Odległość parafii w Michałkowicach powodowała, że ludność rozproszona po osiedlach powstałych np. na granicy z Katowicami i Chorzowem dotkliwie odczuwała brak kościoła. W archiwum parafii św. Michała Archanioła w Michałkowicach w jednym ze starszych inwentarzy znajduje się zapis mówiący o należącej do parafii michałkowskiej kaplicy w Bytkowie⁴⁸. Kaplica powstała w XVIII w. na terenach dawnych dóbr rycerskich, nad stawem. Wewnątrz znajdował się ołtarz z rzeźbioną figurą św. Jana Nepomucena, patrona spowiedników, szczerej spowiedzi, dobrej sławy i tonących oraz orędownikiem podczas powodzi. Według tradycji ludowej był świętym, który chronił pola i zasiewy przed powodzią i przed suszą. Kaplica



Kościół św. Ducha - wnętrze, fot. M. Derus

zbudowana została z kamienia. Wcześniej w ołtarzu przypuszczalnie znajdował się obraz, bowiem wspomniany inwentarz zawiera informację o obrazie znajdującym się wśród ruchomości plebanii, a pochodzącym z bytkowskiej kaplicy. Dwuspadowy dach kaplicy dawniej pokryty był gontem; w II poł. XX w. gont zamieniono na blachę. Na dachu znajduje się wieżyczka na sygnaturkę.

W 1973 r. michałkowicki proboszcz ks. Stanisław Sierła rozpoczął starania o zgodę na budowę kościoła w Bytkowie. Tymczasem odprawiano przy okazji wielkich świąt kościelnych msze we wspomnianej kapliczce p.w. św. Jana Nepomucena przy udziale ludności zgromadzonej na placu przed kapliczką. W 1975 r. uzyskano zgodę na budowę kościoła. Kościół zaprojektował zespół w składzie: inż. arch. Krystian Laske, inż. konst. Stefan Walendowski i inż. bud. Teodor Okoń. W 1978 r. na mocy dekretu ks. biskupa ordynariusza Herberta Bednorza, ks. Konrad Zubel został mianowany do dalszej budowy kościoła. 1 sierpnia 1980 r. erygowano parafię Świętego Ducha w Bytkowie. Budowa zakończyła się w 1980 roku. W tym samym roku mianowano pierwszego proboszcza, ks. Konrada Zubla. 20 października 1988 r. biskup ordynariusz Damian Zimoń dokonał konsekracji kościoła. W latach 1993-1995 modernizowano wieżę kościelną według projektu architekta Krystiana Laske. W latach 1997-1999 artysta-rzeźbiarz Mirosław Kiciński wykonał niezwykle oryginalną Drogę Krzyżową. W 2000 r. skończono budowę organów piszczałkowych w latach 2001-2006 wykonane zostały witraże, a właściwie barwne przeszklania według projektów artystki Anity Benish-Judy. Wykonała je firma Glasini z Chorzowa w technice zwanej fusing.

9. Siemianowice – parafia ewangelicko-augsburska im. Marcina Lutra

Ludność wyznania ewangelickiego zaczęła napływać do Laurahuty w 1836 r. z Brunszwiku w 1838 r. w poszukiwaniu pracy, gdyż tu zaczął się rozwijać przemysł ciężki, co pociągało za sobą zapotrzebowanie na robotników niewykwalifikowanych i wszelkiego rodzaju fachowców. Najbliższy kościół ewangelicki znajdował się w Królewskiej Hucie, a wobec stałego zwiększania się liczby ewangelików, konieczna była budowa kościoła na miejscu. Pierwsze nabożeństwo w Laurahucie zostało odprawione w 1873 r. w budynku cechowni Huty Laura⁴⁹. W 1885 r. w Laurahucie osiadł wikary Runge z Królewskiej Huty. Podczas IV Śląskiego Synodu Okręgowego ustalono zasady finansowania budowy kościoła. Gminie Laurahuckiej udzieliły wsparcia pobliskie gminy ewangelickie. W 1883 r. podczas Święta Lutra z powszechnej kolektki uzyskano sumę 50.000 marek. Cesarz ofiarował 25.000 marek, 10.000 marek wyasygnował Koncern Zjednoczone Huty Królewska i Laura, 1000 marek – książę Hohenlohe, 2550 marek – fabrykant Wilhelm Fitzner⁵⁰.

1 sierpnia 1888 r. ustanowiono samodzielną parafię w Hucie Laura i powołano pierwszą Radę Parafialną. 18 listopada 1888 r. wikary Spindler został mianowany pastorem, a 20 stycznia 1889 r. objął swój urząd. W skład gminnej rady parafialnej wchodził wówczas: właściciel Fabryki Kotłów Wilhelm Fitzner, budowniczy Clausnitzer, dyrektor kopalni Gelhorn, sekretarz huty Kasch, inspektor Ludwig i prokurent Schneider⁵¹. Parafia obejmowała swym zasięgiem następujące miejscowości: Hutę Laura, Siemianowice, Hutę Jerzego, Kopalnię Fanny, Michałkowice, Bytków, Bańgów i Przełajkę. 20 kwietnia 1893 r. położono kamień węgielny pod budowę świątyni. Autorem projektu był powiatowy inspektor budowlany Franz Posern z Pszczyny.

Kościół zbudowany został na planie krzyża łacińskiego z transeptem i wieżą usytuowaną nad wejściem. W ramionach transeptu umieszczono emporie – charakterystyczny element wyposażenia kościołów ewangelickich. Przy prezbiterium po prawej stronie znajdowała się ambona. Witraże według projektów Christiana Ludwiga Türcke



Kościół ewangelicko-augsbuski

z 1894 r. zamówiono w firmie Türcke&Schlein w Zittau. Organy wykonała firma Schlag&Söhne ze Świdnicy w 1893 r. Zegary na wieżę kościelną wykonała firma J.F.Weule z Böckenem⁵². W 1894 r. bracia Wilhelm i Richard Fitznerowie zamówili w darze dla kościoła trzy dzwony w odlewni „Bochumer-Stahlwerk Verein”. 20 stycznia 1895 r. ukończono budowę kościoła. Z wyposażenia wnętrza zwraca uwagę mosiężna neogotycka chrzcielnica, wzorowana na wittenberskiej. W 1920 r. ściany transeptu i łuk tęczyowy kościoła pokryte zostały ekspresjonistycznymi freskami autorstwa Willy Fitznera i Margarethe Spindler-Hahn ze scenami „Sądu Ostatecznego”, „Potępionymi” i „Rajem”⁵³. Po II wojnie światowej zostały usunięte. Jednocześnie z kościołem wybudowano niewielką plebanię, a w 1899 r. zaczęto budować dom parafialny. Teren pod budowę ofiarował Richard Fitzner. Autorem projektu był Dominik Drescher z Bytomia. W domu parafialnym mieściło się przedszkole, salka parafialna i dom opieki prowadzony przez diakonisy od 1894 r. W 1927 r. dobudowano od południowego wschodu nową część do istniejącego już budynku⁵⁴. W 1930 r. parafia liczyła ok. 2000 wiernych. Przy parafii działało także Polskie Towarzystwo Ewangelickie. Nabożeństwa odprawiane były w języku polskim i niemieckim.

Po II wojnie światowej Rada Narodowa Miasta Siemianowice Śląskie z dnia 29 marca 1945 r. podjęła uchwałę o konfiskacie kościoła, budynku probostwa, domu diakonis z salą zebrań oraz cmentarza. Pretekstem było rzekome wykrycie magazynu broni palnej pod ołtarzem w sierpniu 1939 r. i oświadczenie przedstawiciela ewangelików-Polaków, że jest ich zbyt mało (ok. 40 osób), aby byli w stanie utrzymać wszystkie przynależne do parafii budynki. Miejska Rada Narodowa uchwałą z 23 listopada 1945 r. przekazała kościół, plebanię, dom diakonis i cmentarz parafii Św. Krzyża. 14 sierpnia 1945 r. z Kurii Diecezjalnej w Katowicach nadeszło pismo skierowane do proboszcza parafii Św. Krzyża, iż szef Sztabu Wojskowego Jednostki Polowej Nr 70638 stacjonującej w pałacu w Siemianowicach zwrócił się o zezwolenie na poświęcenie „tamtejszego kościoła protestanckiego”, który wojsko miało zamiar



Kościół ewangelicko-augsburski, fot. M. Derus

zaadaptować na kościół garnizonowy. Dokonano poświęcenia kościoła p.w. Najświętszego Serca Pana Jezusa. 13 maja 1946 roku do proboszcza parafii Św. Krzyża wpłynęło kolejne pismo z Kurii Diecezjalnej w Katowicach z prośbą o oddanie oo. Salezjanom „kościola poprotestanckiego, by w nim mogli utworzyć zakład wychowawczy dla młodzieży”. W lipcu 1946 roku kościołem zainteresowały się siostry wizytki – repatriantki z Wilna. Po wymianie korespondencji z Kurią Biskupią w Katowicach oraz z ks. dziekanem, a jednocześnie proboszczem kościoła p.w. Św. Krzyża, w listopadzie 1946 r. w budynku probostwa kościoła ewangelickiego osiadły przybyłe z Wilna ss. wizytki. Probostwo zostało zamienione na klasztor. Zgodnie z regułą zakonną ss. wizytek zbudowano kryte przejście łączące klasztor z kościołem i zamknięto jedno ramię transeptu, gdzie urządzono kaplicę Wieczystej Adoracji. Ambonę zdemontowano i usunięto freski. Gminie ewangelickiej pozostał dom parafialny, gdzie urządzono kaplicę dla potrzeb ludności wyznania ewangelickiego.

W 2000 r. siostry wizytki opuściły Siemianowice Śląskie, a kościół został zwrócony gminie ewangelickiej. W 2010 r. kościół ewangelicko-augsburski został wpisany do rejestru zabytków województwa śląskiego. Obecnie wpisywane jest do rejestru wyposażenie tego kościoła oraz zabytkowy cmentarz ewangelicki, na którym pochowane są zasłużone dla miasta osoby.

PRZYPISY:

- 1 L. Musioł, *Michałkowice. Monografia historyczna*. Katowice 1968, maszynopis, s. 14-15.
- 2 L. Musioł, op. cit., s. 87.
- 3 Op. cit., s. 124.
- 4 Archiwum Parafii św. Michała Archanioła, Inwentarz majątku kościelnego, fundacyjnego i plebańskiego rzymsko-katolickiego kościoła parafialnego w Michałkowicach pod wezwaniem św. Michała według stanu z dnia 1 września 1950, Michałkowice, dnia 7 marca 1951.
- 5 Archiwum Budowlane UM Siemianowic Śląskich, sygn. akt: 3/38.
- 6 Archiwum parafii św. Michała Archanioła w Michałkowicach (rysunki projektowe).
- 7 Julian Wałdowski (1854-1912), studiował malarstwo w Düsseldorfie i Monachium. Tam znalazł się pod wpływem szkoły nazareńców, która preferowała ołtarzowe malarstwo religijne. W Toruniu mieszkał w latach 1883-1890. W 1893 roku Wałdowski osiadł na stałe we Wrocławiu, gdzie zasłynął jako malarz obrazów religijnych, znajdujących się w ołtarzach kościołów Śląska.
- 8 Fot. archiwalna: Gość Niedzielny 1929 r.
- 9 Właściciela browaru w Rozdzeniu.
- 10 Witraż został usunięty w tym samym czasie, co ołtarz główny i pozostałe elementy wystroju kościoła.
- 11 Najprawdopodobniej z wrocławskiej pracowni witrażowniczej Adolfa Seilera.
- 12 <http://archidiecezja.lodz.pl/sobor.html>, dostęp: 16.04.2014
- 13 Cytowany dokument został wydany w Gnieźnie 16 kwietnia 1966 r., a podpisany przez +Kazimierza Józefa Kowalskiego, Przewodniczącego Komisji Artystyczno-Konserwatorskiej i przez + Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Polski. <http://www.kkbids.episkopat.pl/?id=188>, dostęp: 24.04.2015.

14 L. Makówka, Problem adaptacji wnętrz górnośląskich kościołów neostylowych do odnowionej liturgii po Soborze Watykańskim II. Współczesne próby odtwarzania zabytkowej substancji. W: Wiadomości Konserwatorskie Województwa Śląskiego, t. 2, s. 171-182, red. B. Klajmon.

15 Informacja podana przez Waldemara Łaskiewicza w kwietniu 2015 r.

16 Obecnie umieszczony na budynku parafialnym powstałym w 1990 r.

17 Archiwum Parafii św. Michała Archanioła, Inwentarz majątku kościelnego, fundacyjnego i plebańskiego rzymsko-katolickiego kościoła parafialnego w Michałkowicach pod wezwaniem św. Michała według stanu z dnia 1 września 1950, Michałkowice, dnia 7 marca 1951.

18 Archiwum parafii św. Michała Archanioła, Kronika Parafialna z zachowanym rysunkiem projektowym ołtarza.

19 Gość Niedzielny nr 39 z dnia 29 września 1929, rok VII (na okładce reprodukcja obrazu J. Wałdowskiego z ołtarza głównego; wewnątrz fotografia całego ołtarza).

20 Obraz nie jest obecnie własnością tutejszej parafii, ale został zachowany w ołtarzu kościoła p.w. św. Michała Archanioła w Świdwinie.

21 A. Halor, Wokół dawnej kaplicy siemianowickiego pałacu, 1998.

22 W. Koenig, op.cit., s.203.

23 W. Koenig, op.cit., s. 205.

24 Archiwum parafii św. Michała Archanioła, teczka: Różna korespondencja 1868, Odłączenie Siemianowic od parafii Michałkowic, sygn. akt: 11.

25 Archiwum parafii Św. Trójcy w Bytomiu, V. Durynek, Festschrift zum 25 jährigen Jubiläum der St. Trinitatis-Kirche zu Beuthen O.S., Beuthen 1911, s. 28.

26 Obrazy są sygnowane.

27 Archiwum parafii Św. Krzyża, kosztorys z 17 VI 1910 r.

28 Obecnie przeniesiona do kaplicy na cmentarzu przy ul. Cmentarnej.

29 Dawniej plac nosił imię Hilgera. Ewald Hilger w latach 1905-1923 był dyrektorem Spółki Akcyjnej „Zjednoczone Huty Królewska i Laura”. Słynął z zainteresowania warunkami socjalnymi pracowników. Politechnika Wrocławska przyznała mu godność doktora honoris causa. Został obywatelem honorowym Laurahuty.

30 Archiwum Parafii Św. Antoniego Padewskiego, segregator: „Historia Kościoła”.

31 Archiwum Parafii Św. Antoniego Padewskiego, segregator: „Historia Kościoła”.
32 j.w.

33 Archiwum Parafii Św. Antoniego Padewskiego, segregator: „Budowa kościoła”.

34 Archiwum Parafii Św. Antoniego Padewskiego, segregator: „Kościół”.

35 Archiwum Parafii Św. Antoniego Padewskiego, segregator: „Ołtarze”.

36 Archiwum Parafii Św. Antoniego Padewskiego, segregator p.t. „Dzwony”;

37 Witraż nie istnieje - został zniszczony podczas II wojny światowej.

38 Pracownia powstała w 1937 r. Jej założyciel - Fryderyk Romańczyk kształcił się w krakowskiej pracowni witraży Żeleńskiego, a następnie w jednej z pracowni wrocławskich.

39 Przelajka. Kronika parafialna. Opracowanie tekstów: Jacek, Marcin i Andrzej Białasowie. Przelajka, styczeń 1999, s. 15.

40 Przeniósł się w 1922 r. do Ujazdu k/Strzelc Opolskich.

41 Przelajka. Op. cit. s. 16.

42 j.w., s. 19.

43 Pierwotnie był to drugi cmentarz parafii św. Krzyża, nazywany „nowym” w odróżnieniu od starego zlokalizowanego przy ul. Cmentarnej.

44 Wprowadzone w projekcie zmiany pozwoliły z pawilonu katechetycznego zrobić kaplicę.

45 Kapłan katolicki, proboszcz w Holeszowie; w 1620 r. uchronił miasto przed atakiem lisowczyków. To wydarzenie stało się pretekstem dla protestantów do oskarżenia go o sprowadzenie polskiego wojska na Morawy. Nie przyznał się do zarzucanej mu zdrady stanu. Nie wyjawiał także tajemnicy spowiedzi namiestnika Moraw. Zmarł w więzieniu 17 marca 1620 r. Papież Pius IX ogłosił Jana Sarkandra błogosławionym w 1859 r. 21 maja 1995 r. w Ołomuńcu papież Jan Paweł II kanonizował Jana Sarkandra.

46 Scena z życia świętego, kiedy to podczas ataku lisowczyków Jan Sarkander wyszedł z procesją niosąc monstrancję, dla zaznaczenia, że miasto jest katolickie.

47 Na podstawie: <http://jansarkander.pl/informacje>, dostęp: 14.04.2014

48 Archiwum parafii św. Michała Archanioła, Inwentarz 1843-72-75, sygn. akt: 10.

49 Cechownia powstała w 1856 roku przybudowana do budynku dyrekcji kopalni z charakterystycznym wykuszem zwieńczonym blankami, z którego to powodu miejscowa ludność nazywała budowlę „zomkiem”. Wyburzono ją w 1975 r. w związku z budową ul. Katowickiej.

50 Właściciel dwóch siemianowickich fabryk, wzbogacony na dostawach do huty „Laura”. Jego ojciec znajdował się grupie przybyszów z Brunszwiku.

51 W. Koenig, op.cit., s. 211.

52 Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Katowicach, zespół: Hochbauamt in Kattowitz, sygn. akt: 434, s. 17,18.

53 R. Schneider, Gedenkbuch der evangelischen Kirche in Polnisch-Schlesien, Poznań-Posen 1936.

54 Archiwum Budowlane Urzędu Miejskiego w Siemianowicach, sygn. Akt: 5/329.

PODZIEMNE ŻYCIE SIEMIANOWIC

Józef Schwestka urodził się 16 grudnia 1923 roku, mieszkał na Hugo. Harcerstwo było dla niego czymś więcej niż pasją... Jemu to zawdzięczamy najobszerniejszą relacją dotyczącą funkcjonowania struktur konspiracyjnych na terenie Siemianowic Śląskich. Gdy Niemcy zajęli Siemianowice Śląskie, wyjechał na jakiś czas został skierowany do pracy w Emden an der Ems, skąd jednak po ośmiu miesiącach powrócił. Oddajemy mu w tym momencie głos:

Po powrocie z landowy (robót rolnych) otrzymałem z „Arbeitsamtu” skierowanie do pracy w drogerii hitlerowca, członka NSDAP, Chroboka, w miejscowości Bytków, oddalonej trzy kilometry od Siemianowic. [...]

Zaraz po powrocie od bauera nawiązałem kontakt z druhami z ZHP. Pierwsze kroki skierowałem do wiernego i oddanego przyjaciela - Emanuela Waloszka. Wciąż nie dawało nam spokoju pytanie: co dalej, jak skutecznie szkodzić Niemcom i pomagać tym, którzy podjęli walkę o utrzymanie polskości?

Pewnego popołudnia, wracając z pracy do domu, spotkałem Waloszka, który powiedział mi z tajemniczą miną, abym w niedzielę nie wychodził z domu, gdyż przyjdzie do mnie ze swoim znajomym. Prosił, by nie zadawać żanych pytań i szybko się ze mną pożegnał. [...]

W umówioną niedzielę byłem bardzo niespokojny i zdenerwowany, co zwróciło uwagę mojej matki. Godziny wlokły się jak żółw. O 10.30 matka wyszła do kościoła na sumę, a po kilkudziesięciu minutach zapukano do drzwi. W drzwiach stał Waloszek z nie znanym mi młodym mężczyzną. Zdziwiło mnie, że mój serdeczny druh nie dokonał prezentacji. Dopiero z rozmowy dowiedziałem się, że nieznanomy to podharc mistrz, który organizuje na terenie Śląska harcerskie grupy konspiracyjne. Organizacja, którą reprezentuje, skupia patriotyczną młodzież z dawnych harcerskich szeregów i nosi nazwę „Biały Orzeł”. Wyraził nadzieję, że wkrótce podejmiemy walkę z okupantem. Żadne szczegóły dotyczące nazwisk lub miejsc spotkań nie zostały jeszcze ujawnione. Podał tylko, że druh Waloszek jest upoważniony do prowadzenia dalszych rozmów i poczynań organizacyjnych według własnego uznania. [...] Należało w pierwszej fazie przekonać patriotycznie nastawionych i gotowych na wszystko druhów z ZHP, aby przyłączyli się do nas. Typowanie kandydatów, omawianie ich zalet, znajomość obchodzenia się z materiałami wybuchowymi, odwaga, ofiarność i gotowość do poświęceń dla dobra Polski - to były kryteria

werbowania członków do naszej grupy. Jednogłośnie została zaaprobowana kandydatura Hermana Wróbla. Wykazał się dużą bojowością w starciach z członkami BDJ [„Bund Deutscher Jugend“], był bardzo koleżeński, a zarazem małowówny i można mu było powierzać tajemnice. Pochodził rodziny górniczej, Jego ojciec brał udział w powstaniach śląskich. Następnym kandydatem był Józef Sołtysik. Zналиśmy go z patriotycznej postawy i odwagi w działaniu. Z wyglądu zewnętrznego można go było nazwać „molem książkowym”. Był to młodziutki intelektualista, rozmiłowany w czytaniu, a jednocześnie odważny. Nienawidził Niemców. Miał zaledwie 15 lat. Był najmłodszym członkiem naszej grupy. Pochodził z rodziny górniczej uczestniczącej w powstaniach śląskich. Nasza czwórka stanowiła trzon organizacyjny pierwszej w Siemianowicach Śląskich zorganizowanej konspiracyjnej grupy. Przywódcą z nominacji oraz całkowitego naszego podporządkowania i zaufania został Emanuel Waloszek.

Nie była jednak grupa Waloszka „pierwszą w Siemianowicach Śląskich zorganizowaną konspiracyjną grupą”. Już wcześniej bowiem zawiązała się na tym terenie komórką organizacji „Ku Wolności”, ale już jesienią 1939 roku zaczął tworzyć w Siemianowicach Śląskich struktury organizacji „Orzeł Biały” podharc mistrz Stanisław Grodecki. Jemu to między innymi podlegała grupa Emanuela Waloszka. Pytanie – ile takich grup było? No i czy słuszna jest sugestia Tadeusza Kura, że „Orzeł Biały” to po prostu Organizacja Orła Białego. Wydaje się, że poza podobieństwem nazwy, która wszak może być przypadkowa, niczym na poparcie tej tezy nie dysponował. Dodajmy jeszcze, że kontakt z Grodeckim utrzymywał również Gerard Koloch z Bytkowa i dzięki jego relacji dowiadujemy się tak naprawdę, że Grodecki już jesienią 1939 roku podjął pracę konspiracyjną i że jemu to podlegała grupa Emanuela Waloszka, przy czym nie wydaje się, aby Grodecki był ówczesnie przełożonym grupy, której członkiem był Koloch. Tadeusz Kur w książce *Ćwiki z warowni „Śląsk”* relacjonuje swoją rozmowę z Gerardem Kolochem:

Jak stwierdza autorytatywnie również Gerard Koloch, pierwsza polska ulotka podziemna w Siemianowicach została napisana i odbita na udostępnionym mu powielaczu przez podharc mistrza Stanisława Grodeckiego, przedwojennego nauczyciela zamieszkałego w Siemianowicach przy ul. Kościuszki. Było to już późną jesienią 1939 roku. Przedtem - 10 października 1939 roku - Gerard Koloch wraz z Józefem Krauspem był przyjmowany do organizacji „Orzeł Biały”, wchłoniętej następnie później przez Służbę Zwycięstwu Polski, a potem ZWZ - AK.

Szerzej zajmę się tą sprawą, omawiając funkcjonowanie struktur konspiracyjnych w Bytkowie. Natomiast w tym miejscu chcę jedynie zwrócić uwagę na to, że według Kolocha „za pracę konspiracyjną w Siemianow-

icach był odpowiedzialny całkowicie podharc mistrz Stanisław Grodecki”, przy czym najwyraźniej nie podlegały mu struktury z Bytkowa, jako że chwilę później dodał on:

Grupy konspiracyjne działały także w Bytkowie: całe rodziny Świerzych, Gabrysiów, Gansińców i Tomanków. Aby uniknąć zbyt częstego odwiedzania Józefa Skrzeka, utrzymywano w Michałkowicach kontakt z Anną Kot (Mitręgówną).

Tymczasem wróćmy do tego, co działo się z grupą Emanuela Waloszka. Oto bowiem Józef Schwestka w swojej relacji pisze:

Mieliśmy po 15-17 lat. Zaczęliśmy od zwalczania hitlerowskiej propagandy w sprawie używania ojczystego języka polskiego na Śląsku. Duże i gęsto rozplakatowane afisze głosiły, że „... kto mówi po polsku, jest naszym wrogiem” (Wer polnisch spricht, ist unser Feind). Przez drobną zmianę w pisowni zmieniliśmy treść na: „... kto mówi po polsku, jest naszym przyjacielem” (Wer polnisch spricht, ist unser Freund). Dwie noce z tuszem, farbą drukarską i pędzlem chodziliśmy oddzielnie po Siemianowicach, Bytkowie, Michałkowicach i Bańgowie. W ten sposób rozpoczęliśmy pierwszą akcję. [...]



Emanuel Waloszek i Józef Schwestka

W ten sposób rozpoczęliśmy pierwszą akcję. [...] Jednym z celów naszej działalności było również zabezpieczenie przed zniszczeniem dzieł polskich klasyków i podręczników szkolnych, szczególnie z historii. Zbieraliśmy polskie książki, które były skazane na spalenie i makulaturę. Nieocenionej pomocy udzielił nam Józef Urbańczyk oraz znane z patriotycznej postawy rodzeństwo Jadwiga i Tadeusz Wieczorkowie, zamieszkali w Bytkowie. W piwnicy Józefa Urbańczyka gromadziliśmy cenne dla nas polskie książki, którymi się on opiekował, a w późniejszym okresie również je kolportował wśród łaknących polskiego słowa. Konspiracyjna biblioteka znajdowała się obok piwnicznych magazynów z towarami mojego szefa, właściciela drogerii, Reichsdeutscha Chroboka. W sposób bardzo przemyślany, spokojny i opanowany Józef Urbańczyk prowadził

tę wypożyczalnie aż do aresztowania. Jesienią 1940 r. otrzymaliśmy rozkaz zdobycia materiałów wybuchowych. Było to zadanie bardzo niebezpieczne i faktycznie nie do zrealizowania przez samych członków naszej grupy. Jedyna możliwość zdobycia materiałów wybuchowych istniała przez kopalnię węgla. Należało więc do tej akcji wciągnąć naszych rodziców - górników. Tutaj niezawodni okazali się rodzice Waloszka i Wróbla, którzy ryzykując życiem swoim i rodziny wynieśli około 3 kg lignozytu (materiał wybuchowy zwany tak od zakładów „Lignoza”). Ze względu na bezpieczeństwo rodziny Waloszka i Wróbla materiał został złożony u mnie w domu. Po kilku dniach otrzymałem rozkaz zabrania go i udania się do „pszczelnika” (park spacerowy w Siemianowicach), gdzie przekazałem go oczekującemu łącznikowi. Później dowiedzieliśmy się, że materiał wybuchowy został wykorzystany do wysadzenia transportu wojskowego w okolicach Mysłowic.

Po pierwszych udanych akcjach wstąpił w nas nowy duch bojowy. Przekonaaliśmy się, że buta i pewność siebie hitlerowców nie są tak wszechpotężne, skoro mała grupa dzieci, harcerzy, potrafi postawić na nogi aparat gestapo. Przed świętami Bożego Narodzenia otrzymaliśmy kilka egzemplarzy podziemnych gazetek: „Polak”, „Front Polski”, które zawierały informacje o znęcaniu się hitlerowców nad Polakami, licznych aresztowaniach i formach stosowanej przez już dość liczne grupy ruchu oporu walki z ciemiężcami. Szczególnie utkwił mi w pamięci artykuł o bestialskim traktowaniu więźniów w policyjnym więzieniu w Mysłowicach. Hitlerowski terror budził w nas spotęgowaną nienawiść oraz zmuszał do szukania coraz to innych form walki i prowadzenia małego sabotażu. Nie dysponując żadną maszyną do pisania ani powielaczem postanowiliśmy ręcznie przepisywać treść tajnych gazetek.

Była to praca bardzo żmudna, pracochłonna, wprost benedyktyńska, lecz myśl, że podniesie na duchu wielu Ślązaków - i przypomni, iż nie są osamotnieni w przeciwstawianiu się hitlerowskiej potędze, dodawała nam siły do jak najliczniejszego powielania gazetek. W Wigilię Bożego Narodzenia dziesiątki egzemplarzy wetknięto do skrzynek na listy lub podrzucono pod drzwi rodziny, co do których mieliśmy pewność, że po przeczytaniu przekażą egzemplarz swoim znajomym. Był to z naszej strony skromny patriotyczny upominek dla polskich rodzin z okazji świąt i dziś jestem przekonany, że sprawił wiele radości oraz wzbudził ufność w sercach tych, którzy nie ulegli hitlerowskiej propagandzie.

Po Nowym Roku otrzymałem polecenie wystarania się jakiegos bądź środka toksycznego. Zlecono to mnie wiedząc, że pracuję w drogerii i że tam mogą znajdować się trucizny. Było to zadanie dość niebezpieczne do wykonania, gdyż mój szef nosił zawsze wszystkie klucze przy sobie i nigdy się z nimi nie rozstawał. Dopiero po trzech tygodniach od chwili otrzymania rozkazu nadarzyła się sprzyjająca okazja. Późnym popołudniem mój szef wrócił z jakiegos partyjnego zebrania pod „dobrą datą”. Ponieważ w kantorku było bardzo gorąco, zdjął marynarkę i popadł w stan półsnu. Po pewnym czasie chwiej-

nym krokiem skierował się w stronę korytarza. Kiedy usłyszałem trzaśnięcie drzewi, zdecydowanie sięgnąłem po pęk kluczy i szybko w mydle zrobiłem odcisk znanego mi kluczyka. Dosłownie spotniałem wtedy ze zdenerwowania. Po trzech dniach od chwili wykonania odcisku i dorobienia kluczyka, wykorzystując wcześniejsze wyjście Chroboka na urodziny żony, bez żadnych trudności otworzyłem skrytkę z interesującymi mnie środkami i zabrałem około 300 g „Schwienfurter Grün”. Truciznę przekazałem Urbańczykowi, po zamknięciu drogerii odebrałem ją od niego z powrotem, przekazując moją zdobycz Waloszki. Do dziś trudno mi dać zdecydowaną odpowiedź, dlaczego „kradzież” ta nie została szybko odkryta, mimo częstego korzystania z zawartości tej szafki przez szefa. Przypuszcza, że mój chlebodawca obawiał się nadać sprawie urzędowy bieg, aby sam nie popadł w tarapaty. Znacznie później dowiedziałem się, że przekazany środek został wykorzystany do zatrucia posiłków w niemieckiej kuchni polowej w województwie krakowskim - zrobili to członkowie innej grupy konspiracyjnej.

W lutym dowiedziałem się od Waloszki, że nie jesteśmy już jak dotychczas samodzielną grupą, lecz zostaliśmy włączeni do silniej organizacji działającej nie tylko w województwie katowickim - pod nazwą Związek Walki Zbrojnej. O kontaktach Waloszka łączących go służbowo z przełożonymi, mimo wieloletniej przyjaźni i serdecznych stosunków, nigdy nie było mowy. Obowiązywały zasady ścisłej konspiracji.

Informacja, iż dopiero w lutym 1941 roku Schwestka dowiedział się, że nie są już samodzielną grupą i że zostali włączeni „do silnej organizacji” działającej nie tylko w województwie katowickim - pod nazwą „Związek Walki Zbrojnej”, budzi moje zdumienia i nie wiem, jak ją interpretować. Wszak wcześniej Schwestka wielokrotnie pisał o rozkazach, które otrzymywał Waloszek, i o jego szerokich kontaktach (materiał wybuchowy zdobyty przez ich grupę był wykorzystany do akcji w Mysłowicach, trucizna - w Krakowie), nadto do organizacji przystępował Schwestka po spotkaniu, w którym prócz Waloszki uczestniczył nieznany Schwestce młody człowiek. Nie ma więc wątpliwości, że grupa Waloszki stanowiła od początku część większej całości. Co więcej, z relacji Gerarda Kolocho wynika wprost, że organizacja „Orzeł Biały”, której częścią była grupa Waloszki (zresztą nazwa ta pojawia się też w relacji Schwestki) weszła w skład ZWZ o wiele wcześniej. Nic też nie wskazuje na to, aby utraciła ona kontakt w następstwie takiej czy innej fali aresztowań, co wprost wynika z relacji Kolocho. Być może więc chodzi o to, że dopiero wtedy Schwestka dowiedział się, że organizacja, do której należy, nie nazywa się już „Orzeł Biały”, jako że została ona wchłonięta przez Związek Walki Zbrojnej. Ale wróćmy do relacji Józefa Schwestki:

Zbliżała się wiosna 1941 r. W czasie zaplanowanego spotkania z Waloszkciem dowiedziałem się, że nasza grupa powiększyła się o dwóch nowych ludzi. Byli nimi bracia Jan i Stanisław Bartodziejowie, zamieszkali przy ulicy Stabika w Siemianowicach. Byłem zdziwiony, gdyż ich ojciec był treuhänderem obuwniczego sklepu. Wyraziłem wtedy przypuszczenie, że jeśli mianowano go „powiernikiem”, to musiał współpracować z niemieckimi urzędami. Nie miałem zaufania i starałem się przekonać Waloszka o ryzyku wprowadzenia obu braci do naszej konspiracji, na co spotkałem się z repliką, że rodzina ta znana jest z polskich przekonań, a współpraca z Niemcami to celowa gra. Trudno mi go było przekonać, lecz usilnie prosiłem o zastosowanie środków ostrożności i niewtajemniczenie Bartodziejów w ścisłe sprawy konspiracji.

Ale niebezpieczeństwo przyszło z zupełnie innej strony. Schwestka pisze dalej:

W pierwszych dnia kwietnia otrzymałem zawiadomienie, że w określonym dniu i godzinie mam się stawić na spotkanie z Waloszkciem. Umawialiśmy się w coraz to innym miejscu i zawsze w ukryciu. Zdziwiło mnie, że to spotkanie wyznaczono na hałdach między Siemianowicami a Wełnowcem. Kiedy stałem się na miejscu, zauważyłem, że Waloszek nie był sam. Nic jednak nie mówiąc przyjąłem nowe zadanie do wykonania, a mianowicie wyjazd do Lublińca w celu zorganizowania konspiracyjnej grupy. Wybór padł na mnie, gdyż wiadano, że uczyłem tam do gimnazjum A. Mickiewicza i należałem do drużyny harcerskiej. Zadanie do nie powinno sprawić mi żadnych trudności. Należało tylko odszukać wypróbowanych druhów z dawnej drużyny, którzy podjęliby hasło aktywnej walki z okupantem. Aby ułatwić mi nawiązanie nowych kontaktów, poczyniono już zresztą wstępne działania, a mianowicie w parku za koszarami wojskowymi, w znanej mi alejce, przy trzeciej ławce ogrodowej z lewej strony, miał na mnie czekać ktoś, kto również należał do organizacji i znał środowisko młodzieżowe Lublińca. Do moich obowiązków należało zapoznanie ze strukturą organizacyjną oczekującego mnie człowieka, przekazanie kilku legitymacji i ustalenie formy łączności. Termin spotkania wyznaczono na drugą niedzielę kwietnia. Wraz ze mną miał pojechać jeszcze ktoś z naszej grupy, którego mogłem sobie wyznaczyć. Razem więc z niezawodnym i oddanym sprawie Józkiem Urbańczykiem, jako obstawę, wyjechaliśmy do Lublińca. Podróż odbyła się bez żadnych przygód i zgodnie z planem doszło do umówionego spotkania. Znakiem rozpoznawczym były dwie czerwone główki szpilek krawieckich wetkniętych w lewy róg marynarki. Prezentacja odbyła się krótko i z miejsca przystąpiliśmy do omówienia interesujących nas spraw. Rozmowę prowadziłem sam, natomiast Józef Urbańczyk z pewnej odległości penetrował teren. Mając zapewnienie, że spotkanie będzie ze „swoim” człowiekiem, starałem się w miarę szczegółowo i dokładnie zapoznać organizatora nowej grupy

z zasadami i formami działalności. Żegnając się podałem mu swój adres na wypadek, gdyby zaszła konieczność uzupełnienia informacji lub udzielenia pomocy. Wracając do domu nie mogłem się jednak pozbyć uczucia, jakbym miał przed chwilą do czynienia z czymś nieprzyjemnym. Mimo bardzo poprawnej formy wyrażania się i miłego wyglądu mojego rozmówcy pozostał we mnie jakiś niesmak i niezadowolenie. Relację z wykonania zadania złożyłem po powrocie Waloszkowi i nie omieszkalem podzielić się z nim swoimi odczuciami.

Moja rozterka duchowa nie została przez niego potraktowana poważnie, a raczej czynił wysiłek, by mnie uspokoić, polecając absolutnie nikomu nie wspominać o tych wrażeniach i rozmowach. Pragnąłem, aby nie zlecano mi ponownego wyjazdu do Lublińca, a szczególnie obawiałem się przyjazdu do Siemianowic mojego rozmówcy. Intuicyjnie czułem, że coś nie jest w porządku. W ostatnią niedzielę kwietnia w godzinach rannych zapukano do naszego mieszkania. Otworzyłem i ucułem lekkie ukłucie w okolicy serca. Przede mną stał ten z Lublińca. Bardzo grzecznie i z dużą elokwencją wyjawiał powód swego przybycia. Chodziło mu o zapoznanie się na miejscu z naszą działalnością, pytał, czy mamy broń lub materiały wybuchowe, jaka jest technika propagandowej formy walki z Niemcami. Interesowała go stosowana łączność między nami, umowne znaki, kolportaż gazetek itp. Na moje pytanie, z czyjego polecenia przybywa lub czy kontaktował się z kimś przed przyściem do mnie otrzymałem odpowiedź, że dobrze zna braci Bartodziejów, lecz koniecznie chciałby się spotkać i rozmówić z naszym przywódcą. Nie mając polecenie kontaktowania kogokolwiek z Waloszkim, stanowczo odmówiłem spełnienia tego życzenia. Rozmowę prowadziłem bardzo ostrożnie, lecz na wiele zadanych mi pytań udzieliłem wyczerpującej odpowiedzi. Zastanawiałem się, czy moja antypatia do tego osobnika ma jakieś uzasadnienie. Wieczorem spotkałem się z Waloszkim i zrelacjonowałem przebieg spotkania z emisariuszem z Lublińca. Zdziwiło go, że nie został powiadomiony o jego przyjeździe, lecz zarazem wyczułem, że z udzielonych mu informacji jest zadowolony. Prosił jedynie, żebym utrzymywał w tajemnicy nawiązany kontakt i wyzbył się niczym nie uzasadnionego uprzedzenia. Zasugerowałem Waloszkowi, czy nie byłoby słuszne zasięgnąć na miejscu w Lublińcu informacji o naszym kontakcie i sprawdzić personalia ich wysłannika. Otrzymałem odpowiedź, że został już sprawdzony i abym więcej się nad tym nie rozwodził.

Czy owym człowiekiem z Lublińca nie był czasem Józef Bartocha, komendant ZWZ w Lublińcu, który okazał się konfidentem gestapo i który „wystawił” wszystkich swoich podkomendnych w liczbie 46, przekazując gestapo ich wykaz i doprowadzając do ich aresztowania w ramach „masówki” w dniu 18 grudnia 1940 roku? A może gestapo miało w Lublińcu jeszcze jednego agenta, któremu udało się przeniknąć do struktur AK?

Ale wróćmy jeszcze na moment do relacji Józefa Schwestki, który opowiadając o swoim pobycie w więzieniu w Katowicach stwierdza:

Dużym zaskoczeniem i zarazem szokiem było dla mnie spotkanie oko w oko z osobnikiem, z którym prowadziłem rozmowy w Lublińcu. Chodził w cywilnym ubraniu po naszym oddziale więziennym. Kiedy się mijaliśmy podczas wyprowadzania nas na spacer, zauważyłem na jego twarzy pełen zadowolenia, cyniczny uśmiech.

Józef Schwestka tak wspomina wydarzenia owego feralnego dnia, w którym to ujęło go Gestapo:

8 czerwca otrzymałem polecenie mojego pracodawcy, abym udał się do Katowic i odebrał z hurtowni zamówione towary. Dzień był bardzo słoneczny i sprawiło mi radość urwanie się zza sklepowego kontuaru. Po załatwieniu zleconego mi zadania wróciłem w porze obiadowej z powrotem i zadowolony z siebie oczekiwałem zakończenia dnia pracy. O godzinie 17.40 udałem się do placówki pocztowej w Bytkowie, aby jak co dzień dokonać wpłaty dziennego utargu. Kiedy znajdowałem się już w pobliżu okienka przyjmującego wpłaty, zauważyłem, że pod budynek urzędu pocztowego podjechał samochód, z którego wyszło dwóch mężczyzn, kierując się do środka. W chwilę później otworzyły się drzwi i zobaczyłem ubranych w prochowce oraz charakterystyczne tyrolskie kapelusiki przyjezdnych. Jeden z nich ustawił się za mną, drugi został przy drzwiach. Od razu zdałem sobie sprawę, że ich wizyta może dotyczyć tylko mnie. Serce biło mi jak młotem i nie widziałem żadnych możliwości „pryśnięcia”. Czekałem na dalszy bieg wydarzeń. Po otrzymaniu potwierdzenia dokonania wpłaty zostałem zatrzymany przez osobnika stojącego za mną i wepchnięty do stojącego przed budynkiem samochodu. Następnie wsiadł ten drugi, który asekurował drzwi wejściowe budynku. Podróż nie trwała długo, gdyż wbrew moim przypuszczeniom nie zostałem odstawiony do Katowic, lecz na posterunek Schupo w Michałkowicach.

Józef Schwestka jako datę swojego aresztowania podaje dzień 8 czerwca 1941 roku. Wydaje się, że jest to pomyłka. Musiało się to stać dzień później – 9 czerwca. Tak wydarzenie to datuje Józef Sołtysik, który to został aresztowany dzień po Schwestce, i to jemu należy przyznać rację. 8 czerwca 1941 roku to była niedziela, a z relacji Schwestki wynika, iż jego aresztowanie nastąpiło w dzień powszedni. Stąd należy przyjąć, iż to Sołtysik ma rację.

Pobyt Schwestki na posterunku Schupo w Michałkowicach trwał kilka godzin. Później przewieziony został do Katowic, do siedziby Gestapo, gdzie z miejsca poddany został „zmiękczeniu”. W swej relacji pisze on:

W gmachu gestapo w Katowicach zostałem przekazany dyżurnemu oficerowi, któremu na pytanie, dlaczego zostałem im przekazany, dałem odpowiedź, że nie wiem. Wyzwolilo to w nim paroksyzm śmiechu, który przerodził się następnie w bicie i kopanie. Do tej „zabawy” przyłączyli się jeszcze dwaj funkcjonariusze, aby mnie „zmiękczyć”. Wydający polecenie aresztowania Sturmbahnführer Winkler był nieobecny, lecz zdołał wydać odpowiednie zalecenia. Półprzytomnego, okropnie pobitego, wrzucono mnie do celi. Całą noc strasznie się męczyłem. Szczególny niepokój ogarniał mnie na myśl, co się stanie z matką. Jakże naiwny byłem sądząc, że nie może mnie już spotkać nic gorszego od nocnego „zmiękczenia”.

Na drugi dzień po godzinie 9.00 drzwi celi otworzył potężny drab w czarnym mundurze, ryknął, że mam się zbierać, zmuszając mnie potężnym kopniakiem do opuszczenia celi. Zaprowadzono mnie na drugie piętro i wepchnięto do pokoju, w którym za biurkiem siedział oficer gestapo. Drugi stał przy oknie. Przez pierwsze sekundy w ogóle się do mnie nie odzywał, patrzył mi tylko prosto w oczy. Potem w bardzo grzecznej formie poprosił, abym usiadł na krześle, i przystąpił do sprawdzenia personaliów. Kiedy zaczął z kolei stawiać pytania na temat działalności organizacji, nazwisk uczestników, kontaktów, przeprowadzonych akcji – zastanowiła mnie znajomość całokształtu naszej działalności. Gruby plik dokumentów leżących na biurku zawierał bardzo szczegółowe dane o nas wszystkich. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że zostaliśmy zadenuncjowani i że ktoś z naszego grona musiał się dopuścić zdrady. Gdy na zadawane mi pytania odpowiadałem: nie wiem, nie pamiętam lub zaprzeczałem przedstawianym faktom, stojący dotąd spokojnie przy oknie gestapowiec począł bykowcem (ołowianka obciążnięta materiałem) z całej siły bić mnie gdzie popadło.

Zmęczeni pierwszym przesłuchaniem i zadowoleni z siebie moi oprawcy poszli następnie na obiad, każąc dyżurnemu odprowadzić mnie do celi. Skatowany w sposób okrutny, otepiali i całkiem zrezygnowany co do moich losów, trwałem w mocnym postanowieniu, że nie dam się złamać. Sądziłem zresztą, że dziś dadzą mi już spokój, zdając sobie sprawę, jak bardzo jestem pobity. Płonne były moje nadzieje. Po godzinie 15.00 ponownie zaprowadzono mnie do mojego kata, który z miejsca krzykiem zaczął zadawać kolejne pytania. Do wściekłości doprowadzało go negowanie przeze mnie stawianych mi zarzutów. Na sygnał ukrytego dzwonka do pokoju, w którym byłem przesłuchiwany, weszło dwóch umundurowanych drabów. Usłyszałem rzucone im słowo „huštawka”, co było poleceniem, aby zastosować bardzo wymyślną torturę polegającą na tym, że pod kolana i zgięte ręce – założone na szyję – wkładano drążek i zawieszano między dwoma krzesłami, głową w dół. Wisząc w ten sposób słyszałem zadawane mi pytania, z których wynikało, że gestapowcy mają bardzo dobre rozeznanie w naszych sprawach, znają miejsca i zdarzenia, jak również nazwiska osób zarówno z mojej grupy, jak i tych, które czasami pomagały nam

lub pochwalały naszą działalność. Każda niezadowolająca przesłuchującego odpowiedź powodowała lawinę ciosów i kopniaków zadawanych mi przez asystujących w przesłuchaniu oprawców. Kiedy traciłem przytomność, polewano mnie wodą i dalej kontynuowano przesłuchanie, które zakończono około godziny 22.00. Byłem niezdolny stać na własnych nogach, nic nie widziałem na oczy, które były zapuchnięte i zalane krwią. Zawleczono mnie jak worek do piwnicy.

Około północy Schwestka został obudzony. Wyprowadzono go, zakutego w kajdanki, na zewnątrz budynku i wepchnięto do jednego z czterech stojących tam samochodów. Schwestka wspomina:

Świeże powietrze podziało na mnie jak uderzenie obuchem siekiery i o mało nie zwałem się na ziemię. W samochodzie znalazłem się między dwoma cywilami i samochody pomknęły w kierunku Siemianowic. Byłem przekonany, że wiozł mnie do domu, aby przeprowadzić rewizję (znacznie później dowiedziałem się, że tej samej nocy, kiedy aresztowano mnie, zdemolowano nasze mieszkanie, a matkę dotkliwie pobito).

Bezblędnie zatrzymywali się pod domami członków naszej grupy. Jako pierwszych zabrano Hermana Wróbla i Józefa Sołtysika. Jeden z samochodów odjechał w stronę dzielnicy miasta, gdzie mieszkał Waloszek. Zdziwiło mnie, że nie wracamy do Katowic tą samą drogą, bo zmieniono kierunek do Michałkowic. Przed jednym z budynków samochody zatrzymały się i z wozu wywleczono Sołtysika. Po około godzinie zauważyłem, że do samochodu, w którym wiezono moich kolegów, wnoszono paczki. Było ciemno i nie mogłem zaobserwować, jaka była ich zawartość. Po krótkiej chwili wyprowadzono Sołtysika, którego gestapowcy okładali po drodze razami. Po powrocie do gestapo rozdzielono nas, każdego do innej celi, lecz nie pozostawiono w spokoju. Resztę nocy prowadzono intensywne oraz bardzo bolesne przesłuchania i konfrontacje. Po południu zostali doprowadzeni Józef Urbańczyk i obydwaj bracia Bartodziejowie.

Przejdźmy tymczasem do relacji Józefa Sołtysika, który – podobnie jak Józef Schwestka – szczęśliwie przeżył wojnę. Sołtysik był najmłodszy spośród wszystkich aresztowanych w czerwcu 1941 roku. Miał niespełna szesnaście lat. Tak jak i pozostali aresztowani, był harcerzem. W rozmowie z Tadeuszem Kurem, autorem książki *Ćwiki z warowni „Śląsk”*, Sołtysik opowiadał swe ówczesne przeżycia:

Było to w nocy z 10 na 11 czerwca 1941 roku. Nocowałem w domu przy ul. Katowickiej (dziś Starokatowicka) w Siemianowicach. Obudził nas łomot do drzwi. Otworzyła je matka. Do mieszkania wpadło trzech gestapowców w mundurach. Jeden był wyższy rangą, bo miał plecione naramienniki. Mnie kazali się ubie-

rać, a sami przetrząsnęli dokładnie całe mieszkanie. Już wtedy pytali czy znam Waloszka i Schwestkę, a także Wróbla. Przed domem stały cztery czarne „Mercedesy”. W pierwszym z nich siedział Wróbel. Spytano mnie czy go znam. Odpowiedziałem, że tylko z widzenia, osobiście zaś nie. W drugim samochodzie siedział Schwestka. Mnie wepchnięto do trzeciego. W czwartym jechali konwojenci. Z Siemianowic cała kolumna udała się do Bytkowa, do mieszkania Kolocha. Tam wysadzono Wróbla i mnie, pytając: „Czy wiecie, kto tu mieszka”? Odpowiedziałem, że nie wiem. I wtedy uderzono mnie w twarz po raz pierwszy. Mieszkanie otworzyła matka Kolocha, wołając do mnie: „Gdzie jest Gerard?” Powiedziałem jej, że nie wiem. Rzeczywiście nie wiedziałem, iż uciekł on kilka dni wcześniej wraz z Waloszką do Generalnej Guberni.

Tak jak i inni zatrzymani, Sołtysik poddany został w gmachu Gestapo okrutnemu śledztwu. Tak po latach o tym opowiadał:

Następnie przewieziono nas do siedziby gestapo przy ul. Powstańców w Katowicach. Tam bito już okropnie. Przesłuchiwano każdego oddzielnie, a w ciągu dnia dowieziono Urbańczyka i obu Bartodziejów. Mnie przesłuchiwał asesor kryminalny Winkel, ale przebiegiem śledztwa interesowało się samo kierownictwo gestapo, z którego jeden z wyższych rangą SS-manów uczestniczył w przesłuchiowaniach. Wałkowano nas przez cztery dni. We mnie usiłowano wmówić przyznanie, że mój ojciec wynosił materiały wybuchowe z kopalni. Nie wiedziałem wówczas, że gestapo aresztowało już także ojca. Nie przyznawałem się i dlatego bito mnie tak okrutnie. Ulubioną torturą Winkla było wciskanie mi na szyję przez głowę wieszaka od ubrania i nagłe zrywanie go. Miałem od tego straszne bóle głowy i puchł mi kark. Nic jednak ze mnie nie wyduślił. Zresztą naprawdę to nie mój ojciec wynosił ten lignozyt z kopalni.

Józef Sołtysik, wraz z Hermanem Wróblem, Józefem Schwestką, Janem Bartodziejem, Stanisławem Bartodziejem i Józefem Urbańczykiem, został przewieziony do Berlina, gdzie odbył się proces. Herman Wróbel skazany został na karę śmierci i ścięty na gilotynie w Berlinie 5 czerwca 1942 roku. Pozostali oskarżeni otrzymali kary więzienia i do końca wojny przebywali w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Jedynie Józef Urbańczyk został zwolniony przed odsiedzeniem wyroku. Został następnie wcielony do Wehrmachtu, a po dostaniu się do alianckiej niewoli zaciągnął się do Polskiej Marynarki Wojennej. Służył na krążowniku ORP „Conrad”. Po wojnie wrócił do Siemianowic i pracował w Hucie „Jedność”.

Nie zdołali gestapowcy ująć w trakcie przeprowadzonej w czerwcu 1941 roku operacji Emanuela Waloszka, któremu podlegali wszyscy zatrzymani. Emanuel Waloszek wpadł w ręce Niemców w drugiej połowie maja 1942 roku. Trafił do KL Auschwitz-Birkenau, gdzie zmarł 13 lutego 1943 roku.

Oprócz organizacji „Orzeł Biały”, w skład której wchodziła grupa Emanuela Waloszka, na terenie Siemianowic Śląskich, czyli dzisiejszego centrum miasta, działały też inne grupy konspiracyjne wchodzące w skład ZWZ/AK. W szczególności wspomnieć tu wypada o organizacji „Ku Wolności”, której działalność datuje się tu od jesieni 1939 roku. Wcześniej komórka organizacji „Ku Wolności” powstała w Michałkowicach, gdzie założyć ją mieli Józef Skrzek, Stanisław Urbański i Walenty Czardybon. Z czasem Michałkowice miały stać się jednym z jej najważniejszych centrów.

Ale wróćmy do tego, co działo się w Siemianowicach. Sporo informacji na ten temat zawdzięczamy ankietom zebranych przez miejskie koło ZBOWiD-u, które w roku 1969 wziął pod lupę kierujący ówczesnie pracami tegoż koła Jan Szczepański. Tak na przykład Wacław Niesobski w swojej ankiecie napisał:

W dniu 23.XI.1939 roku składałem przysięgę u nauczyciela Golaś przy ul. Sei 3. Do organizacji tej oprócz mnie przystąpili wtedy: Golaś, Stiller /obaj nauczyciele/, Marosz, Rosołówna Irena, Miś Wiktor, Borucki Stefan, Biernat Wojciech, Piątek Wincenty i Konieczny Józef. Łącznikami między Michałkowicami a naszym miastem byliśmy ja i Rosołówna Irena.

Wiktor Skorupa stwierdził, że przysięgę składał w marcu 1940 r. u Misia Wiktora, a Paweł Kurdziej napisał, że przysięgę odbierał od niego jakiś nauczyciel w pierwszym dniu Wielkanocy. Weronika Soloch z kolei wspomniała, że „Ku Wolności” weszła w skład ZWZ, a następnie AK.

W sumie w ankietach pojawiają się nazwiska 41 osób, o których można z całą pewnością stwierdzić, że należały do siemianowickich struktur organizacji „Ku Wolności”. Z nich 12 osób poniosło śmierć z rąk niemieckiego okupanta.

Wymieńmy tu wszystkich: Borucki Stefan, Bartodziej Klara, Biernat Wojciech, Cieślak Lucjan, Golaś, Hanczewska Wanda, Hajduk (uciekł do GG i tam został zamordowany przez gestapo), Jarosz Michał (aresztowany za sabotaż), Konieczny Józef, Korfanty Wiktoria (zamordowana w 1941 r.), Korfanty Jan, Kurdziej Paweł, Kempny (uciekł do GG i tam został zamordowany przez gestapo), Krzykała Wilhelm (zamordowany w 1944 r.), Korfanty Józef, Lampner Józef (zamordowany w 1941 r.), Marosz, Miś Wiktor, Niesobski Wacław, Oczko Roman, Ponikło Zygmunt, Piątek Wincenty, Pawlicki Tomasz (zamordowany w 1942 r.), Rosołówna Irena, Skorupa Wiktor, Sieroń Filip, Stiller, Sosiński Władysław (zamordowany w 1941 r.), Sosiński Zdzisław (zamordowany w 1941 r.), Sieroń Franciszek, Soloch Weronika, Świerkot Herman (zamordowany

w 1942 r.), Wróbel Konrad, Wiśniewski Józef (zamordowany w 1941 r.), Żychoń Anna (zamordowana w 1942 r.), Świder Józef, Wideman Waclaw, Fedelińska Balbina, Hojeński, Sieroń Maria.

Oczywiście, mamy świadomość jest to tylko wierzchołek góry lodowej. Trudno na podstawie rzeczonych ankiet stwierdzić, ile w sumie osób z terenu Siemianowic zaangażowanych było w działalność konspiracyjną w szeregach organizacji „Ku Wolności”.

U członków organizacji „Ku Wolności” ukrywały się osoby, które były zagrożone aresztowaniem. Tak na przykład Maria Sieroń ukrywała u siebie w mieszkaniu Wilhelma Krzykałę, ściganego przez Gestapo. Zresztą do Krzykały za chwilę wrócimy...

Kolejną bowiem inicjatywą, którą wypada omówić, był Korpus Obrony Narodowej. To z tą organizacją miał być związany Tomasz Pawlicki, właściciel sklepu spożywczego, który w świetle ustaleń gestapo miał pełnić funkcję komendanta placówki Siemianowicach AK, kiedy doszło do kolejnej fali aresztowań, zapoczątkowanych w czerwcu 1942 roku.

Omawiałem już tu dokument gestapo noszący nazwę *Wykaz dotychczas aresztowanych funkcjonariuszy i członków ZWZ*. Dokument ów nie jest datowany, ale z kontekstu wynika, iż powstał on jesienią 1942 roku. Podejrzewam, iż pierwotnie stanowił on załącznik do sprawozdania szefa katowickiego gestapo Rudolfa Mildnera, z 10 listopada 1942 roku. W dokumencie tym wymienione są osoby aresztowane w okresie od czerwca do października 1942 roku, przy czym zawiera on następujące dane o każdej osobie: nazwisko, imię, data i miejsce urodzenia, zawód / miejsce pracy, dokładny adres zamieszkania, funkcja w ZWZ (w rzeczywistości - w AK) oraz uwagi.

Znajdujemy tam cztery osoby z Siemianowic:

- Fiegel Adalbert, Siemianowice, agent inform. ZWZ
- Kisielewski Aleksander, obóz dla Polaków Siemianowice, organizator ZWZ
- Pawlicki Tomasz, Siemianowice, komendant placówki ZWZ
- Wesołowska (z d. Kisielewska) Janina, obóz dla Polaków Siemianowice, kierownik służby zdrowia przy sztabie powiatowym ZWZ

Oddajmy z kolei głos Zdzisławowi Janeczkwowi, który w pracy „Od Sanowic do Siemianowic”, opierając się na relacjach Maksymiliana Musioła, Klary Bartodziej i Pawła Kuźmy, napisał:

Z nazwiskiem kupca Tomasza Pawlickiego, właściciela sklepu przy ulicy Jana Matejki, łączyła się działalność na terenie Siemianowic Korpusu Obrony Narodowej. Założycielami tej organizacji byli: nauczyciel Herman Świerkot, ekspe-



Eryk Frach

dient Wilhelm Krzykała i siostrzeńcy Hugona Hankego - bracia Eryk i Helmut Frachowie (Helmut był pracownikiem „Polonii”), Roman Wójcik krawiec i Maksymilian Musioł. Członków organizacji śledzono, ustalono nazwiska kierowników i członków, korzystając m.in. z pomocy denuncjatora Hofmana. Helmut Frach, podobnie jak Tomasz Pawlicki, został zatrzymany w 1942 r., przewieziony do więzienia myślowickiego i stracony 25 stycznia 1943 r. Wilhelm Krzykała ukrywał się do 1944 r. Rozpoznany w tramwaju przez volksdeutschkę podzielił los swoich kolegów konspiratorów. Równie tragiczne były dzieje Hermana Świerkota i jego najbliższych. Według relacji Klary Bartodziejowej [...] Hermana Świerkota stracono w Oświęcimiu w końcu 1942 r. za działalność w ruchu oporu.

W przywołanym Wykazie dotychczas aresztowanych funkcjonariuszy i członków ZWZ widnieje też Herman Świerkot, tyle że z adnotacją wskazującą, iż był on komendantem placówki w Gostyniu.

Dodajmy, że Herman Świerkot był zięciem Klary Bartodziejowej, krawcowej, która prowadziła w Siemianowicach skrzynkę kontaktową. Jej mąż, Rajmund Bartodziej, powstaniec śląski został przez Niemców aresztowany 18 września 1939 roku i w następnym roku rozstrzelany. Z kolei jej syn, Czesław, został w maju 1940 roku wcielony do Wehrmachtu. Wkrótce podjął próbę dezercji z szeregów niemieckiego wojska, został jednak pochwycony i rozstrzelany. U Klary Bartodziej mieli przez pewien czas ukrywać się poszukiwani przez gestapo: Wilhelm Krzykała, który ukrywał się również u Marii Sieroń, a nadto Ludwik Gwizdała i Józef Krzak. Ten ostatni miał wcześniej działać w strukturach konspiracyjnych w rejonie Beskidów i Zaolzia.

Wygląda na to, że w którymś momencie Korpus Obrony Narodowej został włączony do PZW „Ku Wolności”, jako że niektóre z osób wymienionych przez rozmówców Janeczka podane zostały w ankietach ZBOWiD-u, o których mowa była przed chwilą, jako członkowie „Ku Wolności”.

W kilku źródłach pojawia się nam informacja, że skrzynkę kontaktową ZWZ/AK prowadziła też Marta Korfantówna. Tak na przykład w zbiorach Adeli Korczyńskiej natrafiłem na odręczną notatkę, w której możemy

przeczytać, że Wera przyniosła od Korfantówny (Siemianowice) wiadomość o aresztowaniu Skrzeka oraz gryps, gdzie było napisane „Jula pracuje dla Gestapo”, potem że Skrzek ma być powieszony i na razie nie przyjeżdżać więcej do tej skrzynki w Siemianowicach. Z kolejnej notatki wynika, iż Marta Korfantówna prowadziła skrzynkę Insp. Katowice w Siemianowicach, przy czym - o ile dobrze zrozumiałem treść notatki, która nie jest zbyt czytelna - owa skrzynka miała mieścić się na poczcie.

Na terenie Siemianowic działała też Wojskowa Służba Kobiet, o czym dowiadujemy się z relacji Zofii Jarosz. Pod koniec 1941 roku, czy też na początku 1942 znajomy jej górnik Józef Świder polecił jej we własnym mieszkaniu zorganizować komórkę „Czerwonego Krzyża”. Dał jej nawet tekst przysięgi,

którą miały złożyć przed nią w jej komórce zakonspirowane kobiety. Zgłosiła się najpierw Kuzia Barbara, którą znała osobiście a następnie nieznaną młodą kobietą, która oświadczyła, że została do niej przydzielona. Ta druga nazywa się Dębska Janina i jeszcze w czasie składania relacji przez Zofię Jarosz ta wciąż utrzymywała z nią kontakt i mieszkała przy ul. Mysłowickiej 5. Na punkcie gromadziły lekarstwa i bandaże.

Podobnie jak w innych miastach, także w Siemianowicach Śląskich miejscowe komórki konspiracyjne podjęły działania związane z ochroną zakładów pracy w ostatnich dniach niemieckiej okupacji i w chwili wkraczania wojsk sowieckich. Tak było w kopalni „Siemianowice” („Richter”), ale przede wszystkim w hucie „Laura” (od roku 1948 funkcjonującej pod nazwą Huta „Jedność”). W opracowaniu Huta Jedność, pod redakcją Andrzeja Topola, w rozdziale Pod hitlerowską okupacją, autorstwa Ireny Sroki, możemy przeczytać:

Na terenie huty działała grupa konspiracyjna, której celem było zabezpieczenie maszyn i urządzeń przed wywiezieniem w głąb Niemiec względnie dewastacją przez okupanta. W skład tej grupy wchodził: Stefan Bogdoł, Józef Kmita, Kazimierz Maleszka, Wilhelm Pasternak. Teodor Perfecki, Jan Poliwoda, Teodor Polok, Tomasz Śmierek, Robert Wieczorek, Jan Wojtyczka i Wiktor Wróbel. Jedynie dzięki ich bohaterskim wysiłkom uchroniono zakład przed zupełnym zniszczeniem.



Helmut Frach

Do głównych inicjatorów założenia w Siemianowicach Śląskich milicji należał Paweł Kucharz, występujący w aktach UB jako „figurant”, czyli osoba poddana szczególnej inwigilacji, w sprawach dotyczących rozpracowania środowiska byłych żołnierzy AK z terenu Siemianowic Śląskich i Michałkowic. W krótkim czasie do milicji wstąpiło przeszło sto osób. W tym gronie był także Jan Kowalski, były powstaniec śląski, który w swoim życiorysie napisał, że z milicji został zwolniony 4 kwietnia 1945 r. W latach 1952–53 środowisko byłych żołnierzy AK poddane zostało inwigilacji ze strony UB w ramach operacji „Tratwa”.

21 lutego 1953 r. szef Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Siemianowicach informował swych przełożonych:

Melduję, że w dniu 20 II 1953 r. przystąpiono do rozpracowania w ramach obiektowego rozpracowania b. czł. A.K. Okręgu Śląskiego działających na terenie województwa Śląsko - Dąbrowskiego, a zamieszkałych obecnie na terenie Siemianowic i Michałkowic.

Do rozpracowania wytypowano trzynaście osób:

- Bednarek Józef, zam. Michałkowice, ul. Ks. Stabika 2/1
- Gawęda Robert, zam. Michałkowice, ul. Bytkowska 3/11
- Leśniok Dominik, zam. Michałkowice, ul. Żeromskiego 18
- Pasternak Klara, zam. Michałkowice, ul. Bytkowska 25
- Dziemba Roman, zam. Siemianowice, ul. Pocztowa 9
- Kurzyk Eligiusz, zam. Siemianowice, ul. Damrota 3
- Bednarek Franciszek, zam. Michałkowice, ul. Mickiewicza 1
- Dominik Antoni, zam. Siemianowice, ul. Barbary 21
- Janeczek Roman, zam. Siemianowice, ul. Sobieskiego 8
- Kośnik Stanisław, zam. Siemianowice, ul. Powstańców 3
- Zygmunowska Helena, zam. Siemianowice, ul. Świerczewskiego 15
- Wodnik Henryk, zam. Siemianowice, ul. Fabryczna 1
- Krzystek Jerzy, zam. Siemianowice, ul. Katowicka 18

Tytułem wyjaśnienia należy dodać, że niektóre nazwiska różnie zapisywane są w różnych dokumentach (Kurzyk/Kurczyk, Dominik/Dominiok, Zygmunowska/Zygminowska). Ale wróćmy do omawianego dokumentu. Otóż, w dalszej jego części czytamy:

Rozpracowanie obiektowe zostało założone na podstawie analizy materiałów znajdujących się w teczce, a to: zaświadczeń ujawnienia oraz materiałów uzyskanych w toku przeprowadzonego wywiadu na b. członków A.K. Więcej materiałów na wymienionych figurantów nie posiadamy, któreby charaktery-

zowały działalność z czasów okupacji w danej organizacji, ponieważ do chwili obecnej figuranci nie byli agencyjnie rozpracowywani, z uwagi tej, iż w środowisku tym nie posiadaliśmy odpowiedniej agentury, a posiadana agentura na kontakcie Ref. III-ciego do chwili obecnej nie wniosła żadnych momentów wrogiej działalności ze strony figurantów, z czego wniosek, że środowisko to nie było rozbite na grupy i agentura nie miała możliwości rozpracowania. W związku z tym postanowiono założyć obiektowe rozpracowanie, zwerbować nową agenturę wywodzącą się z tego środowiska, ponieważ środowisko to może być podatne na uprawianie wrogiej działalności.

A dalej:

Z analizy posiadanych materiałów można wnioskować, że środowisko to stanowi rezerwę dla przywódców usiłujących prowadzić wrogą działalność, oraz środowisko to może działać inspirująco zwłaszcza jeżeli chodzi o szkodnictwo gospodarcze, innych faktów i metod wrogiej działalności wymienionego środowiska nie ustalono i do chwili obecnej nie notowano.

Widzimy wyraźnie, że siemianowicka bezpieka nie zdołała zgromadzić nic, co by usprawiedliwiało wszczęcie jakichkolwiek działań wobec wytypowanych przez nią osób. Ale cóż, góra żądała konkretnych działań przeciwko „wrogom ludu”, wywodzącym się ze środowiska byłych żołnierzy AK, więc trzeba było coś zmontować. Improwizacja była absolutna, o czym świadczy charakterystyka agentury użytej w rozpracowaniu. W tejsze charakterystyce czytamy:

Agentura jako była na kontakcie Ref. III-go po piśmie III-cim nie miała możliwości rozpracowania wymienionego środowiska i jak wykazała kontrola z Depar. w dniu 18.II.52 r. to agentura ta nie nadaje się do wykorzystania w środowisku za wyjątkiem inf. ps. „Korsarz”, który wywodzi się z danego środowiska. Poza tym więcej agentury do w/w środowiska nie posiadamy.

Władze zwierzchnie były wyraźnie niezadowolone z efektów pracy Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Siemianowicach. Szczególne niezadowolenie Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach wywołało umieszczenie w gronie osób podlegających rozpracowaniu Stanisława Kośnika, który w czasie okupacji niemieckiej istotnie służył w AK, ale po ujawnieniu się w roku 1945 podjął pracę w WUBP, skąd został zwolniony w roku 1949 z powodu choroby płuc. Co więcej, jego żona również pracowała w bezpieczeństwie... Kpt. Jan Gajek z WUBP w Katowicach napisał do szefa MUBP w Siemianowicach:

Pracownik Urzędu jest pracownikiem politycznym dlatego winien odróżnić kto jest wrogiem, kto jest przyjacielem. Z tego wynika, że automatyzm wkradł się do pracy w Siemianowicach.

Kpt. Gajek zwrócił uwagę, iż Referatowi III MUBP Siemianowice znany był fakt, że żona Kośnika również pracowała w UBP, po czym dodał:

Uważamy, że takich ludzi nie należy brać w rozpracowanie, a przeciwnie od czasu do czasu można oficjalnie odbyć z nimi spotkanie mające na celu ujawnienie przez niego b. czł. A.K. z terenu Warszawy. Jeśliby w/w był wrogiem, to żona jego nie mogłaby pracować w B.D.O. Szef Urzędu winien przeanalizować bardziej dokładnie sprawę i wówczas dać akceptację.

Ale nie tylko to wzbudziło niezadowolenie kpt. Gajka, który następująco skonkludował przesłany mu raport:

Stwierdzam, że plan jest nakreślony chaotycznie i ogólnikowo np. agenturę użyje się z powietrza do rozpracowania...

Tymczasem wydaje się, że siemianowickim funkcjonariuszom udało się w jakiś sposób przekonać swych zwierzchników z Katowic co do konieczności poddania obserwacji Stanisława Kośnika. Jak wynika bowiem z późniejszych dokumentów, został on jednak poddany inwigilacji w ramach operacji „Tratwa”...

W Miejskim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Siemianowicach przystąpiono tymczasem do intensywnej rozbudowy agentury i ukierunkowania jej na rozpracowanie środowiska byłych żołnierzy AK. Z 27 marca 1953 r. pochodzi raport o przebiegu rozpracowania, w którym scharakteryzowano agenturę użytą do inwigilowania byłych żołnierzy Armii Krajowej.

Jerzego Krzystka, który mieszkał w Siemianowicach, a pracował w kopalni „Michał” w Michałkowicach, rozpracowywał w miejscu pracy agent o kryptonimie „M-12”, a w miejscu zamieszkania agent o kryptonimie „A-21”. Niewiele natomiast zdołali wnieść do sprawy informatorzy „Jastrząb” i „Szabła”, którzy - choć pracowali w kopalni - nie zdołali przeniknąć do środowiska byłych żołnierzy AK.

Pośród agentów, jakich bezpieka posiadała w Hucie „Jedność”, gdzie pracowała grupa byłych akowców, w tym Roman Dziemba i Antoni Dominik, wyróżniał się agent o ps. „Korsarz”, „który - jak napisano - wywodzi się z tego środowiska”. Wiele spodziewano się po informatorze podpisującym się pseudonimem „Stal”, w charakterystyce którego jest informacja, iż „również ma dotarcie do poszczególnych byłych członków

A.K.". Innym ważnym agentem w Hucie „Jedność” był „Ksol” – „pracujący w środowisku AK-owskim”. Z raportu dowiadujemy się dodatkowo, iż „Stal” i „Ksol” byli pracownikami umysłowymi.

Jak pamiętamy rozpracowaniu poddano początkowo trzynaście osób. W omawianym raporcie z 27 marca 1953 r. czytamy:

Z tej liczby jest jedno skupisko w skład którego wchodzi: Gawęda Robert, Bednarek Józef i Bednarek Franciszek, zatrudnieni są w „Azotach” w Chorzowie w charakterze pracowników fizycznych, który to polega pod P.U.B.P. Chorzów, a zamieszkują na terenie nam podległym. W/w w porozumieniu z tamt. Urzędem zostaną rozpracowani w miejscu pracy przez ich agenturę, a w miejscu zamieszkania rozpracowani będą przez inf. „A-21”, który ma możliwość stykania się z nimi, mimo tego iż nie wywodzi się z tego środowiska.

Niezależnie od tego podjęto próbę zwerbowania do współpracy Marcina Romana, który służył w AK i który był już rozpracowywany w ramach prowadzonej od 20 lutego 1951 roku przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach akcji o kryptonimie „Dak”, która wymierzona była w środowisko aktywnie działającego przed wojną w Michałkowicach Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. W czasie wojny włączyli się oni aktywnie w tworzenie organizacji PZW „Ku Wolności” na terenie Michałkowic. Do tej kwestii postaram się wrócić innym razem, jako że funkcjonowanie struktur konspiracyjnych w Michałkowicach wykracza poza ramy niniejszego artykułu. Uprzedzając wypadki, dodam jedynie, że próba zwerbowania Marcina Romana zakończyła się fiaskiem.

Sporządzony w Miejskim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Siemianowicach w lutym 1953 roku „wykaz członków AK i WiN zatrudnionych w poszczególnych instytucjach i zakładach pracy na terenie Siemianowic” /IPN Ka 032/17 t. 5, cz. 1/ zawiera dane o 71 mieszkańcach Siemianowic i Michałkowic, którzy w czasie niemieckiej okupacji służyli w Armii Krajowej (nazwa dokumentu jest myląca, bowiem w rzeczywistości osoby te mieszkały w Siemianowicach i Michałkowicach, ale nie wszystkie pracowały na tym terenie). W podsumowaniu tegoż dokumentu por. Potempa napisał:

Środowisko AK-owskie podzielone jest na trzy grupy a to: Na czł. 106 dywizji tysiąca [chodzi o dowódcę 106 dywizji piechoty AK Bolesława Nieczuję - Ostrowskiego ps. „Tysiąc”] którzy działali na terenie Krakowa, a obecnie zamieszkują w Siemianowicach założone obiektowe rozpracowanie pod krypt. „Omega” w skład rozpracowania wchodzi 7 czł. A.K. Agentury w tym rozpoznaniu nie posiadamy wywodzącej się z ich grupy, ale dotarcie do figuranta Ko-

wolik Józef na inf. ps. „Stal”, które do obecnej chwili nie zapodało momentów wrogiej działalności, a charakteryzuje go jako aktywnego członka partii. Do pozostałych z tej grupy opracowany jest do werbowania M.S. wspólnie z ref. V-tym, ponieważ jest to nauczyciel.

Dodam, że ów M.S. jest ujęty w tymże spisie i chodzi o Moskaluka Stefana, kier. Szkoły Powszechnej nr 3, zamieszkałego przy ul. Floriana 15 w Siemianowicach. Źródła nie dały odpowiedzi na pytanie, czy bezpiece udało się go zwerbować i jakimi metodami zamierzano się posłużyć przy owym werbowaniu.

Z kolei Kowolik Józef, pochodził z Szopienic, a okupację spędził w Generalnej Guberni, w okolicach Krakowa, gdzie należał do AK. Po wojnie zamieszkał w Siemianowicach i pracował w Hucie „Jedność”.

Ale wróćmy do charakterystyki kolejnej grupy środowiskowej skupiającej byłych żołnierzy AK. Por. Potempa tak scharakteryzował tę grupę:

Druga grupa to czł. AK, którzy w czasie okupacji działali w Okręgu Śląskim obecnie zamieszkują na terenie Siemianowic, na tą grupę założono obiektowe rozpracowanie pod kryptonimem „Tratwa” w skład tej grupy wchodzi około 20 czł. A.K. Do figurantów tej grupy dotarcie ma inf. ps. „Korsarz”, jednak działalności wrogiej nie notowano nic, w tej grupie są przeważnie czł. partii którzy wykazują pozytywny stosunek.

Prawdopodobnie w skład tej dwudziestki objętej rozpracowaniem w ramach operacji o krypt. „Tratwa” wchodziłi:

- Nobis Stefan z Michałkowic, zatrudniony w Hucie „Jedność”
- Pieczka Jerzy z Michałkowic, zatrudniony w Hucie „Jedność”
- Gawęda Robert z Michałkowic, zatrudniony w Azotach w Chorzowie
- Bednarek Józef z Michałkowic, zatrudniony w ZPR Chorzów
- Leśniok Dominik z Michałkowic, dyrektor garażu Zabrze
- Pasternak Klara z Michałkowic, prac. umysł Katowice
- Dziemba Roman z Siemianowic, zatrudniony w Hucie „Jedność”
- Kurzyk Eligiusz z Siemianowic zatrudniony w ZZO Katowice
- Bednarek Franciszek z Michałkowic, zatrudniony w Azotach w Chorzowie
- Janeczek Roman z Siemianowic, zatrudniony WRN, ref. administr.
- Woźnik Henryk z Siemianowic, zatrudniony w Fabryce Śrub i Nitów
- Krzystek Jerzy z Siemianowic
- Bobiec Karol, zam. w Siemianowicach, zatrudniony w kopalni „Siemianowice”
- Dominik Antoni, zam. w Siemianowicach, zatrudniony w Hucie „Jedność”

- Legarski Kazimierz z Siemianowic
- Zielonka Ryszard z Siemianowic, zatrudniony w Hucie „Jedność”
- 17. Kucharz Paweł z Siemianowic, zatrudniony w Hucie „Jedność”
- 18. Moch Feliks z Michałkowic, zatrudniony w kopalni „Michał”

Mamy tu jedynie osiemnaście osób, podczas gdy por. Potempa twierdzi, że grupa ta liczyła około dwadzieścia osób. Brak jest przy tym w powyższym spisie Klary Bartodziej, prowadzącej w Siemianowicach zakład krawiecki, który w czasie niemieckiej okupacji służył za skrzynkę kontaktową. Skądinąd jej nazwisko przewija się w aktach bezpieki.

Nie ma tu jeszcze jednej osoby, której wojenne przejścia są mi dobrze znane i które z pewnością dobrze były też znane funkcjonariuszom UB. To właśnie ta osoba ukrywa się pod pseudonimem „Korsarz”, przy czym jej personalia niechaj pozostaną tajemnicą...

Dodam, że dwóch kolejnych siemianowiczian, służących w czasie okupacji niemieckiej w strukturach Okręgu Śląskiego AK, a wymienionych w tymże dokumencie, przebywało wówczas w więzieniach, co wyraźnie zaznaczono:

1. *Lampa Gerard, zam. w Siemianowicach, aktualnie przebywający w więzieniu w Warszawie*
2. *Strześliński Tadeusz, zam. w Siemianowicach, aktualnie przebywający w więzieniu w Warszawie.*

Reasumując, mamy tu kilka grup źródeł, które są niczym puzzle – wciąż jednak wielu kawałków tej układanki nam brakuje. Większość nazwisk pojawia się wyłącznie w jednym materiale źródłowym, a tylko nieliczne w dwóch lub więcej. Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że mamy tu do czynienia z wierzchołkami góry lodowej, które wystają ponad powierzchnię wody, podczas gdy *gros* wiadomości wciąż pozostaje niedostępna dla naszych oczu. Jedno wszak jest pewne – w działalność konspiracyjną na terenie Siemianowic Śląskich w różnym okresie zaangażowane były setki osób.

SIEMIANOWICKA SPOŁECZNOŚĆ ŻYDOWSKA W OKRESIE II RP I NIEMIECKIEJ OKUPACJI

Po pierwszej wojnie światowej zaszły istotne zmiany w strukturze składzie społecznym Izraelickiej Gminy w Siemianowicach. Część jej członków, optując na rzecz Niemiec, emigrowała na terytoria przyznane Republice Weimarskiej. Ich miejsce zajęli najpierw przybysze z Polski, a później, po dojściu do władzy Adolfa Hitlera, z III Rzeszy. Ostatecznie w okresie międzywojennym w Siemianowicach zamieszkiwało około 500 wyznawców judaizmu¹.

Głównym ośrodkiem życia religijnego i społecznego była w dalszym ciągu synagoga przy ulicy Bytomskiej. Tutaj odbywały się m.in. wybory do reprezentacji gminnej. Zarzuty i protesty przeciw wykładanej u Heilborna liście wyborczej można było wносить na piśmie, na ręce siemianowickiego Izraelity Mechnera, (ulica Powstańców 14) lub komisarza Eljasza Abrahamera w Katowicach (ulica Andrzeja 14). Na liście Gminy Izraelickiej Siemianowice nr 1 znalazły się nazwiska najbardziej szacownych jej członków - kupców: Hermana Oksenhaendlera (ulica Powstańców 50)², Brachji Majtlisa (ulica Jana III Sobieskiego 40), Abrahama Zelwera (ulica Bytomska 10), Maurycego Silbersteina (ulica Jana III Sobieskiego 1), Joachima Weinreicha (ulica 3 Maja 3), Samuela Opatowskiego (ulica Jana III Sobieskiego 1), Icka Lajbusia Russa (ulica Pszczelnicza 13) i Józefa Zonabend (ulica Piastowska 5). Spoza listy należy wymienić Izaaka Gesundheit.

Surowe zasady judaistycznej religii, których strzegł rabin, oraz tzw. europeizacja nie pozostawały bez wpływu także na członków tutejszej wspólnoty wyznaniowej. W 1937 r. Zarząd Gminy Izraelickiej w Siemianowicach podał do wiadomości, że „z Żydostwa wystąpili”: Leon Gottesmann, aplikant adwokacki, urodzony 8 VII 1907 r. w Borszczowie woj. Tarnopolskie, zamieszkały w Siemianowicach, ulica Bytomska 2, i Genia Gottesmann z domu Żmigród, aplikant adwokacki, urodzona 12 I 1917 r. w Będzinie, woj. Kieleckie, zamieszkała w Siemianowicach, ulica Bytomska 2³.

Podobnym przypadkom asymilacji starali się jednak zapobiegać fundamentaliści związani z synagogą i działacze syjonistyczni, strzegący tradycji i zwartości etnicznej, skupieni wokół Centralnej Organizacji Żydów Ortodoksów w Polsce „Augudas Israel”. Szczególnym typem organizacji społecznej było Stowarzyszenie Religijne Przestrzegania

Soboty i Głównych Świąt Religijnych „Szomraj Szabes Whadas”. Staniem syjonistów organizowano w Siemianowicach zabawy purimowe, z których dochód przeznaczano na kolonie letnie dla niezamożnej młodzieży. W ramach imprezy odbywały się przedstawienia urządzone przez gniazdo Akiby, pod kierownictwem Gerdy Beldegruen. W 1937 r. wystąpił z recytacjami były artysta trupy wileńskiej Blum⁴.

Żydów siemianowickich łączyły liczne kontakty religijne, kulturalne i gospodarcze ze wspólnotami Bytomia (działały tu ośrodki szkoleniowe dla młodzieży żydowskiej Beth Hechluz i Judischer Pfadinderbund Makkabi Hazair, Beth Makkabi oraz Stowarzyszenie Żydów Prowincji Górnośląskiej – Synagogen verband der Prowinz Oberschlesien), Katowic, Chorzowa, Czeladzi, Sosnowca i Będzina. Ten ostatni był ważnym ośrodkiem wpływów Paole Sjonu i miał własne organy prasowe, które były wydawane w języku jidis: „Undzer Folksblat” (Nasza Gazeta Ludowa) oraz „Najer Arberter Weg”. Gazety te czytawali również siemianowiccy Żydzi.

Nic więc dziwnego, że włamanie dokonane nocą z 2 na III 1935 r. do bożnicy czeladzkiej wywołało tutaj niesłychane wzburzenie. Nieznani sprawcy dokonali dzieła zniszczenia: Torę porznęli nożami, zerwali wszystkie ozdoby, a rudały rozrzućili po podłodze i zdeptali je nogami. Oderwano również zamki do szafy, gdzie znajdowały się akta i dokumenty bezprocentowej kasy żydowskiej, które uległy zniszczeniu. Włamywacze skradli jedynie zegar ścienny. Niepokój był o tyle uzasadniony, że wiosną tego roku, również w Siemianowicach, nocą na oknach wystaw ponaklejano wzywające do bojkotu Żydów⁵.

W grudniu 1935 r. w późnych godzinach nocnych wybito szyby w sklepie Moszka Garbasza przy ulicy Powstańców 21; Estery Moszkowicz przy ulicy Konstantego Damrota 2; Majera Preissa, przy ulicy Bytomskiej 56 i Józefa Doleżały, przy ulicy Bytomskiej 44. W związku z tym incydentem policja aresztowała kilku młodych ludzi z Bytkowa. Zdarzały się również wypadki aktów grabieży na żydowskich domokrążcach. Handlującemu tkaninami Benjaminowi Zielmannowi w składzie przy ulicy Jana III Sobieskiego, gdy zachwalał swój towar, skradziono 3 m sukna⁶. Miały miejsce także przypadki nieuczciwości kupieckiej z drugiej strony, gdy klientka nabywała pierze z dodatkiem gipsu lub zamiast kupionej nowej sukienki odpakowywała po powrocie do domu starą, dziurawą szmatę. Dużym sukcesem policji było ujęcie szefa miejscowej żydowskiej szajki Lejzora Bejlocha z Będzina, którego gang w latach 1933- 1934 zajmował się masowym przemysłem artykułów konfekcyjnych. Z ubrań firm niemieckich wypruwano metki; następnie garnitury gnieciono, aby sprawiały wrażenie starej odzieży i po przemyceniu sprzedawano po polskiej stronie. W stukilogramowych paczkach towar przemycał furmankami do Siemianowic

starozakonny Mejloch, stąd ubrania dostarczano do Łańcuta, Rzeszowa i Tarnowa. Innego członka Gminy Izraelickiej ścigał za handel „żywym towarem” naczelnik gminy michałkowickiej Walenty Fojkis⁷.

Żydów dzielono na żyjących w „kiepele” i tzw. łapaczy, którzy siłą wciągali przechodniów do swoich sklepów. W większości z nich można było kupić prawie wszystko – od przysłowiowych gwoździ do śledzi. Na targu siemianowickim wędrowni „handełesy” z Czeladzi lub Będzina, reklamując swoje towary, wołali: „Stare Mutter kupre te anzug”. Uwagę przechodniów przyciągał ich charakterystyczny ubiór i wygląd: czarny zarost i hałaty. Po mieście wałęsali się żydowscy domokrażcy, którzy zbierali dobrze utrzymane rzeczy jak: płaszcze, bieliznę, swetry, itp. dając w zamian różne tandetne wyroby szklane⁸.

Niektóre zwyczaje i obyczaje ortodoksyjnej ludności żydowskiej budziły sprzeciw miejscowych chrześcijan, chociaż nierzadko powodem zgorszenia byli katolicy. Do takich rytuałów należał koszerne ubój zwierząt. „Głos Siemianowicki” pisał: „Niektórzy rzeźnicy w mieście nie dość, że w tygodniu uprawiają ubój koszerne, nawet w niedzielę człowiek, jako katolik musi patrzeć jak dla jakiś zabobonnych celów męczy się zwierze na sposób żydowski [...] Tu się bije masowo i wywozi do innych dzielnic Polski mięso koszerne, bo tam ubój koszerne jest zakazany. Na to używają katolicy rzeźnicy niedzieli, bowiem ubój prowadzi się u rzeźników katolików”⁹.

Drażniło również naruszanie dogmatów wiary katolickiej, a w wyjątkowych wypadkach fanatyzm religijny był nieobcy obu stronom. Żydzi podejrzani o niechęć do Kościoła katolickiego stawali się obiektem ataków lokalnej prasy o zabarwieniu endeckim¹⁰.

Mimo to, antysemityzm był na terenie miasta i na Górnym Śląsku prądem niewiele znaczącym, a Siemianowice były przykładem religijnej tolerancji. Natomiast usuwano Żydów z życia publicznego po stronie niemieckiej. W pierwszym etapie zdefiniowano pojęcie Żyda oraz pozbawiono go mienia na podstawie ustawodawstwa. Lawina ustaw, rozporządzeń, okólników i wytycznych podważyła elementarne prawa człowieka, które co najmniej od francuskiej Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z 1789 r. stanowiły istotną część składową praw osobowych i publicznych w mieszczańskich społeczeństwach Europy.

Wygaśnięcie konwencji genewskiej przesądziło o niezwłocznym wejściu w życie całego ustawodawstwa rasistowskiego na Śląsku Opolskim. Od 16 VII 1937 r. obowiązywało również ustawodawstwo norymberskie oraz normy ustaw zawierające ograniczenia zawodowe i gospodarcze. Żydowscy studenci pochodzący z górnośląskiego obszaru plebiscytowego odtąd byli poddani postanowieniom *numerus clasus* na równi z Żydami z innych dzielnic ówczesnych Niemiec.

Zagłada

Powoli zbliżał się okres zagłady Izraelickiej Gminy w Siemianowicach. Ustawodawstwo niemieckie z 1938 r. wprowadzające tzw. aryzyzację mienia, dotknęło również Żydów na Górnym Śląsku. Nie ominęły środowisk żydowskich wypadki z „nocy kryształowej” 19-20 XI 1938 r. W ostatnich dniach października 1938 r. członkowie gminy żydowskiej w Bytomiu byli świadkami bezprzykładnej akcji antyżydowskiej. Jude-naktion, w toku której kilka tysięcy Żydów, obywateli polskich wysiedlono przez „zieloną granicę” na terytorium Polski, z rozkazu szefa hitlerowskiej Służby Bezpieczeństwa Reinhardta Heydricha. W nocy z 29 na 30 października siły policyjne i członkowie 53-Standarte SS przepędzili przez granicę pod Bytomiem około 6000 Żydów. Wypadki te stanowiły zaledwie prelude przed wydarzeniami w jakich przyszło uczestniczyć siemianowickim Żydom.

Rozporządzenia i akty wykonawcze, wydane w związku z naradą z 12 XI 1938 r. wyeliminowały Żydów z niemieckiej gospodarki, zabraniały im produkowania jakichkolwiek dóbr materialnych, wykonywania rzemiosła, udziału w służbach publicznych i handlu detalicznym. Zakazano im zajmowania stanowisk kierowniczych w zakładach pracy, przedsiębiorstwach oraz udziału w targach. Rozporządzenia z 3 grudnia pozbawiły Żydów wszelkiego posiadania, np. udziałów w przedsiębiorstwach przemysłowych, w gospodarce leśnej i rolnej.

Rozporządzenia te dotknęły Żydów, którzy optując na rzecz Niemiec przed 1922 r. wyjechali z Siemianowic do Republiki Weimarskiej. Wybuch drugiej wojny światowej i niemiecka polityka eksterminacyjna doprowadziły do całkowitej zagłady członków Izraelickiej Gminy w Siemianowicach. Jedni próbowali się ratować ucieczką, inni, oznakowani „gwiazdą



Medal „Sprawiedliwy wśród narodów świata” przyznany Edwardowi Kurdzie



Edward Kurda

Dawida”, zostali wywiezieni do obozów koncentracyjnych w Buchenwaldzie i KL Auschwitz-Birkenau.

Na liście ofiar znaleźli się m.in. urodzeni w Siemianowicach: Siegfred Urbańczyk (ur. 1 XI 1926 r. – data deportacji 28 V 1942 r.), Johanna Urbańczyk (ur. 2 IX 1920 r. – data deportacji 28 V 1942 r.), Rosalie Urbańczyk (ur. 7 X 1930 r. – data deportacji 28 V 1942 r.), Hermann Anspach (ur. 1 VII 1893 r. – data deportacji 8 VI 1942 r.); urodzeni w gminie Huta Laura: Margarete (ur. 8 VI 1875 r. – data deportacji 16 V 1942 r.), Julius Kaufmann (ur. 23 XII 1875 r. – data deportacji 20 V 1942 r.), Hildegard Reichmann (ur. 24 V 1916 r. – data deportacji

28 V 1942 r.); urodzona w Maciejkowicach Rosa Jacoby ur. 8 II 1883 r. – data deportacji 28 V 1942 r.), urodzony w Michałkowicach Wilhelm Leipziger (ur. 20 IX 1873 r. – data deportacji 20 V 1942 r.)¹¹.

Niektórzy drogą okrężną trafili do Auschwitz-Birkenau wcześniej deportowani do „królestwa” pod jurysdykcją Mojżesza Meryna¹², Starszego Gminy Żydowskiej na Śląsku. Mianowany przez Niemców przewodniczącym Judenratów w Zagłębiu Dąbrowskim i na Śląsku z siedzibą w Sosnowcu, uważał się on nie tylko za „króla” tamtejszych Izraelitów, ale w 1940 r. starał się u Adolfa Eichmanna i Reinherda Heydricha – szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy o podporządkowanie mu wszystkich gett na terenie okupowanej II RP. Złą opinię miał o nim nawet Chaim Rumkowski¹³, starszy Gminy w Łodzi, a Emanuel Ringelblum¹⁴, twórca podziemnego archiwum getta warszawskiego, zanotował: „Kto przeżył cztery dni w obozie w Sosnowcu, ten czuł się jak robak, który skurczył się pod butem”¹⁵. Kiedy w wigilię Rosh Chodesh Elul 1942 r. rozpoczęto deportację Żydów z Górnego Śląska, M. Meryn uspokoił swoich rodaków, zapewniając, iż nic złego im się nie stanie, i po czasowym przesiedleniu na roboty wrócą do swoich domów. Ponadto na jego polecenie fabrykowano fałszywą korespondencję od osób deportowanych do KL Auschwitz-Birkenau, w której zapewniali oni swoich krewnych i znajomych, iż są bardzo zadowoleni z pobytu w obozie.

Eksterminowanym Żydom starali się pomóc na różne sposoby mieszkańcy Siemianowic Śl. W gronie tym znalazł się m.in. Edward Kurda, urodzony 23 XII 1915 r. w Siemianowicach Śl., w rodzinie robotniczej, syn Juliusza Kurdy i Zofii Zemęły, który w 1938 r. rozpoczął służbę w 6 Pułku Strzelców Podhalańskich stacjonującym w Samborze. W 1939 r. przed za-

kończeniem służby Pułk został postawiony w stan alarmowy i przerzucony na granicę zachodnią. Odwrót prowadzono na linię Szczakowa - Olkusz. Po zakończeniu kampanii wrzesniowej, wróciwszy do domu do Siemianowic Śl., został wysłany na roboty przymusowe do Niemiec i okupowanej Belgii. W 1941 r. aby uniknąć wcielenia do Wehrmachtu, zbiegł z głębi Rzeszy i schronił się w GG we Lwowie. Ukrywał się najpierw w rodzinie ukraińskiej w kamienicy Rynek 43, a później w domu przy ulicy Jana Zamoyskiego. W latach 1941-1944, sam zagrożony aresztowaniem, udzielił schronienia Marii Bajgierowicz z domu Hitner (Miriam Gruber) i jej dwóm siostrzenicom (ich najbliżsi,



Lucja Brandysowa

członkowie społeczności żydowskiej, zostali rozstrzelani. W 1944 r. rozpoznany przypadkiem przez innego siemianowiczana i zadenuncjowany na gestapo został aresztowany, uwolniony w czasie bombardowania Lwowa skorzystał z pomocy struktur AK i został przerzucony do Białegostoku, skąd udał się do zajętego przez Rosjan Lublina, gdzie spotkał Jerzego Ziętka, który skierował go na kurs wojskowy, a następnie w stopniu ppor. WP wysłał na Kresy Zachodnie. Wojnę przeżyła także Maria Bajgierowicz, która we Wrocławiu poznała i poślubiła Grubera. 20 II 1986 r. w Haifie, w Izraelu złożyła przed notariuszem A. Bronowskim oświadczenie następującej treści; „Ja niżej podpisana Miriam Gruber, zamieszkała w Kirjat Bialik 27000-Izrael, przy ulicy Keren Hajesod 80, posiadaczka dowodu tożsamości Nr 528485 [...] zeznaję: Pan Edward Kurda, zamieszkały



Maria Bajgierowicz i jej siostrzenice

w Siemianowicach Śląskich, koło Katowic przy ul. Sobieskiego nr 28 został odznaczony jako Sprawiedliwy wśród Narodów Świata za uratowanie mnie i moich dwóch siostrzenic w Polsce od pewnej śmierci w czasie drugiej wojny światowej z rąk nazistów. Z tej okazji ma być zasadzone drzewko dla upamiętnienia jego nazwiska w Alei Sprawiedliwych w Jerozolimie”¹⁶.



Lucja Buroń

na flirtowała ze strażnikami odwracając ich uwagę, Ł. Buroń pełniła rolę obserwatorki, a Ł. Brandysowa przeprowadzała w tym czasie uciekinierów. Wszystkie narażały swoje życie i bezpieczeństwo rodziny. Ł. Brandysowa była wdową po powstańcu śląskim zamordowanym przez Niemców w KL Auschwitz²⁰, mąż Jadwigi, Hugo Kajda zdezerterował z Wehrmachtu i był w polskim korpusie gen. Władysława Andersa, a Ł. Buroń, jako wdowa jedyną żywicielką trójki małych dzieci. W grudniu 1944 r. w mieszkaniu Ł. Brandysowej przy ulicy Michałkowskiej 45, Niemcy przeprowadzili rewizję i wstępne przesłuchanie podejrzanej. Dowodem w sprawie miało być zeznanie grupy Żydów, którą zatrzymano w Lublinie. Aresztowani wskazali adres i dane personalne Ł. Brandysowej, która służyła im pomocą w ucieczce do GG. Ponadto napomknęli o korespondencji, która miała być dowodem rzeczowym. Wielogodzinna rewizja nie dała jednak oczekiwanego



Jadwiga Kajda z synem

Z równym poświęceniem pomoc niósł Lucja Brandysowa (z domu Buroń)¹⁷, korzystając ze wsparcia siostry Jadwigi Kajda¹⁸ i szwagierki Łucji Buroń (z domu Długajczyk)¹⁹. Ł. Brandysowa utrzymywała w czasie wojny kontakt listowy z rodziną męża w Berlinie. Korespondencja dotyczyła mężczyzn i kobiet pochodzenia żydowskiego, które z Rzeszy chciały się przedostać do Generalnej Guberni. Po ustaleniu szczegółów osoby takie przyjeżdżały do Siemianowic Śl. i były nielegalnie przeprowadzane przez granicę do Czeladzi. Kobiety radziły sobie w ten sposób, iż pełna sexapilu J. Kajdzina flirtowała ze strażnikami odwracając ich uwagę, Ł. Buroń pełniła rolę obserwatorki, a Ł. Brandysowa przeprowadzała w tym czasie uciekinierów. Wszystkie narażały swoje życie i bezpieczeństwo rodziny. Ł. Brandysowa była wdową po powstańcu śląskim zamordowanym przez Niemców w KL Auschwitz²⁰, mąż Jadwigi, Hugo Kajda zdezerterował z Wehrmachtu i był w polskim korpusie gen. Władysława Andersa, a Ł. Buroń, jako wdowa jedyną żywicielką trójki małych dzieci. W grudniu 1944 r. w mieszkaniu Ł. Brandysowej przy ulicy Michałkowskiej 45, Niemcy przeprowadzili rewizję i wstępne przesłuchanie podejrzanej. Dowodem w sprawie miało być zeznanie grupy Żydów, którą zatrzymano w Lublinie. Aresztowani wskazali adres i dane personalne Ł. Brandysowej, która służyła im pomocą w ucieczce do GG. Ponadto napomknęli o korespondencji, która miała być dowodem rzeczowym. Wielogodzinna rewizja nie dała jednak oczekiwanego rezultatu gdyż Ł. Brandysowa przezornie wszystkie listy na bieżąco paliła i zeznała, że oskarżenie jej jest pomówieniem. Niemcy znaleźli jedynie korespondencję miłosną gospodyni, której lektura wprawiła ich w wesołość i zachęciła do pytań dotyczących życia osobistego. Na odchodnym oświadczyli, że to nie koniec i wrócą tu ze świadkami koronnymi, których ujęli w Lublinie. Do 27 I 1945 r., tj. do dnia zajęcia Siemianowic Śl. przez Armię Czerwoną, kobiety żyły w strachu i oczekiwały katastrofalnej w skutkach konfrontacji z aresztowanymi Żydami²¹.

Mimo ofiarności wielu ludzi z pogromu ocalali nieliczni, a i ci ulegli rozproszeniu lub częściowej asymilacji. Hołd pomordowanym w licznych egzekucjach w komorach gazowych złożył pochodzący z Przelajki Czesław Slezak. Grozę tamtych dni utrwalił w wierszu *Ptaki* z tomiku *Gwiazda Dawida*²². Poeta pisał:

*Doktor Saal
Miłośnik muzyki
I zwierząt
Hitlerowiec
W poszukiwaniu sensu życia -
Zabijał
Żydowskie dzieci
Umierały najłatwiej -
Nie bały się jeszcze.
Najładniej Zabijało się matki
Rozwścieczone tygrysice.*

Po 1945 r. w rejonie siemianowickim nie powstało już większe skupisko ludności żydowskiej.

PRZYPISY:

1 „Gazeta Siemianowicka” Nr 40 z 16 V 1935: „Siemianowice w ostatnim czasie otrzymały znów większy napływ Żydów. Charakterystyczne, że Żydzi rzekomo polscy (tak się przynajmniej tłumaczą) przeważnie obsługują klientelę po niemiecku choć sobie tego jeden i drugi klient nie życzy i często na to zwraca uwagę”. Por. „Gazeta Siemianowicka” Nr 25 z 26 III 1936 r.: Niektórzy właściciele domów bardzo nieostrożnie postępują przy wynajmowaniu swych składów. Może opinia publiczna mieć swoje zasady i zapatrywania co do nowych przyciągających Żydów z Będzina lub z którejkolwiek innej miejscowości; niektórzy z tych właścicieli co mają skupy wolne [...] wychodzą na tym jak Zabłocki na mydle. Bowiem zdarzyło się już kilkakrotnie, że Żyd, otrzymawszy skład, przebywa w nim kilka miesięcy - podbija ceny kupców chrześcijańskich, którzy lata całe siedzą na miejscu, a kiedy przyjdzie mu płacić podatki lub zaległy czynsz znika w nocy jak kamfora i szuka wiatru w polu. Tak ostatnio zdarzyło się pewnej właścicielce domu przy ulicy Hutniczej. Żyd G. przyszedł, robił konkurencję i poszedł, czyli uciekł w nocy nie zapłaciwszy czynszu w wysokości 400 zł i zaległych podatków. Podobna sytuacja przydarzyła się właścicielowi przy ulicy Powstańców.

2 W 1934 r. dał 87 złotych i 50 groszy na powodzian.

3 „Głos Siemianowicki” Nr 19 z 6 III 1937.

4 Tamże.

5 „Gazeta Siemianowicka” Nr 19 z 3 III 1935.

6 „Gazeta Siemianowicka” Nr 63 z 4 VIII 1935. Nr 102 z 19 XII 1935.

7 „Gazeta Siemianowicka” Nr 50 z 24 VI 1934; Z. Janeczek: *Spółeczno-obyczajowy obraz nadgranicznego miasta w świetle doniesień prasowych „Gazety Siemianowickiej” (1925-1937)* [w:] *Książka polska na Śląsku w latach 1922-1945*. Pod red. M. Pawłowiczowej. Katowice 1995, s. 54-55.

8 „Gazeta Siemianowicka” Nr 1 z 29 XI 1936. Nr 10 z 3 II 1937.

9 „Gazeta Siemianowicka” Nr 15 z 24 II 1937.

10 „Gazeta Siemianowicka” Nr 3 z 6 XII 1936.

11 Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, zespół Gmina Żydowska w Gliwicach, rkps 53. Lista imienna Żydów deportowanych do obozów zagłady w 1942 r.; K. Rzońca: *Zagłada niemieckich Żydów na Górnym Śląsku*. „Sobótka”, nr 2, s. 236, 237, 240, 241, 242, 244, 246.

12 Mojżesz (Mosze, Moniek) Merin (1905- ok. 1943), przewodniczący Centrali Żydowskich Rad Starszych na Wschodnim Górnym Śląsku (Zentrale der Jüdischen Ältestenrate in Oberschlesien) w czasie okupacji niemieckiej. Był także szwagrem Abrahama Gancwajcha, znanego kolaboranta, kierownika Urzędu do Walki ze Spekulacją w getcie warszawskim. Meryn stał się nie tylko przywódcą Judenratu w getcie sosnowieckim, ale odpowiedzialny był za organizację zarządów wszystkich Judenratów w rejencji katowickiej, z wyjątkiem Bytomia, Zabrze i Gliwic oraz w rejencji opolskiej – Zawierciu i Blachowni. Od grudnia 1939 r., pełnił, z nominacji Hansa Dreiera, kierownika referatu do spraw żydowskich katowickiego gestapo, funkcję leitera (przełożonego nad wszystkimi Żydami zarządzanego obszaru). Merin, podobnie jak Chaim Rumkowski, wyznawał zasadę, że tylko współpraca z Niemcami daje szansę przetrwania. Skupiał się na organizowaniu agitacji i sporządzał listy osób deportowanych do obozów zagłady. Był zwolennikiem koncepcji przetrwania Żydów dzięki pracy na rzecz okupanta i przez zachowanie bezwzględного posłuszeństwa względem Niemców. Merin odrzucił propozycję współpracy z ŻOB-em złożoną mu przez Mordechaja Anielewicza goszczącego w 1942 r. na Śląsku. Wezwany wraz ze swoimi współpracownikami 19 VI 1943 r., do siedziby Prezydium Policji w Sosnowcu, został aresztowany wraz z bratem Chaimem i zastępczynią, Fanny Czarną, a następnie deportowany do obozu zagłady Auschwitz-Birkenau, gdzie zginął razem z innymi.

13 Chaim Mordechaj Rumkowski (1877-1944), przemysłowiec, działacz syjonistyczny. Prezes Starszeństwa Żydów w Łodź (od kwietnia 1940 r. - Litzmannstadt) do likwidacji getta w końcu sierpnia 1944 roku. Jego działalność w tym okresie jest przedmiotem skrajnych ocen. Od jednoznacznego potępienia (oskarżenie o kolaborację z nazistami) po umiarkowanie pozytywne. Zginął w Auschwitz-Birkenau.

14 Emanuel Ringelblum ps. „Edzio”, „Menachem” (1900-1944), polski historyk, pedagog i działacz społeczny pochodzenia żydowskiego. Twórca podziemnego archiwum getta warszawskiego. W 1942 roku został członkiem Bloku Antyfaszystowskiego. Uczestniczył w tworzeniu Żydowskiej Organizacji Bojowej. Utrzymywał także kontakty z drugą najsilniejszą organizacją podziemną w getcie – prawicowym Żydowskim Związkiem Wojskowym. Od 1943 roku współpracował z Żydowskim Komitetem Narodowym. Prawdopodobnie wraz z rodziną został rozstrzelany w ruinach getta,

15 E. Ringelblum: *Kronika getta warszawskiego wrzesień 1939- styczeń 1943*. Warszawa 1943, s. 54.

16 Z. Janeczek: *Siemianowicki słownik biograficzny*. Katowice 1996, s. 121-122.

17 Łucja Brandysowa, córka Faustyna i Antoni Burońów, żona Domina Brandysa (Prandiego).

18 Jadwiga Kajda, córka Faustyna i Antoni Burońów, siostra Oskara Burońia i żona Hugona Kajdy.

19 Łucja Buroń (1914-1989), córka Pawła i Agnieszki Długajczyków, żona Oskara Burońia (1906-1941).

20 Brandys - Prandi Domin (1897-1941), syn Jana i Luizy z domu Haase; ur. 4 VII w Bytomiu; działacz narodowy, uczestnik powstań śląskich. Zginął zamordowany przez Niemców 3 XII 1941 r. w KL Auschwitz, gdzie został oznaczony, jako więzień Polak polityczny (P, Pole) numerem 1463.

21 Na podstawie relacji: Ł. Brandysowej i Ł. Buroń oraz rodzinnych dokumentów.

22 C. Slezak: *Gwiazda Dawida*. Katowice 1961, s. 14.

Z KART
SIEMIANOWICKICH
ANNAŁÓW

TERESA WEINTRIT (1934-2015)

- wieloletni pedagog i wychowawca wielu pokoleń uczniów, dyrektor Młodzieżowego Domu Kultury im. dr. Henryka Jordana w Siemianowicach Śląskich; za zasługi w pracy pedagogicznej została uhonorowana Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotą Odznaką Związku Nauczycielstwa Polskiego, Złotą Odznaką Zasłużonego w Rozwój Województwa Katowickiego. Żona Piotra Weintrita, długoletniego nauczyciela wychowania muzycznego, profesora szkoły średniej; matka trojga dzieci, babcia szóstki wnucząt i prababcia jednego prawnuka. Zmarła 5 marca 2015 roku w czasie przygotowywania do druku niniejszego numeru Siemianowickiego Rocznika Muzealnego. Pozostanie w naszej pamięci jako wspaniały pedagog, wychowawca, osoba wrażliwa na ludzkie problemy, bez reszty oddana swoim podopiecznym.

Redakcja Siemianowickiego Rocznika Muzealnego
Dyrektor i Pracownicy Muzeum Miejskiego
w Siemianowicach Śląskich

OŚWIATA WCZORAJ I DZIŚ – OCZAMI DŁUGOLETNIEGO NAUCZYCIELA

Długo zastanawiałam się co mogę napisać na temat dzisiejszej szkoły – szkoły, w której przepracowałam całe życie. Dziś, przechodząc obok budynku mojej dawnej szkoły z sentymentem spoglądam na jej mury, słyszę gwar, rzadko śpiewa bardzo często, niestety coraz częściej, dolatujące na ulicę pojedyncze wulgarne słowa, czasem nawet całe ich wiązanki. Zza płotu dobiegają odgłosy radosnych, dziecięcych i młodzieńczych zabaw, ale jednocześnie przebija się agresja, zwyczajna obcość, jakaś odrażająca nijakość, czasem pełna wulgaryzmów i zwyczajnego chamstwa. Zamykam oczy, wracają wspomnienia, miłe wspomnienia, twarze, nierzadko nazwiska, tyle pokoleń młodzieży, cudownej młodzieży, te ich pomysły, dowcipne odpowiedzi, dojrzałe przemyślenia, zdumiewająca, szokująca wiedza, odczytanie, młodzieńczy urok, świeżość, te ich kawały, dowcipy, zabawy, zgiełk... Tak, to był mój żywioł.

Dziś młodzież jest inna, ale to rozumiem, w każdym razie staram się zrozumieć, gdyż postęp nauki i techniki w XXI wieku jest przeogromny, wręcz niepojęty. Staram się nadążyć, ale gdzież mi tam do sprawności nastolatka w operowaniu komórką, myszką komputera, laptopem. Myślę, że nie miałabym szans już nie tylko w porównaniu z nastolatkami, ale i z kilkuletnimi dziećmi z najmłodszych klas. Zdaje sobie sprawę, że przyszłość naszego kraju, narodu jest w rękach tych młodych, prężnych, mam nadzieję, że zdolnych, w każdym bądź razie z olbrzymimi perspektywami, którzy widzą swój kraj rozbudowany, piękniejszy i bogatszy niż pokolenia ich rodziców, czy dziadków. Mają start w dorosłe życie ogromnie ułatwiony w porównaniu z nami. Tylko zadaję sobie pytanie, czy oni zdają sobie z tego sprawę. Czy potrafią to docenić i właściwie wykorzystać? A jaka była oświata, gdy ja w niej pracowałam? Wiadomo, że zaraz po wojnie brak było w zasadzie wszystkiego, brak wykształconej kadry, brak szkół, brak podręczników, brak programów przygotowanych przez polskich specjalistów. Niestety, zabrakło przedwojennych metodyków, pedagogów, dydaktyków. Tę pustkę trzeba było czym prędzej wypełnić. I wypełnialiśmy... Już po piętnastu, dwudziestu latach po wojnie można było zaobserwować ogromny rozkwit oświaty. Kadra masowo doksztalała się poprzez kursy, szkolenia, konferencje, warsztaty, studia wieczorowe. Nazywało się to kształceniem ustawicznym. Wypracowa-

no i wprowadzono bardzo dobre podręczniki, które służyły naszym dzieciom nie przez jeden sezon, jak to jest obecnie, a przez wiele lat. Ich solidne, twarde okładki gwarantowały, że poszczególne egzemplarze były w obiegu przez dłuższy czas, przechodziły w rodzinie z rąk do rąk na młodsze rodzeństwo. Wpajany szacunek do książki powodował, że nie niszczyły się tak szybko. Zbudowano i rozbudowano ogromną liczbę szkół (tysiąc szkół na tysiąclecie Polski). Ilość i jakość nowej wykształconej kadry w każdej dziedzinie rosła. Absolwenci szkół wyższych byli rozchwytywani w kraju, a jeśli los rzucił kogoś z różnych przyczyn na obczyznę, tam też byli cenieni - także na tzw. Zachodzie, gdzie dziś pracuję na przysłowio- wym zmywaku.



Teresa Weintrit z mężem Piotrem

Szkoła była rozśpiewana. Dziś niestety brak lekcji wychowania muzycznego. Oceniam to jako poważny błąd decydentów. To duża strata. A co z kształceniem słuchu, wrażliwości artystycznej, właściwej postawy wobec kultury? Treść wyuczonych pieśni patriotycznych do czegoś zobowiązywała, a słowa zostawały w pamięci na lata, nieraz na całe życie. W moich czasach (a były to lata pomiędzy 1958 a 2000 rokiem) przekazywaliśmy młodzieży wiedzę nie tylko w klasie podczas lekcji, ale poprzez organizowanie licznych konkursów, przeglądów artystycznych, olimpiad przedmiotowych, zawodów sportowych, zajęć turystycznych, poprzez czytanie lektur, organizowanie świąta pieśni. Promowaliśmy zdrową rywalizację. Stale powtarzaliśmy materiał nauczania. Czymś naturalnym, zwyczajnym były powtórki, sprawdziany, klasówki, dyktanda. To były kamienie milowe na drodze do wiedzy, kształtowania postaw, do uzyskania wykształcenia. A dziś tylko same testy, których treści spora część młodzieży nie jest w stanie zrozumieć. Młodzież nie potrafi wypowiedzieć się nawet w najbardziej banalnych sprawach. Co to jest czytanie ze zrozumieniem? A czy można sobie w ogóle wyobrazić czytanie bez zrozumienia? Zadaję sobie pytanie, o co tu chodzi? Co to znaczy wychowanie bezstresowe, przyjazna szkoła? Prawdę mówiąc, moim zdaniem, ta szkoła jest przyjazna, która spełnia postawione przed

nią cele, czyli uczy. Szkoła nie jest po to, żeby było uczniom jedynie miło i sympatycznie i nikt od nich niczego nie wymagał. Podstawowym zadaniem szkoły jest przygotowanie młodych ludzi do życia. Lata nauki powinny upływać na rozwijaniu zarówno umiejętności profesjonalnych (czyli tych zawodowych), jak i tych społecznych (czyli humanistycznych). Kształcenie uczniów równocześnie w obydwu tych obszarach jest moim zdaniem kluczowe. Tymczasem szkoła najczęściej ogranicza się jedynie do rozwijania funkcji profesjonalnej, czyli pokazuje, jak być w przyszłości dobrym pracownikiem, jak korzystać z komputera, z internetu, uczy języków, zasad ortografii, liczenia, wyjaśnia zjawiska fizyczne, zapoznaje z faktami historycznymi, pomaga w zdobywaniu certyfikatów, zdawaniu egzaminów potwierdzających zawodowe kompetencje. Efektywność szkoły w tym zakresie, a także wartość poszczególnych nauczycieli, łatwo zmierzyć i ocenić. Dziś w powszechnym mniemaniu dobry nauczyciel to ten, którego uczniowie osiągają doskonałe wyniki na egzaminach, dostają się na studia, wygrywają olimpiady przedmiotowe. Porządny pracownik to taki, który podnosi kwalifikacje, czego dowodem są kolejne dyplomy i świadectwa, zaliczone kursy i szkolenia. Wszystko można policzyć, zmierzyć, zestawić i porównać, a później pokazać na wykresach, kolorowych słupkach. I od razu widać, czy jest postęp, czy go nie ma. A co w takim razie z funkcją humanistyczną szkoły? Powinna pokazywać jak być dobrym człowiekiem, dobrą matką, ojcem, bratem, siostrą, później żoną, mężem, uczciwym obywatelem, oddaną przyjaciółką. Pokazywać co to są więzi koleżeńskie, w którym kierunku podążać, chcąc doświadczyć szczęśliwego życia, jak budować dobre stosunki z ludźmi. Krótko mówiąc, takie w sumie trudne do ogarnięcia sprawy. Może dlatego rzadko kto się nimi w szkołach zajmuje i przejmuje. Bo i są to wszystkie działania niemal niemierzalne, a ponadto ich efekty często są odsunięte daleko w czasie. Kto w takim razie jest dobrym wychowawcą? Jakie musi spełniać kryteria i jak weryfikować efekty jego pracy? Papierkiem? Dodatkowym kursem? Frekwencją uczniów? Liczbą pochwał? Ograniczanie się nauczycieli do realizowania profesjonalnej funkcji szkoły i notoryczne zapominanie o drugim aspekcie edukacji, o jej społecznej i humanistycznej stronie, pociąga za sobą określone konsekwencje w traktowaniu uczniów, sposobie ich nauczania i jakości uczenia.

Dziś jest po prostu inaczej, ale to chyba dobrze, bo świat musi iść naprzód. Nowe metody, nowa młodzież, nowe środki dydaktyczne, nowe podejście naukowe, powodują nowy impuls, dynamiczny rozkwit, co widać na każdym niemal kroku – komputery, laptopy, komórki, smartfony, „empetrójki”, to otwarcie na nowoczesność. Szkoda tylko, że niejeden wykształcony nauczyciel dziś boryka się z problemem bezrobocia. I nie jest to jedyny niestety negatywny trend, jaki można dziś zaobserwować.



50-lecie ZNP
- przewodnicząca
Grażyna Hołys-
Warmus, Joanna
Kasjan, Wanda
Walek, Teresa
Weinrit

W sposób sztuczny zmusza się młodzież do kontynuowania nauki w gimnazjach i liceach ogólnokształcących - niewiele, wręcz brak jest szkół profilowanych. Moim skromnym zdaniem robimy wielką krzywdę naszym dzieciom zmuszając wszystkich do kontynuowania nauki. Nauki w sensie ogólnym, bo nic nie miałabym przeciwko nauce zawodu. Gdzie są teraz nasi przyszli hydraulicy, piekarze, mechanicy, szewcy? W tym dążeniu do podniesienia statystyk o czymś chyba zapomnieliśmy. Brak w tym wszystkim zwykłego rozsądku i równowagi. Irytują mnie studia typu marketing i zarządzanie na uczelniach pojawiających się jak grzyby po deszczu niemal w każdym mieście powiatowym. Dziś już miejsc na uczelniach jest więcej niż samych maturzystów. To żaden wyczyn dostać się na studia, sztuką jest raczej nie dostać się na nie. Czy naprawdę musimy uparcie dążyć do tego by mieć w przyszłości tak wiele osób z wyższym wykształceniem? To znaczy z „papierowym” wyższym wykształceniem, bo jakość tych studiów, zdobywana wiedza, jak to oceniam, jest na poziomie matury, tej sprzed dwudziestu lat. Naprawdę krzywdzimy młodzież. Wydziały, na których studiuje nie przypadkiem nazywane są przez bardziej ambitnych rówieśników, zdobywających solidne wykształcenie w renomowanych uczelniach, wydziałami „gier i zabaw”, gdzie zajęcia dydaktyczne rzadko kiedy przekraczają dziesięć godzin tygodniowo. Jakby zapraszając młodzież do podjęcia w tzw. wolnym czasie pracy na kasie w Żabce, czy Biedronce. No chyba, że chodzi o walkę z ukrytym bezrobociem...

W każdym razie po 1989 r. Polska zaczęła gwałtownie nadrabiać dystans, jaki dzielił nas od krajów wysokorozwiniętych pod względem udziału osób z wyższym wykształceniem. Między 1995 a 2010 rokiem udział takich osób w grupie wiekowej 25-64 lata wzrósł z niespełna 10% do ponad 20%. Sprzyja temu rynek pracy - osoby z wyższym wykształceniem są mniej

zagrożone bezrobociem, krócej szukają pracy i zarabiają wyraźnie lepiej od osób, które ukończyły edukację na niższym poziomie. Wiele wskazuje na to, że problemem polskiego szkolnictwa wyższego jest niestety także jego bardzo zróżnicowana jakość. Pośrednio świadczy o tym choćby niedostosowanie liczebności kadry akademickiej do liczby studentów. W ciągu ostatnich 20 lat, liczba studentów wzrosła w naszym kraju pięciokrotnie, a liczba nauczycieli akademickich tylko o 60%. Wśród nowo tworzonych szkół wyższych dominują uczelnie prowadzące kierunki o profilu ogólnym, humanistycznym, relatywnie często wybierane przez studentów, bo wydają się łatwe, a jednocześnie tańsze w utrzymaniu. Tylko pracy po takich studiach „dziecko drogie – szybko nie znajdziesz”.

Wywołują uśmiech na mojej twarzy te wszystkie „psychologizacje”, „socjologizacje”, nie bardzo rozumiem dokładnie co to są efekty kształcenia, krajowe ramy kwalifikacji i inne obecne „świętości” edukacyjne. Nie komentuję tego. Wdrożenie podstawy programowej kształcenia i poprawę efektywności procesu dydaktycznego zostawiam po prostu już tym młodszym. I cieszę się, że mnie to ominęło. Kiedyś wszystko robiliśmy sami, na wycucie. Dobry konspekt wystarczył. Hospitacje też spełniały swoją rolę. Zawsze jednak działaliśmy z troską o ucznia, by nie wyrządzić mu krzywdy, nie upokorzyć przy rówieśnikach, zachęcić, zmobilizować do dalszej pracy nad sobą. Wśród tematów, które chciałabym tu poruszyć są kwestie jakości edukacji, wyrównywania szans w dostępie do oświaty, jej dostosowania do rynku pracy, czy wpływu sytuacji demograficznej na system edukacji. Dzięki porównaniu aktualnych danych z danymi historycznymi, zestawieniu dzisiejszych obserwacji ze wspomnieniami, po uwzględnieniu zdobytego doświadczenia, być może uda mi się choć w części pokazać skalę osiągnięć polskiej oświaty i osób ją tworzących, przede wszystkim uczniów i nauczycieli.

Pracę w oświacie rozpoczęłam w roku 1958 jako nauczyciel fizyki w Szkole Podstawowej nr 8 w Siemianowicach przy ul. Brzozowej pod kierownictwem pana Franciszka Kopera. Klasy były wtedy liczne, dochodzące do 40 uczniów, a jednak nie było wówczas problemów z dyscypliną. Uczyło się nierzadko na dwie zmiany, gdyż pomieszczeń nie było zbyt wiele. Pracowało się tam bardzo dobrze, z entuzjazmem. Wspominam ten czas miło i z sentymentem. W końcu były to lata mojej młodości. W tamtym czasie odbywały się w szkole różne uroczystości państwowe (apele, zbiórki, capstrzyki, akademie), które aby mogły spełnić swą rolę trzeba było dobrze przygotować. Uczyliśmy młodzież wielu piosenek, wierszy i pieśni patriotycznych. Nauczyciele języka polskiego, historycy, muzycy wiele wnosili inwencji i poświęcali czasu na to, aby te spotkania były owocne i pożyteczne. Wszyscy starali się by uroczystości wypadły jak najlepiej, jak najbardziej profesjonalnie. I to się na ogół nam uda-

wało. Nam się po prostu chciało. Czas pokazał, że młodzież uczyliśmy dobrze (lata 1980-89) w duchu polskości i dążeniu do wolności. Nie uprawiano polityki, łamania charakterów, choć ścieżki kariery dla niektórych okazywały się wyjątkowo kręte. Zostawię jednak ten temat. Chciałabym mówić o nauczycielach tych prawdziwych z powołaniem, by oddać im należny hołd. W 1970 roku przeniosłam się do Szkoły Podstawowej nr 6 w Siemianowicach przy ulicy 1 Maja, gdzie dyrektorem był Jan Hoffman, a później Maria Gaweł. W tym czasie przeszedł na emeryturę przedwojenny nauczyciel Józef Kudt; objęłam jego pracownię fizyczną w tej szkole, doskonale - nawiasem mówiąc - wyposażoną jak na owe czasy. Wreszcie mogłam trochę więcej poeksperymentować z młodzieżą. Do pokazów i doświadczeń na lekcjach trzeba było się jednak solidnie przygotowywać. Spędzałam w pracy sporo czasu, by te moje lekcje były atrakcyjne. Uczyłam przecież niebanalnego przedmiotu - fizyki. Drugim powodem przejścia do SP 6 było to, że mieszkałam w pobliżu w Domu Nauczyciela i uczyły się tam moje dzieci - Zosia, Adam i Ewa. Praca w tej szkole okazała się bardzo owocna. Zaczęłam odnosić sukcesy. Uczeń mój uzyskał I miejsce w Wojewódzkiej Olimpiadzie przedmiotowej z fizyki. Sporo w tej szkole się nauczyłam. Dużo osiągnięć dydaktycznych, wychowawczych i opiekuńczych. Wiele się w tym czasie działo w SP 6. Szkoła ta uchodziła za jedną z najlepszych szkół w mieście. To tutaj zlokalizowano eksperymentalną klasę matematyczną, prowadzoną autorsko przez Joannę Piętkę na poziomie czasem nawet znacznie wykraczającym poza program liceum. I młodzież dawała radę. To była kuźnia talentów, eksplozja nauki, a dla nas prawdziwe wyzwanie. Tutaj też umieszczono eksperymentalną klasę sześciolatków, której byłam wychowawczynią. Pracowałabym tam na pełnym etacie zapewne znacznie dłużej, gdyby nie pewne przełomowe dla mnie zdarzenie... W szkole odbywała się wizytacja. Dyrektor, wizytatorzy, inspektorzy czekali na przyjazd kuratora z Katowic. Trochę jak w „Rewizorze” Gogola - nerwówka, wypinanie piersi, stawanie na palcach, troska, by wszystko wypadło jak najlepiej. Młodzież w tym czasie była zgromadzona w sali gimnastycznej. Ponieważ oczekiwanie się przedłużało, dzieci były coraz głośniejsze, coraz bardziej rozwydrzone, wprost nie do opanowania. Nie namyślając się długo zaczęłam uczyć ich piosenki - bardzo melodyjnej, wpadającej w ucho. Powoli cała sala powtarzała tekst, nuciła melodię i tak bawiliśmy się przez kilka minut. Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem obserwowana przez całą komisję, która stała za drzwiami nie chcąc popsuć czegoś, co właśnie zaiskrzyło, zadziało, jak należy. Komisja z aprobatą i uznaniem spoglądała na mnie podziwiając mnie, że tak sprawnie udało mi się opanować ogromną rzeszę młodzieży. Po spotkaniu poproszono mnie do Wydziału Oświaty proponując mi zmianę pracy. Miałam przejść do Młodzieżowego

Domu Kultury, aby pomóc przy organizacji różnych imprez masowych. W tym czasie nie wyobrażałam sobie jednak pracy wśród imprez kulturalno-oświatowych. Zgodziłam się, pod warunkiem jednak, że od 8.00 do 11.00 będę pracować w SP 6 ucząc fizyki, a po czterech lekcjach w szkole przejmę obowiązki wicedyrektora MDK. Po kilku latach objęłam stanowisko dyrektora tej placówki.

Praca w Młodzieżowym Domu Kultury, popularnym „Jordanie”, dała mi wielką radość, pokochałam tę pracę, która pozwoliła mi wykazać się różnymi pomysłami. Przy okazji odkryłam u siebie nowe talenty i zdolności, w tym zmysł organizatorski. A organizowaliśmy wtedy liczne konkursy, przeglądy artystyczne, zawody sportowe, zajęcia techniczne, zajęcia plastyczne, zajęcia taneczne, instrumentalne, śpiewacze, turystyczne i komputerowe. I tak przepracowałam 44 lata. Po przejściu na emeryturę po 30 latach pracy, pracowałam jeszcze na pół etatu. No i teraz obserwując szkołę z perspektywy czasu zaczęłam zastanawiać się, analizować, porównywać oświatę tę sprzed 20, 30, 40 i 50 laty z tą obecną. Czy stała na wyższym poziomie wtedy, gdy przekazywała nie tylko wiedzę, umiejętności, ale także przygotowała młodzież do samodzielności, do obrony naszego kraju, kształtowała postawę patriotyczną? Czy też teraz, gdy młodzież tak rzadko śpiewa hymn państwowy, nie wiadomo, czy kocha swoją ojczyznę, czy umie logicznie myśleć, wyciągać wnioski, czy będzie potrafiła właściwie funkcjonować w społeczeństwie? Nieraz zastanawiam się czy sposób podawania wiedzy z wykorzystaniem komputerów, poprzez nowoczesne środki audiowizualne wzbogaca młodzież, czy ją ogranicza, wręcz ogłupia. Jaką rolę w tym wszystkim odgrywa telewizja i internet? Jeśli młodzież tak mało czyta, czy jest zdolna do głębszej analizy, samooceny, wyrażania swych emocji, uczuć? My podawaliśmy wiedzę, powtarzali wiadomości, organizowaliśmy klasówki, sprawdziany. Czy „oglądanie” wiedzy, bo tak to trzeba nazwać po imieniu, w telewizji, w internecie to jest to samo, co jej poznanie, opanowywanie, przyswajanie? Obawiam się, że jednak chyba nie. Dawniej wykorzystywana była kreda i tablica (treść zapisywana była wielokrotnie, w odpowiednim przyswajalnym tempie), a tu prezentacja komputerowa, rzutnik i ekran – jakiś filmik, pokaz slajdów, błysk, obrazek, „ciach-trach” i na koniec reklama! Co z tego zostaje w głowach uczniów? Teraz wiedzę sprawdzamy dając dzieciom testy do rozwiązywania. Czy to wszystko ma być? Co my chcemy tym sprawdzić? Co my chcemy tym osiągnąć? Obawiam się, że grozi nam częściowy powrót do analfabetyzmu. A jednak muszę przyznać, choć nie wiem jak to możliwe, jakim cudem, jakim sposobem to się stało, że spora część absolwentów szkół podstawowych, gimnazjalnych, licealnych i szkół wyższych to wspaniali ludzie, przygotowani teoretycznie,



Teresa Weintrit
wraz z dyrektorką MDK
– Teresą Niechoj-
Fastryjok

znający języki, obsługę wyrafinowanych programów komputerowych. No może brak im tylko trochę doświadczenia, ale to już przyjdzie samo, z czasem. Więc pytanie, czy my w latach 60. lepiej przygotowaliśmy młodzież do życia? Czy początek XXI wieku to upadek oświaty? Nie, chyba jednak nie. Tak źle, chyba nie jest. Ale wciąż brakuje nam niestety pełnej wizji rozwoju nowoczesnego systemu edukacji w najbliższych latach. Zmieniający się ministrowie oświaty, ich na ogół krótkowzroczne wizje i pomysły, często przypadkowe, zmieniające się przepisy prawa, ustawy, podręczniki, na pewno źle wpływają na ciągłość nauki. A jednak to się kręci – tzw. sztafeta pokoleń. Nasi następcy dzielnie niosą „kaganek” oświaty. Upieram się jednak przy tym, że aby czegoś nauczyć musimy podawać wiadomości uszeregowane, sprawdzone, stale i ciągle je powtarzać, tak jak to czynią sportowcy na treningu. Czy ucząc się nowego języka obcego wystarczy patrzeć na słowa prezentowane na ekranie, czy może jednak potrzeba czegoś więcej? Wiedzę trzeba przesiąknąć. Dziś muszę przyznać, że nieraz za dużo było uczenia się na pamięć, czasem spraw mało istotnych. Młodzież wiedziała jak zbudowana jest ameba, pantofelek, a nie miała pojęcia o tym, co spotka w lesie, jakie drzewa, jakie ptaki, jakie grzyby, jakie zwierzęta. A chemia wciąż tkwi w podręcznikach z początku XX wieku – z atomem w tle. Fizyka też zatrzymała się na poziomie sprzed kilkadziesiąt lat. Czytane są dziwne lektury. Kto je wybiera? Pojawia się stare jak świat pytanie, już nie tylko jak uczyć, ale czego uczyć? A cóż ja mogę powiedzieć o ostatniej dużej reformie oświaty polegającej na likwidacji ośmioletniej szkoły podstawowej oraz czteroletnich szkół średnich i utworzeniu w ich miejsce sześcioletnich podstawówek oraz trzyletnich gimnazjów i liceów? Generalnie, mówi się, iż gimnazja sprawdziły się – mimo obaw i zastrzeżeń towarzyszących

ponownemu ich wprowadzeniu. Choć trzeba przyznać, że w dużych miastach rośnie podział gimnazjów na lepsze i gorsze. Raz przyklejonej etykiety trudno się pozbyć, nieraz o odzyskanie dobrego imienia trzeba walczyć latami. To samo dotyczy niestety liceów. Bardzo ubolewam na tym, że najlepsza młodzież naszego miasta szuka swoich szans w sąsiednich miastach, najczęściej w Katowicach i Chorzowie. W Polsce różnice między poziomem umiejętności uczniów uczęszczających do różnych szkół podstawowych i gimnazjów są relatywnie niskie, ale różnice między gimnazjami i liceami zwiększają się w dużych miastach. Utrzymuje się też wyraźny podział na uczniów liceów ogólnokształcących, techników i szkół zawodowych. Wybór kształcenia zawodowego wciąż jest silnie uwarunkowany pochodzeniem społecznym uczniów, czy lokalizacją szkoły, nie zaś świadomym wyborem przyszłego zawodu.

Próba porównania stanu oświaty w Polsce w drugiej połowie XX i na początku XXI wieku

Lata 50-90 XX w.

Zalety:

- nauka kaligrafii,
- wiele lektur obowiązkowych (dużo czytania),
- organizacje konkursów (piękna mowa),
- utrwalanie materiału,
- wychowanie patriotyczne,
- lekcje wychowania muzycznego,
- niezmiennające się długoletnie podręczniki.

Wady:

- przepełnione klasy - wyż demograficzny,
- kadra nauczycielska nie w pełni wykształcona,
- liczba godzin tygodniowo do 36 godzin,
- brak pomocy naukowych i podręczników,
- brak książek naukowych,
- brak budynków szkolnych.

Lata 2000-2014

Wady:

- brak nauki kaligrafii,
- mało lektur,
- nie zwraca się uwagi na piękno mowy polskiej,
- brak czasu na utrwalanie wiadomości,
- brak wychowania patriotycznego,
- częsty brak lekcji wychowania muzycznego,

- zmieniające się ciągle programy i podręczniki
- likwidacje budynków szkolnych (niż demograficzny),
- bezrobocie wśród nauczycieli,
- urlopy wychowawcze i zdrowotne nauczycieli.

Zalety:

- niż demograficzny - mała ilość dzieci w klasach,
- liczba 18 godzin tygodniowo,
- wykształcona kadra nauczycieli,
- urlopy wychowawcze i zdrowotne nauczycieli.

Pomimo wielu ewidentnych braków, które opisano w artykule i zebrano w tabeli powyżej, było wśród nauczycieli pełne zaangażowanie w pracy dydaktyczno-wychowawczej. Zdeterminowani nauczyciele rozpoczynali studia wyższe, dokształcali się na różnych kursach przedmiotowych. Wykorzystywali letnie wakacje na dokształcanie się. Oświata rozwijała się. Zaczęto budować wiele szkół, rozładowując ilość dzieci w klasach. Nauczyciele języka polskiego, historycy, muzycy wiele czasu poświęcali na przygotowanie absolwentów do twórczej pracy. W owym czasie w szkołach odbywały się apele, zbiórki, akademie, które aby mogły spełnić swą rolę należało je dobrze przygotować. Uczyliśmy młodzież wielu wierszy, czytaliśmy wiele lektur, uczyliśmy wielu piosenek patriotycznych. Na lekcjach historii przekazywaliśmy rzetelną wiedzę. Czas pokazał że młodzież uczyliśmy dobrze, właściwie, w duchu polskości i dążeniu do wolności (lata 1970-1990). Proces nauczania polegał na wykładzie wiadomości i utrwalaniu tego materiału. Sposobem na sprawdzenie czy nowa lekcja została opanowana były wejściówki, sprawdziany, klasówki czy dyktanda. Dawało to prawie 100% pewności że materiał został opanowany. Na przestrzeni tych 50 lat oświata była przejrzysta, dawała dobre efekty. Absolwenci szkół byli rozchwytywani. Każdy cenił fachowość rzetelność, dobre przygotowanie do zawodu.

Dzisiaj w Polsce aż 97% nauczycieli ma wykształcenie wyższe, co stanowi jeden z najwyższych odsetków w Unii Europejskiej (dane z 2010 r.). w 2000 r. wskaźnik ten wynosił 84%, a w 1992 r. zaledwie 58%. Polscy nauczyciele mają też potrzebę podnoszenia swoich umiejętności - 39% z nich deklaruje chęć doskonalenia zawodowego, choć przyznaje, że nie znajduje dla siebie odpowiedniej oferty. Niestety wciąż utrzymuje się słaby system doskonalenia zawodowego i awansu zawodowego nauczycieli. Polscy nauczyciele bardzo intensywnie doskonalą się zawodowo, ale dominują mniej efektywne formy doskonalenia nauczycieli, które w dodatku są słabo skoordynowane na poziomie szkoły. Udział w doskonaleniu jest stymulowany przez procedury awansu zawodowego. Tymczasem najwyższy stopień osiąga się zbyt wcześnie w toku kariery zawodowej

- zdecydowaną większość nauczycieli stanowią obecnie nauczyciele z najwyższym i stopniami awansu. Mimo tych ewidentnych wad, które starałam się przedstawić w tabeli powyżej, widzi się zdolną młodzież, która mimo że mało czyta, mało ćwiczy, mało mówi, biegle włada językami, operuje komórką, laptopem, komputerem, w lot opanowuje nowości techniczne. Bardzo pozytywnie oceniam wprowadzenie obowiązkowej matury z matematyki. Obowiązkowa matura z matematyki, przywrócona po kilku dziesięcioleciach, była jednym z ważniejszych wydarzeń w 2010 r. Decyzja ta zapewne wymusiła na uczniach większą pilność w nauce tego przedmiotu, a także zwiększyła motywację nauczycieli matematyki. Umiejętność myślenia matematycznego to jedna z najważniejszych kompetencji przydatnych w codziennym życiu - stanowiąca też podstawę rozwoju zawodowego w przyszłości. Na ogół niski poziom nauczania matematyki w pierwszych klasach szkoły podstawowej spowodowany jest słabym przygotowaniem do nauczania matematyki nauczycieli klas I-III szkoły podstawowej (nauczania zintegrowanego) zwrócenie uwagi na jakość nauczania matematyki na tym etapie jest najpilniejszym wyzwaniem. Braki w edukacji na najniższych poziomach są przenoszone na wyższe, a przezwyciężenie skutków tych zaniedbań jest trudne. Szkolnej matematyce szkodzi także zbyt ni nacisk na ćwiczenie rozwiązywania rutynowych zadań - niewiele mających wspólnego z istotą matematyki. Niezbyt entuzjastycznie przyjąłam też kolejne cięcia w przedmiotach ścisłych, w tym w mojej fizyce.

U coraz większej liczby dzieci i młodzieży stwierdza się poważne wady wymowy. To już nie tylko „s”, ale coraz więcej słyszy się seplenienie, „mazurzenie” (dotyczy to zwłaszcza dziewczynek, gdy bardzo chcą być miłe), to wymawiane z zaciśniętymi ustami *prose*, *-psi*, *-bzdzi*, *-ści*. Pytam a co na to ich rodzice, nauczyciele, wychowawcy? Czy kogoś to w ogóle obchodzi? Ta uwaga dotyczy nawet dziennikarzy i prezenterów telewizyjnych czy radiowych młodego pokolenia. Nie da się ich słuchać. A oni po prostu „tak mają”. Pytam się, jak to możliwe, że poza domem, poza szkołą młodzież kaleczy swój język, jest chamska, ordynarna, a jednak odnosi sukcesy, zdobywa laury, wygrywa światowe konkursy techniczne? Muszę się koniecznie do tego ustosunkować i przyznać, że młodzi idą po prostu inną drogą, nową, nowoczesną, której my już nie zawsze rozumiemy. Aby odpowiedzieć na postawione pytanie czy 50 lat temu było lepiej, czy też gorzej z oświatą odpowiadam - inaczej. Choć trzeba przyznać, że skala wyzwania stojąca przed szkołami była i jest niemała. Ja w tym czasie się spełniałam. Gdybym miała wybór, niewiele bym zmieniła w swym życiu. Czy teraz umiałabym uczyć - raczej chyba nie, ale taka jest filozofia ciągłości świata. To młodzi wytyczają kierunki zmian, młodzi dokonują przeobrażeń, młodzi budują świat.

Wśród wyzwań wymieniałabym kwestię praktycznej edukacji, przygotowania uczniów do samodzielności życiowej, co powinno (i zawsze było) funkcją szkoły. Niedopasowanie do rynku pracy nie jest jedynie spowodowane tym, że uczniowie wybierają „złe” kierunki kształcenia. Równie istotnym mankamentem systemu kształcenia i wielkim wyzwaniem jest to, że szkoła nie kształci zestawu praktycznych umiejętności, dzięki którym uczniowie mogliby sami rozwiązywać swoje problemy w życiu. To pewnie głównie zarzuty pod kątem nauczania przedsiębiorczości, braku tematyki finansowej, słabej (jeszcze) obecności pracy projektowej w szkołach. Jest pewnie jeszcze wiele innych kwestii, które warto byłoby przyjrzeć się bliżej. Kraj nasz jeszcze nie bogaty, ale na pewno już nie biedny. To od nas zależy, od naszej inwencji i kreatywności, czy spełnią się nasze marzenia i sny, od inwencji i kreatywności naszej młodzieży (naszych uczniów) zależy czy spełnią się jej marzenia i sny.

PUBLICZNOŚĆ, A WŁAŚCIWIE PRZYJACIELE

Gdy śpiewaliśmy kolejny raz w Muzeum Miejskim zorientowałem się, że to już dwadzieścia dwa lata - tyle czasu minęło od pierwszego recitalu Christine Friedek. Przy fortepianie zasiadła wtedy Teresa Baczevska, w programie znalazły się utwory wokalne W. A. Mozarta, J. Brahmsa, F. Schuberta, R. Schumanna, J. Straussa, C. M. Webera, G. Pucciniego. Koncert trwał długo - trzeba było ogłosić krótką przerwę, ale było nam bardzo miło, kiedy na drugą część wszyscy melomani stawili się w komplecie wypełniając po brzegi salę muzeum. Koncert prowadził dyrektor Krystian Hadasz - ani on, ani my nie przypuszczaliśmy chyba, że ten recital, to dopiero początek wielkiej przygody ze sztuką, początek radości śpiewania dla wspaniałej siemianowickiej publiczności. Kiedy kolejny i kolejny raz stoimy obok fortepianu i kierujemy wzrok w stronę słuchaczy, natychmiast wiemy, że jest to nie tylko występ, ale spotkanie z przyjaciółmi. Są obecni zawsze Ci wierni - są też tacy, których wtedy przed ponad dwudziestu laty nie było jeszcze na świecie. Są też wspomnienia o tych, którzy byli z nami, lecz nie przyjdą więcej...

„Co rok prorok”... czyli jak powiększało się grono śpiewających w Muzeum

Po zakończeniu pierwszego recitalu podszedł do mnie pan Andrzej Świerzy i zapytał, dlaczego nie zaśpiewałem razem z moją narzeczoną Krysią - Christine Friedek. Pytanie to brzmiało jak zachęta do wspólnego śpiewania w przyszłości. Tak też się stało - następnego roku dołączyłem do Krystyny. Powiedzmy, że z „twórczym niepokojem” podchodziłem do fortepianu, przy którym oczywiście zasiadła Teresa Baczevska. Śpiewałem wtedy to, co umiałem najlepiej: „O sole Mio”, „Pieśń Adama” z operetki „Ptasznik z Tyrolu”, „Wróć do Sorrento”. Na koncert przybył jako słuchacz Andrzej Sitko. I już po kilku dniach (podczas grilla u przyjaciół - Sylwii i Tośka Musialskich stwierdziliśmy, że kolejne przyszłoroczne śpiewanie musi koniecznie odbyć się z jego udziałem. Tak też się stało po roku, znów na początku lipca. Krystyna śpiewała wtedy m.in. „Arię Koncertową” Mozarta; pieśń „Do Chlee”, a także trzy utwory Ludomira Różyckiego „Rajski ptak”, „Dzwon dzwoneczku” i piękną „Piosenkę Caton” z opery „Casanova”. Był też „Walc Musetty” G. Pucciniego z opery „Cyganeria”, „I Feel Pretty” z „West Side Story”, „Ja das Temperament”, a także dwie filmowe piosenki pochodzącego z Siemianowic Michaela Jarego. Andrzej Sitko zaśpiewał pięknie kilka

arii operowych i pieśni, a także piękną balladę „Czaty” Stanisława Moniuszki z tekstem Adama Mickiewicza. Wielkimi brawami publiczność nagrodziła duety wykonane przez Krystynę i Andrzeja m.in. duet z „Traviaty” G. Verdiego, „Koci duet” G. Rossiniego czy „Usta milczą, dusza śpiewa” F. Lehara z „Wesołej wdówki”. Jak zwykle publiczność była wspaniała – artyści otrzymali mnóstwo kwiatów i gratulacji. Byli zawsze z nami wierni siemianowiczanie, radni Siemianowic, byli też przybysze z innych miast – z Zabrze,



Krystyna i Piotr podczas koncertu w Muzeum

Gliwic, Katowic, z Lublina a nawet... z Chin, Ukrainy i Niemiec. Bardzo ciepło odebrała nasz koncert pani Halina Kalinowska. Na jeden z koncertów przybyła ekipa TV Katowice, efektem czego była dosyć obszerna relacja i wywiad, który przeprowadziła z nami debiutująca Magdalena Piekorz.

Piszcie pamiątki albo chociaż dzienniczki...

Gdybym wiedział dawno temu, że przyjdzie mi pisać relacje z ostatnich 22 lat, na pewno skrzętnie notowałbym daty recitali, repertuar i wszystkich wykonawców. Mam przed sobą jakieś szczątki zapisków, afisze, plakaty, bruliony. Leży to wszystko przede mną, wisi przypięte pinezkami. Próbuje więc dalej „sklejać” z tego co się da, ale na pewno nie chronologicznie. Z biegiem lat grono wykonawców powiększało się, był np. wieczór, kiedy oprócz Krystyny, Andrzeja, Teresy i mnie prezentowały swój kunszt córki Teresy Baczewskiej – młoda pianistka Magdalena i skrzypaczki (bliźniaczki) – Małgosia i Zosia. 11 lipca 1997 roku miał miejsce koncert z udziałem pianistki Luby Nawrockiej. Zaśpiewałem wtedy kilka pieśni Mieczysława Karłowicza m.in. „Idzie na pola”; „Zasmuconej” i „Zawód”. Były też kolejne duety śpiewane przez Krystynę i Andrzeja oraz brawurowo wykonana „Granada”, która zabrzmiała wręcz fantastycznie. Wieczór przyniósł jeszcze dwie „perełki”, a mianowicie 9 pieśni Karola Szymanowskiego w wykonaniu Krystyny m.in. „Leciały zurazie”, „U jezioracka”, „Bzicem kunia” – wszystkie z cyklu „Pieśni kurpiowskich”. Zwieńczeniem dnia była muzyka na głos i gitarę. Krystyna i gitarzysta Michał Nagy wykonali kilka pieśni Manuela de Falli „Nana”, „Cancion”; „Sequjdilla”, a także przepiękną „Bachianas Brasilieras” H. Villi Lobosa. Obecna na koncercie pani redaktor Magdalena Makaruk zaprosiła Krystynę i Lubę do zaśpiewania na żywo w programie TV Katowice.



Krystyna podczas koncertu w Muzeum

Ambitna publiczność i ambitni wykonawcy

Repertuar często bardzo wyszukany był odbierany przez słuchaczy z właściwym dla melomanów zaciekawieniem. Sięgano po arie operowe, operetkowe, oratoryjne, a także pieśni klasyczne i piosenki. W zdarzenia muzyczne każdorazowo wprowadzał nas Krystian Hadasz. Były to interesujące komentarze z historii muzyki i ciekawostki z życia kompozytorów a także co nieco o wykonawcach. Nasza „postawa wykonawcza” nigdy nie była sztywna - niektóre utwory były przez nas delikatnie inscenizowane. Krystyna śpiewając arię z operetki „Christel an der Post” wędrowała pomiędzy publiczność i rozdawała listy. W duecie „Libiamo” Krysia i Andrzej wznosili toast naturalnie w kieliszkach wesoło skakały

łudzące podobne do szampana bąbelki wody mineralnej gazowanej. Kiedy dowiedziałem się, że Andrzej zamierza założyć na siebie elegancjki garnitur... w połowie koncertu przebrałem się i wkroczyłem na salę w brokatowej złotej marynarce!

Boże Narodzenie w muzyce

Literatura muzyczna związana z Bożym Narodzeniem jest bardzo obszerna. Mimo kilku tematycznych koncertów nie wykonaliśmy nawet w osiemdziesięciu procentach tego, co można by zaśpiewać. Mam przed sobą tytuły wykonane przez Krystynę z klasyki muzycznej, jest ich wiele, podam tylko kilka: „Aria z Weihnachtsoratorium” J. S. Bacha, „Ich Steh an der Krippe” G. F. Haendla, „Drei Koenige” Corneliusa czy A. Adama „Noel”. Wyjątkowym wkładem Krystyny w te wieczory było wykonanie polskich kolęd w opracowaniu Witolda Lutosławskiego. Popularne utwory w nowatorskim podaniu budziły kontrowersje, ale także podziw dla wykonawców.. Do repertuaru tych koncertów weszły również tradycyjne kolędy czeskie, francuskie, hiszpańskie, portugalskie, niemieckie, angielskie - wszystkie wykonane w oryginalnych językach. Niezwykle wartościowym elementem było przypomnienie pieśni kolędowych znanych polskich kompozytorów: „Ucichłes Jezuleńku” Feliksa Nowowiejskiego, „Witaj Gwiazdko” Zygmunta Noskowskiego, „Święta Panienka” i „Nad stajenką płonie” Jana Maklakiewicza. Wieczory te były pełne ciepła, wzbogacone recytacją wierszy przez Jana Litwińskiego. Przy fortepianie zasiadał często Krystian Hadasz, a także pan Jacek Rzepczyk. Ostatni



Piotr wraz z Iwoną Talatycką-Seman i chórem *Cantamus Sibi*. Przy fortepianie – Jacek Rzepczyk

koncert był wyjątkowy – zaprosiliśmy do udziału Irene i Mariusza Kmieciców (tych, z którymi kiedyś, a także z Joanną Dadaczyńską tworzyliśmy zespół poezji śpiewanej „Z głębi serca”). Goście śpiewali swój repertuar, a mnie dane było wykonać kilka pieśni wspólnie z Adamem Bulem, znakomitym gitarzystą klasycznym.

Dziękuję ci Iwono!

...myślę tu o Iwone Talatyckiej-Seman, która jest człowiekiem-orkiestrą dla kultury siemianowickiej. To właśnie z Iwoną i Jackiem Rzepczykiem spotkałem się przy fortepianie któregoś zimowego, styczniowego dnia. Mieliliśmy już wtedy poważne plany „zmontowania” koncertu piosenek religijnych, tych które śpiewałem na festiwalu „Sacrosong” w Przemyślu i w Kaliszu. K. Hadasz zaproponował, aby ten pomysł urzeczywistnić w Muzeum w ramach Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Koncert miał odbyć się 7 stycznia 2001 roku.

Zanim jednak to nastąpiło Iwona poczyniła ambitne przygotowania opracowując 12 piosenek na chór mieszany i głos solowy. Tym chórem był prowadzony przez nią „Cantamus Sibi”, a głosem solowym – moja skromna osoba. Publiczność przyjęła nasz występ owacyjnie. Ten sam program wykonaliśmy później w Amfiteatrze Parku Miejskiego w ramach obchodów 70-lecia nadania Siemianowicom Śląskim praw miejskich. Było to dla mnie wielkie przeżycie, dla pełnej widowni Amfiteatru zaśpiewałem moje ulubione piosenki, zaśpiewałem wspólnie z Chórem „Cantamus Sibi” pod dyktando Iwony Talatyckiej-Seman i z Krystianem Hadaszem, który zasiadł przy fortepianie. Wykonałem m. in. moją autorską piosenkę „On czeka na nas”, a także nagrodzoną w Przemyślu „Nie będziemy nigdy sami”.



Krystyna z prof. Karolem Stryją

Właśnie w Amfiteatrze praktycznie odczułem, że śpiewamy w wolnym kraju. W latach siedemdziesiątych taki repertuar śpiewało się wyłącznie w kościołach.

„Z niczego nie ma nic”

Ta mądrość Świętkowej jest uniwersalna we wszystkich dziedzinach życia. Dotyczy również naszych dalszych dzia-

łań artystycznych w odniesieniu do tego, co zbudowaliśmy w Muzeum.

Cały repertuar, cała magia obcowania z muzyką i z publicznością. To wszystkobyło w nas i dzięki temu z większą odwagą wychodziliśmy z matecznika. Pierwsze zdarzenie miało miejsce niedaleko Muzeum pod egidą Rady Miasta i Zarządu Miasta Siemianowic Śląskich – koncert muzyki sakralnej „Ave Maria w muzyce”. Prowadziła go Danuta Węgrzyk, zaś wykonawcami byli Krystyna, Witold Zaborny – organy, Aleksandra Pawełek-Zaborny – skrzypce i Eugeniusz Pawełek – skrzypce. Koncert odbył się w kościele św. Antoniego dnia 17 maja 1996 roku. Obecność Danuty Węgrzyk w tym przedsięwzięciu wynikała z wcześniejszej współpracy Muzeum Miejskiego i Filharmonii Śląskiej. Pani Danuta zaaranżowała jeszcze udział Krystyny w cyklu Koncertów Promenadowych w katowickim Parku Kościuszki, które nosiły tytuł „Od Bacha do Beatlesów” Kolejnego roku, latem znów dzięki staraniom pani Danuty i przy współpracy Filharmonii Śląskiej odbył się koncert w kościele ewangelickim w Wiśle z obsadą tą samą, jak wcześniej w kościele św. Antoniego. Wśród słuchaczy był wtedy obecny prof. Karol Stryja, który po koncercie miło rozmawiał z Krystyną. Przedwczesna śmierć Danuty Węgrzyk – osoby o niezwykle łagodnym usposobieniu, była dla wszystkich melomanów prawdziwym ciosem.

Zima w Tychach

Kilkakrotne koncerty muzyki kolędowej w Muzeum zaowocowały zaproszeniem Krystyny do udziału w VI Tyskich Wieczorach Kolędowych. Janusz Muszyński szef tego wydarzenia słysząc Krystynę w Siemianowicach, zaprosił ją do Tychów. Było to 9 stycznia 1997 roku w kościele ewangelickim. Krystyna śpiewała z towarzyszeniem organisty Henryka Batora. Podczas festiwalu można było posłuchać kolęd w wykonaniu Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, a także wysłuchać „Oratorium na Boże

Narodzenie” J. S. Bacha; śpiewał też tenor Jan Ballarin oraz chór „Pro Arte Ecclesiastica” pod dyrekcją Janusza Muszyńskiego.

To nie był sen

Znów muszę przypomnieć wykonanie w Muzeum pieśni Karola Szymanowskiego z cyklu „Rymy dziecięce” i „Pieśni kurpiowskie”. Był taki czas, że Krystyna przygotowała obydwie cykle z myślą o nagraniu płyty. Dokonano nawet nagrania wszystkich pieśni w Studio Radia Katowice – nagranie z udziałem pianistki Luby Nawrockiej. Niestety płyta nigdy nie została wydana z powodu braku środków. Przy tym zamieszaniu znów muszę wspomnieć słowa Świętkowej

„z niczego nie ma nic”. Profesor Karol Bula zaprosił Krystynę do udziału w XIII Dniach Muzyki Karola Szymanowskiego w Willi Atma w Zakopanem – miejsce to jest dla każdego artysty prawdziwą świątynią sztuki. Już samo zwiedzanie Atmy wymaga wyciszenia, za zaśpiewać w jej wnętrzach pełny recital, to jest coś, co uskrzydla. Wspólnie z Lubą Nawrocką Krystyna wykonała pieśni z cyklu „Rymy dziecięce” i „Pieśni kurpiowskie”, a także kilka pieśni Ryszarda Straussa.



Krystyna z Andrzejem Sitką i Teresą Baczewską

Artystyczny powrót

W styczniu 1998 roku odwiedziłem Stanisław Bieniasza, przedstawiłem mu dorobek artystyczny Krystyny Friedek, rodowitej zabrzanki. Pan Stanisław jako pisarz urodzony w Zabrze,



Piotr z Teresą Baczewską

związany z kulturą regionu doprowadził do recitalu Krysi w Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej w Gliwicach. Wykonała wtedy wspólnie z Lubą Nawrocką szereg pieśni Fryderyka Chopina, Franciszka Schuberta, Roberta Schumanna, Feliksa Mendelssohna-Bartholdy’ego, Karola Szymanowskiego i Ludomira Różyckiego. Sala Kameralna Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej była szczelnie wypełniona publicz-



Piotr w Muzeum w ramach finału WOŚP w 2001 r.

nością - przybył również były profesor Krystyny, Jan Ballarin ze swoimi studentkami z Katowic. Byli też przyjaciele z dawnych lat szkolnych, dziennikarze, a także wierny przedstawiciel siemianowickiej publiczności, nasz niezawodny przyjaciel Antoni Musiański. Po koncercie spędziliśmy miły wieczór w ogródku państwa Krystyny i Stanisława Bieniaszów.

Artystyczny powrót

Tak nazwała prasa wyjątkowe wydarzenie w Zabrzu w kwietniu 1998 roku. Szkoła Muzyczna I i II stopnia obchodziła 80-lecie istnienia. Krystyna była absolwentką tej szkoły w klasach fortepianu i śpiewu solowego, potem dopiero studiowała w Akademii Muzycznej w Katowicach i w Hochschule für Musik Heidelberg-Mannheim. Na jubileusz szkoła muzyczna w Zabrzu przygotowała wiele koncertów. Krystyna miała swój indywidualny wieczór - zaśpiewała wspólnie z zespołem wiolonczelistów „Cantabile” z Lubą Nawrocką i klarncistą Alfredem Jozsem. W programie znalazły się kompozycje F. Schuberta, K. Szymanowskiego, R. Straussa, H. Villi Lobosa - utwór tego ostatniego kompozytora to rewelacyjny wprost „Bachianas Brasilieras” na sopran i 7 wiolonczel.

Powrót do Siemianowic

Nastała kilkuletnia przerwa w naszych działaniach artystycznych w Muzeum. Wiele osób pytało, kiedy znów nas usłyszą - oczywiście zawsze zachęcał nas do powrotu Krystian Hadasz. Latem 2013 roku ponownie wystąpiliśmy z Andrzejem Sitką. Repertuar był niemal „standardowy” - Andrzej śpiewał arie operowe i pieśni, Krystyna - pieśni, sam zaś wybrałem znane pieśni i piosenki. To, co nas po tym koncercie przekonało do dalszego działania, to publiczność - była znowu pełna sala. Dyrektor Muzeum zachęcał nas do ponownego śpiewania w następnym roku - nie wyszło w styczniu - ale za to udało się w kwietniu i lipcu 2014 roku.

W 2012 roku poznałem osobiście Bohdana Wantulę - wiedziałem, że jest „gigantem” klawiatury - choć z wykształcenia to doskonały puzonista. Zapropnowałem mu spotkanie, podczas którego przejrzelśmy moje

piosenki. Przeczynałem już wtedy, że wspólnie przygotowujemy coś specjalnego. Zaplanowaliśmy koncert pt. „Sacrum w muzyce wokalne” – w programie miały się znaleźć pieśni i piosenki religijne. Gościnnie wystąpił ks. Stanisław Puchała, który jak zwykle wspaniale wykonał piosenki przy własnym akompaniamencie gitarowym. Przypomniał również sylwetki pierwszych propagatorów piosenki religijnej – ojca Duwała, ks. Sierli czy ks. Palusińskiego.



Piotr wraz z Bohdanem Wantułą i Krzysztofem Bogdołem (z lewej)

Podczas tego koncertu zaśpiewała również gościnnie moja żona Krystyna wykonując przepiękną pieśń ludową „Ave Maria”. Nowym elementem tego spotkania był duet konferansjerów, czyli Krzysztof Bogdoł – Piotr Dwornik. Efekt naszej pracy był większy aniżeli wcześniejsze oczekiwania – cóż, Krzysztof jest aktorem z wykształcenia, obaj zaś mamy za sobą przeszłość kabaretową. Odwagi i animuszu dodawała nam publiczność, która reagowała żywo na nasze dialogi, a poza tym wspólnie z nami śpiewała wszystkie piosenki. Ten wieczór nie był zwykłym koncertem, był kolejnym spotkaniem przyjaciół.

Zabrakło krzesel

Na początku lipca 2014 roku miało nastąpić coś zupełnie innego inna forma, nieco inny repertuar. Byliśmy pod wrażeniem kwietniowego wieczoru. Nietuzinkowe prowadzenie konferansjerki, niepowtarzalny piani-



Piotr z Bohdanem Wantułą

sta Bohdan Wantuła i niezawodna publiczność. Mieliśmy obawy, czy zdołamy jeszcze raz obudzić w nas samych, jak i w publiczności prawdziwie artystyczne oddziaływanie. Wyszło wspaniale! O dziwo – tego dnia 7 lipca – wieczorem telewizja nadawała transmisję z mistrzostw świata w piłce nożnej, mecz Niemcy – Brazylia. Pesymiści nie dawali nam szans na liczną publiczność, lecz po to jest się optymistą, żeby

uwierzyć w rzeczy trudne. Powiem tylko, że zabrakło krzeseł na widowni, pierwszy kwadrans zajął wszystkim chętnym znoszenie wszelkich siedzisk. Repertuar był różnorodny, składanie wszystkiego razem można by porównać do układania skomplikowanych puzzli. Trzeba było umiejętnie połączyć klasykę z rozrywką - wykonania akustyczne z mikrofonowymi. Ale posklejało się tak, że dyrektor Muzeum mógł z optymizmem przywitać gości i artystów. Wykonawcami byli sopranistka Lucyna Bielska ze swoim mężem pianistą Tomaszem Bielskim. Następnie Krystyna wraz ze mną i Bohdanem Wantułą. Gościnnie zaśpiewała Marta Rajska i Jan Litwiński, który dołączył do akcji kabaretowego duetu Bogdoł - Dwornik. Krzysztof ze swoim aktorskim przygotowaniem i ja ze swoją kabaretową przeszłością - znów czuliśmy się jak ryby w wodzie. Krystyna po raz pierwszy weszła w całkowicie „inne klimaty” piosenek włoskich, hiszpańskich i francuskich. Wykonanie ich z Bohdanem Wantułą było wprost rewelacyjne. Zaśpiewała też dwie piosenki Michaela Jarego, do którego twórczości wprowadził wybitny filmoznawca z Uniwersytetu Śląskiego - prof. Andrzej Gwóźdź. Sam wykonałem kilka piosenek, w tym dwie parodie: „Walc” J. Brahmsa i „Adam to nie wypadam”. Nas - prowadzących dopingował do działania jakże częsty, spontaniczny śmiech widowni, no i naturalnie okłaski. Nie działaliśmy jednak aż tak bardzo spontanicznie, mieliśmy dokładnie napisany scenariusz, aż tu nagle... pomieszały nam się kartki... publiczność przyjęła to jako zaplanowany numer kabaretowy. Wielkim finałem tego wieczoru było wspólne śpiewanie z publicznością. Wszyscy powiewali czerwonymi balonikami w kształcie serc a baloników było aż 170. My graliśmy na przeróżnych instrumentach perkusyjnych, soliści śpiewali kolejno zwrotki a przy „odlotowym” akompaniamencie Bohdana Wantuły widownia powtarzała kolejny raz refren. Żal było kończyć, lecz - jak to śpiewa Wojciech Młynarski: „...trzeba wiedzieć, kiedy wstać i wyjść”. Tekst jednak pochodzi z piosenki o znaczącym tytule „Przedostatni walc”! A więc proszę Państwa to jeszcze nie koniec - do usłyszenia i do zobaczenia!

REJS „SIEMIONA” NA ISLANDIĘ

Latem 1979 roku jacht żaglowy ze Śląska odbył po raz pierwszy rejs na Islandię. Statkiem tym był S/Y „Siemion”, flagowa jednostka siemianowickiego jachtklubu zbudowana w czynie społecznym w „Kotłomontażu”. Był to zarazem pierwszy, dziewiczy rejs siemianowickiego jachtu pełnomorskiego, z tym większym uznaniem wypada upamiętnić odwagę śmiałości, którzy mimo piętrzących się przeciwności wzięli udział w wyprawie w rejony subpolarne, konsekwentnie realizując młodzieńcze marzenia o morskich podróżach. 35 rocznica wyprawy morskiej, która sama miała miejsce w 35 roku „władzy ludowej”, jest dobrą okazją do przypomnienia jednej z najpiękniejszych kart w historii Siemianowic Śląskich.

Wstęp

W centrum górnos Śląskiego okręgu przemysłowego, w odległości około 600 km od morza, w mieście praktycznie pozbawionym jakichkolwiek zbiorników stałej czy bieżącej wody, w mieście w którym są trzy, obecnie zjednoczone w jedną kopalnię, wielka huta, kilka fabryk i dużych zakładów pracy, w mieście równocześnie prawie wyzbytym instytucji kulturalnych - wszystkie, poza jednym, domy kultury zamknięte z powodu szkód górniczych, a i temu też to grozi - w tym mieście, w hali fabrycznej jednego z najbardziej znanych zakładów pracy powstaje jacht pełnomorski. Budują go ludzie, z których większość oglądała dotychczas morze jedynie z perspektywy plaży na wczasach FWP¹.

W miarę poprawy sytuacji gospodarczej i materialnej po trudnych latach powojennych, w wielu miastach górnos Śląskich powstawać zaczęły kluby jachtowe, które umożliwiały entuzjastom zdobycie patentów żeglarskich i spędzanie urlopu na wodzie pod żaglami. Międzynarodowe sukcesy polskich żeglarzy sprawiły, że władze zaczęły doceniać propagandową rolę jachtingu i wspierać ten efektowny, jakkolwiek kosztowny sport. W latach 70. XX w. okres względnej prosperity socjalistycznej gospodarki i wzrastające poczucie stabilizacji społecznej sprzyjały jednak aktywnej realizacji ambitnych zainteresowań pracowników przemysłu w oparciu o infrastrukturę ówczesnych przedsiębiorstw państwowych. Budowa jachtów pełnomorskich, realizowana przez pasjonatów po godzinach regularnej pracy, przy życzliwym poparciu lokalnych władz i kierownictwa zakładów, miała miejsce w tych samych latach w sie-

mianowickim „Kotłomontażu”, na kopalni „Moszczenica” w Jastrzębiu, w Zakładach Chemicznych w Kędzierzynie i Krupskim Młynie oraz kilku innych miastach. Triumf w tym współzawodnictwie, jaki stał się udziałem siemianowickich żeglarzy, wzbudził uznanie i przydał nieco splendoru miastu, które pomimo wielkiego potencjału ludzkiego i gospodarczego zwyczajnie gubiło się wówczas na większości map Polski z racji bliskiego sąsiedztwa z jeszcze większymi miastami².

Budowa jachtu

Jacht pełnomorski miał być flagową jednostką jachtklubu przy PTTK w Siemianowicach, skupiającego wówczas 150 członków, z których aktywnie pracowało na rzecz klubu około 40 osób. Decyzję o jego budowie podjął 15 października 1975 r. I sekretarz KM PZPR oraz przewodniczący MRN w Siemianowicach Mieczysław Przyjemski. Z nadwyżki budżetowej wyasygnowano 150.000 złotych³ na rozpoczęcie prac. Statek powstawać miał jednak głównie z własnych środków członków klubu, dzięki pracy społecznej „po godzinach”, przy wydatnej pomocy miejscowych zakładów pracy oraz władz miasta, a docelowo miał służyć celom rekreacyjnym i turystycznym jachtklubu zrzeszającego głównie pracowników zakładów pracy Siemianowic Śląskich.

1 grudnia 1975 r. powołano komitet budowy, na którego czele stanął komandor jachtklubu „Siemion”, ówczesny wiceprezydent Siemianowic Maurycy Wolf. 10 grudnia na pierwszym posiedzeniu roboczym postanowiono zakupić w PZŻ dokumentację techniczną jachtu typu J-80 i zwrócono się do zarządu PM „Kotłomontaż”, gdzie miała znaleźć się stocznia, o przydzielenie miejsca pod budowę kadłuba statku⁴. 10 stycznia 1976 r. ówczesny dyrektor zakładu, mgr inż. Karol Grzyb, udzielił zgody na

Kadłub jachtu
na terenie
„Kotłomontażu”
przygotowany do
podróży do stoczni
w Szczecinie,
od lewej stoją:
Andrzej Kucharz,
Henryk Powrosto
(kierownik budowy),
Henryk Kokot,
Norbert Rudzki,
Czesław Gabrys;
czerwiec 1978,
fot. z kolekcji
Bronisławy i Henryka
Powrosto.



realizację prac w hali montażowej przy ul. Łączącej. Budowę rozpoczęto 8 kwietnia 1976 r. po skompletowaniu materiałów i dokumentacji. Wkrótce w prasie lokalnej ukazały się pierwsze informacje o postępach prac⁵. Spawanie jachtu z elementów stalowych wymagało opanowania nieznanych wcześniej technologii. Odwrotnie niż w przypadku jednostek budowanych z drewna, budowę rozpoczęto od ułożenia pokładu w pozycji odwróconej, następnie montażu szkieletu z rur stalowych, grodzi i stępki. Po zakończeniu tego etapu prac, 29 listopada 1976 r. obrócono jacht do pozycji horyzontalnej i ustawiono na stojakach. Pierwszeństwo wejścia na pokład (co, jak odnotowano, miało miejsce o godz. 17.30) przypadło komandorowi jachtklubu w asyście kierownika budowy jachtu, Henryka Powroślo, wówczas zastępcy kierownika działu montażu w PM „Kotłomontaż”.

7 stycznia 1977 r. budowę jachtu zwiedził kapitan Kazimierz „Kuba” Jaworski - słynny żeglarz i konstruktor jachtów, bohater międzynarodowych regat transatlantycznych. W tym czasie „Goniec Górnoląski” sugerował nader optymistycznie, że wodowanie nastąpi jeszcze latem tego samego roku⁶. Prace prowadzone przez niewielki zespół postępowały jednak znacznie wolniej, chociaż konsekwentnie. W maju spawano już blachy poszycia, 15 lipca zamontowano pióro steru, 18 sierpnia silnik pomocniczy, zaś od października podjęto zmusne prostowanie blach poszycia na spawach w celu uzyskania jak najbardziej korzystnych właściwości akwanautycznych kadłuba.

W miarę postępów w budowie jachtu pojawiały się coraz liczniejsze problemy wymagające przedyskutowania. Narady zarządu jachtklubu „Siemion” odbywały się w jego siedzibie, ciemnej klitce na poddaszu zabytkowego spichlerza mieszczącego Muzeum Miejskie. Brali w nich udział w szczególności: mgr inż. Mieczysław Miller, inspektor nadzoru budowy jachtu, wówczas już najstarszy kapitan jachtowy na Śląsku, który w latach 50. prowadził w rejsy pierwszy śląski jacht „Karolinka”; inż. Maurycy Wolf, komandor klubu i kapitan jachtowy; Norbert Świerzy, skarbnik klubu i sternik jachtowy, z zawodu górnik dołowy; Zdzisław Sikora, sternik morski, z zawodu technik walcownik w ciągarni rur Huty „Jedność”, odpowiedzialny za sprawy zaopatrzenia; Stanisław Nocuń, wicekomandor klubu, odpowiedzialny za instalacje elektryczne, zawodowo wicedyrektor „Budostalu”; mgr Witold Łukowski, również wicekomandor klubu, instruktor żeglarski, emeryt, wcześniej kierownik apteki; mgr Henryk Sikora, sekretarz klubu. Burzliwe dyskusje dotyczyły szeregu szczegółów technicznych - począwszy od wyboru technologii zabezpieczenia przed korozją blach poszycia, aż po poszukiwania wykonawców i dostawców wyposażenia jachtu - masztów, osprzętu, żagli, silnika, łańcucha kotwicznego, tratwy ratunkowej czy radiostacji. Za radą kapi-

S/Y „Siemion” na tle panoramy Norwich w jednym z kolejnych rejsów, fot. z kolekcji Antoniego Halora.



tana Millera powiększono średnice otworów w grodziach, aby zwiększyć wygodę pasażerów, a przede wszystkim zwiększyć bezpieczeństwo przy ewentualnej ewakuacji statku. Wał napędowy śruby wykonano w Wojskowych Zakładach Mechanicznych. W kielu umieszczono 5 ton ołowiu. Aluminiowe maszty, w tym grotmaszt o wysokości 16 metrów, czekały już na odbiór w Gdańsku, podczas gdy portem macierzystym „Siemiona” miał być Szczecin. Nietrudno wyobrazić sobie, jak gorące były wymiany zdań dotyczące kwestii wyboru portu macierzystego, zdobycia specjalistycznego samochodu do transportu masztów i podjęcia decyzji przewiezienia ich do Siemianowic lub do Szczecina. Niewiele zresztą brakowało, by zaawansowana już bardzo budowa jachtu skończyła się fiaskiem. 11 lutego 1978 r. poważny wypadek pokrzyżował plany rychłego jej zakończenia. W czasie prac na rufie na skutek nieuwagi jednego z robotników doszło do wybuchu acetylenu pod pokładem. Energia eksplozji była tak silna, że rozerwała blachy w tylnej części kadłuba. Dwóch pracowników dosłownie wyleciało w powietrze, odnosząc poważne obrażenia po upadku z kilkumetrowej wysokości. Z okien hali montażowej powypadały szyby. Szczęściem tylko obyło się bez ofiar śmiertelnych, poszkodowani po leczeniu szpitalnym wrócili do pracy.

Dla Antoniego Halora, bardzo zapracowanego wówczas reżysera filmowego i telewizyjnego, znajomość z żeglarzami dzielącymi z nim wielką fascynację morskimi podróżami stała się w tym czasie punktem wyjścia do realizacji filmu dokumentalnego o siemianowickich inżynierach, robotnikach i zakładach zaangażowanych w budowę jachtu. Zrealizowany pod koniec lutego 1978 r. film „Jacht” znajduje się obecnie w zbiorach Filмотeki Narodowej w Warszawie i stanowi cenny dokument przypominający powoli odchodzące do legendy lata świetności siemianowickiego przemysłu.

W marcu 1978 r., po wymianie zniszczonego wybuchem poszycia na rufie, rozpoczęto śrutowanie i metalizowanie kadłuba, który następnie pomalowano farbami chemoutwardzalnymi. 20 czerwca 1978 r. jacht opuścił halę montażową „Kotłomontażu” i po załadunku na samochodową platformę czołgową został przewieziony do portu rzeczno-giwiwackiego w Gliwicach. Stamtąd odbył podróż na barce „Żegluga na Odrze” do Szczecina w towarzystwie regularnego ładunku węgla, którym, jak wspominają świadkowie, był zasypany aż po burty. 1 lipca, w dzień po dotarciu do celu, jacht opuszczono na wodę w szczecińskiej stoczni remontowej. Kadłub okazał się szczelny. W lipcowym „Gońcu Górnośląskim” można było wówczas przeczytać, że w chwili obecnej ekipy Szczecińskiej Stoczni Remontowej przystąpiły do prac końcowych – to jest wyposażenia jachtu we wszelkie niezbędne urządzenia nawigacyjne oraz hotelowe. Na przełomie września i października b.r. nastąpi uroczyste wodowanie jachtu, który otrzyma imię „Siemion”. Wiadomo już, że ojcem chrzestnym będzie znany aktor warszawski Wojciech Siemion, od lat współpracujący ze „swoim” grodem. Pierwszy rejs „Siemiona” przewidziany jest na jesień tego roku⁷.

W rzeczywistości planu tego nie zrealizowano, gdyż wyposażanie jachtu trwało znacznie dłużej. W Szczecinie zamontowano na jachcie aluminiową nadbudówkę i maszty, przeprowadzono montaż instalacji wodnej i elektrycznej, rozpoczęto roboty tapicerskie i ciesielskie, których zakres najwyraźniej przekroczył wcześniejsze oczekiwania. W porównaniu ze starszymi, surowo wykończonymi jednostkami typu J-80, siemianowicki jacht miał prezentować się wręcz luksusowo – statek otrzymał klasyczne, wyrzeźbione w drewnie koło sterowe, pokład został wyłożony sprowadzonym z Afryki drewnem tekowym, które ze względu na znaczną naturalną zawartość substancji oleistych i kwasu krzemowego nie nasiąka wodą i jest odporne na działanie czynników chemicznych oraz biologicznych. Dopiero w maju 1979 r. jacht został uroczystie zwodowany w Szczecinie. Matką chrzestną została jednak pani Bronisława Powrosło, żona kierownika budowy jachtu, która po wielu latach wciąż pamięta piękny zapach drewna na nowym jachcie i wypowiedziane wówczas słowa: *Płyni po morzach i oceanach sławiąc imię budowniczych i marynarzy Siemianowicz i Szczecina. Nadaję Ci imię Siemion.*

Dziewiczy rejs na Islandię

W tym czasie ustalony został ostatecznie skład załogi jachtu w planowanym rejsie na Islandię. Kapitanem został doświadczony żeglarz, Jerzy Kisielewski, laureat nagrody „Rejs Roku” z 1970 r., dla którego miała być to powtórna wyprawa na tę wyspę. Kolejnymi oficerami byli Jerzy Stanek (Politechnika), Maurycy Wolf (Kotłomontaż), Henryk Sikora (Haldex), a podległymi im załogantami Alfred Baron (Huta Jedność), Antoni Halor



W drzwiach wejściowych do mesy matka chrzestna „Siemiona” Bronisława Powrosto i kapitan Mieczysław Miller, inspektor budowy jachtu; maj 1979, fot. z kolekcji Bronisławy i Henryka Powrosto.

(WFD) i Mariusz Karczewski (ZGH Orzeł Biały). Ósmym członkiem załogi był kuk Jan Józwick (rencista KWK Siemianowice). Siemianowicki reżyser podjął się nie tylko udokumentowania wyprawy na fotografiach i taśmie filmowej, ale dzięki biegłej znajomości języków zachodnich i zagranicznym kontaktom czynnie włączył się w żmudny proces załatwiania formalności paszportowych i wizowych⁸.

Rejs jachtu z za „żelaznej kurtyny” wymagał zgody ze strony wszystkich ambasad krajów, w których zamierzano zawijać do portów morskich oraz pozyskania dewiz (środków pieniężnych w walucie krajów zachodnich, w owym czasie nie były one dostępne w placówkach bankowych, nie istniały również kantory walutowe). Żeglarze wykorzystali również plastyczne talenty Antoniego Halora, czego efektem było m.in. jego autorskie liternictwo białych napisów na rufie granatowego statku i zdobiona kronika budowy.

Antoni Halor wspominał, że 14 czerwca 1979 r. po pożegnaniu z bliskimi przyjechał do Szczecina pociągiem, gdzie po zapoznaniu z gromadzącymi się załogantami spędził pierwszą noc już na jachcie, przycumowanym w basenie jachtowym tuż obok hotelu i restauracji „Jachtowa” przy ul. Lipowej. Z zapisków reżysera można dowiedzieć się o drobiazgowych szczegółach ostatnich przygotowań do rejsu i prozie marynarskiego życia, jak w liście z 16 czerwca: *w nawigacyjnej Kisiel [kapitan Kisielewski] kręci gałkami radiostacji pokładowej, którą dwie godziny temu z Alfredem Baronem montowaliśmy, a ja piszę zbolalymi palcami, bo przed chwilą tarliśmy ziemniaki na placki*⁹. W kolejnych dniach załoga zapoznawała się z „Siemionem” żeglując na Zalewie Szczecińskim –



Maurycy Wolf, komandor siemianowickiego jachtklubu za sterem „Siemiona”; lipiec 1979 r., fot. Antoni Halor.



S/Y „Siemion” przy nabrzeżu portu w Malmö; czerwiec 1979 r., fot. Antoni Halor

kapitan sprawdzał sprawność morską jachtu, żagle, wytrzymałość w podmuchach, a mniej doświadczeni członkowie załogi przechodzili podstawowe szkolenie. Antoni Halor przygotował także pismo do Urzędu Morskiego w sprawie rejestracji jachtu, który otrzymał ostatecznie numer PZ 1055. S/Y „Siemion” wzbudził podziw inspektorów solidnością i wysoką jakością wykonania i uzyskał świadectwo zdolności morskiej 25 czerwca 1979 roku.

Żegluga po północnych morzach jest trudna ze względu na niskie temperatury i częste sztormy. Pierwotnie planowano odbycie krótkiego rejsu po Bałtyku dla sprawdzenia predyspozycji załogi i niezawodności „Siemiona” przed rejsiem na Islandię, jednak ze względu na opóźnienia spowodowane usuwaniem usterek zdecydowano się

na długą podróż na Atlantyk po próbach na spokojnym Zalewie Szczecińskim, jakkolwiek – jak wspominał po rejsie Maurycy Wolf – *ostateczny werdykt miał zapasć w Malmö*¹⁰. Załoga zdawała sobie sprawę z istniejących jeszcze mankamentów, na których usunięcie nie było już czasu. Najpoważniejszym z nich była radiostacja, do której nie dopasowano właściwie anteny nadawczej. Barwnie określona we wspomnieniach reżysera jako „kupa szmelcu”, nadawała się w zasadzie tylko do nasłuchu wiadomości. Załodze brakowało też aktualnych map portów, do których mieli zawijać, gwarantem powodzenia miało być zatem doświadczenie kapitana.

We wtorek 26 czerwca 1979 r. o godzinie 1.00 w nocy „Siemion” wypłynął z portu jachtowego w swój dziewiczy rejs. Członkowie załogi mieli odtąd sprawować regularne 4-godzinne wachty wymiennie w stałych parach, składających się z oficera odpowiedzialnego za pilnowanie kursu i załoganta w roli sternika. Druga wachta o 4.00 przypadła na Maurycyego Wolfa i Antoniego Halora: *Jacht szedł przez Bałtyk na pełnych żaglach niosąc 80 metrów kwadratowych płótna, kapitan chciał „wyduścić” maksimum jego możliwości, aby ujawnić ewentualne usterki jeszcze na Bałtyku. Na redzie portu w Malmö siła wiatru wzrosła do 8 stopni w skali Beauforta. Wejście do portu miało dość dramatyczny charakter*



S/Y „Siemion” na Szetlandach, za sterem Antoni Halor, obok stoi Henryk Sikora; lipiec 1979 r., fot. Maurycy Wolf.

ze względu na problemy z silnikiem i zmagania żeglarzy z zablokowanym fałem foka¹¹, w czasie których poturbowany został I oficer, odrzucony silnym podmuchem wiatru na reling¹².

Ta pierwsza próba dzielności statku zahartowała jednak załogę, która postanowiła kontynuować podróż. Po jednodniowym postoju w Malmö, gdzie przycumowano przy samym Starym

Mieście naprzeciw przystani wodolotów do Kopenhagi, 29 czerwca „Siemion” wyruszył w kierunku Morza Północnego. Maurycy Wolf wspominał: *cieśniny duńskie Sund i Kattegat przeskoczyliśmy jednym halsem żeglując ostrym bajdewindem. Wiejący od dziobu wiatr o sile 6-7 stopni w skali Beauforta rozpryskiwał grzbiety fal. Byliśmy przemoczeni i zziębnięci – okazało się że zakupione w katowickim sklepie „Ster” sztormiaki przemały. Na wysokości latarni Skagen przy wyjściu z Kattegatu na Skagerrak zaczęły się kłopoty, wiatr stężał do 8 stopni, sternik oblewany był bryzgami fal. Załoga robiła zwrot po zwrocie halsując od wybrzeża duńskiego do szwedzkiego, a po kilku godzinach okazywało się że wciąż nie wpłynęliśmy na Skagerrak. I tak przez trzy doby pod wiatr, fale i prąd. 1 lipca załozde udało się wreszcie wpłynąć na Skagerrak, 3 lipca jacht mijał Stavanger, a 6 lipca osiągnął 60 równoleżnik na Morzu Północnym. Antoni Halor, który z każdym dniem nabierał wprawy w roli żeglarza, nie ukrywając zdziwienia zanotował: *wydawało mi się, że na jachcie żagle pracują same i człowiek ma dużo wolnego czasu – czyste złudzenie – te wszystkie dni na morzu to na razie ciężka harówka.**

8 lipca 1979 r. „Siemion” zacumował w porcie Lerwick na Szetlandach, jakkolwiek i tym razem nie obeszło się bez przygód: *Mamy bardzo ograniczony zapas pomocy nawigacyjnych – praktycznie płyniemy według zliczeniówki¹³ – żadnych pomiarów sekstantem na Słońce czy na gwiazdy – Mały nie ma tablic z almanachu rocznego a w algebrę nie chcą się z Koniem bawić. Po pierwszym niepowodzeniu sternicznym, gdy na przestrzeni 40 mil pomyliliśmy się o 20 mil i nie trafiliśmy do kanału (...) wczoraj zrehabilitowaliśmy się. W Lerwick trzeba było zakupić nowe sztormiaki i szkle¹⁴. Dla dysponującej skromnymi środkami pieniężnymi załogi był to wydatek konieczny, gdyż spodziewano się, że najtrudniejsza część rejsu dopiero nastąpi.*

Po tym krótkim odpoczynku „Siemion” pożeglował w kierunku Wysp Owczych opływając je od północnej strony, by następnie obrać kurs w kierunku zachodnim, na Islandię. 14 dnia rejsu, licząc od wyjścia z szczecińskiego portu, siemianowicka załoga ujrzała wschodni brzeg Islandii. Dotarcie do Reykjaviku zajęć miało jednak jeszcze pięć kolejnych dni zmagania z przeciwnym



Na Atlantyku jacht musiał zmierzyć się z falami wielkimi jak wzgórze; czerwiec 1979 r., fot. Antoni Halor.

wiatrem i sztormem. Antoni Halor barwnie opisywał je we wspomnieniach. *Jacht jest cudownym albo koszmarnym środkiem lokomocji – wszystko zależy od wiatru. (...) Od dnia moich urodzin (12 lipca), kiedy byliśmy już na południku wschodnich wybrzeży Islandii zaczęły się bardzo piękne i trudne dni z wiatrem w oczy – tak jakby Islandia nie chciała zbyt łatwo zdradzić nam swej urody. Pogoda każdego dnia kapryśna i zmieniająca się z godziny na godzinę, szaleństwa barometru, słońce, deszcz, grad, tęcze, fale i wiatr – wszystko kolejno i równocześnie w najdziwniejszych konfiguracjach. A najgorsze było przed nami samo wejście do portu w Reykjaviku – dramatyczne, pełne napięcia przy ogromnym wietrze, znów przeciwnym.*

Maurycy Wolf relacjonował pamiętny wieczór 17 lipca 1979 r. tak: *Zrobiło się ciemno, zaczął padać deszcz (...). Nie posiadaliśmy mapy portu Reykjavik, nieznane nam były głębokości w poszczególnych miejscach zatoki, co przy ograniczonej widoczności groziło rozbiciem jachtu. Już*



S/Y „Siemion” z pełną prędkością pruje fale Bałtyku, za sterem kapitan Jerzy Kisielewski; czerwiec 1979 r., fot. Antoni Halor.

zamierzaliśmy odejść w morze, by tam w bezpiecznej odległości od brzegu i skał przeczekać do rana, gdy w radiostacji usłyszeliśmy sygnał nadany przez pilotów w porcie. Obraliśmy kurs na znaki świetlne (...) ze statku w porcie i po godzinie uczynny pilot – Islandczyk – siedział już w mesie naszego jachtu. Antoni Halor wspominał z dumą: (...) zrobiliśmy

Siemianowiccy
żeglarze
w rezerwacie
Thingvellir;
lipiec 1979 r.,
fot. Antoni Halor.



*to, mimo iż wielu nie wierzyło, że to możliwe w takich warunkach, z niedoświadczoną załogą, nie mówiąc o mnie - ale tym słodsze zwycięstwo. Siemianowicka załoga zawarła w Reykjavíku wiele serdecznych znajomości. Wkrótce na „Siemionie” ugoszczono także ówczesnego polskiego ambasadora, który okazał się wspaniałym gospodarzem i zorganizował śląskim żeglarzom wycieczki po wyspie - kąpiel w ciepłych źródłach i wizytę w kultowej dla Islandczyków dolinie Thingvellir otoczonej wygasłymi wulkanami. Niestety, napięty harmonogram wyprawy nie pozwalał na dłuższy pobyt w gościnnej Islandii. Antoni Halor był tym srogo rozczarowany: *Gorzej z tym filmem, którego się podjąłem, bo mamy tu być trzy dni - TRZY DNI - i zrobić to dobrze to zadanie karkołomne. Przecież po czysto powierzchownym muśnięciu nie jestem w stanie przeżyć tej wyspy głębiej. Mimo pewnych specyficznych odrębności, Islandia tu w Reykjavíku ma inny, bardziej dla nas oczywisty smak. To w końcu jedna ze stolic europejskich, jest jakby sztucznym, narzuconym ludzką wolą obcym naturze tej wyspy tworem, narosła na wulkanicznej lawie skrzętnie pokrytej ziemią ogrodową i pracowicie hodowanymi trawnikami, kwietnikami i kolorowymi domami - na przekór wulkanom i ich barwie bardzo podobnej do naszych czarnych hałd na Wełnowcu. Ale widać to było gdyśmy płynęli wzdłuż islandzkich wybrzeży, nie tu w Reykjavíku.**

22 lipca 1979 r. o godzinie 22.30 „Siemion” odbił od nabrzeża, jeszcze w pełnym słońcu bardzo długiego subpolarnego wieczoru, obierając kurs na południowy wschód. Na pożegnanie machali siemianowiczanom Islandczycy i żeglarze z innych jachtów, które w tym samym czasie zawinęły do Reykjavíku - Niemcy z „Nautili” i Holendrzy z „Horsemana”. Pomyślne wiatry pognały „Siemiona” w drogę powrotną do domu, lecz trzeciego dnia podróży nastąpiła flauta - wiatr ustał zupełnie, a Ocean

Atlantycki wygładził się niczym jezioro, unieruchamiając jacht na cztery kolejne dni. Żeglarzom pozostało zabijanie czasu dokarmianiem zlatujących się do stalowej „wysepki” ptaków morskich – fulmarów – margaryną, której zapasy okazały się nadmierne. Siemianowicki reżyser tak opisał te dziwne dni: *Za godzinę minie tydzień od momentu wypłynięcia z Reykjavíku. Gdybyśmy mieli lepsze wiatry i więcej szczęścia byłibyśmy już na Morzu Północnym i płynęli w stronę Londynu.(...) Dla żeglarza straszny może być ląd, jeśli blisko i skały, mielizna, mgła, huragan – tak to sobie wyobrażałem dotychczas. Nie wiedziałem, że znacznie gorszy może być bezruch morza, cisza (...) czas wlokący się, nagle przeciekający nam przez palce, dręczący, odczuwalny, zwielokrotniony przez naszą tak straszliwie ograniczoną przestrzeń życiową.* Morskie żywioły najwyraźniej odczytały zapiski siemianowickiego twórcy i posłusznie zabrały się do realizacji tak nakreślonego scenariusza, bo wkrótce „Siemion” znów nabrał wiatru w żagle, a na żeglarzy czekały kolejne morskie przygody, które komandor wspominał tak: *Podczas przejścia między Orkadami i Szetlandami złapała nas gęsta mgła. Napięci psychicznie do ostatka, powoli posuwaliśmy się do przodu. W każdej chwili mogliśmy wpaść na szkiery¹⁵. Nagle usłyszeliśmy uderzenia fal o skały. Zaraz potem wyłoniła się 400 metrów od burty wysoka skała. Padły komendy dla sternika i żeglarzy obsługujących szoty.*



Jerzy Kisielewski, kapitan rejsu na Islandię, z konikiem islandzkim napotkanym w czasie wycieczki z Reykjavíku w głąb wyspy; lipiec 1979 r., fot. Maurycy Wolf.

Jacht posłusznie wykonał zwrot i odskoczyliśmy od zdradliwej przeszkody. Odtąd „Siemion” obrał kurs na południe – w planie podróży był powrót do Szczecina najkrótszą drogą, przez Kanał Kiloński. Jeszcze raz dała się we znaki niedokładna nawigacja – 2 sierpnia żeglarze niemal wpłynęli na wydmy w pobliżu wyspy Ameland, odnajdując się 100 mil na zachód od ujścia Łaby, które było celem tego etapu podróży. Musieli zatem obrać kurs na wschód równoległe do fryzyjskiego wybrzeża i następnego dnia – wciąż walcząc z przeciwnym wiatrem i prądem – dopłynęli do Brunsbüttel, gdzie jacht zacumował w porcie.

Kolejny dzień część załogi poświęciła na „lądową” turystykę, wyruszając już o 7.00 autobusem do Itzehoe, a dalej pociągiem do Hamburga. Wizyta śląskich żeglarzy w doskonale zaopatrzonych domach towarowych przedłużyła się na

tylę, że nie zdążyli na ostatni tego dnia pociąg powrotny i spędzili noc na dworcu, by wsiąść w pierwszy pociąg o 4.30 nad ranem dnia następnego. 5 sierpnia 1979 r. o 14.00 „Siemion” wpłynął na silniku w Kanał Kiloński, jedno z wielkich dzieł niemieckiej inżynierii wodnej, blisko 100-kilometrowy szlak wodny przekopany przez półwysep Szlezwik-Holsztyn pod koniec XIX w. dla sprawnego przepływu okrętów wojennych między Bałtykiem a Morzem Północnym. O godzinie 1.20 w nocy żeglarze dotarli do służy Holtenau nad Zatoką Kilońską. W Kilonii żeglarze zatrzymali się jeszcze na jeden dzień, korzystając z okazji do wieczornego spaceru po mieście i robiąc ostatnie zakupy w ówczesnej Republice Federalnej Niemiec. 7 sierpnia po południu rozpoczął się ostatni już etap rejsu. „Siemion” wyszedł w morze, ponownie zmuszony do halsowania pod silny wiatr rozchlapujący fale tak silnie, że żeglarze mieli mokro nawet w kojach pod pokładem. 9 sierpnia przed południem jacht opłynął Rugię i o 14.00 wpłynął do Świnoujścia, a o 23.10 zacumował w macierzystym porcie jachtowym w Szczecinie-Goleńcinie.

Sukcesem zakończyła się odważna próba dzielności żeglarzy siemianowickich, którzy jako pierwszy jachtklub ze Śląska dotarli na Islandię. „Siemion” okazał się wspaniałym jachtem, bez wątpienia jednym z najlepszych w swojej klasie. Niestety, Antoni Halor nie zrealizował podczas wyprawy zamówionego przez Polską Agencję „Interpress” reportażu filmowego. Po zakończeniu rejsu i wywołaniu taśm filmowych okazało się, że są one zupełnie czarne, jakby nie zostały nigdy naświetlone. Reżyser miał z tego powodu spore nieprzyjemności i był przekonany, że padł ofiarą niezycżliwych działań współpracownika Służby Bezpieczeństwa, która w tym czasie coraz silniej dawała się we znaki „niepokornym”. Na szczęście pozostała po tym pamiętnym rejsie obszerna kolekcja kolorowych zdjęć i liczne memorabilia, ale nie tylko. Po spędzeniu za kołem sterowym „Siemiona” niemal półtora tysiąca mil morskiej żeglugi Antoni Halor znalazł inspirację do namalowania cyklu obrazów olejnych „Atlantyk”, charakteryzujących się niezwykłą, szmaragdową kolorystyką tafli wody zespolonej w jedność z niebem zasnutym chmurami. Artysta zachował tak na płótnach najpiękniejszy z zapamiętanych widoków oceanu, którego nie sposób było uwiecznić na taśmie filmowej.

Autor pragnie podziękować za udzielone uwagi i wyjaśnienia wszystkim osobom, które przyczyniły się do powstania tego tekstu, w szczególności panom Maurycemu Wolfowi i Henrykowi Powrośto oraz ich małżonkom, którzy udostępniłi kroniki jachtu i licznych materiałów ikonograficznych.

W tekście użyto następujących skrótów:

S/Y - z angielskiego „sail yacht”, międzynarodowe określenie jachtu żaglowego

FWP - Fundusz Wczasów Pracowniczych

PTTK - Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze

KM PZPR - Komitet Miejski Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

MRN - Miejska Rada Narodowa

PZŻ - Polski Związek Żeglarski

PM - Przedsiębiorstwo Montażowe

WFD - Wytwórnia Filmów Dokumentalnych

ZGH - Zakłady Górniczo-Hutnicze

KWK - Kopalnia Węgla Kamiennego

P R Z Y P I S Y :

1 Fragment scenariusza filmu Antoniego Halora o roboczym tytule „Jacht z kamienia”, maszynopis niepublikowany.

2 Sytuacja ta nie zmieniła się szczególnie od tamtego czasu, jeśli wyliczyć przypadki rozgłosu o negatywnym wydźwięku, gdy Siemianowice Śląskie pojawiały się na czołówkach krajowych wiadomości w kontekście dramatycznych wydarzeń.

3 Uwzględniając zmiany siły nabywczej pieniądza w oparciu o wartość przeciętnego wynagrodzenia, byłaby to kwota rzędu 130.000 nowych złotych w 2014 r.

4 Jacht typu J-80 „Siemion” miał następujące podstawowe parametry techniczne: ożaglowanie typu jol o powierzchni 80 m²; konstrukcja stalowa; długość po pokładzie 13,6 m; szerokość 3,6m; dwa maszty aluminiowe; 9 koi; silnik pomocniczy Hydromarine 25 KM.

5 *Pełnomorski jacht budują w Siemianowicach*, „Goniec Górnos Śląski” nr 27 (1019) z 2 VII-8 VII 1976 r.; *Siemianowice bliżej morza*, „Górnicy Trud” 1976 nr 4/9 (czerwcowe wydanie dwutygodnika kop. Siemianowice, FABUD-u, KZNPW i HALDEX'u).

6 *Latem jacht »Siemianowice« wyruszy w rejs*, „Goniec Górnos Śląski” z dn. 5 I -12 I 1977 r.

7 *Jesienią wodowanie i pierwszy rejs po Bałtyku*, „Goniec Górnos Śląski” z 12-18 VII 1978 r.

8 Zachowały się oryginalne pisma do ambasad brytyjskiej, duńskiej i irlandzkiej zawierające prośby o zgodę na wizytę S/Y „Siemion” w portach Aberdeen, Plymouth, Portsmouth, Kopenhaga, Cork, które ostatecznie nie znalazły się w marszrucie rejsu.

9 W tekście cytowane są fragmenty prywatnego dziennika podróży, rękopisu w formie listów do najbliższej rodziny.

10 *Północny rejs Siemiona*, „Wieczór” z 1-2 XII 1979 r. nr 269 (tygodniowy dodatek „Kalejdoskop Młodych” nr 47, s. 3)

11 linka, którą podnosi się żagiel przedni (fok).

12 poręcz zabezpieczająca członków załogi przed wypadnięciem za burtę.

13 Nawigacja zliczeniowa - tradycyjna, orientacyjna metoda ustalania pozycji jachtu na morzu na podstawie kursu i szybkości, cechuje się małą dokładnością ze względu na brak uwzględnienia znoszenia jednostki przez boczny wiatr (dryf) i prąd wody (znos).

14 Klamry do łączenia elementów ożaglowania statku.

15 Niewielkie, liczne wysepki granitowe pozostałe po zlodowaceniu w obszarach przybrzeżnych północnej Europy.

WSPOMNIENIA O HUCIE ŚW. JERZEGO

Po uroczystej inauguracji nowego roku szkolnego, również władze harcerskie zachęcały do rozpoczęcia swojej działalności. Na pierwszej po wakacyjnej zbiórce harcerskiej w drużynie pod patronatem Emilii Plater zjawił się komplet harcerek. Po serdecznym powitaniu i radosnym „czuwaj”, drużyna Małgosia zaprezentowała plan zamierzonych działań skierowanych na rozbudzanie wrażliwości na potrzeby innych, rozwijanie orientacji terenowej, szukanie sposobów na pokonywanie trudności życiowych, uważne śledzenie toczących się wokół wydarzeń i rozwijanie sprawności fizycznej. Harcerki uznały przedstawiony program za niezwykle ciekawy i traktując jako nową, atrakcyjną formę zabawy. Wbrew przypuszczeniom okazało się jednak, że jeden z punktów dotyczący uważnego śledzenia ważniejszych lub ciekawych wydarzeń w miejscu aktualnego pobytu nastrocza pewnych trudności. Spacerując ulicami miasta należało takie incydenty rejestrować w pamięci, aby po powrocie do harcówki o nich opowiedzieć. Chodziło o umiejętność rozwijanie spostrzegawczości, tymczasem nie zwrócono nawet uwagi na upadek chłopca jadącego na rowerze tuż przed nadjeżdżającym samochodem, ani na dziewczynkę pocieszenie tańczącą na chodniku oraz na inne tego typu sytuacje. Drużyna Małgosia wówczas opowiadała o działalności harcerzy, którzy w czasie wojny dzięki swoim przeróżnym spostrzeżeniom w wielkim stopniu przysłużyli się polskim działaczom konspiracyjnym. Za to pozytywnie oceniono sprawność fizyczną w przeskakowaniu szerokich rowów, w przeprawianiu się wąską kładką nad zbiornikiem wody lub w biegach mierzonych na czas na określonym odcinku. Czas poświęcony harcerstwu i zdobyta tam wiedza np. na temat życia różnych plemion, wydarzeń z okresu ostatniej wojny, bogactwa przyrody i sposobu rozpoznawania gatunków drzew, pomagało uzyskiwać lepsze oceny w szkole. Zbliżał się termin dopuszczenia do przyrzeczenia harcerskiego. Należało więc włożyć maksymalny wysiłek w sprostanie wszelkim wytyczonym wcześniej zadaniom harcerskim. Lucynka pełna wdzięczności za nie wykluczenie jej z drużyny starała się jak najlepiej, bo nie chciała ponownie czymkolwiek się narazić. Oceny w nauce miała coraz lepsze, a nauczyciel matematyki nawet bardzo ją polubił za to, że codziennie pomagała w przenoszeniu tabel matematycznych, cyrkli i dziennika z jednej klasy do drugiej, czym starała się zrekompensować swój niegodny czyn. Zgodnie z zobowiązaniem harcerskim dotyczącym

wrażliwości na potrzeby innych, zwróciła uwagę na mieszkającą w sąsiedztwie swojego domu kobietę w biednym odzieniu, z twarzą pooraną gęsto zmarszczkami i nigdy nie pojawiającym się na niej uśmiechu. Postanowiła zawrzeć z nią znajomość. Przy najbliższym spotkaniu podeszła do niej, uprzejmie ją pozdrawiając. Kobieta spojrzała złym okiem i nie odpowiadając na to pozdrowienie, przełożyła ciężki tobół z jednej ręki do drugiej jakby w obawie, że zostanie jej zabrany. Dziewczyna z przytłumionym uśmiechem zaproponowała jej pomoc w niesieniu tego ciężaru na co ona odpowiedziała: „Idź sobie, nie potrzebują twojej pomocy sama się dom rady.” Nie dając za wygraną zdecydowanym ruchem wyjęła jej z ręki ten tobół i wolnym krokiem przeszła z nią przez jezdnię, kierując się do pobliskiego domu. Kiedy znalazły się przy wejściu, kobieta próbowała wyszarpać z jej ręki pakunek, ale widząc, że dziewczyna uparcie trzyma go mocno czekając aż ta wejdzie do domu, dała za wygraną. Weszła w ciemny korytarz a potem natychmiast desperackim ruchem otwierała kluczem drzwi do mieszkania. Z nieufnością w oczach i złym grymasem na twarzy wchodząc do mieszkania odezwała się ponownie: „Może mi wreszcie oddasz moje drzewo i zostawisz mnie w spokoju”. Razem weszły do mieszkania, w którym panował półmrok i dotkliwy chłód mimo letniej pory roku. Kiedy kobieta bezradnie się krzątała, Lucynka bez słowa podeszła do pieca rozpalając w nim ogień przy pomocy przyniesionego co dopiero drewna. W czajniku po chwili zagotowała się woda, którą chciała zaparzyć herbatę, ale oprócz ziółek nic tam innego nie znalazła. Podany gorący napój kobieta łapczywie wypila i kładąc się do łóżka ciężko oddychając zasnęła. Mieszkanie składało się z jednego pomieszczenia, które było i kuchnią, i sypialnią z nędznym wyposażeniem. Do jedzenia nic tam się nie znalazło, toteż Lucynka czym prędzej pobiegła do domu po cokolwiek do jedzenia. Mama spakowała jej parę kromek chleba z pasztetem i dziewczyna wróciła z powrotem. Z ułożonymi na talerzyku kanapkami podeszła do łóżka delikatnie budząc śpiącą, która z nieufnością, ale i z wielkim zdziwieniem w oczach po chwili sięgnęła po kanapkę. W tym również momencie dziewczynka uświadomiła sobie jak bardzo dotąd był jej obojętny widok tej kobiety. Dopiero teraz pod wpływem harcerskich zobowiązań zrodziło się zainteresowanie tą osobą, której jak się okazuje, tak bardzo potrzebna jest pomoc. Obwiniając siebie uczepliła się krzepiącej myśli, że naprawi to sprawowaniem odtąd regularnej nad nią opieki, bez względu na jej nieprzychylnie usposobienie.

Nadeszła pora jesienna, a wraz z nią dokuczliwy ziąb. Harcerki coraz częściej ćwiczenia terenowe zamieniały na dłuższe pobyty w harcówce przygotowując się do uroczystego złożenia przyrzeczenia harcerskiego. Wreszcie nadszedł ten oczekiwany dzień. W szarych mundurkach z niebieskimi chustami z ozdobnymi lilijkami, spiętymi z przodu lilijkowymi



Przemarsz harcerzy siemianowickich w 1939 r.

pięścieniami, z szarymi sznurami uczepionymi do naramienników ustawiły się w dużym kręgu wokół flagi narodowej. Druhna drużynowa ciepłym uśmiechem próbowała rozładować napięcie przed odśpiewaniem hymnu narodowego i recytacją Prawa Harcerskiego złożonego z 10 punktów. Później wspólnie wolno i wyraźnie, z wielkim skupieniem wypowiadały słowa Przyrzeczenia Harcerskiego:

*Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce,
nieść chętnie pomoc bliźnim i być posłusznym Prawu Harcerskiemu.*

Przez długą jeszcze chwilę stały skupione, przejęte tym co się właśnie wydarzyło. Druhna wciąż z pogodną twarzą podchodziła kolejno do każdej z osobna, podając rękę i całując w czoło nim przypięta do mundurków krzyże harcerskie, na które one spoglądały z wielką dumą. Na środku podłogi umieszczona elektryczna lampka z czerwonym abażurkiem otoczona drewniakami, miała wyobrażać ognisko. Harcerki więc usiadły wokół i zaśpiewały:

*Już rozpałiło się ognisko,
dając nam dobry wróżby znak.
Usiadłyśmy tuż przy nim blisko,
bo w całej Polsce siedzą tak.
Siedzą harcerki przy płomieniu,
ciepły blask ognia skupia je.
Wszystko co złe zostaje w cieniu
do światła dobroć garnie się.*

Kolejne piosenki rozbrzmiewały radosnymi dziewczęcymi głosami, co nie przeszkadzało oczom błądzić co jakiś czas w poszukiwaniu miejsca na szarym mundurku, które odtąd zdołał krzyż harcerek.

Codzienna wizyta składana starszycie sprawiła, że znikła początkowa nieufność, a jej miejsce zajęła prawdziwa serdeczność. Widok dziewczynki w drzwiach mieszkania należało do najmilszej, niecierpliwie oczekiwanej przez kobietę chwili w ciągu całego dnia. Obydwie bardzo się polubiły, przez co Lucynka nieśmiało zapytała, czy może nazywać ją babcią, ponieważ swoje babcię straciła w okresie bardzo wczesnego dzieciństwa. Rozpromieniony uśmiech, a po chwili serdeczny pocałunek stanowił odpowiedź. Odtąd już w roli babci, kobieta odpowiadała na lawinę przeróżnych pytań. Czasem do jej mieszkania zaglądała również sąsiadka z zakupami robionymi za pieniądze z bardzo skromnej renty babci. Do niedawna często się zdarzało, że brakowało pieniędzy nawet na zwykłe pieczywo i wówczas babcia nie narzekając po prostu nie jadła. Odkąd jednak Lucynka sprawowała nad nią opiekę, już się to nie zdarzało. Któregoś dnia babcia zapytana w obecności sąsiadki o rodzinę, radośnie podniecona odpowiedziała, że ma syna, ale jest za granicą. Sąsiadka wówczas z przekąsem dodała, że syn z tytułem naukowym na stałe pojechał za granicę i żyjąc tam w dostatku zapomniał o matce i jej życiu w niedostatku. Wówczas obruszona babcia broniąc syna odpowiedziała, że nie zapomniał o niej, bo przecież posyła czasem kartki pocztowe z serdecznymi pozdrowieniami. Po tej rozmowie przez wiele dni Lucynka rozważała postawę babci w stosunku do swojego syna i jego bezdusznego postępowania wobec swojej matki. W końcu zapytała swoją mamę, jak to jest możliwe, by matka doznając tak wielkiej obojętności ze strony swojego syna nie ma mu tego za złe, a jeszcze gorliwie broni go przed oskarżeniami? Mama odpowiedziała, że jest to możliwe bowiem miłość matczyna jest nieograniczenie wielka. Dla podkreślenia wagi takiej miłości opowiedziała smutną legendę: „Matka żyjąc z synem w wielkiej biedzie, oszczędzała cichaczem po grosiku na mające nadejść czasy z większą jeszcze biedą. Syn znajdując te oszczędności zabrał je zabijając matkę i wyrwijąc serce z jej piersi. Najbardziej bowiem bał się tego dobrego zawsze serca. Biegając z nim przez las potknął się i przewrócił i wówczas serce głosem matki zapytało – synku, czy aby coś ci się nie stało?”

Ta wstrząsająca opowieść przypominała życie tej biednej i schorowanej babci, toteż przez długi okres czasu zaprzętała dziewczęce myśli. Efektem tych rozmyślań była pewność, że ona, Lucynka, nigdy nie zostawi swoich rodziców bez swojej nad nimi opieki czy to w chorobie, czy to w starości, czy też ze starczą demencją.

Nadszedł grudzień, a wraz z nim zbliżające się obchody barbórkowe. Miasto budziło się ze swojej drętwoty ożywionym ruchem swoich mieszkańców. Powiewające flagi górnicze moczył mokry i brudny śnieg. Ulicami płynęły strugi wody i nie dekoracyjne błoto, co jednak oznaczało, że jeśli „Barbórka jest po wodzie, to Boże Narodzenie będzie po lodzie” – co zazwyczaj się sprawdza.

Cieszyła więc nadzieja na białe święta, ale i nadzieja na święta nieco lepsze, dostatniejsze jak do tej pory. Dostatek, a nawet luksus i wszelkiego rodzaju dobra przez długie nawet wieki w tym małym siemianowickim zakątku świata, podobnie jak



Obraz św. Barbary z kop. „Siemianowice”

w innych śląskich zakątkach – dostawało się tym, co nimi władali w charakterze „możnych” korzystając z przywilejów, jakie nadawały im urodzenie i miejsce w historii. Dla udręczonych codziennym trudem górników, hutników i rdzennych mieszkańców – brakło miejsca na dostatek. Ziemia przebogata w złoża węglowe, będąca łakomym kąsem już w XVIII w. dla austriacko-prusko-niemieckich władców Siemianowic nieustannie penetrowana, dręczona i męczona wypluwała czarną skałę. Gęsta sieć kopalń najpierw odkrywkowych, a potem szybowych o nazwach: „Leśna”, „Karolina”, „Szczęście”, „Nadzieja Karola”, „Szczęście Eugenii”, „Dobry Artur”, „Maks”, „Richter” i inne – nosiły często nazwy imion rodzin magnackich. W 1879 r. rozpoczęto budowę szybu „Richter”. W tej kopalni w początkach XX wieku pracowało jeszcze ponad 100 koni. Nacisk na nieustanne powiększanie eksploatacji węgla wciąż się nie zmniejszał. W czasie nastania kolejnej okupacji – niemieckiej, wraz z tą eksploatacją zaznaczało się coraz większe zagrożenie zdrowia i życia górników. I oto zrodziła się nadzieja na nadejście lepszych dni dla górników i wszystkich Polaków w wolnej Polsce, poprzez spodziewany wzrost gospodarczy i poprawę warunków życia, dzięki wysokiej wartości czarnego złota. Nowe władze komunistyczne świadome wartości węgla, nakazały zwiększanie jego wydobycia w tempie dotąd nie praktykowanym. Tymczasem powstałe nowe uzależnienie, tym razem od Związku Radzieckiego, zmusiło polską gospodarkę do eksportu węgla do tego właśnie kraju, za mocno obniżoną cenę w okresie wysokiej jego wartości w świecie i ogromnego na niego zapotrzebowania. Zamiast więc zysków polska gospodarka ponosiła ponownie ogromne straty, odbierając społeczeństwu nadzieję na wyzwolenie się ze zubożenia. Wyeksploatowane



Kopalnia „Richter”

urządzenia górnicze ulegały coraz częstszym awariom zagrażając przestojami wydobywczymi, przed którymi broniono się wymyślnymi sposobami, jednakże nie dokonując wymiany zużytych urządzeń na nowe.

Zastosowano system naśladownictwa sowieckiego tzw. stachanowskiego „wyścigu pracy”, zachęcającego do wielokrotnego nawet przekracza-

nia obowiązujących norm urabiania węgla. Zapoczątkował go w 1947 r. Wincenty Pstrowski, rębacz kopalni „Jadwiga”, przypłacając to w efekcie utratą zdrowia i życia. W siemianowickiej kopalni taką inicjatywę podjęto w 1948 r. osiągając normę wydobywczą w wysokości 300%. W atmosferze mieszanych uczuć brać górnicza przygotowywała się więc do swoich obchodów barbórkowych. Jak jeden mąż wczesnym rankiem w swoich mundurach i powiewających pióropuszach przy dźwiękach orkiestr, zwartymi szeregami kierowali się najpierw do swoich kościołów, gdzie przed ołtarzami składając nabożne modły i śpiewanie, pochylali nisko w wielkiej pokorze swoje głowy oraz górnicze sztandary. Potem maszerując szeregiem ruszali ulicami miasta na spotkanie z tłumem mieszkańców, starając się odczytać w milczącej postawie tego tłumu wyrażoną dla siebie życzliwość, a nawet podziw oraz prośbę o dalsze owocne fedrunki dla poprawy wspólnego bytowania. W zapadającym mroku poprzez okna cechowni kopalń, migotliwy blask płonących lampek górniczych złożonych u stóp znajdujących się tam figur Św. Barbary dawał nadzieję, że Jej wstawiennictwo u Boga wyprosi łaski dla nich górników.

Informacje na temat górnictwa czerpałam z: „Wielkiej Historii Polski (1945-2001)” Andrzej Leona Sowy oraz „Kopalni Węgla Kamiennego - Zarys dziejów” pod. red. Jana Przewłockiego.

WSPOMNIENIA

Podpadłem tym niemieckim panom, choć nie bardzo na długo. Krzyczeli na nas często pogardliwie „Du Polacke”. Jednym z nich był też „mój” podoficer Rudolf. Powoli przestałem żywić do niego resztki sympatii.

Pewnego razu przyszedł jakiś nerwowy. Przeczytał nam plan służby na drugi dzień i inne sprawy dotyczące kompanii. Powiedział, że o określonej godzinie katolicy (tutaj użył obraźliwego określenia) mają w swoim kościele lekcję pieśni kościelnych. W drużynie było 4 katolików i 9 ewangelików. Jeden z katolików nazywał się Pogorzalski, choć nie potrafił mówić po polsku. W służbie się trochę zaniedbywał i czasem podoficer był na niego zły. Zacząłem tego podoficera nienawidzić.

Następnego dnia przyszedł do naszego pokoju, jak zwykle wskoczył na taboret, jak zwykle to robił w inne dni a my rekruci musieliśmy wiedzieć czego on chce, np. żeby czyścić buty i ubrania. Ja udawałem, że go nie widziałem i nie brałem udziału w tym czyszczeniu. Jednego dnia wołał ze swojego pokoju, aby ktoś do niego przyszedł, a ja byłem w pokoju a jeszcze jeden jego pupilek, któremu zabronił do niego chodzić, bo był jego ordynansem. Kiedy jednak do niego poszedł, zaraz powiedział, podoficer na mnie bardzo rozgniewał i coś zapisał w notesie. Już przeczuwałem, co z tego będzie, że zacznie dokuczać jak tylko będzie umiał. Tak też było. W czasie ćwiczeń i apeli nie mógł mi już wiele zrobić, ale podczas gdy on miał dyżur kompanii, to mnie brał do najgorszych robót koszarowych. Tak samo mnie traktowali inni wojskowi. Nie pamiętam jak to długo trwało, a może do czasu aż znaleźli ofiarę „gorszego” ode mnie.

O urlop na gwiazdkę i na Wielkanoc wnioski nie starałem, za to na Zielone Świątki złożyłem podanie i otrzymałem jako pierwszy urlop 11 dni, a Niemcy miejscowi tylko 5 dni. Zazdrościli mi, bowiem szef kompanii sierżant sztabowy oraz oficerowie i inni starsi podoficerowie byli do mnie dobrze nastawieni.

Pamiętam, gdy jednego dnia mieliśmy wykład u oficera von Krolowa. Był jeszcze „po wczorajszym”, nie chciało mu się wykladać i zapytał się nas o czym ma opowiadać? Wstałem więc z miejsca i zaproponowałem, żeby nam pan porucznik powiedział gdzie się obecnie znajduje nasz cesarz Wilhelm II i jaki jest cel jego podróży. Bardzo go to zadziwiło, że jestem tylko jeden, który interesuje się takimi ważnymi sprawami, a jeszcze do tego ein Pole aus Oberschlesien – Polak z Górnego Śląska. Owszem czytałem gazety i wywnioskowałem, iż sytuacja polityczna była

w tym czasie bardzo groźna i już wtedy zanosilo się do wojny (1911 r. m. in. z powodu Maroka). Oficer miał do mnie jeszcze większą sympatię to widząc ten mój podoficer i inni jego podobni koledzy i zaprzestali wrogo się do mnie odnosić. Jednego dnia i to ostatnie już dni rekruta, przechodził oficer Krolow przez pokoje, było to w styczniu na dworze mróz i śnieg i nas zatrzymali w swoich pokojach. Przechodził kolejno wszystkie drużyny na trzecim miejscu każdy rekrut musiał pokazać „na ramię broń!, „prezentuj broń!” i „do nogi broń!”. Popatrzył na mnie i powiedział, że to byłem jednym z najlepszych. Gdy oficer wyszedł z pokoju wszedł nasz podoficer i powiedział mi, żebym „się nie myślał”.

W końcu stycznia odbyła się inspekcja i wcielono nas rekrutów do ćwiczeń kompanii i czasy się zmieniły. Jak już poprzednio wspomniałem w czerwcu na Zielone Świątki 11 dni urlopu. Szybko przeleciały piękne dni urlopu i ciężko było rozstać się z domem i naszym ukochanym Śląskiem i wrócić w głąb Niemiec znów, do dyscypliny wojskowej. Po urlopie wyjechaliśmy na poligon do Altengraben na jeden miesiąc - zbliżały się manewry i koniec roku służby wojskowej. Po zakończeniu manewrów (ćwiczenia jesienne) otrzymałem 14 dni urlopu na ćwiczenia siostry Francki (29 września 1911).

Przyjechałem, jak pamiętam rano prawie w dzień naszego odpustu świętego Michała. Na drugi dzień był ślub w kościele i co za radość była w domu jak mnie zobaczyli, że jeszcze zdążyłem! Wesele szybko przeszło i czas na powrót do Plankenburga.

Po przybyciu odkomenderowano mnie za ordynansa, ale i do sadzenia drzewek na poligonie Altengraben - na czas zimowy, aż do wiosny. Zacząłem już liczyć dni i godziny zwolnienia z wojska do domu. W ogóle zacząłem już inaczej patrzeć na świat. Byłem już ostatni z rodziny przy matce i myślałem jakie to będzie przyszłe moje życie. W kompanii życie było różne. Zapoznałem się z „jednorocznikami”, których w kompanii było aż pięciu. Nazwisko jeszcze jednego pamiętam - von Waldek. Byli już po szkole wyższej - pamiętam, że jeden z nich był profesorem a drugi - pastorem ewangelickim. Nie pamiętam któremu czyściłem rzeczy wojskowe, za to płacił mi co 10 dni 3 marki 50 fenigów. Było przy wojsku dużo pieniędzy, zaś z kompanii żołd wynosił na miesiąc 6, 60 marek. Za to musieliśmy się utrzymać prócz żywności, którą nam dała kompania. Z tymi „jednorocznikami” często rozmawiałem o różnych sprawach. Dziwili się, że jestem „tylko” robotnikiem i mam takie zdrowe poglądy na świat. Często zabierali mnie ze sobą na kawę lub piwo. Jednego razu bawiłem się z nimi. Mieli przepustkę do godziny pierwszej w nocy, a ja miałem tylko do północy. Jeden z nich pytał się mnie do której mam przepustkę, bo już jest pół godziny po północy i mogłem za to trafić na 3 dni do aresztu. Wróciłem do koszar naturalnie też trochę „pod gazem”.

Zdałem sobie sprawę, że 3 dni mnie nie ominie i w sumie byłem na to przygotowany. Rano przyszedł raport do kompanii o moim spóźnieniu. Musiałem się stawić u feldfebla. Ten mnie również „zjechał” i powiedział, że mnie musi raportować szefowi kompanii i że mam się wynosić do swojego pokoju. Nerwowo czekałem na karę, ale Niemcy już miarkowali, że nie będę ukarani i napoczęli mrużyć pod nosem jakby to zrobił jeden od nich – to by był dawno 3 dni siedział w więzieniu.

Za kilka dni wyjechaliśmy 9 kwietnia 1912 r. na ostre strzelanie do Altengraben, następnie na ćwiczenia poligonowe w pułku i brygadzie, gdy były tego zapewnione manewry w czterech korpusach razem w obecności cesarza i dużo zagranicznych „ataszów” wojskowych. Po niemiecku nazwane Kaisermanower z dywizji kawalerii oraz po raz pierwszy maszyn latających „Zeppelinów” i „Parsywalów”, które przy manewrach były potrzebne do obserwacji. Po przyjeździe na poligon, sierżant sztabowy o mnie nie zapomniał i przez ten 4-tygodniowy czas na tym poligonie przebywali musiałem dwa razy warte w stajni od koni w nocy stać, a rano do służby, gdyż na poligonie kompania musiała zawsze być kompletna,

Zbliżały się znów Zielone Świątki. Do drużyny przyszło zarządzenie z biura kompanii, by drużynowi przedłożyli w terminie spis nazwisk drużyny, którzy by chcieli na święta pojechać do domu. Kapral drużyny naszej wezwał wszystkich i spisał nazwiska „urlopowiczów”. Mnie pominięto, gdyż mu oświadczyłem, że mnie szef kompanii i tak urlopu nie da, ale on namawiał mnie, żeby tylko zwrócić się o urlop – dokąd i na jak długo. Po powrocie mojego kaprała drużynowego kazał mi, bym się zgłosił do biura kompanii – do sierżanta sztabowego. A ten na mnie krzyczy, że niby na co ja sobie pozwalam?! Zamiast na 3 dni do paki, to jeszcze na urlop chcę jechać?! Ja mu na to oświadczyłem, że to ja nie chciałem urlopu, ale mój kapral mnie namówił. Wyczułem, że coś udawał – za chwilę zapytał o to, ile dni bym chciał otrzymać? Wspomniałem mu, że to jest daleko koleją aż na granice Rosji do Mysłowic, czas jazdy trwa blisko 3 dni. Na to powiedział, że 14 dni będzie w sam raz – ja zadowolony podziękowałem mu. Po powrocie do drużyny koledzy czekali i byli ciekawi jak to przebiegło. I znowu krzyczeli, że to nie w porządku! Ja już sobie z tego nic nie robiłem.

Po poligonie – urlop. Po urlopie trochę jeszcze ćwiczeń w kompanii i wyjazd na te ciekawe manewry, które trwały od 7 sierpnia do 15 września 1912 r. A po manewrach zaraz na drugi dzień 16 września 1912 r. zostałem odesłany jako rezerwista do domu. Te manewry były bardzo ciekawe, długie marsze, czasami byliśmy w marszu cały dzień i w nocy, spało się czasami z plecakiem i z karabinem w rękę na drodze. Widziałem dwukrotnie cesarza Wilhelma i jego 200-osobowy sztab na koniach oraz dużo zagranicznych gości i obserwatorów wojskowych. Miała się

Pocztówka
z Bytkowa,
przełom
XIX i XX w.



po zakończeniu manewrów odbyć defilada przed cesarzem, ale do tego nie doszło, gdyż, jak po urlopie mówiono, powstało między generałami i cesarzem jakieś nieporozumienie. Było mi to obojętne i myślałem tylko, żeby zaraz na drugi dzień do domu rezerwistów popuszczali i przyjechać do domu. I znów było się w domu u mamulki w Michałkowicach.

Rozpoczęła się na kopalni ciężka robota, aby zmarnowany czas wojska nadgonić. Parę miesięcy kładłem węgiel do wózków, następnie byłem uczniem – rębaczem. Po pół roku namawiała mnie matka i siostry do żeniaczki, ale ja nie chciałem, bo mi za kawalera przy mamulce było dobrze. Matka moja jednakowoż się starzała, zdrowie nie bardzo dopisywało. Zacząłem to rozumieć, że trzeba tę rzecz w życiu dokonać. Czas był coraz niespokojny – mówiło się coraz to więcej o wojnie. Położenie gospodarcze Niemiec też nie było dobre. Często było na świecie słycać o strajkach. Również i na Śląsku strajki na kopalniach o poprawę zarobków i o lepsze warunki pracy i prawa socjalne. Po 3 tygodniach strajku warunki się nieco poprawiły. Robotnicy Polacy byli na powrót przyjęci do pracy. Rozpocząłem pracę z tygodniowym opóźnieniem, bo chciałem pracę zmienić. Chciałem wyjechać do Francji, jednak wojskowi nie chcieli nam dać zezwolenia na wyjazd za granicę, bo wybuch wojny był nieunikniony. Chciałem wyjechać do Westfalii, gdzie warunki pracy były w dużo lepsze niż na Śląsku. Postanowiłem jednak pozostać na Śląsku jeszcze przy mamulce w Michałkowicach i na kopalnię iść się prosić, jak zrobili moi inni koledzy, i nadal być niewolnikiem niemieckich kapitalistów. Musiałem parę tygodni kłaść do wózków węgiel i znów przywrócono mi funkcję rębacza i robota toczyła się normalnie, bo tak mi sumienie dyktowało. Zarobek mój wynosił nie najlepiej, bo pracowałem ostatnio na ganku wynosił 100 marek, ale przy dobrym gospodarowaniu można się było utrzymać.

7 lutego 1914 r. zawarłem związek małżeński z Albiną Piegzą w Bytkowie w Urzędzie Stanu Cywilnego i w kościele parafialnym w Michałkowicach 9 lutego 1914 r. Byłem ostatni w domu, którego matka moja „wysłała do ludzi” i wesele urządziła okazałe. Zaprosiła ze swojej strony bliskich krewnych, którzy nie byli proszeni do Bytkowa w mieszkaniu siostry Rozalii otrzymali po obiedzie itp. jak na weselu zaś siostry zamieszkali w Michałkowicach przyszli po południu do Bytkowa z matką. Dodam, że była to pierwsza publiczna w sali Geislera w Bytkowie zabawa weselna po zabronionym czasie strajkowym. Musiałem policji przedłożyć listę nazwisk, którzy mieli być obecni na zabawie weselnej. A było ich dosyć dużo, bo goście byli i z Michałkowic i z Bytkowa.



Krzyż na ul. Watoty w Bytkowie

Na zabawie w sali Geislera była obecna służba bezpieczeństwa w osobach 3 żandarmów i 2 policjantów. Osoby na liściach były wywołane (ten, który był wywołany musiał salę opuścić). Kilku powychodziło, ale krótkim czasie zaś wrócili, więc sala była przepełniona i policja niemiecka nie mogła dać sobie z nimi rady. Gospodarz restauracji pokątnie się śmiał, bo im więcej ludzi, tym lepszy interes i zysk. Ja zaprosiłem „żandarę” i policjanta za bufet. Kazałem restauratorowi dać coś zjeść i postawić piwo. Byli zadowoleni, że mogli po takim długim poście suchych dniach się sami zabawić i popić za darmo. Zabawa odbyła się do rana bez zakłóceń i bez bijatyki (choć w Bytkowie bez bijatyki obyło się żadne wesele). W domu u Piegżów na ucztę weselnej było może jak pamiętam około 50 par gości. Trunku miałem 130 litrów wina, 3/4 tony piwa i to wszystko zostało wypite, zaś wódki miałem tylko 5 litrów. Jeden litr dodała orkiestra, 1 litr druźbowie (4 pary) i starostowie (2 pary) – taki był wtedy zwyczaj. Za to było dużo jedzenia. Śniadanie przed ślubem, obiad po ślubie w mniejszym gronie w południe, drugi obiad o godz 16.00. Na urządzenie tego wesela miałem zaoszczędzone 1000 marek (przed pierwszą wojną światową to było dużo pieniędzy). 400 marek wydałem na ślubne ubranie i 2 pierścionki ślubne. Jeszcze nabożeństwo w kościele, orkiestra i inne jeszcze drobniejsze wydatki,

które dotyczyły kieszeni młodego pana - zaś jedzenie i utrzymanie gości w domu obowiązywały rodzinę młodej pani. Takie wesela czasami u młodej pani obchodziło się dawniej cały tydzień.

Mieszkanie miałem już u brata Szczepana zajęte. Meble do mieszkania sprowadziłem zaraz po weselu. Kosztowały przeszło 600 marek i rozpoczęło sobie słać gniazdko dwoje młodych ludzi. Długo jednak to wspólne życie nie trwało, bo o wojnie było coraz to głośniejszy słyhać. 30 lipca 1914 r. ogłoszony został dzień wypowiedzenia wojny Francji, Rosji i Anglii przez rząd cesarza niemieckiego Wilhelma II. Jako rezerwista musiałem w trzecim dniu wojny opuścić dom i udać się na wyznaczone miejsce do miasta garnizonowego Brzegu, do pułku piechoty nr 157.

OMÓWIENIA,
OPINIE,
RECENZJE

MELPOMENA I POLIHYMNA W PROGACH ZAMECZKU MICAŁKOWICKIEGO. OD ZWYCZAJNOŚCI DO KRAINY DŹWIĘKU I WYOBRAŹNI

Obecności Romualda Dudy miasto zawdzięcza jedną z najpiękniejszych kart w swoich dziejach upowszechniania muzyki klasycznej. Rozmiłowany w teatrze operowym, wprowadzał na afisz dzieła klasyków, zapraszał na czwartkowe występy głośne gwiazdy i mistrzów gry na skrzypcach, wiolonczeli i fortepianie. Zameczek Michałkowicki był w tym okresie nie tylko miejscem śpiewu, tańca i wesołości ale i bastionem wielkiej sztuki prezentowanej na najwyższym krajowym poziomie. W skromnej sali koncertowej, bez dotacji i możliwych protektorów, R. Duda witał publiczność występami takich wykonawców, wśród których trafiali się m.in. znakomici pedagodzy, jak: prof. Julian Gembalski, prof. Andrzej Jasiński z całą plejadą swoich uczniów, prof. Wojciech Światała, Stanisława Marciniak-Gowarzewska, Kałudi Kałudow, Zbigniew Raubo, Tsoyoshi Tsutsumi, Beata Raszkievicz, Aleksander Teliga, Agnieszka Wilczyńska, Andrzej Zubek, Yuko Kawai, Kaja Danczewska, Rika Miyatani. W repertuarze recitali wśród kompozytorów polskich pierwszeństwo przypadło Fryderykowi Chopinowi, Stanisławowi Moniuszce i Karolowi Szymanowskiemu, wśród obcych najczęściej grywano kompozycje Jana Sebastiana Bacha, Józefa Haydna, Jerzego Fryderyka Haendla, Wolfganga Amadeusza Mozarta, Franciszka Schuberta, Ludwiga van Beethovena, Klaudiusza Debussy'ego, Franciszka Liszta, Piotra Czajkowskiego, Antoniego Dvora

raka, Maurycego Ravela i Beli Bartoka. Od czasu do czasu zdarzały się koncerty o programach nietypowych. Ku radości zebranych organizowano m.in. wieczory wigilijne podczas których grywano kolędy i pastorałki. Występowały z tej okazji m.in. kapele ludowe (Wąłasi z Istebnej) i jazzowe. Tę ostatnią formację



Organizator i prowadzący koncerty



Prof. Andrzej Jasiński

Kilkakrotnie połączono koncerty z promocją książek, m.in. monografi miasta i *Śląskich szkiców historycznych* oraz wizytą przedstawicieli polskich rodów historycznych z okazji prezentacji dzieła *Ród Potockich w odmieńce historii XVII-XX wieku*.

Bywało, że wybitni artyści i pedagodzy, niekiedy znawcy pewnej części literatury muzycznej, podczas swoich wykładów wnosili wiele nowych informacji, wiele nowej wiedzy. Tak było podczas spotkania z prof. Andrzejem Jasińskim. Tematem jego wykładu było porównanie twórczości Fryderyka Chopina i Wolfganga Amadeusza Mozarta, a także analiza związków twórcy polonezów i mazurków z polską muzyką ludową. O powodzeniu wieczoru zadecydowała wielka wiedza Pana Profesora, jak i jego umiejętność opowiadania z wielką swadą, w sposób zrozumiały dla wszystkich.

Równie atrakcyjne były recitale prof. Wojciecha Światały, który potrafił wydobyć z muzyki F. Chopina: nastrój, dramatyzm i polskość. Dla publiczności była to muzyka pełna wielkich kontrastów, uniesień i smutku oraz wielkie przeżycie, wielki romantyczny dramat. Wykonanie przez prof. W. Światałę utworów mistrza z Żelazowej Woli cechowała jakość dźwięku, umiejętność budowania logicznej całości, formowania utworu, nastrój, który u F. Chopina odgrywa szczególnie wielką rolę. Zmienność nastrojów, barw różnego rodzaju stanów psychicznych, jakie wyrażają dźwięki,



Prof. Zbigniew Raubo i Magdalena Lisak, laureatka Konkursu Chopinowskiego

muzyczną reprezentowali: Andrzej Zubek, Marek Marszałek, Jerzy Głowczewski, Jerzy Jarosik, Bohdan Lizoń, Aleksander Maceradi, Anna Serafińska i Bernard Maseli oraz zespoły: ALCHEMIK, Ewa Karela Swing Band z Finlandii, Guil Guimaraes i Con Brio - trio harmonijek ustnych. Repertuar nawiązujący do muzyki „etno” i religijnej wiązał się z takimi wykonawcami jak: Chór Prawosławny księdza Jerzego Szubaka, Chór „Czantoria”, ACID Flamenco i Trio z Filipin.

te wszystkie skomplikowane ozdobniki w interpretacji prof. W. Światały pozwalały słuchaczom poznać Chopina – człowieka. Ponadto jak się okazało w czasie kolejnych spotkań prof. Wojciech Światała był też doskonałym rozmówcą.



Jubilat i Andrzej Gościński, przewodniczący sejmiku śląskiego

Wspomnieć należy także o koncercie pod hasłem: „Pomóż w walce z rakiem”. Wówczas to niestrudzony propagator muzyki klasycznej

zapropozował 3 IV 2003 r. publiczności dzieło Karola Szymanowskiego *Stabat Mater*. Ze względu na skalę przedsięwzięcia, w którym wzięły udział: Zespół Wokalny Wydziału Wokalno-Aktorskiego, Akademicka Orkiestra Symfoniczna Akademii Muzycznej im. K. Szymanowskiego w Katowicach pod batutą Mirosława Błaszczyka oraz soliści: Mariola Zagojska – sopran, Joanna Ciupa – mezzosopran i Adam Szerszeń – baryton, koncert odbył się w siemianowickim kościele pw. Św. Krzyża. Po jego zakończeniu została przeprowadzona kwesta na zakup aparatury do diagnostyki nowotworowej dla Szpitala nr 2 w Siemianowicach Śl. Temu samemu celowi charytatywnemu służył zorganizowany przez R. Dudę spektakl muzyczno-poetycki pt. *Obmyj kamień*, opracowany na podstawie lektury tekstu *Kwiatków św. Franciszka z Asyżu*.

Romuald Duda wspólnie z żoną Teresą powołał Biuro Promocji Muzycznych „Preludium”, a ambicją założyciela było wprowadzenie na salę mieszkańców miasta, którzy wcześniej nie mieli tak bliskiego kontaktu z pięknymi córkami Zeusa i Mnemosyne: Melpomeną i Polihymnią. Dobra muzyka w możliwie najlepszym wykonaniu, ale po możliwie najniższych cenach – oto oferta złożona siemianowiczantom przez prezesa „Preludium”. Dobierając repertuar kolejnych koncertów kierował się wskazówką Arnolda Schoenberga, który w rozprawie *U źródeł nowoczesnej muzyki* radził swoim wychowankom jak komponować: „Każdy powinien czynić to, co uzna za możliwe w zakresie swego talentu i swojej wiedzy. Kto jest w stanie stworzyć rzeczy piękne, nie będzie się zastanawiał nad tym czy są one tonalne czy atonalne”. Tak rozumiane kryterium piękna było więc dla R. Dudy najważniejszym przy dobieraniu utworów i wykonawców. Intencją tą urzeczywistniała podczas kolejnych spotkań s.p. Danuta Węgrzyk, która muzykę potrafiła wykorzystać jako specyfik pomagający duszy, dający człowiekowi radość i wytchnienie



Profesor Julian Gembalski i Elżbieta Grodzka-Łopuszyńska

nych zasobów muzykologicznej przeszłości i terażniejszości. Swą wiedzę o muzyce i muzykach przekazywała z gawędziarską swadą, swoistą elegancją i lekkością oraz wielkim poczuciem humoru. Na kolejne spotkania wszyscy czekali z niecierpliwością. Zapamiętaliśmy ją, jak zawsze z uśmiechem dzieliła się z nami najgłębszymi tajemnicami sztuki i mówiła, że muzyka łagodzi obyczaje, jak kreśliła przed naszymi oczyma przy pomocy słów sylwetki wielkich kompozytorów.

Do niezapomnianych należały koncerty, podczas których dominowała muzyka operowa, operetkowa i kantaty. W tak poważnym repertuarze znalazły się m.in.: *Wesele Figara*, *Così fan tutte* i *Czarodziejski flet* - W. A. Mozarta, *Eugeniusz Oniegin* - P. Czajkowskiego, *Król walca* - J. Straussa, *Stabat Mater* - K. Szymanowskiego i *Kantata Maryjna* -



Życzenia dla Jubilata

od ciężarów życia. Swoimi refleksjami o sztuce wielkich mistrzów dzieliła się z publicznością. Jej przemyślenia i odczucia w połączeniu z komentarzami wykonawców były zawsze godne uwagi, zastanowienia i zapamiętania. W trakcie każdego koncertu byliśmy świadkami cudownego spektaklu, na który składał się jej urok osobisty i wszechstronna wiedza oraz umiejętność wydobycia z muzyki tego co w nim najwartościowsze. Zawsze gotowa była wesprzeć artystę anegdotą czy faktem zaczerpniętym z nieprzebranych

zasobów muzykologicznej przeszłości i terażniejszości. Swą wiedzę o muzyce i muzykach przekazywała z gawędziarską swadą, swoistą elegancją i lekkością oraz wielkim poczuciem humoru. Na kolejne spotkania wszyscy czekali z niecierpliwością. Zapamiętaliśmy ją, jak zawsze z uśmiechem dzieliła się z nami najgłębszymi tajemnicami sztuki i mówiła, że muzyka łagodzi obyczaje, jak kreśliła przed naszymi oczyma przy pomocy słów sylwetki wielkich kompozytorów. Do niezapomnianych należały koncerty, podczas których dominowała muzyka operowa, operetkowa i kantaty. W tak poważnym repertuarze znalazły się m.in.: *Wesele Figara*, *Così fan tutte* i *Czarodziejski flet* - W. A. Mozarta, *Eugeniusz Oniegin* - P. Czajkowskiego, *Król walca* - J. Straussa, *Stabat Mater* - K. Szymanowskiego i *Kantata Maryjna* - Józefa Skrzeka, wykonana z udziałem krakowskiej sopranistki Aleksandry Paniszewskiej i Kariny Skrzek.

Znów można było zapomnieć o całym świecie i cieszyć się muzyką. Romuald Duda, inżynier górnictwa węglowego, kusząc do barwnej krainy dźwięków, pamiętał o swojej zawiłej drodze do wtajemniczenia. Niejednokrotnie wspominał, jak ojciec po raz pierwszy zabrał go do Filharmonii Śląskiej w Katowicach: „za pierwszym razem [...] bardziej interesowały go kryształowe żyrandole niż orkiestra”. Upłynęło

trochę czasu zanim zwrócił uwagę na fortepian, klarnet i tak wyjątkowy instrument jak skrzypce. O, jaka czystość, jaka siła emanowały z tego „cacka”, któremu życie poświęcili Antonio Stradivarius, Nicolo Amati i Giuseppe Guarneri. Wydawało mu się, że ukrywa się w nim uwieczona dusza, która tylko czeka na to, aby wyznać światu całą swą tęsknotę i ból. Po latach zrozumiał: „Poznanie i pokochanie muzyki klasycznej to długi i ekscytujący proces [...]”. Mając 16 lat zaczął śpiewać bas-barytonem w 120 osobowym chórze



Jubilat dziękuje swoim honorowym gościom

„Ogniwo”, którym dyrygował Karol Stryja. Wówczas dostał wejściówkę do filharmonii, gdzie słuchał wielkich sław: Artura Rubinsteina i Witolda Małcużyńskiego. „Przy okazji - jak wspomina - zabierał z sobą na muzyczne randki koleżanki, gdyż wejściówka była na dwoje”. Z kolei na Zaduszki Jazzowe jeździł do Krakowa, zainteresowała go także muzyka ludowa. Pasję do śpiewania przekazał synowi Sebastianowi, absolwentowi informatyki na Politechnice Warszawskiej, który śpiewał w Chórze Prawosławnym w Operze Kameralnej. Natomiast córka Romualda Dudy, Sylwia chętnie korzysta z zasobów płytoteki muzycznej ojca.

Zachęcając innych do słuchania muzyki klasycznej sam nie miał w tym kierunku wykształcenia był tylko amatorem jednej z muz. Po skończeniu I Liceum Ogólnokształcącego im. J. Śniadeckiego w Siemianowicach



Prof. Wojciech Światała, prof. Zbigniew Raubo, prof. Eugeniusz Knapik i Teresa Duda

Śl. dwa lata spędził pod ziemią pracując fizycznie jako zwykły hajer. To doświadczenie okazało się potem przydatne w późniejszej pracy w dozorze kopalni „Siemianowice”. Wahając się w wyborze dalszej drogi życiowej ostatecznie zdecydował się jako „urodzony na węglu” na studia na Politechnice Śląskiej w Gliwicach. Gdy na drugim roku studiów zmarł ojciec musiał



Pożegnanie honorowych gości i organizatorów

dorabiać na utrzymanie korepetycjami z matematyki. Latem wyjeżdżał nad jezioro do Lubniewic, gdzie w baszcie prowadził kawiarnię i śpiewał dla gości arie operowe, m.in. Skołuby ze *Straszego dworu* - Moniuszki. Już wówczas muzyka stała się dla R. Dudy sposobem na życie. Stan ten pogłębił się gdy w 1992 r. zachorował na chorobę nowotworową, z którą walczył do dnia dzisiejszego.

Muzyka jest także dla niego formą terapii. Angażując się jednak w działania edukacyjne próbuje to uświadomić swojemu otoczeniu, jak ważne w naszym życiu powinny być sztuki piękne. Poprzez żonę Teresę, która pracowała w Akademii Muzycznej w Katowicach, nawiązał wiele interesujących kontaktów, dzięki którym udało mu się ziszczyć swoje marzenia, m.in. dotyczące upowszechnienia w mieście dorobku twórczego Fryderyka Chopina. Uczniom I LO im. J. Śniadeckiego w Siemianowicach Śl. udostępnił 10 bezpłatnych wejściówek na organizowane w Zameczku michałkowickim koncerty. Za poniesiony trud i umiejętność pokonywania wszelkich piętrzących się przeciwności Kolegium redakcyjne „Gazety Siemianowickiej” w 1998 r. nadało Romualdowi Dudzie Honorowy Tytuł Nieuleczalnego Optymisty.

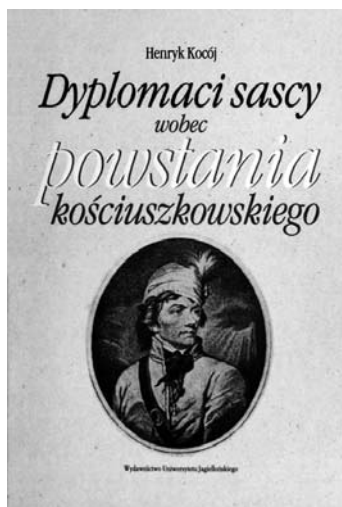
Po 20 latach działalności Romualda Dudy w przekonaniu uczestników czwartkowych koncertów w Zameczku michałkowickim i obserwatorów tego wydarzenia muzycznego to, co zostało zapoczątkowane, powinno się ostać i przetrwać w stałą imprezę muzyczną poświęconą sztuce klasycznej i jej wielkim mistrzom. Minione lata i frekwencja dowiodły, jak zasadne było to przekonanie. Dlatego inicjatorowi tego przedsięwzięcia z okazji jubileuszu 20-lecia należałoby nie tylko dziękować ale i winszować kolejnych 20 lat owocnej działalności Agencji Muzycznej „Preludium”. Niestety to już jest tylko historia.

HENRYK KOCÓJ: „DYPLOMACI SASCY WOBEC POWSTANIA KOŚCIUSZKOWSKIEGO”

Prof. Henryk Kocój, „najwybitniejszy współczesny polski znawca problematyki międzynarodowego układu sytuacji Rzeczypospolitej w okresie Sejmu Wielkiego oraz drugiego i trzeciego jej rozbioru”¹, niestrudzony badacz epoki reform 1788-1792, a także zrywów wolnościowych: Insurekcji Kościuszkowskiej i Powstania Listopadowego, wydał kolejną książkę tym razem poświęconą stanowisku dyplomatów saskich wobec wydarzeń polskich 1794 roku. Zajmując się zmierzchem Rzeczypospolitej jest on kontynuatorem dzieła innego wybitnego historyka Bronisława Dembińskiego, wydawcy monumentalnej pracy pt. *Źródła do dziejów drugiego i trzeciego rozbioru Polski*.

Tym razem H. Kocój penetrując zasoby źródłowe Saechsisches Hauptstaatsarchiv Dresden zwrócił uwagę na francuskojęzyczną korespondencję ówczesnego posła saskiego w Berlinie Friedricha Augusta Zinzendorfa, relacje posła saskiego w Wiedniu Johanna Hilmar Schoenfelda, instrukcje ministra spraw zagranicznych Johanna Adolfa Lossa dla Hansa Moritza Bruhla, posła saskiego w Londynie oraz korespondencję z Johannem Jakobem Patzem, posłem saskim w Warszawie. Niestety nie udało się autorowi dotrzeć do relacji posła saskiego z Petersburga – Gustava Georga Voelckersahma. Jego depesze zaginęły, gdy po 1945 r. znalazły się w ZSRR, skąd już nie wróciły do Drezna. Prezentowany wybór not i depesz jest poprzedzony obszernym i wartościowym wstępem, w którym autor omawia w skrócie dotychczasową literaturę przedmiotu oraz przybliży treść korespondencji.

Prof. H. Kocój publikując noty saskich dyplomatów w niniejszym wydawnictwie uwzględnił także część z ponad 100 załączników do depesz J. J. Pat za, m.in. list Stanisława Augusta, pisany do Katarzyny II,



Henryk Kocój
*Dyplomaci sascy wobec powstania
kościuszkowskiego*
Wydawnictwo Uniwersytetu
Jagiellońskiego, Kraków 2013



Naczelnik Tadeusz Kościuszko
(1746 - 1817)

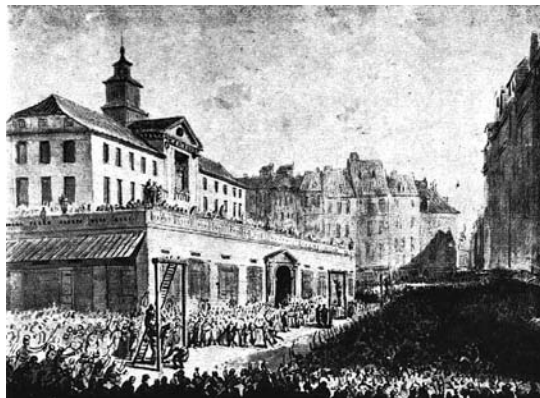
21 XI 1794 r., w którym król uskarżał się imperatorowej na złą sytuację ekonomiczną Rzeczypospolitej, przyrównując ją do pustyni. Znamienna jest też odpowiedź carowej, w której stwierdzała, iż Polska jest sama sobie winna, bo Polacy niepotrzebnie wywołali powstanie. W tym samym liście nakazywała polskiemu monarsze wyjazd ze stolicy do Grodna.

Z kolei manifest Mikołaja Repnina z 17 XII 1794 r., w którym nakazywał on mieszkańcom Litwy bezwzględne posłuszeństwo wobec dyrektyw z Petersburga i odcięcie się od polskich „buntowników”, pokazywał nowe relacje Rosji z tą prowincją Rzeczypospolitej. Odtąd jej obywatele mieli się

modlić za Katarzynę II, która „wyzwoliła ich z obcego ucisku”.

H. Kocój ocenia relacje J.J. Patza, jako bardzo wartościowe źródła do opisu przebiegu insurekcji, zwłaszcza w Warszawie. Wpływ na to miała jego dobra znajomość polskich realiów. Dyplomata ten od 1780 r. pełnił funkcję sekretarza poselstwa saskiego w Warszawie, a od 1792 r. kierował jego pracami. Do jego informatorów należeli m.in. biskup kujawski Józef Rybiński i marszałek Fryderyk Moszyński, szef policji w czasach sejmów grodzieńskiego, podejrzany o powiązania z ambasadą rosyjską.

J. J. Patz nie był przyjazny sprawom polskim czego wyrazem była pełna z jego strony aprobata polityki mocarstw rozbiorowych wobec Rzeczypospolitej. Równocześnie H. Kocój zwraca uwagę, iż wszystko co w jakikolwiek sposób łączyło się z jakobinizmem i rewolucją francuską budziło w nim głęboką odrazę. Zdaniem J. J. Patza, poważną rolę w przygotowaniu powstania miał odegrać były poseł francuski z okresu Sejmu Wielkiego Maria Louis Descorches. Powstaniu kościuszkowskiemu, mimo zwycięskiej batalii raclawickiej wróżył szybki upadek i był do niego nastawiony nieprzychylnie. Jako głównych przywódców insurekcji



Wieszanie zdrajców. Rys. Piotr Norblin (1745-1830)

wskazywał Ignacego Potockiego i Hugona Kołłątaja, którego uważał za intryganta podburzającego lud stolicy do wystąpień rewolucyjnych w maju i czerwcu 1794 r. Ściśle trzymając się instrukcji napływających od ministra Johanna Adolfa Lossa z Drezna, unikał składania jakichkolwiek urzędowych oświadczeń i dlatego nawet wówczas, gdy spotykał się z ministrem spraw zagranicznych Ignacym Potockim, podkreślał nieoficjalny charakter rozmów.

W depeszy z 7 V 1794 r. donosił o ujawnieniu opinii publicznej zawartości archiwów rosyjskiej ambasady w Warszawie. „Krażą pogłoski pisał - J.J. Patz - że po zbadaniu archiwów rosyjskich wiele osób zarówno ze sfer wyższych, jak i niższych zostanie skompromitowanych. Nazwisko króla polskiego i jego rodziny powtarza się w tych pismach wielokrotnie. Toteż on i jego krewni są niezwykle przygnębieni z tego powodu. Prymas nie nocuje już w swoim pałacu, lecz zawsze przebywa w zamku z królem. Powiadają, że obawia się aresztowania”².

J. J. Patz 10 V 1794 r. z wyrazami niechęci i oburzenia relacjonował o przebiegu egzekucji wykonanych na przywódcach targowicy: „Od momentu dotarcia tu wiadomości o powieszeniu w Wilnie hetmana [wielkiego litewskiego Szymona Marcina - Z.J.] Kossakowskiego za zbrodnie zdrady stanu pospólstwo domagało się natarczywie stracenia czterech więźniów. Aby uspokoić wzburzone umysły, przewieziono ich w nocy 7 bm. z Pałacu Rzeczypospolitej do piwnic prochowni, gdzie mieści się więzienie dla przestępców kryminalnych. Jakkolwiek mieszkańcy stolicy mniemać mogli, że zbrodnie pozostaną bezkarne, to jednak wczoraj o brzasku wzniesiono trzy szubienice przed ratuszem i czwartą na Krakowskim Przedmieściu, naprzeciw kościoła Bernardynów, nad nimi zaś widniał napis: »Kara dla zdrajców Ojczyzny«. Jednocześnie zmuszono sędziów do wydania wyroku śmierci na owych czterech więźniów z natychmiastowym jego wykonaniem, i faktycznie stało się to wczoraj. Hetman



Hetman Szymon Marcin Kossakowski (1741-1794)



Józef Ankiewicz (ok. 1750-1794)



Biskup Józef Kazimierz Kossakowski
(1738-1794)

wielki [koronny Piotr - Z.J.] Ożarowski, hetman polny [litewski Józef - Z.J.] Zabięło i marszałek Rady Nieustającej [Józef - Z.J.] Ankwicz³ zostali powieszani około południa na trzech szubienicach przed ratuszem Starego Miasta. Mimo próśb i nalegań nuncjusza apostolskiego, zwracającego uwagę na kapłański stan biskupa [inflancko-piltyńskiego Józefa Kazimierza - Z.J.] Kossakowskiego, nieszczęśliwiec ten również został powieszony na czwartej szubienicy, wzniesionej przed kościołem Bernardynów. Przedtem pozbawiono go godności kapłańskich, jakkolwiek odbyło się to niezgodnie z rytuałem obowiązującym w kościele rzym-

skim. Wypadek ten wyrzuci niewątpliwie bardzo niekorzystne wrażenie w Stolicy Apostolskiej⁴, a także na innych europejskich dworach. W tak drastycznych metodach działania J. J. Patz dopatrywał się podobieństw między Polską, a rewolucyjną Francją.

Opinię tą utrwaliły w saskim dyplomacie wydarzenia z 28 VI 1794 r., gdy lud Warszawy przystąpił do wieszania zdrajców. Pisał on: „W nocy z piątku na sobotę postawiono 6 szubienic na Rynku Starego Miasta; na jednej zawisł [sekretarz do spraw tureckich w Departamencie Interesów Cudzoziemskich Rady Nieustającej Karol - Z.J.] Boscamp-Lasopolski, na drugiej szambelan [Stefan - Z.J.] Grabowski i instygator [koronny, intendent policji, szpieg i jurgieltnik rosyjski Mateusz - Z.J.] Roguski, na trzeciej instygator [sądów kryminalnych Józef - Z.J.] Majewski i [pracownik policji, szpieg i jurgieltnik rosyjski Marceł - Z.J.] Piętka. Na czwartej szubienicy, wystawionej na Krakowskim Przedmieściu, powieszony został adwokat {Michał Franciszek - Z.J.] Wulfers, a na piątej, wzniesionej przed pałacem hrabiego Branickiego, książe [Antoni Stanisław Światopełk - Z.J.] Czetwertyński, zaś na szóstej, przed pałacem Bruhla, biskup [wileński Ignacy Jakub - Z.J.] Massalski. Wszyscy zostali powieszani bez żadnego procesu sądowego i nie przez kata, ale rękami pospólstwa, w sposób jak najbardziej barbarzyński⁵.

Równie ostro oceniał aresztowanie Josefa Auberta, radcy ambasady rosyjskiej, któremu odmawiano statusu członka korpusu dyplomatycznego. „Pospólstwo - pisał J.J. Patz - wbrew wszelkiemu rozsądkowi, domaga się wszczęcia przeciwko niemu procesu kryminalnego, gdyż w archiwach generała Osipa Andriejewicza Igelstroema znaleziono listę proskrypcyjną przeciwników Rosji pisaną jego ręką⁶.

Reprezentant Wettynów donosił także o bezwzględności i mściwości wojsk rosyjskich dopuszczających się zbrodniczych okrucieństw i gwałtów na bezbronnej ludności wsi i miasteczek. W depeszy z 30 IV 1794 r. pisał: „Rosyjscy uciekinierzy dopuszczają się prawie wszędzie niezwykle okrucieństw. Zabijają mieszkańców wsi i rabują ich zabudowania”⁷. Ponadto w tejże relacji zwracał uwagę na ogromny wysiłek władz powstańczych, by zapewnić Warszawie należytą obronę w razie ataku Rosjan⁸.

Momentem przełomowym była klęska Tadeusza Kościuszki poniesiona pod Maciejowicami, o której 15 X 1794 r. donosił:

„że Kościuszko [...] ranny dostał się do niewoli niemal z całym sztabem i generałami: [Karolem - Z.J.] Sierakowskim, [Michałem Ignacym - Z.J.] Kamińskim i innymi. Wszystkie działa w liczbie 25 do 30 sztuk stracono. Żołnierze polegli albo dostali się do niewoli, lub rozproszeni w małych grupkach ciągną ku Warszawie, wszyscy nieludzko zmęczeni i bez broni. Rozpacz maluje się na ich twarzach”⁹. W tej sytuacji nie widział już wielkich szans dla powstania. W jego mniemaniu Polacy „rozpoczynając wojnę, nie dysponowali dostateczną ilością broni palnej. Dlatego też uzbroili chłopów w kosy i piki. Dziś - relacjonował J.J. Patz - sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu, skoro w obu operacjach Karola Sierakowskiego i Tadeusza Kościuszki utracono 8000-10000 sztuk broni palnej”¹⁰. Ponadto zwracał on uwagę na takie czynniki, jak zawężone terytorium będącego pod kontrolą powstańców, brak możliwości poboru rekruta i czasu na jego wyszkolenie, gdy wróg stał u bram stolicy.

W liście z 24 XII 1794 r. już po zajęciu przez Rosjan Warszawy interesujące jest omówienie depeszy Katarzyny II do Stanisława Augusta. Imperatorowa radziła królowi „opuścić jak najszybciej to grzeszne i przestępcze miasto” i udać się do Grodna, „gdzie znajdzie wszystkie wygody, jakich tylko zapragnie, zgodnie z wydanymi już przez nią rozkazami w tej sprawie”¹¹. Ten sam kurier przywiózł także rozkazy dla feldmarszałka A. Suworowa, dotyczące uwięzienia i uprowadzenia do Rosji głównych przywódców powstania na czele z marszałkiem litewskim Ignacym Potockim, któremu wcześniej zaręczył bezpieczeństwo.

Zwycięzcy myśleli już tylko o podziale łupów. A. Suworowowi carowa podarowała brylantową szlifę do kapelusza i 3 zdobyczne armaty. Na wieść o zdobyciu Warszawy po odczytaniu raportu A. Suworowa: „Hurra! Warszawa nasza!” Katarzyna II odpisała: „Hurra feldmarszałku!” Wraz



Książę Antoni Stanisław Czetwertyński
(1748-1794)

z nominacją feldmarszałek otrzymał buławę wysadzaną diamentami i 7000 dusz chłopskich. Franciszek II przesłał mu swój portret, a Fryderyk Wilhelm II gwiazdę orderu Orła Czarnego. Oficerów nagrodzono złotymi krzyżami na wstędze św. Jerzego z napisem „Praga wzięta 24 X 1794 roku”, każdy podoficer i żołnierz dostał medal i jednego rubla. Były jeszcze inne profity z tej wyprawy, o których mówiła pieśń żołnierzy Aleksandra Wasilijewicza Suworowa pt. *Idiom grabit Polszu*.

Mimo nieprzyjaznego stosunku do powstania J.J. Patz zdobył się na obiektywną charakterystykę jego przywódcy Tadeusza Kościuszki. Już po bitwie maciejowickiej napisał: „Mówiąc szczerze, był on pośród wszystkich rewolucjonistów człowiekiem najbardziej uczciwym, prawym i moralnym. Swą wrodzoną uprzejmością, skromnością i oszczędnością, którą do końca zachował, zasłużył sobie na entuzjazm, którym darzyło go społeczeństwo”¹².

Według H. Kocója pewną wartość posiadają również inne drobiazgowy i z pozoru drugorzędne spostrzeżenia dotyczące spraw zagranicznych, możliwości wybuchu wojny rosyjsko-tureckiej, a także niedoborów w uzbrojeniu armii powstańczej. Pełne dramaturgii były doniesienia dotyczące schyłku powstania i przygotowań Stanisława Augusta do opuszczenia Warszawy. W szczególności zaś relacja opisująca spotkanie Poniatowskiego z Mikołajem Wasilijewiczem Repinem w Grodnie, który ostentacyjnie oświadczył królowi, iż „Nie ma już Polski” i zakazywał jakiegokolwiek korespondencji z byłymi przywódcami insurekcji. Jest to dalszy ciąg upokorzeń, jakie musiał znosić Stanisław August ze strony swej mocodawczyni od czasów sejmu grodzieńskiego 1793 r., na którym zapadła uchwała o przywróceniu Orderu *Virtuti Militari*. J.J. Patz w depeszy z 1 I 1794 r. donosił o głębokim niezadowoleniu, jakie z tego tytułu Katarzyna II wyraziła wobec Polski. Chcąc załagodzić oburzenie carycy, król po konsultacjach z przedstawicielami Rosji w Warszawie – Jakowem Jefimowiczem Sieversem i Osipem Andriejewiczem Igelstroemem – zwołał posiedzenie Rady Nieustającej, w czasie którego postanowiono zakazać noszenia tych orderów zarówno w kraju, jak i za granicą oraz wysłać specjalną deputację z pokornymi przeprosinami do Petersburga¹³. „W raporcie z 29 I 1794 r. poseł saski donosił o tym, że z Rosji nadeszła pozytywna odpowiedź o usatysfakcjonowaniu cesarzowej w związku z przesłanymi do Petersburga pokornymi prośbami Rady Nieustającej o wybaczenie”¹⁴. Jego uwagi nie uszło, iż podporządkowanie Rosji, uległość i służalczość władz polskich ze Stanisławem Augustem na czele wywoływała silne emocje wśród Polaków. Według J.J. Patza powodem szczególnie wzburzenia był uniwersał o kasacji polskich odznaczeń wojskowych. Odbierano to jako wielkie poniżenie. Zachowanie takie nie było zgodne z tym, czego obywatele powinni oczekiwać od suwerennego państwa¹⁵.

Jego upadek był jednak bliski. „Nazajutrz po wyjeździe króla, pan Diwow, radca poselstwa rosyjskiego, udał się do ministrów cudzoziemskich, by oznajmić im zgodnie z poleceniem feldmarszałka A. Suworowa, że z chwilą wyjazdu króla do Grodna ustaje działalność wszystkich misji zagranicznych w Warszawie”¹⁶.

Podobnie jak J.J. Patz, oceniał powstanie i międzynarodowe uwarunkowania saski minister spraw zagranicznych Johann Adolf Loss. Jednak zdaniem H. Kocója ważniejsze od korespondencji Patza z Lossem są doniesienia posła saskiego w Berlinie - Friedricha Zinzendorfa. „Ten dyplomata saski - według badacza - tkwił głęboko w centrum wielkiej polityki międzynarodowej i powstanie polskie oceniał z uwzględnieniem dalekosiężnych interesów Prus i Rosji. Rezydując w doborowym towarzystwie dyplomatów pruskich, rosyjskich, austriackich i angielskich, potrafił sobie wyrobić własny pogląd na politykę wielkich mocarstw wobec polskiego zrywu niepodległościowego i z tej perspektywy omawiał szansę polskich powstańców w starciu z głównymi potęgami europejskimi”¹⁷.

Udostępnienie szerokiemu gronu czytelników tak ważnych i cennych materiałów źródłowych jest dużej rangi wydarzeniem naukowym. Zbiór depeš i not jest bardzo obfity, liczy w sumie kilkaset listów. Opublikowano je w układzie chronologicznym, dzieląc na części stosownie do autorstwa. Precyzyjny ich wykaz na początku książki bardzo ułatwia korzystanie z tej obszernej pracy i pozwala na szybkie odnalezienie konkretnego listu. Każda z depeš została opatrzona sygnaturą archiwum, nazwiskiem nadawcy i adresata oraz miejscem i datą nadania. *Aneks* znajdujący się na końcu, prezentujący dla przykładu faksymile oryginalnych not i depeš, daje wyobrażenie, jaką pracę wykonał H. Kocój, aby odczytać i rozszyfrować treść dyplomatycznej korespondencji. Jedynym mankamentem dzieła jest brak indeksu osobowego oraz literówka w nazwisku Kamiński na str. 30. Autorowi zapewne chodziło o Michała Ignacego Kamińskiego (1758-1815), który w 1792 r. walczył przeciwko interwencji rosyjskiej i odznaczył się pod Wiszniopolem, uzyskał awans w 1793 r. na pułkownika i został kawalerem Krzyża Orderu *Virtuti Militari*. Z kolei 10 IV 1794 po wyróżnieniu się w bitwie pod Szczekocinami awansował na generała majora, a pod Maciejowicami dostał się do niewoli rosyjskiej.



Biskup Ignacy Jakub Massalski
(1727-1794)

Dzięki ogromnemu wysiłkowi autora i jego erudycji otrzymaliśmy pracę ważną, stanowiącą wartościowe i wieloaspektowe uzupełnienie obrazu insurekcji kościuszkowskiej. Opublikowana w oryginalnej wersji językowej korespondencja saskich dyplomatów jest pierwszorzędym źródłem do głębszego poznania antypowstańczych działań wrogich Polsce dworów. Książka zasługuje na szczególną uwagę badaczy zajmujących się zgłębianiem meandrów dyplomacji w dobie oświecenia, a także historyków wojskowości.

PRZYPISY:

1 M. Serwański: *Dorobek naukowy profesora Bronisława Dembińskiego* [w:] *Bronisław Dembiński (1858-1939). Wybitny historyk, polityk i działacz społeczny*. Pod red. W. Jastrzębskiego, Wyd. A. Marszałek, s. 82.

2 H. Kocój: *Dyplomaci sascy wobec powstania kościuszkowskiego*. Kraków 2013, s. 26, 57; Saechsiches Hauptstaatsarchiv Dresden, 10026 Geheimes Kabinett, Loc. 3577/3, No 36. Patz a Loss, Varsovie, le 7 mai 1794, ps a Dresde, le 17 mai 1794, p. 302-305.

3 J. Ankwicz został mianowany przez władze konfederacji targowickiej komisarzem Komisji Edukacji Narodowej Koronnej. Był członkiem konfederacji grodzieńskiej 1793 roku. Na sejmie grodzieńskim w 1793 roku został mianowany przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego członkiem deputacji do traktowania z posłem rosyjskim Jakowem Jefimowiczem Sieversem. Na posiedzeniu 23 września wobec milczącego oporu izby przeciw wnioskowi o zgodę na nowy zabór pruski, oświadczył, że „milczenie oznacza zgodę”. Pod koniec obrad sejmu grodzieńskiego został marszałkiem Rady Nieustającej przy poparciu rosyjskiego ambasadora..

4 H. Kocój: *Dyplomaci sascy wobec powstania kościuszkowskiego*, Kraków 2013, s. 26.

5 Tamże, s. 28.

6 Tamże, s. 27.

7 Tamże, s. 25.

8 Tamże, s. 26.

9 Tamże, s. 30.

10 Tamże.

11 Tamże, s. 31.

12 Tamże, s. 17.

13 Tamże, s. 18, 53.

14 Tamże, s. 18.

15 Tamże.

16 Tamże, s. 32.

17 Tamże, s. 34.

RAZEM W WALCE O WOLNOŚĆ I W DRODZE NA POWSTAŃCZĄ GOLGOTĘ. WSPOMNIENIE O DOMINIE BRANDYSIE I AUGUSTYNIE KADŁUBKU

Domin Brandys, powstaniec śląski, bojowiec Rudolfa Kornkego¹, działacz Związku Powstańców Śląskich i Związku Obrony Kresów Zachodnich Polski, z zawodu restaurator, urodził się 4 sierpnia 1897 r. w Bytomiu. Był synem Jana, robotnika kopalni „Rozbark”, i Luizy z domu Haase. Ojciec Domina Giovanni Prandi Przybył na Górny Śląsk w poszukiwaniu pracy z dalekich Włoch i uległ polonizacji. Z czasem rodzina zaczęła używać pisowni nazwiska Brandy, a później Brandys.

Od 6 marca 1916 r. do listopada 1918 r. Brandys odbywał służbę w armii niemieckiej cesarza Wilhelma II, przydzielony do jednostki marynarki wojennej w Hamburgu.

Następnie wrócił do Bobrka, gdzie mieszkał, i nawiązał kontakt z polskim ruchem niepodległościowym. Po przeszkoleniu został zaprzysiężonym członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska - 7 lipca 1919 r.

W powstaniach śląskich walczył m.in. w stopniu plutonowego pod komendą Karola Szrajbera w Rudzie Śląskiej. W trzecim powstaniu bił się jako żołnierz II batalionu 4 k.k.m. 16 Pułku Piechoty. Kompanią dowodził Waliczek, a batalionem Bartłomiej Nowak. Istotnym szczegółem była przynależność Brandysa do grupy bojowej Rudolfa Kornkego, który za brawurę i odwagę darzył go dużym zaufaniem, a nawet przyjaźnią. Na jego polecenie Brandys zajmował się m.in. ochroną polskich wieców i lokali plebiscytowych. Brał ponadto udział w bitwie o Górę św. Anny.

W okresie kampanii plebiscytowej i powstań przez pewien czas ukrywał się, gdyż Niemcy za jego głowę wyznaczili wysoką nagrodę. W 1922 r. po podziale Śląska musiał uchodzić z Bytomia, który znalazł się w granicach państwa niemieckiego, i osiadł na stałe w Siemianowicach Śl., gdzie 12 maja 1924 r. poślubił Łucję Buroń. Rodzinę utrzymywał, prowadząc najpierw skup żelaza i metali, a później restaurację.



Domin Brandys (Prandi)



Domin Brandys na sokolni

Do bliskich przyjaciół Domina Brandysa, oprócz Rudolfa Kornkego i Karola Szrajbera, należy również zaliczyć jego szwagra, znanego działacza narodowego Augustyna Kadłubka (męża Marii Julii Brandysówny) dowódcę kompanii „Bobrek”. Łączyły go także bliskie więzi z Hugonem Hanke, Janem Wilimem, Józefem Dreyzą, Henrykiem Kopcem i Józefem Morkisem. Wszyscy oni spotykali się w mieszkaniu D. Brandysa przy ulicy Juliusza Ligonia 4, a później Michałkowickiej 45. Szczególnym sentymentem darzył uchodźców, do których sam się zaliczał. Z tego względu bardzo często uczestniczył w manifestacjach na rzecz zjednoczenia z Polską całego Górnego Śląska.

Domin Brandys wyróżniał się szczególnie jako aktywny działacz siemianowickiego oddziału Związku Powstańców śląskich, którego przez pewien czas był wiceprezesem oraz jako członek Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny. W 1926 r. po przewrocie majowym i podziale powstańców na tzw. „korfanciarzy” i „sanacyjnych”, D. Brandys przystąpił do drugiej z wymienionych grup, popierając tym samym orientację swojego byłego dowódcy Rudolfa Kornkego. Za działalność niepodległościową otrzymał od nowego wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego, statwę powstańca śląskiego i dyplom z medalem pamiątkowym. W 1935 r. odbył specjalne przeszkolenie w dowodzonym przez płk. Józefa Tunguza-Zawiślaka, 84 Pułku Strzelców Poleskich w Pińsku, uzyskując w następnych latach stopień oficerski.

Domin Brandys rzadko rozstawał się z mundurem powstańczym. W mieście był znany ze swej bezkompromisowej postawy antyniemieckiej; często uczestniczył w starciach byłych powstańców z działającymi w mieście bojówkami organizacji niemieckich. W pochodach trzecioma-jowych najczęściej brał udział, jadąc konno na czele grupy powstańców.

W sierpniu 1939 r. wstąpił do powstańczego oddziału samoobrony. Już na początku wojny członkowie miejscowego Freikorpsu podjęli nieudaną próbę pojmania Brandysa, który wraz z innymi powstańcami zdążył jednak opuścić Siemianowice, w ślad za wycofującym się Wojskiem Polskim. Kampanię wrześniową zakończył w Sanoku, gdzie dostał się do niewoli. Zwolniony w październiku 1939 r. przybył na Śląsk i aby uniknąć aresztowania ukrył się u rodziny w Mikulczycach pod Zabrzem,

a następnie uszedł do Generalnej Guberni i schronił się w Czeladzi. Rozpoznany i pobity przez hitlerowców do nieprzytomności (naliczono 37 ran na samej tylko głowie) został przewieziony do więzienia przy ulicy Mikołowskiej w Katowicach, gdzie był przetrzymywany przez około 10 miesięcy. Tutaj ponownie zetknął się ze swoim znajomym Józefem Dreyzą. Niemcy zatrudnili ich, wraz z innymi powstańcami, do „porządkowania” mebli po wysiedlonych Polakach, składowanych chwilowo w Muzeum Śląskim w Katowicach.



Odnazka 84 Pułku Strzelców Poleskich

Domin Brandys po namyśle zrezygnował z przygotowywanej wówczas ucieczki, wychodząc z założenia, że hitlerowcy nie mogą wymordować tysięcy powstańców, których prędzej czy później będą musieli wypuścić na wolność. Skoro Niemcy znaleźli swoje miejsce na terytorium Polski w latach 1922-1939, to teraz, w najgorszym wypadku, na pewien czas role się odwrócą. Tymczasem 9 sierpnia 1940 r. wraz z grupą innych powstańców, przewieziono go do z Katowic do obozu koncentracyjnego KL Auschwitz, gdzie został oznaczony jako więzień Polak polityczny (P. Pole) numerem 1463. Zginął 3 grudnia 1941 r. Rodzinę poinformowano, iż zmarł na atak serca.

Z żoną Łucją z domu Buroń miał czwórkę dzieci: synów Karola i Jerzego oraz córkę Citeę i Magdalenę. W 1945 r. wdowie odmówiono pomocy, gdyż jej mąż, działacz sanacyjny, „nie walczył o Polskę Ludową”.

Był odznaczony: Krzyżem na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi (nr legitymacji 8554), Gwiazdą Górnośląską, Odznaką Pamiątkową II Stopnia Federacji Związków Obrońców Ojczyzny (nr legitymacji 81606). Ponadto otrzymał liczne dyplomy i wyróżnienia za udział w powstaniach i akcji plebiscytowej.

Towarzyszem frontowym Domina Brandysa był jego szwagier Augustyn Kadłubek (1895-1042), syn Benedykta i Józefy Barańskiej, urodzony 8 sierpnia w Kopaninie, gmina Lipiny, członek POW G.Śl., uczestnik powstań śląskich, agitator plebiscytowy, w okresie międzywojennym lider NPR w Siemianowicach Śl., działacz narodowy. W lutym 1929 r. z inicjatywy A. Kadłubka



Augustyn Kadłubek

powołano do życia Związek Aktywnych Powstańców i Pracowników Plebiscytowych, członek Związku Obrońców Śląska, członek Prezydium Rady Załogowej Huty „Laura”. W 1939 r. był współorganizatorem oddziału samoobrony huty „Laura”. Aresztowany przez Niemców zginął 26 sierpnia 1942 r. w KL Auschwitz, nr obozowy: 28870, więzień polityczny,



Portret A. Kadłubka wykonany w niemieckim więzieniu w Mysłowicach 16 III 1942 r.

pod datą 27 czerwca 1942 r. notowany w książkach szpitala obozowego - blok 28.

Dnia 16 III 1942 r. jeden z współwięźniów w Mysłowicach, podobno plastyk krakowski, na kartonie po butach narysował portret A. Kadłubka. Na tej podstawie można domniemywać, iż Domin Brandys (Prandi) i Augustyn Kadłubek w KL Auschwitz nigdy się nie spotkali.

Augustyn Kadłubek był żonaty z Marią Julią Brandy (ur. 8 XI 1895 r.) siostrą Domina, z którą miał córkę Dorę.

Pułkownik Jan Emil Stanek, w trzecim powstaniu śląskim dowódca 1 Dywizji Powstańczej, w swoich zapiskach wspomina Domina Brandysa (Prandiego) i Augustyna Kadłubka, jako jednych z najdzielniejszych uczestników walki o polski Górną Śląsk².

PRZYPISY:

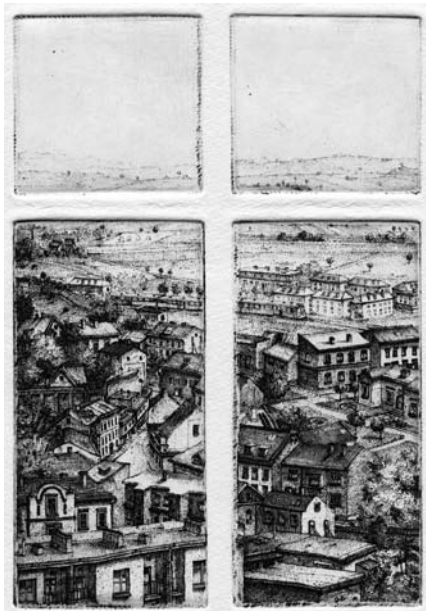
1 Z. Janeczek: *Poczet dowódców powstań śląskich. 1919-1920-1921. Wybrane sylwetki*. Katowice 2009, s. 227-234,

2 Z. Janeczek: *Zapomniany dowódca. Pułkownik Jan Emil Stanek (1895-1961)*. Siemianowice Śl. 2007, s. 90-91.

OKNA ŚLĄSKIEJ DUSZY

Zabrze, Ruda Śląska i Chorzów - to miejsca na mapie Śląska, które w sposób szczególny łączą dwóch artystów: grafika Jana Szmatlocha i fotografika Arkadiusza Gołę. Jan Szmatloch urodzony w Rudzie Śląskiej, mieszka w Chorzowie. Arkadiusz Gola jest zabrzezaninem. Ale nie wynikałoby z tego faktu nic więcej, gdyby nie dzieła, które tworzą. Grafiki Jana Szmatlocha, zwłaszcza te tworzące cykle „Okna”, „Bez adresu” czy najnowszy „Kalendarz śląski”, to swoisty portret wewnętrzny Śląska - jego skomplikowanej przeszłości pokazywanej poprzez dzieje rodzin czy domów, ale to także zachowane obrazy z dzieciństwa, przetworzone przez człowieka dojrzałego, ciągle zrosniętego z tkanką tego, co w tych miejscach najbardziej mu było i jest bliskie, a co, w coraz szybszym tempie, odchodzi - często niepostrzeżenie, z dnia na dzień. Są jednak ciągle miejsca, do których wraca - a jeśli ich już nie ma fizycznie, to tkwią one głęboko w jego wyobraźni i duszy.

Okno dla całej serii jego grafik, właśnie pod tym tytułem, stało się symbolem dziejów, zwyczajnych zdarzeń, jakich doświadczmy na co dzień. Przez okno zaglądamy do wnętrza domostw, w których rozgrywały się dzieje poszczególnych rodzin, a zarazem poprzez które wdzierają się w ich życie historia: dramaty pokoleń, może emigracje, odejścia bliskich, nawet zawieruchy polityczne i społeczne, które - jak widać w jednej z prac - zasłaniają swoje wnętrza, swoje tajemnice, przed niepowołanymi obserwatorami zewnątrz - jak podczas mrocznych dni stanu wojennego początku 80. lat minionego wieku. To historia, która wdarła się do środka, dotknęła nie tylko „jakichś” ludzi, ale często bliskich,



Jan Szmatloch, *Okno II*, 1978, akwaforta



Jan Szmatoch, *Okno*, 1976, akwaforta

niczyje - nie obchodzi nas już historia tych miejsc, nie dbamy o losy mieszkających w nich niegdyś ludzi. Pootwierane na oścież, często z z powybijanymi szybami okna, chociaż ciągle jeszcze wpuszczają do wnętrza promienie słońca i oświetlają jego wnętrze, same pozostają puste. Nie odbijają pór roku, nie oczekują na nikogo, są niczyje, zaniebane, zapomniane. Pozostają takie, jak my sami - obojętni, dążący do ciągłych zmian. Pozostają skazane na destrukcję, na odejście w nicłość. Są zbędnym elementem nowoczesnej rzeczywistości, przeszkodą w rozwoju i modernizacji. Lecz to nie zarzut, a raczej kolej rzeczy. Tylko, że tych okien żal...

Chcąc pokazać bliskie relacje, jakie zachodzą pomiędzy twórczością Jana Szmatocha i Arkadiusza Goli, ogromnego dorobku fotograficznego Goli wybrałam te prace, których bohaterami są także okna. Patrząc na te prace można odnieść wrażenie, że to często te same okna, tych samych domów - familoków, o których w swoich grafikach opowiada Jan Szmatoch.

Arkadiusz Gola to artysta z tych samych stron, co Jan Szmatoch. Zabrze, Ruda Śląska, Chorzów czy pobliskie Świętochłowice, Siemianowice, Katowice ze swymi ciągle istniejącymi zakątkami przemysłowych, robotniczych osiedli, to miejsca dla nich magiczne - związane z urodzeniem i dzieciństwem, ale też z życiem codziennym. Mimo, iż obaj funkcjonują w szerokim świecie sztuki (nomem omen graficznej: akwaforty, akwatinty i fotografii), w polu ich zainteresowań są podobne tematy.

Okno dla obu artystów jest zdecydowanie czymś więcej niż tylko tematem kolejnej grafiki czy zdjęcia. Gola z aparatem wędruje po miejscach niezwykłych, poszukując zwykłych ludzi, codziennych a czasem odświętnych sytuacji - z nich odczytuje ich wrażliwość, sposób myślenia

przyjaciół, znajomych. To trauma z młodości, to wewnętrzne rozdarcie, jakże często osobiste doświadczenie. Ale to też chwile radosne, a potem rozstania... Na korzeniu jednego domu, wyrastały kolejne zdarzenia, zakwitwały, obumierały i tak ciągle od nowa. Jedyną opoką był i ciągle jest ten jeden, konkretny dom, to konkretne okno. Dziś często te domostwa są

i widzenia świata – tego bliskiego i tego dziejącego się „gdzieś”, często wrogiego, obcego, niezrozumiałego, ale pojmowanego według wartości, które wyznają, i w które wierzą. Rozmawia ze swoimi bohaterami, poznaje ich, a każde zdjęcie to prawdziwa historia, jak najprawdziwszych ludzi. Często banalna, czasem zaskakująca. Kiedy pracuje, nie daje bohaterom swoich zdjęć odczuć, że są podglądani. Przebywa z nimi, bo sam jednym z nich Potrafi zjednywać sympatię, a otwartości zaufanie to kolejny etap jakże często żmudnej pracy. Tylko wtedy łatwiej jest pokazać rzeczywistość tę nie udawaną, choć kreacja, która jest nieodłącznym elementem także fotografii dokumentalnej, bo ukazuje wybrany przez realizatora ten a nie inny wyimek rzeczywistości, tworząc często kontekst do cyklu zdjęć, nie jest nachalna.

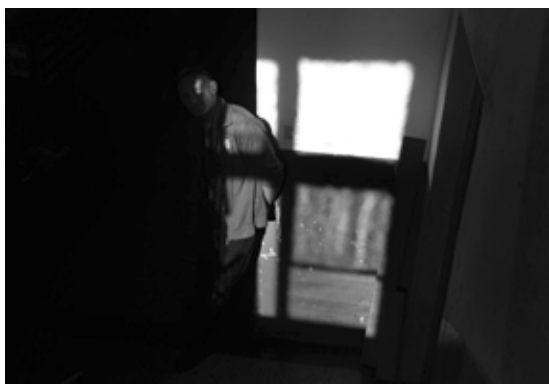
Gola poprzez swoje subtelne działania dopatruje się w obrazie zapamiętanym na cyfrowej matrycy fotograficznej sytuacji symbolicznych, chociaż dotykających konkretnej rzeczywistości. Tworzy w swoich obrazach trzeci wymiar – anegdota towarzysząca konkretnej sytuacji zamienia się w treść naddaną, pozostając nadal prostym, oczywistym przekazem.

Okna Arkadiusza Goli, podobnie jak okna Jana Szmatlocha to zaproszenie do poznania zwykłych sytuacji, zwykłych ludzi, ich radości i trosk. Poprzez te okna otwierają się ich dusze. Te śląskie domy, familoki, w których przyszło im mieszkać pewnie już od kilku pokoleń chłoną życie, które



Arkadiusz Gola, *Okno 1*

re toczy się nadal: jak życie ojca, który przed dziesiątkami lat szedł codziennie tą samą drogą, o tej samej godzinie, na szychtę do kopalni czy huty, z torbą przenikniętą zapachem chleba ze smalcem, jak życie żony – matki, która wypatrywała jego powrotu, czekała, opierając się na parapecie okna na wykrochmalonej poduszce, jak syn czy córka bawiące się przy klopszandze na czarnym od sadzy podwórku, a dziś wsiadające do swoich samochodów i jadące do pracy w jakiejś firmie, albo raz w miesiącu zdążające do pobliskiego pośredniaka, w oczekiwaniu na pracę... Kiedy jednak nadchodzą dni odświętne, wykonują podobne prace do tych, jakie wykonywały ich matki i babki – trzepią dywany, stroją okna na



Arkadiusz Gola, *Okno 2*

przez dziewczynki w białych komunijnych sukienkach płatki kwiatów, które uścieliły dywan, po którym dostojnym krokiem zmierza ksiądz pod baldachimem z monstrancją w rękach... Wtedy ten świat jakby się zatrzymuje się, i mimo toczących się wokół zmian, pozostaje niewzruszony. Jak te familoki z odrapanymi, łuszczącymi się ścianami, tu i ówdzie jeszcze zachowanymi drewnianymi oknami, albo z tymi chętnie wstawianymi - plastikowymi, nijak nie pasującymi do całości, ale będących oznaką nowych czasów. Życie się toczy, a domy stoją.

Jednak podczas kiedy Gola fotografuje sytuacje zastane, Jan Szmatoch wydobywa je z zakamarków pamięci. W swoje śląskie okna wstawia fotografie wyjęte z ramek, które jeszcze chwilę temu zdobiły ściany albo zapępniały gęsto zastawioną bibelotami nocne stoliki lub stołowe bufety, albo królowały w domowych albumach. Sepiowane obrazy przywołują dawne historie, osoby, które niekoniecznie związane były z konkretnym miejsce,



Jan Szmatoch, *Kolonia Karola*, 2012, akwaforta

Boże Ciało, szykują ołtarze, ubierają kolorowe sukienki a ich mężowie, bracia, narzeczeni białe koszule i garnitury, i w może mniejszej niż niegdyś grupie podążają do kościoła, by po chwili wolnym krokiem kroczyć z modlitwą w uroczystej procesji obok twych udekorowanych okien. Depczą po świeżo wysypanych z koszyczków

ale przypominają o przeszłości. Szmatoch zdaje się pokazywać to samo okno, ale wypełnia je różnorodną treścią. Czas przepływa przez okienne ramy otwarte na oścież, chłoną to co na zewnątrz, jednocześnie pokazując wnętrze, a liche światło rozjaśnia ledwo zarysowane wnętrza. Niedomknięte drzwi, pustka i tylko ta fotografia w oknie...

Niezwykły w pracach zarówno Jana Szmatlocha i Arkadiusza Goli jest właśnie czas. Można nałożyć na siebie niektóre z ich prac - wtedy utworzą zadziwiającą całość: czas miniony, czas historyczny i teraźniejszość trwającą w tym samym, domu. Zachwycająca świadomość przemijania u jednego z nich i - u drugiego - chęć utrwalenia chwili, która za moment dla osób postronnych będzie już tylko czasem przeszłym, symbolem i znakiem obecności kogoś lub czegoś. Tylko symbolem.

Szmatloch i Gola - artyści różnych pokoleń, wyrosli z innych artystycznych źródeł, o innych temperamentach twórczych, posługujący się innymi narzędziami, ale połączeni geografią i *genius loci* miejsc, z których się wywodzą, ale od dziesiątek lat są ich codziennością. I ich Śląsk - widziany poprzez dzieła, które są jak okna do wnętrz ich dusz, śląskich dusz.

Arkadiusz Gola - rocznik 1972. Doktorant Instytutu Kreatywnej Fotografii Uniwersytetu Śląskiego w Opawie (Czechy), fotoreporter prasowy związany z „Dziennikiem Zachodnim”. Członek Związku Polskich Artystów Fotografików. Zajmuje się fotografią dokumentalną, głównie rejestrującą zmiany zachodzące w społeczeństwie na Górnym Śląsku po 1989



Arkadiusz Gola, z cyklu *Dziewczyna z dywanem*

roku. Szczególnie interesują go miejsca związane z przemysłem ciężkim. Jako fotoreporter prasowy pracuje od 1991 roku. Od osiemnastu lat w redakcji „Dziennika Zachodniego” w Katowicach. Zdobył nagrody w najważniejszych ogólnopolskich konkursach fotografii prasowej (BZ WBK Pressfoto, Newsreportaż, Grand Press Photo, Śląska Fotografia prasowa). Dziennikarz Roku 2003 „Dziennika Zachodniego”. Zdjęcia w zbiorach Muzeum Śląskiego, Muzeum Historii Katowic, Muzeum Miejskiego w Zabrze, Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze, Muzeum Historii Fotografii w Krakowie, Muzeum Umeni w Ołomuńcu oraz we Francji w regionie Nord Pas de Calais (projekt „Górnicy świata”). Autor albumów: „Ludzie z węgla”, „Nie muszę wracać...”, „Stany graniczne”. Wystawy w kraju i za granicą (Czechy, Francja, Niemcy, Belgii, Słowacja). Mieszka w Zabrzu.

Jan Szmatloch - ur. w 1950 roku w Rudzie Śląskiej. Studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Grafiki w Katowicach (1974), dyplom w pracowni projektowania Graficznego u doc. Tadeusza Grabowskiego. Od 1974 roku pedagog w katowickiej Filii ASP w Krakowie - obecnie Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Pracuje w Katedrze Grafiki Warsztatowej, gdzie kieruje Pracownią Druku Wklęsłego. W 1990 roku otrzymał tytuł naukowy profesora zwyczajnego sztuk plastycznych. Od 1979 roku mieszka w Chorzowie: aktywnie uczestniczy w życiu artystycznym miasta (m.in. od 1999 członek Rady programowej Miejskiej Galerii Sztuki „M&M”). W 2005 roku otrzymał Nagrodę Prezydenta Miasta Chorzowa w Dziedzinie Kultury. Uprawia grafikę warsztatową (akwaforta, akwatinta), rysunek. Główne cykle graficzne: „Okna”, „Zwrotnice”, „Bez adresu”, „Martwe natury”, „Skarpy”, „Kalendarz śląski”.

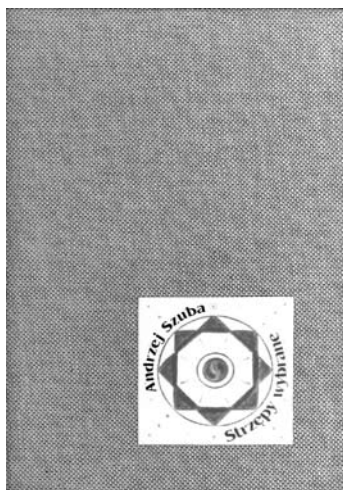
PRZESTRONNE MILCZENIE ANDRZEJA SZUBY

Od dawna czytam i myślę o poruszającej, maksymalistycznej liryce przyjaciela z Katowic, poety i wspaniałego tłumacza literatury anglojęzycznej, Andrzeja Szuby.

Szuba (urodzony w Gliwicach w 1949 roku) postrzegany jako - prawie - rówieśnik generacji Nowej Fali, razem z kolegami ze Śląska, z literackiej grupy „Kontekst”, Włodzimierzem Paźniewskim, Stanisławem Piskorem i Tadeuszem Sławkiem, opublikował w nieodległym czasie od publicystycznej książki Kornhausera i Zagajewskiego *Świat nie przedstawiony* swoją programową pracę o widzeniu zadań współczesnej liryki - *Spór o poezję* (1977). Warto przytoczyć tu kilka myśli zapomnianego nieco literaturoznawcy, Piotra Kuncewicza, który tak opisywał wczesny etap twórczości teoretycznoliterackiej i poetyckiej Szuby w *Leksykonie polskich pisarzy współczesnych*:

„Szuba głosił konieczność zachowania postawy sceptycznej i był najbardziej zdecydowanym przeciwnikiem metafory, którą łączył z, jak to pogardliwie powiadał, »puchryzmem«. (...) W każdym razie jego wiersze - pisał Kuncewicz w 1995 roku - są brutalne i o »pulchryzm« istotnie nie dbają. Szubie nie zależy także na pięknej linii kompozycyjnej, na zgrabnym wykończeniu etc. Domaga się natomiast współpracy od czytelnika w podróży przez ten diabelski świat. Wątek moralny bynajmniej nie jest Szubie obojętny. Jego sceptycyzm jest raczej wojujący. (...) Ale sztandarym bohaterem »antypuchryzmu« będzie oczywiście Kafka”.

Tu Kuncewicz w haśle poświęconym Szubie przypomina wiersz, który katowicki poeta również przytacza w swoich ***Strzępach wybranych II (1980-2010)*** (Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2011), cytuje w tym dobrze skomponowanym wyborze właśnie kilka najważniejszych dłuższych utworów z wczesnej fazy swego poezjopisarstwa. Wiersz traktuje o lękach, o zapowiadanej trudnej relacji ojciec-syn,



Andrzej Szuba
Strzępy wybrane II
Wydawnictwo Miniatura
Kraków 2011

która była dla Franza Kafki jednym z bodźców, „mitów założycielskich”, jego egzystencjalnego pisarstwa, jak i światoodczucia. Przeczytajmy ten – *Franz Joseph K., paździenik 1882* – wciąż aktualny w swoim przesłaniu utwór:

*Herr Hermann Kafka sprzedał dziś z zyskiem
Herr Hermann Kafka kupił dziś bez straty
Herr Hermann Kafka nie obawia się konkurencji
więc czemu miałby się bać chrobotu
karalucha w szafie*

*Hermann Kafka zamyka drzwi do sypialni
Hermann Kafka podchodzi na palcach do łóżka
Hermann Kafka nie boi się karalucha
więc czemu miałby się bać ogromnej
puchowej pierzyny*

*Hermann zatrząskuje drzwi do sypialni
Hermann podkrada się do łóżka
Hermann nie boi się robaka
więc czemu nie miałby pragnąć mieć syna”*

Julia Kafka wtula głowę w mokrą poduszkę

Franz Kafka urodził się w lipcu 1883 roku. Pisał o nim gdzie indziej, jak konstatuje Kunczewicz, Szuba: „pisał tak, jakby znał życie ze słyszenia i śmierć z autopsji”.

Wydaje się, że to ważny patron i istotny trop w liryce Szuby, który przecież, gdybyśmy go znali wyłącznie jako tłumacza poezji amerykańskiej, brytyjskiej, irlandzkiej, jawi się jako „amator” różnych form i dykcji poetyckich – od rozlewnych wierszy i poematów Walta Whitmana po skondensowaną, konceptualną miniaturę poetycką Emily Dickinson (gdyby tylko przywołać główne dokonania translatorskie Szuby, bo Whitmanowi jest najwierniejszy w wielu publikacjach, ale przecież nie na tym kończą się jego penetracje: przyswoił polszczyźnie także m.in. utwory Pounda, Crane’a Heaney, Ferlinghettiego, Hassa i wielu innych). Widocznie jednak twórczość translatorska idzie – od zawsze – u Szuby osobnym duktem, zaspokaja jego twórcze zainteresowania w inny sposób, buduje odmienne relacje myśli z tekstem, niż w tworzonej od ponad 40 lat liryce własnej (poeta debiutował zbiorem *Karnet na życie* w 1976 roku).

Od lat Andrzej Szuba tytułuje swoje nowe zbiory i wybory wierszy *postscripta* lub *strzępy*. Ten swoisty minimalizm, skromność i surowość

dają nam jeszcze jedną wskazówkę interpretacyjną. Otóż owe miniatury, naczęściej trzylinijkowe, spokrewnione z haiku, są według poety - minimalistycznym, ale przecież także mocnym apelem do czytelnika, próbą nawiązania dialogu z pomocą jednej tylko ważnej myśli, charakterystycznego przesłania, mocnego namysłu. Przecież *postscriptum* to jakaś ważna myśl, wiadomość, komunikat na zakończenie listu do kogoś, coś, co nagle może się przypomnieć, i często jest ważniejsze, niż sam (istniejący tu w domyśle) list.

Strzep jest urywkiem, fragmentem, czymś, co można - jakąś myśl, pomysł, sformułowaną precyzyjnie ideę czy nastrój - zauważyć, kiedy drze się - i wyrzuca - stare, dawne listy, czyjeś, może kogoś zmarłego. Myśli więc należące do innego, zamkniętego życia, do obszarów pamięci coraz bardziej... niczyjej.

Przytoczmy kilka utworów ze *Strzepów wybranych*, by móc zastanowić się, czym jeszcze są dla nas czytelników te teksty, komunikaty, apele:

*kiedy każda sekunda
ma do ciebie szczególne prawo
nigdy na odwrót*
(*Postscriptum CIX*)

*żyjesz to znaczy
jesteś suplementem
do czasu
gdy cię nie było*
(*Postscriptum CX*)

*gdy przez moment jesteś
azylem dla trudnego
bezdomnego powietrza*
(*Postscriptum CLXIV*)

*byłeś więc nie mijasz
niezmienny
bo nieprzywracalny*
(*Postscriptum CDLXXX*)

*zniszcz brudnopis
napisz nas
od nowa*
(*Postscriptum DLIV*)

Trudno poprzestać na tych pięciu cząstkach dzieła rozległego i pojemnego, tworzono go przez Szubę konsekwentnie przez całe dziesięciolecie. Co wyczytać możemy z tego wyboru: wszystko, co nam się zdarza jest „przygodą pojedynczej świadomości”, cudem chwili wyjętej z otaczającej nas zewsząd „wieczności”, z bezczasu, w którym w żaden sposób może nas nie będzie. To okrutnie dotkliwa świadomość, ale Szuba dopuszcza jednak pytanie o Boga, dialog z nim, zadaje pytania, nie spodziewając się odpowiedzi na nasze czasoprzestrzenne uwikłanie. Równie bliska - obok znajomości europejskiej myśli filozoficznej, tradycji kultury chrześcijańskiej - wydaje się być poecie myśl Wschodu. To co wydać się może smutkiem (klasyczne pytanie na niektórych wieczorach autorskich - dlaczego poeta pisze takie smutne wiersze?) czy poczuciem bezwyjściowości, metafizycznej pułapki życia, można potraktować jako uważną i poważną afirmację.

Jak utwór ostatni w tej niedużej książeczce, jednolinijkowy:

12 listopada 2010, godzina 10.21
(Postscriptum ultimum)

- co nam przekazuje? Oto jesteś/jestem, w tej chwili, w tym właśnie momencie żyję, istnieję, odnoszę zwycięstwo nad danym mi czasem i ofiarowaną wraz z nim śmiertelnością, mam świadomość uczestnictwa, świadomość jest trudną drogą, do ciebie przemawiam.

MODA (I KOBIECÓŚĆ) NIEJEDNO MA IMIĘ...

Od bardzo dawna zamierzałam napisać coś o modzie. Uważam bowiem modę za temat ważny, głęboki i pasjonujący. Od wielu już lat w dziełach i arcydziełach – a także w dziełkach i arcydziełkach – literatury rodzimej i obcej wyszukuje smakowite fragmenty opisujące stroje, ich rolę, formę i znaczenie („Miłościwa królowna raczy mieć tę altembasową szatę przybraną malinowym aksamitem w srebrne kwiaty czy też może atłasem zielonym?” – pytała bardzo poważnie imć pani Śmigielska Annę Jagiellonkę). Wpatruję się w portrety postaci historycznych, osobowości i osobowości, celebrytów z dawnych epok (bo przecież tacy bywali w każdej epoce) i osób całkowicie, zupełnie anonimowych – jeśli tylko pędzel zdolnego, wytrawnego, a nierzadko genialnego portrecisty potrafił odpowiednio dobranym szczegółem stroju podkreślić – albo zgoła określić – charakter przedstawionej postaci. Bransoletka Izabeli Brandt, słomkowy kapelusik Alicji Renoir, luksusowa prostota spacerowej sukni Madame Serusiat, koronki Joanny Cennani (czy może już pani Janowej Arnolfini?), parasolka Kamili, ubrania i przebrania Heleny Fourment i Saski van Uylenburgh. Czarne, połyskliwe i gładkie rękawiczki z kobiecych i męskich portretów wielkiego Tycjana... Przyznam, że nigdy nie pojmowałam świętego oburzenia niektórych historyków sztuki zarzucających Antoniemu van Dyckowi, że rysy i dłonie swych arystokratycznych modeli traktował tak, jak ich futra, aksamity i klejnoty – z taką samą starannością, uczuciem i pietyzmem. Ależ to oni sami – owe piękne, a przynajmniej strojne kobiety i wytworni mężczyźni – jednakowo traktowali swoje twarze i ubiory, sylwetki i kostiumy. Chcieli być niczym bogowie olimpijscy odziani u najlepszego w Europie krawca. A ich wizerunki powinien utrwalić dla współczesnych i potomnych najlepszy na kontynencie malarz. „Ubiór jest tysiąckrotnym odbiciem człowieka” – powiedział z przekonaniem ponad sto lat później pewien radca dworu w niewielkim niemieckim państewku. Miał rację – bo był nie tylko genialny. Był mądry. Wiedział wszystko o zmienności i ułomności ludzkiej natury – oraz o trwałości i sile piękna. Nazywał się Johann Wolfgang Goethe.

Poddanie się urokom owego „tysiąckrotnego odbicia człowieka” nie oznacza, że stronię od np. malarskich scen mitologicznych i alegorycznych – czyli od wyobrażeń aktów, ale... to już temat na inne opowiadanie. Zupełnie inne. Bo dzisiaj, teraz i tutaj spróbuję opowiedzieć co nieco

o modzie. A raczej o ubiorach, które mówią wiele o człowieku, o ludziach. Nawet wtedy - a może szczególnie wtedy - gdy owi ludzie nie bardzo zdają sobie z tego sprawę. A zwłaszcza wtedy, gdy owi to - kobiety. Kobiety przedstawione przez inne kobiety: utalentowane, pełne pasji, kreatywne i pomysłowe fotografki Kaję G. Konarską, Iwonę Wander i Annę Tomakę-Wójcik. I niech nas nie zwiedzie zapożyczony z klasyki filmowej tytuł tej zbiorowej wystawy: „Sól ziemi czarnej”. To może być rodzaj subtelного żartu, inteligentnego kamuflażu lub przemyślnego alibi. Istotna i ważna jest bowiem druga część tytułu. A brzmi ona „Portrety”. Po prostu - tylko tyle. I aż tyle.

Kaja Konarska najwyraźniej lubi kapelusze. Ja też lubię, Jednak bardzo nieskromnie stwierdzę, że znam więcej fasonów i zastosowań kapeluszy niż jej modelki. One nie znają - a w każdym razie nie uznają - wytwornych toczków, zawiadackich kapelusików myśliwskich, czarujących i wielce twarzowych „Piotrusiów”, kanotierków, kokieteryjnie wywiniętego ronda, kolorowych wstążek wokół główki, wszystkich tych niebywałych fantazji słomki, aksamitu, filcu, piórek, piór i woalek. Bo kapelusz to dla nich - kapelusz. Duża, okrągła główka, rondo dość szerokie, uniesione równo - i niezbyt ładnie - na całej długości okręgu. „I bez kapelusza jestem urocza” - zdają się mówić „Piękna ogrodniczka”, choć sądzę, że na pewno wybujałe kwiaty w doniczkach mają więcej wdzięku niż ich opiekunka) oraz „Prowincjonalna kokietka”. „Ten kapelusz tylko mi przeszkadza” - zdaje się mówić stara kobieta w niezgrabnej sukni i niby-wygodnych sandałach. Nawet nie próbuje ukryć spracowanych rąk i zmienić mocno codziennego wyrazu twarzy. I tylko „Emerytowana nauczycielka”, sfotografowana na balkonie standardowego bloku z dobrych lat 60-tych robi dobrą minę do złej gry - dosłownie i w przenośni - udając, że dość pospolite nakrycie głowy stanowi najlepszy dodatek do białej bluzki koszulowej i niekształtnej spódnicy. A widzowi nasuwa się pytanie retoryczne: czy nie lepsza byłaby kolorowa apaszka? Krótko mówiąc - ten cykl fotograficznych studiów mógłby nosić tytuł: „Jak nie należy nosić kapelusza”. Ostatecznie, stwierdzić wypada, że jest to przecież tylko dodatek. Wcale nie niezbędny.

Iwona Wander preferuje portrety zbiorowe. Prezentuje „Przyjaciółki z familoka”, „Damy w altanie” oraz dwie wersje portretu rodzinnego. W jednym przypadku są to matka i córka, pozujące w kątku familokowego podwórza - pod murem wśród bujnej trawy rosną dość zagadkowe w tym miejscu paprocie, a nad głowami kobiet krzyżują się naprężone sznurki, z których dopiero co zdjęto pranie. Drugi portret rodzinny przedstawia trzy pokolenia, przy czym wnuczka - co ciekawe i może trochę dziwne - wyraźnie zachowuje dystans wobec mamy, zbliżając się do babci. Chociaż może to właśnie mama pragnie zachować „splendid isolation”?



Z katalogu wystawy

W tle – bardzo stylowa ściana z prawdziwej cegły klinkierowej. Jest jeszcze „Dama na schodach swojej willi”. Schody są co prawda nieco krzywe i wyszczerbione – zatem pewnie i cały budynek daleki jest od idealnego stanu. Modelki Iwony Wander noszą stroje weekendowe – czyli coś pośredniego między tradycyjnym, strojem spacerowym i sportowym; białe wdzianka, bawełniane koszulki, spódnice we wzory (czasem zbyt duże!), tzw. wygodne buty charakterystyczne, że spodnie występują tylko raz – a w dodatku nosi je najstarsza z modelek. Jednak nawet popołudniowo-spacerowo-weekendowy luz nie zwalnia od zachowania nieforemnych, dużych toreb. Ot, taki element mody przedmiejsko-wielkowiejskiej oraz miejscowych upodobań.

Anna Tomaka-Wójcik tworzy portrety psychologiczne z elementami obserwacji obyczajowo-rodzajowych. Oto „Kobieta sukcesu po przejściach” – czyli porządny kostium i droga biała bluzka. „Nikogo się nie boję” – niewymuszona swoboda lekkiej kurteczki i rozpiętej koszulowej bluzki dowodzi, że modelka od dawna uprawia wyczynowo sport, ale też posiada charakter, który trudno byłoby nazwać miłym i przyjemnym. Prawdę mówiąc, nie chciałabym pozostawać z nią w jakichkolwiek relacjach. Natomiast właścicielka ukwieconego balkonu postąpiła jak należy: przed zapowiedzianą wizytą pani fotograf udała się do pobliskiego fryzjera i poprosiła córkę lub zaprzyjaźnioną sąsiadkę o zrobienie makijażu. Powiedzmy, że gustownego. Teraz niemal słyhać, jak mówi: „Mój balkon jest najpiękniejszy!” – a ja nie zaprzeczam. Jednak kolejna modelka Anny Tomaki-Wójcik nie skorzystała z żadnej fachowej porady. W rezultacie wygląda jak zaprzeczenie nie tylko elegancji i mody – ale i kobiecości. Mam wszakże nadzieje, że jest mądra, odczytana i bystra. Choć – może

jest także złośliwa. Następna z pań podniosła oczy ku niebu. Ale niebo jest pewnie bardzo odległe i niezbyt łaskawe – dowodzi tego smutna twarz, wyraźne napięcie w rysach i głęboka zmarszczka między brwiami. Niegustowna biżuteria nie ratuje sytuacji. W tle udają niefrasobliwość amorki na gipsowej płaskorzeźbie. Życie – należy stwierdzić – nie jest szczególnie urocze...

Piętnaście czarno-białych fotogramów przedstawia dwadzieścia kilka kobiet w różnym wieku, różnych profesji i – najpewniej – o bardzo różnym statusie społecznym. Ile z nich chciałabym poznać? Z iloma porozmawiać? A z iloma zaprzyjaźnić? Jeśli ubiór jest tysiącrotnym odbiciem człowieka, to... Ale wystawa jest bardzo interesująca, skłaniająca do różnorodnych refleksji, przemyśleń i spostrzeżeń. Mówi dużo i szczerze o świecie wokół nas. A ja – cóż, mogłam napisać kilka słów o modzie...

Kaja G. Konarska, Iwona Wander, Anna Tomaka-Wójcik - „Sól ziemi czarnej. Portrety” - wystawa fotografii

Galeria Multimedialna *Piwnica*. Muzeum Miejskie, Siemianowice Śląskie, marzec-kwiecień 2014 r.

Autorka recenzji postąpiła dość arbitralnie opatrując prezentowane na wystawie fotogramy tytułami własnego pomysłu (bowiem żaden z fotogramów nie jest opatrzony tytułem), ale uczyniła to dla jasności przekazu i ożywienia tekstu.

Przytoczony w tekście cytat pochodzi z powieści Antoniny Domańskiej „Krysia Bezimienna”, LSW, Warszawa, 1962 – jednej z ulubionych młodzieńczych lektur piszącej te słowa.

CZARODZIEJKA URSZULA FIGIEL

Urszula Figiel-Szczepka jest prosta, skromna i stanowcza. Szczera i wytrwała. Bardzo pracowita i wyjątkowo dociekliwa. Skupiona, spokojna i nadzwyczaj bystra. A przy tym niezwykle pomysłowa, obdarzona spostrzegawczością, wyobraźnią i fantazją. Mówimy tu oczywiście o cechach, zaletach i przymiotach Urszuli Figiel – malarki, ponieważ wyliczenie i nazwanie wyjątkowych stron i cech jej osobowości i charakteru zajęłoby tak wiele miejsce, że nie starczyłoby go już na nawet pobieżne i krótkie przedstawienie oraz próbę interpretacji jej twórczości.

Urszula Figiel jest pejzażystką. Z ujmującą prostotą nazywa siebie pejzażystką realistyczną, ale po gruntownym i kilkakrotnym obejrzeniu wystawy artystki w muzealnej galerii „Po Schodach” przyznać muszę, że mam wielką ochotę postawić przy tego rodzaju deklaracji znak zapytania. I nie będzie to – broń Boże! – poddanie w wątpliwość samooceny utalentowanej i świadomej swej drogi twórczej artystki, ale raczej chęć dostrzeżenia w prezentowanych pejzażach nie tylko realizmu. Ujrzenia w nich jeszcze czegoś – wdzięku? zachwycenia? symboliki? tajemnicy? wspomnień? marzeń? A właściwie wszystkiego tego – i jeszcze czegoś. Owo „coś” wymyka się nazwom i kwalifikacjom. Niekoniecznie więc trzeba owo „coś” nazywać. Wystarczy je spostrzec. Zobaczyć i odczuć. Dojrzeć i zapamiętać.

Urszula Figiel nie szuka „ładnych widoków” – a już na pewno nie „ładnych widoczków”, „malowniczych fragmentów natury”, „uroczych” sentymentalizmów. Jest na to za mądra i zbyt utalentowana. Zbyt wiele wie o naturze, przyrodzie, istocie krajobrazu. Za dobrze zna pejzaż – pejzaż jako zjawisko, jako fenomen – i jako jeden z trzech wielkich tematów malarstwa i wszelkich sztuk przedstawiających istniejący od zawsze – a w każdym razie czasów malarstwa pompejańskiego (dwa pozostałe wielkie tematy to oczywiście wyobrażenie postaci ludzkiej i martwa natura, która wcale martwa nie jest – ale to już temat na inne opowiadanie). Kompozycjom Urszuli Figiel bliżej do Vlamincka czy Raoula Dufy – niż do Corota (choć przecież Corot wcale nie jest zły). Bliżej do Pankiewicza – niż Maleckiego, Maria Sironiego – niż Juliusza Dupre.

Urszula Figiel należy do tych szczęśliwych twórców, którzy nie szukają. A nie szukają, bo – znajdują. Artystka z czarującym wdziękiem i urzekającą łatwością odkrywa wszystkie odcienie zieleni – możliwe

Urszula Figiel,
Staw
olej/plótno



i niemożliwe, długo obserwowane i tylko przelotnie zauważone, wieczne i żyjące tylko chwilę, trwałe i zwiewne niczym motyle skrzydełka. A obok tego tworzy dziwny kolor, który jest równocześnie fioletem, karminem, brązem, mdlejącym oranżem, nie będąc w istocie żadnym z nich. Czaruje zniewolonego widza zagadkową i zawikłaną symfonią fioletowych brązów i zielonkawych karminów. Niemożliwe? Ależ możliwe, z całą pewnością możliwe – sama widziałam i podziwiałam. Naturalnie, można wszystkie te barwy starać się określić, nazwać słowami, przybliżyć mało dokładnym, niezbyt precyzyjnym opisem, ale po cóż to robić? Lepiej, po stokroć lepiej, po prostu je zobaczyć. Gdzie? Na polnej drodze, leśnej łące, nad przydomowym stawem, gdzieś na zboczach gór, albo – na obrazach autorki „Piaszczystej drogi”, „Nenufarów”, „Horyzontu”, „Wierzby”, „Leśnej drogi” (a ten obraz to niemal arcydzieło: te uciekające karminy, dziwne światło, różowe obłoki na chmurnym, ponurym niebie).

Ale Urszula Figiel jest nie tylko kolorystką. Równie dobrze, równie doskonale poczyną sobie z bryłą, konturem, głębią, perspektywą. Oto wspaniały, wywierający wielkie wrażenie cykl – właściwie tryptyk – „Zapora”: w trzech odsłonach budowanie kolorem formy, kształtów, przestrzeni. Zbocza zalesionych gór, niewielkie zabudowania w oddali, niespokojne niebo. Woda najpierw leniwa i łagodna, potem ożywiona i ruchliwa, wreszcie gwałtowna i grzmiąca. Jestem całkowicie pewna i głęboko przekonana, że będąc w galerii SŁYSZAŁAM przejmujący huk spadającej z zapory wścieklej kaskady.

A obok rzek, stawów i jezior, łąk i polan, gór na horyzoncie i obłoków na niebie są jeszcze pnie i konary drzew, liście, trawy i polne kwiaty, piasek i kamienie. Jest brzeg morza i staw – z radosną cierpliwością obserwowany i utrwalany przez wszystkie pory roku. Są też wydmy, fale i kamieniste brzegi. Drzewa, krzewy i pnącza z butną i pełną wdzięku

niefrasobliwością lekceważą rygory płotu, muru (niezbyt solidnego, prawdę mówiąc...) i drewnianej furtki. A jakież te ograniczenia i rygory są małe, jakie drobiazgowo, jakie ludzkie - i tak zupełnie niepotrzebnie próbują oddzielić ogród od ulicy. Piękniej niż na obrazie Urszuli Figiel taka zaczarowana furtka w bajkowym murze wyglądała tylko w ogrodzie mojego dzieciństwa. Ogrodu i furtki już nie ma - ale zostało wspomnienie. Została pamięć i wzruszenie.

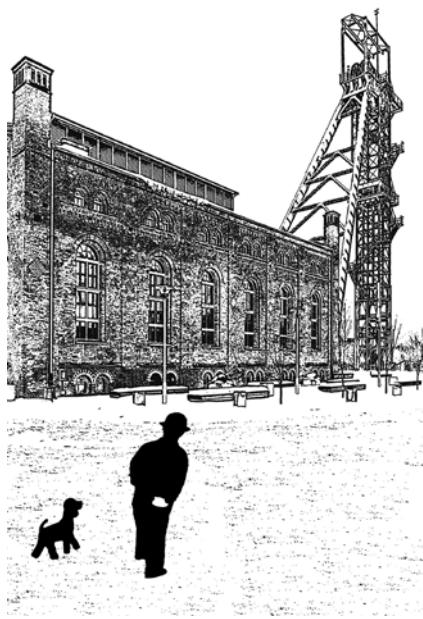
Urszula Figiel uczy nas uważnego i poważnego przyglądania się rzeczom, o których sądzimy, że wiemy wszystko. A okazuje się, że to właśnie one - drzewa, trawy, krzewy, kamienie, woda, furtki w murze - wiedzą wszystko o nas. I wtedy trzeba zadumać się nad światem, westchnąć cicho, przetrzeć oczy i rozejrzeć się wokoło. Nasze spojrzenie będzie pełne pokory i zachwytu. A wtedy one - te drzewa, trawy i kamienie - spojrzą na nas z życzliwością.

Urszula Figiel-Szczepka - Malarstwo
Muzeum Miejskie, Galeria *Po Schodach*
październik-grudzień 2014 r.

DOKĄD WRACAĆ – SKĄD ODCHODZIĆ

Kiedy to było? Wtedy, gdy klinkierowe cegły były nowe i czerwone, okna duże i jasne, a wszystkie szyby przypominały wody górskich jezior i oczy dzieci – tak były lśniące, czyste i pełne ufności. Kamienice i kamieniczki, a nawet zupełnie małe domki były zadbane, schludne i solidne. Z dumą i godnością prezentowały subtelne i kunsztowne ozdoby fasad. Bramy budziły respekt i zapewniały bezpieczeństwo – ale też znały i szanowały zasady gościnności. Furtki ogrodów uchylały się z wdziękiem i obiecywały wiele. Dachy były strome i malownicze. Kominy i wieże pięły się ku niebu. Hale fabryczne i zameczek myśliwski (jak nazywał się właściciel? różnie o tym mówiono...) zdawały się pochodzić z tej samej epoki. Park był wtedy tajemniczy, kościół – dostojny, a kamienny Chrystus – łagodny i fraszobliwy. Gdzie to było? W małym mieście. Ale, broń Boże, nie w miasteczku.

Przez ulice i uliczki, aleje i skwery owego małego miasta szedł sobie człowiek. Może – człowieczek? Wędrownik, podróżnik, pielgrzym?



Jednak nie tramp – temu przeczyła jego prowincjonalna, czyli staranna i nieco staroświecka elegancja. Co robił? Przypominał sobie miejsca i pejzaże dawno oglądane – czy też był tu po raz pierwszy? Zatrzymał się na chwilę – a może chciał pozostać tu już na zawsze? Wyjeżdżał czy powracał, przychodził czy zniknął? A może po prostu odprawiał codzienny rytuał poobiedniego spaceru, przedwieczornej przechadzki? Bo chyba jednak był stąd: jego tużurek i kapelusz – być może trochę przypominający melonik – doskonale harmonizowały z barwami i kształtami domów, murów i drzew. Ale zapewne wyjeżdżał – przecież w rękę niósł sakwojaż (żadną tam nowomodną torbę czy nieelegancką walizkę, ale właśnie sakwojaż, smutny i stylowy).

Z katalogu wystawy

I była to ostatnia peregrynacja naszego bohatera po ulicach, podwórkach i placach, które znał, a które teraz chciał pożegnać. Czy raczej – musiał opuścić...? Kilka razy na jego drodze zatrzymywała się dorożka – duża, wygodna, rozłożysta dorożka na resorach z, z miękkimi siedzeniami. Ale zaprzężona w konie-widma, konie-zjawy, konie-duchy. Choć mogła to być jakaś nowa rasa hodowana gdzieś w okolicy, z dala od głównych traktów i wielkich stadnin. Jednak - dokąd można dojechać takim pojazdem? Na przedmieście? - do sąsiedniego miasta? - do majątku pana hrabiego? - na Dworzec Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej? A może – strach – pomyśleć! - ta dorożka uwozi w nicłość, w wieczność, w inny wymiar, w sen lub w niebyt? Zresztą – nicłość może okazać się snem, wieczność – innym wymiarem, a niebyt – smutnym powrotem do starego mieszkania w opuszczonej oficynie zapomnianej kamienicy.

Oto nasz melancholijny wędrowiec właśnie zmierza przez rozległe podwórze ku pustej sieni. Idzie z pochyloną głową, ciężko wspiera się na lasce, wyraźnie chce opóźnić chwilę przekroczenia progu. Jego powolne ruchy obserwuje dziwny piesek – ni to mechaniczna zabawka, ni to ożywiona szmacianka. Drzwi sieni są otwarte. I jest coś w ich kształcie, proporcjach, łuku nad wejściem, formie klamki i solidnego zamka, co nie zachęca, ale – nakłania, zmusza i przymusza do wejścia. W ciemnej sieni wyłożonej ceramicznymi flizami spacerowicz-pielgrzym zakończy swoje peregrynacje. Tam czeka na niego Śmierć. On przeczuwa jej istnienie, a my o niej wiemy.

Kiedy to było? Dawno – a może wczoraj. Gdzie to było? Tutaj – a może daleko stąd. Może też nie zdarzyło się nigdy – ale to nie wydaje się prawdopodobne.

Remigiusz Miklaszewski powoli, w skupieniu snuje opowieść o przenikaniu się przeszłości i terażniejszości, o chwilach, które odchodzą – ale ciągle trwają. O przemijaniu. O melancholii. O łagodnym smutku, ostrożnym zachwycie i skrywanej czułości. O smutnym człowieku i pięknym mieście. O smutnym mieście i zauroczonym nim człowieku.



Z katalogu wystawy

Remigiusz Miklaszewski przypomina mi Rene Claira, Carla Spitzwe-ga, Giorgia Chirico. Przypomina Paula Delvaux i Maurycego Denis. Także twórców „Gorączki złota”, „Cudu w Mediolanie” i „Złodziei rowerów” - i może trochę Pier-Paola Pasoliniego. Każę myśleć o pytaniu, którego wielki Gauguin jako tytułu dla najwybitniejszego ze swych dzieł.

Remigiusz Miklaszewski z pewnością wie wszystko o fotografii, a za-skakująco dużo o losie i przeznaczeniu człowieka.

Remigiusz Miklaszewski - Fotografia

Galeria Multimedialna *Piwnica*, czerwiec-lipiec 2014 r.

Remigiusz Miklaszewski (ur. w Chorzowie w 1974 roku) jest laureatem prestiżowych nagród (m.in. I miejsce w konkursie fotograficznym zorganizowanym przez Stowarzyszenie Otwarty Śląsk), prezentującym swe prace na wielu wystawach w kraju (m.in. w Katowicach, Chorzowie, Chrzanowie, Trzebini) i za granicą (m. in. w Niemczech). Jest członkiem Chorzowskiej Grupy artystów Krajcok 12. Mieszka i tworzy - a często też znajduje pomysły, tematy i natchnienie - w Siemianowicach Śląskich.

JAKUBOWICE JAKO MIEJSCE SIEMIANOWICKO-CZELADZKICH SPORÓW GRANICZNYCH NA PRZESTRZENI DZIEJÓW

Wprowadzenie

Animozje śląsko-dąbrowskie to problem, który objawia się na wielu płaszczyznach życia społecznego. Stereotypowe postrzeganie „hanysów” i „goroli” stanowi naturalny element krajobrazu dzisiejszego województwa śląskiego. Mimo pozornej i sztucznie wykreowanej po II wojnie światowej jedności administracyjnej obszaru województwa, w świadomości społecznej mieszkańców zauważalne jest silne poczucie regionalnej odrębności i wzajemnych antagonizmów. Przestrzenna granica przebiegająca wzdłuż rzeki Brynicy i Czarnej Przemszy, obok geograficznego różnicowania obszarów stanowi również granicę społeczną czy też mentalną dwóch światów – Śląska i Zagłębia. Genezy tego typu podziałów doszukiwać się należy w skomplikowanej i nieraz dramatycznej historii tego miejsca, jego podziałów oraz dziejach politycznych.

Problem napięć pomiędzy mieszkańcami obu brzegów granicznych rzek ma swoją długą historię. Maria Wanda Wanatowicz trafnie podkreśla, iż:

(...) pamięć społeczna, zwłaszcza ta podbudowana stereotypami, jest bardzo silna, może przetrwać całe dziesięciolecia, a nawet wieki, szczególnie gdy istnieją przesłanki, z których czerpie ona „energię”, a tak jest w przypadku derywatu śląsko-zagłębiowskiego¹.

Powszechnie uznaje się, że źródeł konfliktu należy dopatrywać się w XIX wieku, kiedy to w pełni ukształtowało się pojęcie narodu w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Wówczas to masy ludowe zyskały ten rodzaj świadomości, poprzez który zaczęły dostrzegać swoją odrębność oraz rozumieć inność grup sąsiednich².

Badacze śląsko-zagłębiowskich antagonizmów zwracają uwagę na fakt, iż problem nabrał nowej dynamiki i dyskursów na skutek wydarzeń bezpośrednio związanych z II wojną światową i kilkuletnim okresem, który nastąpił po jej zakończeniu. Z jednej strony doświadczenia Zagłębiaków wiążące się z okupacją hitlerowską wpłynęły na ich postrzeganie Ślązaków, z drugiej strony bezpośrednio lata powojenne, które boleśnie doświadczyły śląską społeczność, wzmocniły jej uprzedzenia wobec mieszkańców Zagłębia³. Kolejny wymiar sporu ukształtował się

w późniejszych latach tzw. realnego socjalizmu, którego skutki i objawy odczuwalne są po dzień dzisiejszy. Jak zauważa Zbigniew Kapała:

(...) ostrość interesującego nas antagonizmu bierze się nie tyle z przygranicznego dawniej charakteru obu regionów, należących w przeszłości do różnych organizmów państwowych, i stąd wynikających różnic kulturowych, ale przede wszystkim z pamięci krzywd wzajemnie od siebie doznanych w czasach totalitarnych⁴.

Analiza dziejów pogranicza siemianowicko-czeladzkiego pokazuje, że wzajemne doznawanie krzywd to zjawisko, którego początki były znacznie wcześniejsze niż dwudziestowieczne totalitaryzmy. Spory graniczne, związane z obszarem dawnej wsi Jakubowice, ilustrują antagonizm śląsko-dąbrowski jako fenomen osadzony w historii strukturalnej, historii „długiego trwania”, który trwa nieprzerwanie od XVI wieku do dnia dzisiejszego.

Dzieje wsi Jakubowice

Nieistniejąca już dzisiaj wieś Jakubowice usytuowana była na granicy współczesnych miast: Czeladzi i Siemianowic Śląskich. Początki osady sięgają okresu średniowiecza. Dostępne źródła pisane nie pozwalają na ustalenie dokładnej daty założenia Jakubowic. Odniesienia do mitycznego pierwszego właściciela wsi, odnaleźć można w miejscowym folklorze narracyjnym, w postaci podania o trzech braciach założycielach okolicznych grodów: Siemianie, Michale i Jakubie⁵. Historyczny realizm postaci owego Jakuba jest jednak trudny do ustalenia i stanowi raczej fikcyjny element tutejszego folkloru.

Pierwsze udokumentowane wspomnienie o Jakubowicach datuje istnienie wsi na 1379 rok, kiedy to miał dokonać się braterski podział ich obszaru, zgodnie z którym:

1. Droga z Siemianowic do Milowic zaznacza granicę między Bańgowem a Jakubowicami według ceduły podziału z roku 1379.
2. Obniżenie CHECHTA albo KRZIWIDOLLE wytycza granicę braterskich podziałów gruntów jakubowickich według ceduły podziału z roku 1379⁶.

Nie udało się jednak dotychczas ustalić kim byli bracia, którzy dokonali wspomnianego rozdziału gruntów jakubowickich. Pierwszymi znanymi właścicielami osady była familia Mieroszewskich. Zdzisław Janeczek podaje, iż weszli oni w posiadanie wsi około 1498 roku, kiedy to po zaślubinach Mikołaja Barańca z Jadwigą ze Smolic Smolską, małżonkowie osiedli w Jakubowicach, rozpoczynając tym samym śląską gałąź rodziny Mieroszewskich⁷. Jakubowice najprawdopodobniej stanowiły donację książęcą ze strony piastów opolskich i miały być rekompensatą za oddane im usługi.

Ród Mieroszewskich na przestrzeni XVI wieku wszedł w posiadanie innych okolicznych wsi tworzących dzisiejsze Siemianowice - Siemianowic, Bańgowa i Michałkowic. Dobra te wchodziły w skład ziemi bytomskiej, znajdującej się w granicach Śląska, będącego w owym czasie pod władzą Habsburgów⁸. Były to jednocześnie tereny przygraniczne - Jakubowice bezpośrednio sąsiadowały z miastem Czeladź, które wchodziło w skład księstwa siewierskiego, będącego wówczas pod panowaniem biskupów krakowskich. Nie było to łatwe sąsiedztwo, co dodatkowo wzmacniał fakt, iż Mieroszewscy słynęli z krewkiego temperamentu. Nieprzypadkowo Mikołaj Baraniec zyskał sobie przydomek „Szatan”⁹. Najprawdopodobniej już w XVI wieku dochodziło do pierwszych zatargów granicznych z mieszczanami czeladzkiemi. Jak wspomina Stanisław Mieroszewski, XIX-wieczny potomek rodu:

*Przy tak burzliwym usposobieniu przemieniał się każdy proces graniczny (...) w nieprzerwane pasmo wzajemnych gwałtów, zaorań, zżęcia, skoszenia, grabienia i odbijania koni, wozów, bydła, owiec, a nawet rabunków i palenia*¹⁰.

Należy przy tym zaznaczyć, że w ówczesnych realiach zjawiska krwawych sporów granicznych nie były niczym szczególnym. Drobną szlachta z tego okresu nieustannie uwikłana była w liczne procesy sądowe, które często ciągnęły się latami. Niejednokrotnie dochodziło przy tym do palenia całych wsi i wyzynania w pień jego mieszkańców, czego boleśnie doświadczyły również Jakubowice.

Powszechnie przyjmuje się, że do spustoszenia Jakubowic doszło w okresie zmagania o tron polski po śmierci króla Stefana Batorego, która nastąpiła 12 grudnia 1586 roku. O polską koronę rywalizowały wówczas dwa obozy: stronnictwo Zborowskich popierające arcyksięcia Maksymiliana Habsburga oraz stronnictwo hetmana wielkiego koronnego Jana Zamoyskiego, które forsowało szwedzkiego królewicza Zygmunta Wazę. Kulminacyjnym momentem sporu była bitwa pod Byczyną, do której doszło 24 stycznia 1588 roku i którą poprzedzić miało spalenie Jakubowic. Spustoszenia wsi dokonać miał rotmistrz kozacki Gabriel Hołubek, stronnik hetmana Zamoyskiego, który później poległ w bitwie byczyńskiej. Taki przebieg zdarzeń przedstawił w 1863 roku Franz Gramer¹¹, zaś późniejsi badacze bezkrytycznie powielali jego ustalenia.

Powyższa wersja odnośnie spustoszenia Jakubowic wydaje się wielce prawdopodobna, brak jest jednak konkretnych źródeł, które by ją potwierdzały. Należy przy tym zaznaczyć, że w pobliżu Byczyny do dzisiaj istnieje wieś Jakubowice, której początki sięgają XIII wieku. Niewykluczone zatem, że w owym okresie spalono właśnie podbyczyńską osadę. Jak podaje autor monografii bitwy byczyńskiej Zygmunt Boras:

Trzeba dodać, że zwyczajem tamtych czasów wojsko w kraju nieprzyjacielskim paliło i rabowało wokół, zwłaszcza oddziały tatarskie i kozackie. Dlatego kronikarz ówczesny podaje, „że między 26 stycznia, albo między wtorkiem a środą, luna świeciła im do mil czterech, że jak w biały dzień albo kiedy miesiąc świeci widno było. Wszystkie wsi popalono aż do ćwierć mili pod Namysłowem¹².

Możliwym jest również scenariusz, w którym obie wsie jakubowickie uległy wówczas spaleniu na skutek osobistej niechęci rotmistrza Hołubka wobec bliżej nieznanego dzisiaj Jakuba. Z racji braku źródeł pozostają to jedynie domysły. Spotkać się jednak można z alternatywną wersją spustoszenia Jakubowic, którą podaje XIX-wieczny śląski folklorysta Józef Lompa. W 1860 roku pisał:

Kiedym roku 1836 przez wieś Siemianowice nad granicą za Bytomiem, w pobliżu miasta Czeladź przechodził, widziałem za wioską ku Mysłowicom w gęstym lesie ślady zagonów polnych. Powiadano mi, że tam niegdyś wieś była, lecz w trzydziestoletniej wojnie do szczętu zniszczona, odbudowana nie została¹³.

W świetle powyższej relacji opartej na miejscowej ustnej tradycji Jakubowice miały zostać spustoszone w okresie wojny trzydziestoletniej. W owym czasie, 12 grudnia 1623 roku oddział lisowczyków spustoszył sąsiednią Czeladź, co Marian Kantor-Mirski opisał w barwnych słowach:

Ponieważ oddziały te były zbieraniną rozmaitego gatunku obieżyświatów, urwisów i trzęsimiechów, więc też nic dziwnego, że po kilkudniowym ich pobycie, miasto wyglądało tak, jakby przezeń przeszła straszna burza. Domy, stodoły i inne zabudowania gospodarcze stały bez dachów, nikt nie mógł się doliczyć prosiaków, krów, koni i drobiu. Sklepy stały pustkami, w odwiecznej karczmie, co stała w rynku, nawet na lekarstwo nie dostałby kropli gorzałki, piwa lub miodu¹⁴.

Klimat ówczesnych czasów sprzyjał zatem grabieżom i podpaleniom całych wsi. Sferę domysłów odnośnie spustoszenia Jakubowic kończy jednak 12 października 1623 roku, kiedy to Zofia Mieroszewska sprzedała swoje dobra krewnemu Wojciechowi Mieroszewskiemu, a w dokumencie potwierdzającym to wydarzenie zapisano:

Zofia Mieroszowska sprzedaje wieś Michałkowice z folwarkiem. Siemianowice z folwarkiem, z „Jakubowską dziedziną pustą”, z Bańgowem (...) za sumę 24 000 złotych polskich¹⁵.

A zatem w 1623 roku Jakubowice były już wsią opustoszałą, określaną w dokumentach jako „wüst Jakubowitz”. Taki stan rzeczy nie uległ już

zmianie, wieś nie została ponownie zaludniona i odbudowana, na tym jednak nie kończy się historia tego obszaru. Przez kolejne stulecia tereny po dawnych Jakubowicach były przedmiotem licznych siemianowicko-czeladzkich sporów granicznych.

Spory graniczne wokół terenu „pustych Jakubowic”

Pierwsze konflikty graniczne miały miejsce jeszcze w XVI wieku, w czym ze strony siemianowickiej czynny udział brała wspomniana rodzina Mioszewszych. Ogólny bilans starć granicznych z ich udziałem w latach 1439-1618 wyrażał się dwoma osobami zabitymi i dwunastoma ranionymi spośród przeciwników i pięcioma osobami zabitymi i siedemnastoma ranionymi wśród stronników rodu¹⁶.

Przedmiotem sporu przez setki lat był przebieg granicy siemianowicko-czeladzkiej. Kolejni właściciele spustoszonych gruntów jakubowickich stali na stanowisku, iż granicą jest rzeka Brynica, natomiast Czeladzianie rościli sobie prawo do terenów po obu stronach rzeki. Brak ustaleń co do ścisłego określenia linii podziału był okazją do siłowej walki o swoje prawa. 22 września 1615 roku zebrała się komisja, której celem było załagodzenie sporu, jednak na skutek uporu obu stron nie osiągnięto porozumienia¹⁷. W późniejszych kilku latach dochodziło do kolejnych starć. Jak było wspomniane, od 12 października 1623 roku właścicielem spornych terenów został Wojciech Mioszewski, skutkiem czego konflikt nabrał nowej dynamiki.

Zaognienie stosunków czeladzko-siemianowickich doprowadziło do powołania nowej komisji rozjemczej, której celem było wytyczenie granicy. Protokół z jej ustaleń sporządzono 5 listopada 1624 roku w Michałkowicach. Wynikało z niego, iż prace komisji przebiegały w napiętej atmosferze, pełnej wzajemnej niechęci. Stronnicy Mioszewszych uparcie dowodzili, iż granicą jest rzeka Brynica, powołując się przy tym na kontrakt kupna-sprzedaży Księstwa Siewierskiego, a także tzw. pakt będziński z 9 marca 1589 roku, kończący omówiony powyżej spór o polską koronę. Strona czeladzka odwoływała się z kolei do dokumentu lokacyjnego wójtostwa w Czeladzi, w którym przodek Wacława Cieszyńskiego zezwalał wójtowi miasta Czeladź na wybudowanie młyna na rzece Brynicy oraz wzniesienie tamy po obu jej brzegach¹⁸. Ostatecznie komisji nie udało się w sposób definitywny zakończyć konfliktu, zaś jej ustalenia sankcjonowały jedynie dotychczasowy stan rzeczy. Takie rozwiązanie miało charakter doraźny, jednak sytuacja nadal pozostawała napięta, przez co kolejne fazy sporu były jedynie kwestią czasu.

W 1651 roku synowie Wojciecha I Mioszewskiego (zm. 1647 r.) - Jan II oraz Wojciech II, dokonali podziału dziedzicznych ziem, skutkiem czego „puste Jakubowice” przypadły w udziale temu pierwszemu wraz

z Siemianowicami, Bańgowem oraz częścią Michałkowic¹⁹. Po śmierci Jana II Mieroszewskiego tereny te najprawdopodobniej stały się własnością młodszego brata²⁰. Wojciech II zmęczony już ciągłym konfliktem granicznym, na łożu śmierci rzekomo miał polecić synowi Stanisławowi, aby pozbył się problematycznych gruntów. Stanisław Mieroszewski usłuchał rady ojca i w 1692 roku sprzedał spustoszony teren Jakubowic wraz z Siemianowicami i Bańgowem rodzinie Hunter von Grandon²¹.

Obszar Jakubowic należał do nowych właścicieli przez okres 26 lat. W 1702 roku miało dojść do napaści na ich siemianowicki dwór przez niejakiego Walentego Dingosa z Czeladzi, podczas którego zginęło czterech stronników rodu. Sporny charakter nabytych terenów skłonił rodzinę Hunter von Grandon do sprzedaży tych ziem w 1718 roku za kwotę 12 tysięcy talarów na rzecz Marii Józefy Henckel von Donnersmarck²².

Okres przynależności spustoszonych gruntów jakubowickich do rodu Donnersmarcków wiązał się z ponownym ożywieniem siemianowicko-czeladzkich konfliktów granicznych. W 1721 roku Karol Józef Erdman Henckel von Donnersmarck siłą przepędził mieszczan czeladzkich, którzy wyszli na sporne tereny i polecił dworskim oddziałom, aby strzelać do każdego, kto przekroczy linię rzeki²³. Donnersmarckowie kontynuowali zatem wcześniejsze praktyki Mieroszewskich, dorównując im w zaciekłości i brutalności. Wkrótce wywiązała się krwawa bitwa o problematyczne obszary, zakończona porażką Czeladzian. Jej efektem było ponowne powołanie komisji, która miała wyznaczyć granicę i zakończyć wieloletni spór. Komisyjne postanowienia przyznawały sporne grunta (w tym również tereny dawnych Jakubowic) Czeladzianom, z czym nie mógł pogodzić się właściciel Siemianowic. Domagał się on pieniężnego odszkodowania i ostatecznie odmówił podpisania protokołu²⁴. Komisja nie zważając na upór Donnersmarcka poleciła usypanie nowych kopców granicznych.

Sytuacji nie zmieniła zmiana przynależności państwowej ziem Donnersmarcków, które na skutek wojen śląskich weszły w skład państwa pruskiego. Do końca XVIII wieku dochodziło do licznych starć granicznych, po których obie strony starały się dochodzić swoich racji na drodze sądowej²⁵. Również włączenie Czeladzi do Prus, które nastąpiło po III rozbiórce państwa polskiego, nie uspokoiło nastrojów. W 1807 roku, dzięki pomocy wojsk księcia bielskiego Jana Sułkowskiego, Czeladzianie pobili stronników Donnersmarcków pilnujących granicy i weszli w posiadanie spornych obszarów, co spotkało się z protestami właściciela Siemianowic²⁶. Próby łagodzenia konfliktu podobnie jak we wcześniejszych latach kończyły się jedynie na deklaracjach. Jeszcze w 1868 roku wykazywano w dokumentach posiadłości Donnersmarcków na spornych terenach. Jak podaje Józef Łyżwiński w kolejnych latach XIX wieku miały one zostać

wykupione przez mieszkańców Czeladzi²⁷, kończąc tym samym kilkunastokrotne starcia siłowe o te obszary.

Zakończenie rozlewu krwi i zbrojnej walki o tereny dawnej, zapomnianej już wioski Jakubowice nie kończy jednak ostatecznie sprawy siemianowicko-czeladzkiej sporów. Zmienia się jednak charakter konfliktu, przyjmując formę bezkrwawą i rozgrywaną się w sferze społecznej pamięci o spustoszonej wsi. Wzajemne krzywdy trwale wpisały się w tożsamość zwaśnionych stron. Obie grupy włączają Jakubowice we własną tradycję i historię. Marian Kantor-Mirski w pracy *Z przeszłości Zagłębia Dąbrowskiego i okolicy* powstałej w 1931 roku zawłaszcza przeszłość Jakubowic na rzecz społeczności Zagłębia. Píše on:

*Któżby się spodziewał, że cicha choć sławna w dziejach Czeladzi wioska Jakubowice, co była świadkiem bohaterskich zmagañ oddziału rabsztyńskiego pod wodzą Hołubka z kohortami Maksymiljana, co na skutek tych zmagañ została zmieciona z powierzchni ziemi (...) Któżby przypuszczał, że owe Jakubowice wykreślone z karty historii Polski przed trzema stuleciami, odrodzą się pod nazwą kopalni Saturn, które poprzez lata niewoli nie uronią nic ze swej polskości i staną się chlubą Odrodzonej Ojczyzny, a zarazem najżywszym, najenergiczniejszym i mocnym zaprzeczeniem rozsiewanego przez wrogów kłamstwa, o naszym nieróbstwie (...)*²⁸.

W powyższym tekście Jakubowice zostały terytorialnie utożsamione z Zagłębiem Dąbrowskim, co jest oczywistą nadinterpretacją i fałszowaniem historii. Autor pomija fakt, że owo „bohaterstwo” Gabriela Hołubka w rzeczywistości wiązało się dla Jakubowic ze spustoszeniem. Lokalizowanie dawnej wsi na terenie powstałej w II połowie XIX wieku kopalni „Saturn” stanowi kolejny element rywalizacji społeczno-mentalnościowej o przebieg czeladzko-siemianowickiej granicy. Strona siemianowicka stoi na stanowisku, aby lokalizować dawne Jakubowice w okolicach dzisiejszego parku „Pszczelnik”. Pisał o tym m. in. Wilhelm Koenig, autor monografii Siemianowic z 1902 roku. Opisując obszar parku zauważał:

*Po odsłonięciu 8-10 cm murów uznano dalsze prowadzenie robót „za szkodę dla lasu” i roboty zostały przerwane. Mury pochodziły prawdopodobnie z grobowca lub kaplicy i nie można wykluczyć, że stanowią jakąś pozostałość po „spustoszonej” wsi Jakubowice*²⁹.

Tereny po dawnej kopalni „Saturn” oraz park „Pszczelnik” dzieli odległość około kilometra. Z pozoru wydaje się to niewiele, jednak jeżeli spojrzeć na dawne dzieje tego obszaru i ilość przelanej tu krwi, to waga precyzyjnej lokalizacji spustoszonej wsi Jakubowice i społecznego odniesienia do jej przeszłości mają istotne znaczenie dla obu społeczności.

Doszukując się przykładów żywotności dawnych sporów we współczesności powołać się można na przykład sprzed kilku lat. W okolicach kopalni „Saturn” przy ścieżce rowerowej, miasto Czeladź umieściło tablicę informacyjną mówiącą, iż na obszarze tym w przeszłości istniały Jakubowice. Znak ten stosunkowo szybko został jednak zniszczony i dzisiaj jego poszukiwania byłyby bezcelowe. Wprawdzie mógł to być jedynie bezmyślny akt wandalizmu, jednak można się w nim doszukać analogii do dawnych rywalizacji siemianowicko-czeladzkich, gdzie brutalność i niszczenie mienia drugiej strony były przez stulecia standardem.

Podsumowanie

Siemianowicko-czeladzka granica, którą przez wieki wyznaczały tereny po spustoszonej wsi Jakubowice jest przykładem nierzadko trudnego sąsiedztwa śląsko-zagłębiowskiego. Kilkusetletni konflikt graniczny, w którym nie brakowało wzajemnych gwałtów, grabieży czy nawet morderstw, pozostawił w mentalności mieszkańców obu brzegów rzeki Brynicy trwałe ślady. Wprawdzie same Jakubowice popadły w społeczną niepamięć, co budzi dziś pole do różnych interpretacji ich dawnej lokalizacji, jednak echa starć o ich tereny wyczuwalne są w postaci antagonizmów pomiędzy Ślązakami i Zagłębiakami. Niejednokrotnie dzisiejsza niechęć obu grup ma charakter nieuświadomiony, stała się elementem miejscowej tradycji. Ukazuje to jak ważną rolę w terażniejszości odgrywa przeszłość. Jakubowice stanowią przykład fenomenu społeczno-kulturowego, którego oddziaływanie przekroczyło żywotność fizyczną samej wsi – po jej spaleniu jeszcze przez setki lat teren osady budził żywe emocje, wpisując się tym samym w ramy historii strukturalnej.

Jakubowice mimo różnic, które występują w interpretacji ich historii mogą stanowić rodzaj pomostu i szanse współpracy śląsko-zagłębiowskiej. Dzisiejsze realia, oprócz sfery mentalnościowej, wolne są od wzajemnego konfliktu interesów i uprzedzeń. Inicjatywy wokół uczczenia pamięci o dzisiaj już zaginionej wsi mogłyby stanowić jeden z elementów do poszukiwania wzajemnego dialogu i kreowania pozytywnego sąsiedztwa.

PRZYPISY:

1 M. W. Wanatowicz, *Wstęp*, [w:] *Śląsko-zagłębiowskie konfrontacje historyczne*, red. M. W. Wanatowicz, Katowice 1999, s. 7.

2 K. Karwat, *Jak hanyś z gorolem. Rozważania o Górnym Śląsku*, Katowice 1999, s. 102-103.

3 Z. Kapała, *Antagonizm śląsko-dąbrowski w świadomości społecznej po II wojnie światowej*, [w:] *Śląsko-zagłębiowskie konfrontacje historyczne*, red. M. W. Wanatowicz, Katowice 1999, s. 174.

4 *Ibidem*, s. 192.

- 5 J. J. Długosz, *Kaj ta wioska kedyś leżała. O zapadłej wsi Jakubowice i innych wymazanych z mapy miejscach*, [w:] *Kalendarz siemianowicki na rok 2005*, red. J. J. Długosz, Siemianowice Śląskie 2004, s. 108.
- 6 J. Łyżwiński, *Jakubowice starsze niż sądzono*, „Echo Czeladzi” 1988, nr 8, s. 14.
- 7 Z. Janeczek, *Od Sancovic do Siemianowic. Szkice z dziejów miasta i okolic*, Katowice 1993, s. 22.
- 8 A. Kuzio-Podrucki, *Mieroszewscy. Między Śląskiem a Małopolską*, Tarnowskie Góry 2010, s. 11-12.
- 9 Ibidem, s. 9.
- 10 S. Mieroszewski, cyt. za: H. Barycz, *Wstęp wydawcy*, [w:] S. i H. Mieroszewscy, *Wspomnienia lat ubiegłych*, Kraków 1964, s. 12.
- 11 F. Gramer, *Chronik der Stadt Beuthen in Ober-Schlesien*, Beuthen 1863, s. 95.
- 12 Z. Boras, *Bitwa pod Byczyną 1588*, Katowice 1988, s. 122.
- 13 J. Lompa, cyt. za: A. Halor, *Siemianowickie koneksje Józefa Lompy*, Siemianowice Śląskie 2001, s. 19.
- 14 M. Kantor-Mirski, *Z przeszłości Zagłębia Dąbrowskiego i okolicy*, Sosnowiec 1931, t. I, s. 150-151.
- 15 L. Musioł, *Michałkowice. Gmina i parafia. Monografia historyczna*, Siemianowice Śląskie 2004, s. 46.
- 16 H. Barycz, *Wstęp wydawcy*, [w:] S. i H. Mieroszewscy, *Wspomnienia lat ubiegłych*, Kraków 1964, s. 12.
- 17 J. Łyżwiński, *Zarzecze*, Czeladź 2006, s. 32.
- 18 M. Kantor-Mirski, *Z przeszłości...*, s. 155-156; Z. Janeczek, *Od Sancovic...*, s. 24.
- 19 W. Koenig, *Chronik von Siemianowitz, Laurahütte, Fannygrube und Georgshütte. Mit Einschluss des Wichtigsten aus der Kulturgeschichte Schlesiens und insbesondere des Oberschlesischen Industriebezirks*, Laurahütte 1902, s. 124-126.
- 20 Taka wersja zdarzeń jest problematyczna. Arkadiusz Kuzio-Podrucki podaje, iż dobra jakubowickie odziedziczył po Janie II jego syn - ordynat myślowicki Jan Krzysztof Mieroszewski, a nie brat Wojciech II: A. Kuzio-Podrucki, *Mieroszewscy*, s. 28.
- 21 W. Koenig, *Chronik ...*, s. 130; Z. Janeczek, *Od Sancovic ...*, s. 24.
- 22 J. Łyżwiński, *Zarzecze*, s. 35.
- 23 Z. Janeczek, *Od Sancovic ...*, s. 24-25.
- 24 M. Kantor-Mirski, *Z przeszłości ...*, s. 160.
- 25 Zob. Z. Janeczek, *Od Sancovic ...*, s. 25.
- 26 J. Łyżwiński, *Zarzecze*, s. 36-37.
- 27 Ibidem, s. 38.
- 28 M. Kantor-Mirski, *Z przeszłości ...*, s. 186.
- 29 W. Koenig, cyt. za: J. Łyżwiński, *Zarzecze*, s. 60.

O „PODRÓŻY DO POLSKI” AUGUSTA SCHOLTISA

Poniższe omówienie dotyczy fragmentu „Podróży do Polski” Augusta Scholtisa¹, powieściopisarza, pochodzącego z ubogiej, lecz szanowanej rodziny śląskiej, od lat zamieszkującej ziemię raciborską. August Scholtis urodził się 7 sierpnia 1901 roku w Bolacicach, gdzie skończył szkołę powszechną i zdobywał doświadczenia pisarskie jako dziennikarz. W roku 1928 przenosi się do Berlina, gdzie mieszka aż do śmierci 29 kwietnia 1969 roku. Za swoją twórczość otrzymał wiele nagród i wyróżnień, m.in. nagrodę Andreasa Gryphiusa i w roku 1959 Wschodnioniemiecką Nagrodę Kulturalną. Był członkiem Akademii Języka i Poezji, Akademii Berlińskiej oraz PEN - Clubu. Jego najważniejsze dzieła to Ostwind (Wiatr od wschodu; 1932), Baba und ihre Kinder (Baba i jej dzieci; 1934), Ein Herr aus Bolatitz (Jeden pan z Bolacic; 1959), Reise nach Polen (Podróż do Polski; 1962)².

Fragment Górny Śląsk: tłusty węgiel i gorące żelazo zawiera opis podróży autora z Krakowa do jego domu w Berlinie. Podróż ta przebiega jednak przez ziemie rodzinne Scholtisa i miejsca, które kiedyś znał, w których kiedyś mieszkał i w których kiedyś pracował. Jadąc pociągiem z Krakowa zaplanowany ma pobyt w Katowicach. Odbываяc swą podróż autor wspomina, jak wyglądało życie na Śląsku w czasach jego młodości, które zapamiętał i porównuje je z nową rzeczywistością, jaka wytworzyła się wcześniej po pierwszej, a przede wszystkim po drugiej wojnie światowej. Przytacza także rozmowy dotyczące śląskiej ziemi z osobami, z którymi miał styczność podczas swojej podróży.

Jednak niewątpliwie tematem tekstu nie jest tylko geograficzno - historyczny rys Śląska, który pojawia się przed oczami autora, gdy ten jedzie pociągiem, porusza się po Katowicach, czy podróżuje samochodem w swe rodzinne, raciborskie strony. W tym tekście znajdują się rozważania dużo ważniejsze od zmieniającego się wyglądu jego rodzinnych stron. Głównym problemem jest właściwie odpowiedź na pytanie kim tak naprawdę są Ślązacy? Czy w większości są to Niemcy, którzy w skutek różnych zawirowań historycznych (plebiscyt po pierwszej wojnie światowej, ustalenie granicy zachodniej Polski po drugiej wojnie światowej) znaleźli się w państwie polskim, czy są to jednak Polacy, którzy na skutek wydarzeń z lat 1772, 1793, 1795 znaleźli się bez swego kraju. A może jest to jeszcze inna ludność?

W rozważaniu tego problemu pomocne będą dane dotyczące języka, jakim posługiwali się mieszkańcy tego terytorium, które przytacza sam autor. Sięga on po dane ze spisu ludności przeprowadzonego przez Niemcy w 1910 roku. Wynika z niego, że w powiatach Nysa, Grodków, Głubczyce, Niemodlin mieszkało bardzo niewielu Polaków. Autor zaznacza, że na Śląsku Dolnym i Środkowym nie było prawie wcale ludności tej narodowości, a mieszkała tam ludność niemieckojęzyczna. W rejencji opolskiej stosunek ludności dwujęzycznej do ogólnej liczby mieszkańców kształtował się w następujący sposób: Nysa 1,1%, Grodków 2%, Niemodlin 10,2%, Głubczyce 6,3%, Prudnik 44,9%, Racibórz 47,7%, Koźle 75%, Opole 75%, Strzelce Opolskie 79,2%, Kluczbork 47,2%, Olesno 80,7%, Lubliniec 79,3%, Gliwice 76,4%, Rybnik 77,8%, Tarnowskie Góry 66,8%, Pszczyna 86%, Bytom 33,1%, Zabrze 51%, Chorzów 34%, Katowice 13,3%³.

Wkrótce nastąpiły wydarzenia pierwszej wojny światowej, powstań śląskich i plebiscytu, które spowodowały podział ziemi śląskiej między oba zainteresowane państwa. Stworzyło to sytuację, w której oba narody musiały ze sobą konkurować na polu kulturalnym, by przyciągnąć do siebie osoby, które nie miały jeszcze ukształtowanej świadomości narodowej i nie potrafiły określić, czy czują się Niemcami, czy Polakami. Według Scholtisa było to korzystne dla miejscowej ludności, gdyż niewątpliwie rozwijało to kulturę w obu krajach. Przytacza on w opisie swej podróży przykłady publikacji z tamtej epoki, takie jak powieść Zink wird Gold Hansa Nowaka i Georga Ziviera, dotyczące znanej na Śląsku postaci Karola Goduli, powieść Arnolda Ulitza Der grosse Jania, traktująca o losach drobnomieszczkańskiego spekulanta gruntami z Katowic – wszystko twórców niemieckich. Zauważa także, iż również Polacy wykazali się dużymi kulturalnymi osiągnięciami, które przynosiły im duże sukcesy, jednak w tekście nie sposób odnaleźć żadnych przykładów.

W tym momencie można zaobserwować smutek Scholtisa, który z pewnością wolałby, by na podstawie wyniku plebiscytu, całość Śląska przyłączyć do Niemiec. Winnych tego, że tak się nie stało widzi zarówno w Niemczech, które w czasie, kiedy Śląsk znajdował się pod ich panowaniem nie wzięły wystarczająco mocno pod uwagę rozwijającej się, początkowo niebyt mocno, jednak wraz z upływem czasu coraz odważniej polskiej świadomości narodowej na Śląsku (Niemcy również zadawali sobie pytanie, kim tak naprawdę są ci Ślązacy? Co to za ludność?). Przykładem tego może być obieg książki polskiej na Śląsku w XIX wieku (specjalnie po nie wyprawy do Galicji, tajne rozpowszechnianie, szczególnie w tym zasługa duchownych katolickich), czy choćby dziewiętnastowieczne wyjazdy Ślązaków do Krakowa, gdzie spotykali się oni z bardzo ciepłym przyjęciem, często zdarzało się nawet, że witała ich na dworcu

orkiestra (gdyż takie wyjazdy były najczęściej zorganizowane grupowo i wcześniej przygotowywane) i gdzie mogli później oglądać ślady historii Polski. W Galicji w miarę możliwości robiono wszystko, aby Ślązak jadący na taki wyjazd, nie wracał już typowym Ślązakiem, ale by był on Polakiem, mieszkającym na Śląsku⁴.

Również działalność Wojciech Korfantego, Górnoślązaka urodzonego w Siemianowicach Śląskich, wybitnego działacza na rzecz polskości Śląska, wpływała na to, by Śląsk w całości nie znalazł się w Niemczech. Jednak Scholtis stwierdza, że dla jego działalności wyniki plebiscytu były porażką, gdyż około sześćdziesięciu procent dwujęzycznych Górnoślązaków głosowało za Niemcami. W tym miejscu wypada się zgodzić z autorem, który twierdzi, że Ślązacy woleli stabilność i rozwój gospodarczy (co na Śląsku szczególnie w XIX i XX wieku było bardzo ważne), które to wydawały się gwarantować Niemcy, choćby tylko z powodu ich dotychczasowej historii, niż niepewność w dopiero co odrodzonej Polsce, atakowanej ze wschodu przez bolszewików, co do której przyszłości nie można było być pewnym. Również brak całkowicie rozwiniętej polskiej świadomości narodowej z pewnością miał wpływ na taki wynik.

Winę za podział Śląska widzi także w Polsce, a raczej w jej ówczesnej sytuacji międzynarodowej. Według mnie ciężko jest autorowi coś w tym miejscu udowodnić, jednak czuć jego żal, iż Polacy walcząc o niepodległość, doprowadzili pośrednio do sytuacji, w której Śląsk został podzielony.

W związku z taką sytuacją, całkiem spora część Ślązaków walczyła podczas drugiej wojny światowej po stronie Trzeciej Rzeszy. Scholtis twierdzi, iż sami Polacy określali tych dwoistych za sprawą ich pochodzenia i wychowania ludzi jako autochtonów.

W dalszej części podróży powraca sprawa niemieckiej przeszłości Śląska. Autor uwypukla osiągnięcia niemieckich inżynierów, którzy to doprowadzili do rozwoju gospodarczego i architektonicznego Górnego Śląska. Również zaznacza, że teatr w Katowicach to również dzieło niemieckiej hierarchii przemysłowej. W czasie podróży wraz z panami Wilhelmem Szewczykiem i Janiurkiem do Świerklańca znów pojawia się przykład przywiązywania dużo większej wagi do osiągnięć niemieckich na Górnym Śląsku, niż do późniejszych zdobyczy polskich. W trakcie opisu bardzo mało miejsca autor poświęca temu drugiemu, za to dużo bardziej rozwodzi się nad uleciałym już pięknem zamku w Świerklańcu. Krytykuje przy tym Polaków, którzy park zamkowy obstawili dziwnymi rzeźbami. W ciągu całego tekstu można zauważyć jednak, mimo deklarowanej opcji pojednania polsko - niemieckiego, wyraźną przychylność jednak dla niemieckich osiągnięć na Śląsku. Widać jednak, że jego związki z Niemcami są bardzo silne, z czego rodzi się tendencja do umniejszania roli Polaków na Śląsku.

Dla Augusta Scholtisa Górnślązak to człowiek, który posługuje się przynajmniej językiem polskim i niemieckim. Stwierdzenie to pada podczas rozmowy z panem Janiurkiem podczas nocnego powrotu samochodem ze Świerklańca. W tym stwierdzeniu uwidacznia się jego pogląd na to, czym właściwie jest Śląsk. Nie opowiada się on w związku z tym wyraźnie za żadną ze stron. Nie czyni Śląska tylko i wyłącznie niemieckim (choć niewątpliwie bliżej jest mu do opcji niemieckiego Śląska niż Śląska polskiego). Nie czyni go także tylko i wyłącznie polskim. Jednak z jego narracji wyraźnie wynika, że jest on przeciwny wszelkim podziałom ziemi śląskiej między oba te kraje i wywoływaniu w związku z tym konfliktów na tle niemiecko - polskim. W tym czasie jest on już pogodzony z sytuacją, jaka ukształtowała się po zakończeniu drugiej wojny światowej. Z taką granicą Śląska, jaką wtedy ukształtowano. Według niego niesłusznie, gdyż nie wzięto pod uwagę w ogóle narodowości mieszkańców, którzy zamieszkiwali te ziemie. Granicę wyznaczono, jak to zwykle po zakończeniu takiego konfliktu bywa grubą kreską na mapie, nie patrząc na inne względy oprócz polityki. Scholtis ma o to wyraźny żal. Czy jest on powodowany tym, że jednak śląska ziemia odpadła całkowicie od Niemiec? Jednak w XIX wieku był to gospodarczo bardzo silny region, z którego całe Niemcy czerpały zyski, czego wiele przykładów możemy odnaleźć w *Podróży do Polski*. Wydaje mi się jednak, że potrafi on mimo wszystko docenić wkład polskości w rozwój Górnego Śląska.

PRZYPISY:

- 1 August Scholtis, *Podróż do Polski. IX Górny Śląsk: tłusty węgiel i gorące żelazo*, [w:] *Śląsk. Rzeczywistości wyobrażone*, red. Wojciech Kunicki, Poznań 2009, s. 399.
- 2 Informacje biograficzne pochodzą ze strony internetowej Górnśląskiego Dziedzictwa: <http://www.gornoslaskie-dziedzictwo.com/index.php?action=ludzie&id=26> z 20 maja 2010 r.
- 3 August Scholtis, *Podróż...*, s. 401.
- 4 Por. Anna Tokarska, *Książki, ludzie, idee: kontakty kulturalne Górnego Śląska z Krakowem w dobie niewoli narodowej*, Katowice 2003.

O WSPÓŁCZESNYCH PROBLEMACH ŚLĄSKIEJ TOŻSAMOŚCI

Sporym zaskoczeniem były wyniki Narodowego Spisu Powszechnego w 2011 roku, w którym deklarację o przynależności do narodu śląskiego oficjalnie złożyło 847 tysięcy osób, z czego 376 tysięcy – bez jednoczesnego zadeklarowania narodowości polskiej.¹ Należy w tym miejscu zauważyć, że dla potrzeb tego badania Główny Urząd Statystyczny przyjął definicję o subiektywnym charakterze deklaracji narodowościowej, co oznacza, że deklaracja jednostki nie wymagała żadnych uzasadnień ani dowodów.

Złożenie deklaracji narodowościowej wiąże się z wpisaniem jednostki w ramy konkretnej wspólnoty, przyjęciem jej spuścizny i pewnej konwencji postrzegania świata, dlatego też niesie za sobą ogromny ładunek emocjonalny. Rozumiana w ten sposób waga decyzji narodowościowej w korelacji z masowością takiej decyzji w trakcie ostatniego spisu powszechnego nakazuje potraktowanie takich deklaracji jako doniosłego faktu społecznego.

Nieco inny wymiar ma wniosek o zmianę „Ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym” poprzez dopisanie Ślązaków do listy mniejszości etnicznych, pod którym podpisało się ponad 140 tysięcy ludzi.² Choć zapewne zrąb tej liczby stanowią osoby poczuwające się do więzi z narodowością śląską, to jednak samo poparcie wniosku nie jest równoznaczne z takim poczuciem i może wpływać także z szeregu innych pobudek.

Niezależnie więc od tego, czy istnienie takiej narodowości uznajemy za uzasadnione i właściwe, deklaracja o przynależności do niej odpowiada na potrzeby prawdziwej rzeszy ludzi i domaga się naukowej analizy. W niniejszym artykule chciałbym zastanowić się nad przyczynami popularności takiej decyzji narodowej, szczególnie w kontekście obecnego momentu dziejowego, na początku dwudziestego pierwszego wieku. Chciałbym zaznaczyć, że nie jest moim celem badanie faktycznej siły oddziaływania poszczególnych argumentów, a raczej próba odnalezienia we współczesnej przestrzeni społecznej polskiej części Górnego Śląska elementów mogących kształtować to zjawisko i wpisanie go w ramy pewnych społecznych i politycznych procesów.

Zmiana sytuacji międzynarodowej

Upadek komunizmu jeszcze zapewne przez długi czas będzie punktem wyjścia do wyjaśniania socjologicznych fenomenów zachodzących w przestrzeni państwa polskiego. Również w analizie genezy kształto-

wania się i rozwoju górnośląskiego ruchu narodowego zmiany wywołane upadkiem systemu komunistycznego mogą posłużyć za punkt wyjścia.

Komunizm był systemem zwalczającym pluralizm w życiu społecznym, planowo tłumiącym także dyskusję na tematy narodowe. Na pytanie o tożsamość ludności śląskiej została z góry narzucona jedna odpowiedź: Śląsk jest ziemią odwiecznie polską, jego mieszkańcy są w przeważającej części Polakami, w części zaś – Niemcami,³ potomkami przybyszów, których celem zasadniczym był wyzysk i germanizacja.⁴ W sposób wybiórczy i jednostronny eksponowano w dyskursie naukowym czy sztuce wyłącznie elementy wiążące etniczność śląską z Polską.⁵ Planowo prowadzono również akcje zacierania wszelkich śladów niepolskiej przeszłości na Górnym Śląsku.⁶ W pierwszych latach powojennych prowadzono przymusowe wypędzenia, wysiedlenia, zamykanie w obozach osób poczuwających się do narodowości niemieckiej oraz weryfikację ludności zachowującą elementy kultury polskiej⁷ – zgodnie z opisanym założeniem o uznawaniu Śląska za ziemię „odwiecznie polską”.

Oczywiście poza fobiami komunistycznego państwa istniały też nader racjonalne argumenty sugerujące powściągliwość w relacjach z państwem zachodniemieckim. Istotną rolę odgrywało napięcie w stosunkach pomiędzy Polską a Niemcami, istniejące z uwagi na żywą jeszcze pamięć o drugiej wojnie światowej.⁸ Sytuacji nie poprawiał także fakt, że Republika Federalna Niemiec była najbliższym geograficznie Polski krajem kapitalistycznym, a także trwający do 1970 roku pat w sprawie uznania przez to państwo granicy z Polską.⁹ Ewentualne dopuszczenie do dyskursu nad istnieniem narodu, stanowiącego czy to przemieszanie przemieszania kultur polskiej, czeskiej i niemieckiej,¹⁰ czy to opartego na kulturze genetycznie unikalnej, spokrewnionej ze wspomnianymi, ale całkowicie im równorzędną,¹¹ stanowiłoby dyplomatyczne samobójstwo i znacznie osłabiało polski mandat do panowania nad tymi ziemiami.

Sytuacja polityczna lat następujących bezpośrednio po drugiej wojnie światowej gwałtownie przerwała więc górnośląską dyskusję tożsamościową. O tym, że dyskusja taka toczyła się jeszcze w czasach międzywojennych i w latach drugiej wojnie światowej świadczyć mogą zarówno wyniki plebiscytu,¹² jak i okresowe istnienie stowarzyszeń domagających się zwiększenia autonomii czy nawet niepodległości Śląska¹³ czy znaczące wyniki osiągnięte przez partie mniejszości niemieckiej (w tym sukces w wyborach komunalnych z 14 listopada 1926, kiedy to partie niemieckie zdobyły 40,9% głosów¹⁴), losy wojenne tysięcy Ślązaków walczących tak w armii polskiej jak i niemieckiej, popularność volkslisty, a następnie deklaracji wierności Polsce.¹⁵

Upadek komunizmu był momentem spluralizowania dyskursu publicznego, to znaczy debata publiczna przestała być oparta o wspomniana-

ne założenia. Umożliwiło to spojrzenie zarówno na proces dziejowy, jak i sprawy narodowe z innych punktów widzenia. Okres tych kilkunastu lat jaki upłynął od upadku komunizmu do rozpoczęcia debaty na temat narodowości śląskiej można łatwo wytłumaczyć koniecznością zarówno skryształowania takich postulatów, jak i dotarcia z rzetelną wiedzą do szerokich mas ludności, funkcjonujących mentalnie w kręgu paradygmatów i półprawd kreowanych przez władze komunistyczne. Być może też deklaracje narodowości śląskiej wiążą się z negatywnym stosunkiem do wszystkiego, z czym kojarzy się stary ustrój.

Mówiąc o zmianie sytuacji politycznej nie sposób także nie wspomnieć o wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Ostrożnie podchodziłbym jednak do kwestii związku „narodowości śląskiej” z budowaniem nowych europejskich tożsamości. Te mają raczej mieć charakter ponadnarodowy,¹⁶ zaś „narodowość śląska” wygląda raczej na tożsamość „w starym stylu”, potencjalnie zdolną do wywołania nacjonalistycznych demonów. Międzynarodowa współpraca wymusza jednak poszukiwanie wspólnych płaszczyzn współpracy kulturalnej i naukowej dla krajów członkowskich, dzięki czemu realizowane są projekty dotyczące lokalnej specyfiki¹⁷ – co z pewnością wzmaga zainteresowanie Śląskiem i może stanowić pożywkę dla budowy czegoś więcej niż tylko poznawcze zainteresowanie.

Zerwanie kagańca

Uwolnienie dyskusji w obszarze ideologicznym przyniosło również w konsekwencji powyższego uwolnienia od paradygmatów także swobodę wypowiedzi naukowej, artystycznej czy publicystycznej na tematy związane z kulturą czy historią Śląska.

Nie miejsce tutaj na precyzyjne opisy obydwu tych czynników. Trudno jednak nie zgodzić się, że górnośląska kultura ludowa (obejmująca zarówno sferę lingwistyczną, jak i lokalne obrzędy, tradycje, kuchnię, sposób myślenia) jest wyrazista i łatwo rozróżnialna od kultury krain ościennych, zaś historia - złożona i pełna meandrów - także wcale niejednoznacznie związana z Polską.¹⁸

Swoją rolę we wzroście nastrojów separatystycznych może odgrywać po prostu odkrywanie alternatywnych narracji dotyczących tych sfer.

Kreacja narodowości śląskiej może być próbą spojrzenia na kulturę od drugiej strony – nie jako staropolskiego ziarna skażonego wpływami obcymi, ale przez pryzmat jej cech specyficznych, odróżniających ją od każdej ze wspomnianych kultur ziem ościennych. Może być również próbą wzmocnienia, czy może stworzenia, ogólnogórnośląskiej jedności, rozpadającej się w tej chwili do granic administracyjnych dwóch państw, a wewnątrz nich do większej jeszcze ilości mniejszych jednostek.

Argumentem natury historycznej, poza stosunkowo krótkim okresem przynależności do państwa polskiego jest też nieobecność Śląska w najważniejszych chwilach w życiu polskiej społeczności narodowej, w konstytuujących poczucie wspólnoty tryumfach i klęskach, a także w momentach kluczowych dla kształtowania się państwa. Dla osób czujących ideologiczny związek ze Śląskiem większość podniosłych chwil narodu polskiego nie była momentami wzruszeń ich dziadów, gdyż oni dzielili radości i problemy państw ościennych. Śląsk nie należał więc do Polski prawdopodobnie w momencie chrztu (ten problem nie dotyczy akurat dawnej kasztelanii bytomskiej, na terenie której leżą Siemianowice, gdyż do 1179 należała ona do Małopolski), jednak chociażby już w bitwie pod Grunwaldem śląskie rycerstwo walczyło po obydwu stronach. Ślązacy nie mogą czuć się spadkobiercami sławnego władztwa Jagielly, złotej ery Zygmunto-wskiej, późniejszego rozkwitu demokracji szlacheckiej, chwalebnej konstytucji trzeciomajowej, tragedii rozbiorów, czy powstań listopadowego i styczniowego. Można oczywiście dowodzić udziału tego czy owego przedstawiciela ludu śląskiego w którymś z tych epizodów czy nawet szczególnego zainteresowania ogółu ludu śląskiego, jednak w swojej masie społeczeństwo żyło czym innym, innym sprawom oddawało swe talenty i ofiary. Żadne z dwóch świąt państwowych upamiętniających wydarzenia historyczne, obchodzonych jako dni wolne od pracy (czyli 3 maja i 11 listopada) nie jest dniem, gdzie identyfikacja osób związanych emocjonalnie przede wszystkim ze Śląskiem wynikałaby z dumy ze spuścizny ojców. Dopiero wydarzenia wieku dwudziestego, takie jak na przykład walka z systemem komunistycznym, umożliwiają faktyczne uczczenie ich bohaterów jako postaci prawdziwie „swoich”.

W myśl tych dwóch argumentów deklaracja narodowości śląskiej jest więc ucieczką przed wmuszoną przez poprzedni system polityczny etykietką „niepełnego Polaka” poprzez stworzenie alternatywnej tożsamości, w której elementy „ograniczające” polskość byłyby uprawnione. W historycznym kontekście narodowość śląska może być także próbą zbudowania tożsamości, w ramach której można by odczuwać dumę i duchową łączność z całością górnośląskiego dziedzictwa, które – patrząc z naszej, siemianowickiej perspektywy – obejmuje tak wyrosłego z prostego ludu Wojciecha Korfantego, jak i europejskiej rangi arystokratę, hrabiego Hugona Henckel von Donnersmarcka.

Globalizacja i jej problemy

Upadek komunizmu w Polsce spowodował również doniosłe przemiany związane z bardziej dogłębnym wejściem naszego społeczeństwa w orbitę wpływów globalizacji. Również w zjawiskach z nią związanych należy się doszukiwać procesów sprzyjających rozwojowi śląskiego ruchu narodowego.

Globalizację definiuje się jako wielowymiarowy fenomen obejmujący sfery ekonomii, polityki, kultury, ideologii czy bezpieczeństwa, polegający na intensyfikacji wzajemnych powiązań pomiędzy społecznościami, co prowadzi do rozprzestrzeniania się analogicznych zjawisk, niezależnie od kontekstu geograficznego i gospodarczego a w konsekwencji do ujednolicenia wielu zjawisk zachodzących w wymienionych sferach na poziomie światowym.¹⁹

Z globalizacją nieodłącznie są powiązane łatwość migracji, otwartość granic, łatwość przepływu towarów i usług. W związku z tym, dla współczesnego człowieka pojęcie tożsamości narodowej staje się kwestią nieco umowną czy wprost kwestią wyboru: częstokroć człowiek dwudziestego pierwszego wieku jest zmuszony dokonywać decyzji dotyczących własnej przynależności narodowej (spomiędzy narodowości ojca, matki, miejsca narodzenia, wychowania, czy miejsca wybranego do życia). Zupełną mrzonką w dobie międzynarodowych korporacji wydaje się zastosowanie zasady ekonomicznego (czy jakiegokolwiek innego, poza emocjonalnym) uprzywilejowania rodaków. W związku z tym pojęcie „wspólnoty narodowej” coraz bardziej staje się pustym frazesem, a więź narodowa ulega w związku z tym osłabieniu w sferze obiektywnej i marginalizacji w sferze subiektywnej. Takie osłabienie ram i jednoznaczności więzi narodowej z pewnością sprzyja większej podatności jej zmianę, zarówno w sferze deklaratywnej jak i faktycznie odczuwalnej. Łatwiej więc sformułować w tej sferze bardziej odważne deklaracje – także te o odstąpieniu od, nazwijmy to umownie, macierzystego narodu czy przynależności do narodowej mniejszości.

Globalizacja wiąże się też z łatwiejszym przepływem idei, w interesującym nas przypadku idei dotyczących historii czy etnografii z krajów ościennych. Stosunkowa łatwość zagranicznych wyjazdów na studia, zwiększenie dostępności obcej literatury (rozbudowa poszczególnych rynków wydawniczych dla tłumaczeń literatury, stosunkowa łatwość pozyskiwania dzieł w oryginale czy całkowita wprost banalność zapoznawania się z głównymi tezami zagranicznych autorów w formie artykułów internetowych) – wszystko to przyczynia się do rozszerzenia spektrum narracji możliwych do poznania. W przypadku Górnego Śląska, jego kultury i historii jest to o tyle istotne, że nieco odmienne podejście do niego oferują co najmniej trzy historiografie – polska, czeska i niemiecka. Ta mnogość narracji z pewnością wpływa na poszukiwanie „złotego środka”, który jest chyba najnaturalniejszą drogą do pogodzenia argumentów różnych stron, zwłaszcza dla laika, zdolnego analizować jedynie ograniczoną ilość informacji w ograniczonym zakresie. Dla profesjonalisty zaś – historyka, specjalisty w dziedzinie nauk społecznych czy kulturoznawcy – poznanie innych punktów widzenia, nie zawsze możliwych ze sobą do pogodzenia,

wprowadza twórczy ferment w myśleniu. Efektem tych poszukiwań – czy to „złotego środka” czy to prawdy (uwzględniając argumenty wszystkich zainteresowanych stron) – może być właśnie „naród śląski”, jako kreacja łącząca elementy zaczerpnięte z trzech tradycji badawczych i trzech punktów widzenia.

Szczególnym bodźcem do umiłowania tego, co lokalne i najbliższe, jest lokalizacja – jeden z efektów ubocznych globalizacji. Teoria lokalizacji posługuje się twierdzeniem, że ulegając homogenizowaniu się świata oraz przyjmując wzorce z kultur dominujących (zjawisko określane działającym na wyobraźnię terminem „makdonaldyzacja” pochodzącym z pracy George’a Ritzera²⁰), paradoksalnie czujemy się jednocześnie bardziej związani ze swoim najbliższym otoczeniem. Z jednej strony żyjemy w sieciowych barach, pracujemy w międzynarodowych korporacjach i zachwycamy hollywoodzkimi superprodukcjami, z drugiej zaś – jak napisali Kazimierz Krzysztofek i Marek Stanisław Szczepański: „Rodzinna wieś, miasteczko czy miasto, istniejące hit et nunc, są ludziom bliższe niżli amorficzny, nieskonkretyzowany, nieczytelny i obcy w istocie świat czy kontynent²¹”. Właśnie emanacja tej bliskości wywołuje mi się przyczyną wzrostu popularności i zainteresowania kulturą śląską, swego rodzaju „moda na śląskość”. Może być ona doskonałym punktem wyjścia do ewolucji do formy narodowej.

W obrębie tego wytłumaczenia można się również doszukiwać przyczyn zorientowania śląskiej ideologii narodowej przeciwko Polsce (co często zarzuca się samej idei i jej głosicielom) – to kultura polska, poprzez mass media i „warszawocentryzm” może być postrzegana jako jedna z kultur dominujących, w opozycji do której dokonuje się powrót do śląskich źródeł.

Spadkobiercy historycznego dziedzictwa?

Spojrzenie na rozwój śląskiego ruchu narodowego można także umieścić w perspektywie historycznego kształtowania się narodów. Kolejnym czynnikiem bowiem mogącym mieć wpływ na popularność haseł narodowych na Śląsku w obecnej chwili może być bowiem pewnego rodzaju historyczna dynamika procesów narodotwórczych.

Jan Turowski w swoim dziele „Socjologia: Wielkie struktury społeczne” przytacza trzy podstawowe sposoby spojrzenia na naród i jego genezę.²² Pierwszy z nich, naturalistyczny, dopatrujący się tworzenia narodów w czynnikach natury wyłącznie biologicznej i środowiskowej, skomentował Turowski jako deterministyczny i odrzucony już przez naukę. Drugi, politologiczny, bezpośrednio łączył naród ze wspólnotą państwową, dopatrując się w narodzie po prostu społeczeństwa państwowego. Za Turowskim jednak i tą teorię należy odrzucić, jako zbyt upraszczającą

i w gruncie rzeczy nietrafną – historia zna przypadki narodów kształtujących się w ramach innych organizmów państwowych, jak choćby Słowaków czy (przez pewien okres swoich dziejów) także Polaków, którzy rozwijali i rozszerzali życie narodowe pod jarzmem zaborców.

Trzecim spojrzeniem jest kształtowanie się narodów poprzez kulturę. Turowski przytacza tu za Florianem Znanieckim kolejne grupy odgrywające ważną rolę w tym procesie – literatów, historyków, artystów i innych, których twórczość kreuje ducha narodowego. Do czynnika etnicznego zostaje więc dodana świadoma działalność jednostek.

W obrębie takiego spojrzenia porusza się także Miroslav Hroch, formułując teorię rozwoju ruchów narodowych. Teorie tego wybitnego czeskiego historyka opierają się na podziale narodów na dwie grupy: „dużych”, uformowanych przez historyczne doświadczenie państwowości, i „małych”, nie funkcjonujących w XIX wieku w ramach państw narodowych, z doświadczeniem państwowym bardzo odległym lub żadnym.

Pośród elementów niezbędnych do kształtowania się małego narodu wymienia Hroch takie elementy jak: świadomość wspólnej przeszłości, powiązania językowe czy kulturowe, a w końcu – koncepcję równości wszystkich członków narodu w ramach projektowanego narodowego społeczeństwa. Małe narody powstają zdaniem Hrocha w ramach trzech faz: naukowej, kiedy to grupa inteligencji odkrywa podstawy do nazywania się narodem, i w romantycznym zachwycie zaczyna studiować jego dzieje i specyfikę; agitacyjnej, to przekonują potencjalnych członków nowej grupy do przyjęcia takiej tożsamości, a w końcu i fazy ruchu politycznego, kiedy to ruch narodowy przybiera postać masową, obejmuje wszystkie klasy społeczeństwa, a także tworzą się narodowe instytucje i partie polityczne.²³

Brak istnienia narodu śląskiego lub brak jego rozwinięcia do ostatecznej formy w myśl tych teorii wiąże się więc niewątpliwie z brakiem elit, gotowych poruszyć masy ludności do śląskiej idei narodowej. Na Górnym Śląsku bowiem już od czasów Wiosny Ludów, czyli połowy wieku XIX, istniały tendencje do postrzegania Górnoszlązaków jako narodu czy przynajmniej grupy o charakterze „plemiennym” odrębnej od otaczających go sąsiadów. Szerszy oddźwięk zdobyły sobie: środowisko skupione wokół czasopisma „Nowy Czas” Teodora Haasego, Śląska Partia Ludowa kierowana przez Józefa Koźdonia czy Związek Górnoszlązaków.²⁴ Ruchy te zatrzymały się więc na fazie agitacyjnej, związanej z wyjściem ze środowisk prowadzących fazę naukową „na zewnątrz”. W decydującym momencie dziejowym jednak elity zarówno polityczne, na czele z Wojciechem Korfantym w części pruskiej i Józefem Londzinem w części austriackiej postrzegały odmienność Górnoszlązaków od Niemców jako ideową łączność z narodem polskim. Idąc tym tropem można zaryzykować stwierdzenie, że to owe elity dokonały wyboru, unicestwiając ewen-

tualny rozwijający się naród śląski i pchający Górnoślązaków w objęcia Polski. W późniejszym czasie bardziej znaczącym politykiem lansującym „plemienną” odrębność Ślązaków od Polaków był chociażby Jan Kustos, jednak także i on, pomimo zdobycia pewnej popularności, nie był postacią na tyle znaczącą żeby doprowadzić potencjalny naród śląski do fazy ruchu politycznego.

Współcześnie jednak pojawiły się elity gotowe wypowiedzieć tamten wybór, dostrzegające swoją inność także od Polaków. Mam tutaj na myśli zarówno elity polityczne – jak działacze Związku Ludności Narodowości Śląskiej czy efemerycznej Śląskiej Partii Separatystycznej, jak i ideologów w rodzaju autorów książek naukowych czy popularnonaukowych promujących sprzyjającą ideom separatystycznym interpretację historii (Dariusz Jerczyński²⁵), języka (jak kodyfikatorzy śląskiej godki) czy życia społecznego (twórcy miesięcznika „Ślonski cajtung”).

Wpisując działalność tych autorów czy środowisk w teorię Hrocha możemy więc założyć, że został wznowiony proces powstawania narodu, przerwany w latach dwudziestych czy trzydziestych minionego wieku i na siedemdziesiąt – osiemdziesiąt lat zawieszony. Współcześnie można sklasyfikować fazę kształtowania się narodu śląskiego na agitacyjną przechodzącą w polityczną – odmiennosc narodowa jest już w naukowy czy paronaukowy sposób uzasadniona, zaś ruch narodowy oczekuje na stworzenie ogólnonarodowej, czyli obejmującej wszystkie warstwy społeczne, partii – jednej lub wielu – jednoznacznie deklarującej chęć organizacji narodowej Górnoślązaków.

W myśl powyższej teorii naród śląski nie istnieje więc, ale wciąż może być w fazie kształtowania się. W momencie faktycznego stworzenia wspomnianej partii ogólnonarodowej (lub większej ich liczby) faza tworzenia narodu zostałaby zamknięta.

Kilka uwag na zakończenie

Powyższa lista nie wyczerpuje zapewne wszelkich motywacji do deklarowania przez jednostki narodowości śląskiej czy procesów taką tożsamość kształtujących. Myślę jednak, że każda z zaprezentowanych hipotez stanowi fragment mozaiki, kształtującej to zjawisko – zapewne w zależności od korzeni, miejsca zamieszkania, wykształcenia czy kulturowego bagażu w różnym stopniu wpływającym na decyzję narodową poszczególnych jednostek. Zbadanie wpływu poszczególnych czynników na tę decyzję wymagało by już jednak zaangażowania także praktycznego ujęcia badawczego.

Warto zwrócić uwagę na fakt, że punktem wyjścia dla większości opisanych powyżej procesów jest upadek komunizmu. Możemy się domyślać, że w warunkach wolności wypowiedzi, braku międzynaro-

dowego napięcia czy swobodnym uczestnictwie Polski w procesach globalizacyjnych, dyskusja na temat śląskiej tożsamości byłaby na innym etapie. Być może, już by się odbyła i przyniosła konkretne wnioski. Być może, jak w przypadku prób zdefiniowania pojęcia „narodu” przez humanistów, wciąż by się odbywała. W końcu – w zmienionych warunkach sprawa mogłaby nie urosnąć do poziomu większego sporu czy dyskusji (tak jak współcześnie nie dyskutuje się i nie żąda deklaracji na przykład o poziomie religijności, chociaż zmiany w tej dziedzinie są przedmiotem naukowego zainteresowania).

PRZYPISY:

1 Główny Urząd Statystyczny: Departament Badań Demograficznych i Rynku Pracy, Materiał na konferencję prasową w dniu 29.01.2013 [dostępne: www.stat.gov.pl/cps/rde/xbcr/gus/Przynaloznosc_narodowo-etniczna_w_2011_NSP.pdf]

2 Informacja podana przez media (na przykład: <http://www.dziennikzachodni.pl/artykul/3511147,slazacy-grupa-etniczna-podpisy-pod-projektem-ustawy-juz-w-sejmie-wideo,id,t.html?cookie=1>)

3 R. Baron, A. Michalczyk, M. J. Witkowski, *Kim jest Górnolązak?*, [w:] *Historia Górnego Śląska - Polityka, tradycja i kultura europejskiego regionu*, red. J. Bahlcke, D. Gawrecki, R. Kaczmarek, Gliwice 2011, s. 473.

4 Na takie postrzeganie wpływ miała też polska tradycja narodowa – w niej Niemiec funkcjonował najpierw jako podstępny Krzyżak, potem Prusak (co „pluł w twarz i dzieci germanił”), w końcu zbrodniczy nazista i faszysta. (za W. Tichomirowa, *Portretowanie Niemców we współczesnej literaturze polskiej*, [w:] *Literatura polska w świecie*, tom III: obecności, red. R. Cudak, Katowice 2010, s. 57-59). O ówczesnie obowiązującej tezie o śląskości jako „polskości zanieczyszczonej przez niemieckość” – R. Baron, A. Michalczyk, M. J. Witkowski, *Kim jest Górnolązak...*, s. 473

5 R. Baron, A. Michalczyk, M. J. Witkowski, *Kim jest Górnolązak...*, s. 472-473.

6 B. Linek, *„Odniemczanie” województwa śląskiego w latach 1945-1950: (w świetle materiałów wojewódzkich)*, Opole 1997.

7 A. Dziurok, B. Linek, *W Polsce Ludowej (1945-1989)*, [w:] *Historia Górnego Śląska - Polityka, tradycja i kultura europejskiego regionu*, red. J. Bahlcke, D. Gawrecki, R. Kaczmarek, Gliwice 2011, s. 271-275.

8 B. Linek, Ch. Lotz, *Wypędzenie a wysiedlenie*, [w:] *Historia Górnego Śląska - Polityka, tradycja i kultura europejskiego regionu*, red. J. Bahlcke, D. Gawrecki, R. Kaczmarek, Gliwice 2011, s. 459.

9 A. Dziurok, B. Linek, *W Polsce Ludowej (1945-1989)...*, s. 284.

10 Taki sposób rozumienia śląskości reprezentuje między innymi Dorota Symonides (D. Symonides, *Mądrość ludowa: Dziedzictwo kulturowe Śląska Opolskiego*, Wrocław 2007, s. 9), wspominając także o wpływach Łużyczan, Flamandów i Walonów.

11 Najgłośniej pisał o tym ostatnio Michał Smolorz (M. Smolorz, *Śląsk nie jest wielokulturowy!!!*, „Gazeta Wyborcza” 2012, nr 268 z 16 listopada 2012, dodatek „Gazeta Katowice”, s. 8.)

12 Szczegółowe liczby przytaczane w rozmaitych opracowaniach różnią się, zgodnie podają jednak, że za Polską opowiedziało nieco ponad 40 procent, za Niemcami zaś – niemal 60 procent głosujących. Podobnie ilość gmin, głosujących za każdą ze wspomnianych opcji dawała przewagę Niemcom – 55,3 procent do 44,7 procent gmin, gdzie przewagę zdobyła sobie opcja propolska. (*dane podaje za najbardziej kompletnym opracowaniem wyników – M. Czaplński, Dzieje Śląska od 1806 do 1945 roku*, [w:] *Historia Śląska*, red. M. Czaplński i inni, Wrocław 2007, s.398. Nieznacznie tylko różniące się liczby podaje opracowanie

M. Masnyk, *Dzieje najnowsze - po 1918*, [w:] *Historia Górnego Śląska: Polityka, gospodarka i kultura europejskiego regionu*, red. J. Bahlcke, D. Gawrecki, R. Kaczmarek, Gliwice 2011, s. 225). Dane o ilości gmin głosujących za każdą z możliwych opcji podają w związku z zapisem w regulaminie plebiscytowym, w myśl którego głosowanie miało odbywać się „gminami” - nie sprecyzowano jednak jak to sformułowanie należy rozumieć. (*Regulamin plebiscytowy na Górnym Śląsku*, [w:] W. Dąbrowski, *Górny Śląsk w walce o zjednoczenie z Polską*, Katowice 1921, s. 40).

13 Szerzej: P. Dobrowolski, *Ugrupowania i kierunki separatystyczne na Górnym Śląsku i w Cieszyńskim w latach 1918-1939*, Warszawa - Kraków 1972.

14 D. Sieradzka, *Samorząd terytorialny województwa śląskiego 1920-1939. Aspekty polityczne i narodowościowe*, „Politechnika Gliwicka - Zeszyty Naukowe” Nr 1170, Gliwice 1993, s. 84-94. Warto zauważyć, że w wielu miastach np. w Katowicach czy Królewskiej Hucie listy niemieckie miały przewagę nad polskimi.

15 R. Kaczmarek, *II wojna światowa (1939-1945)*, [w:] *Historia Górnego Śląska - Polityka, tradycja i kultura europejskiego regionu*, red. J. Bahlcke, D. Gawrecki, R. Kaczmarek, Gliwice 2011, s. 260; A. Dziurok, B. Linek, *W Polsce Ludowej (1945-1989)*, [w:] *Historia Górnego Śląska - Polityka, tradycja i kultura europejskiego regionu*, red. J. Bahlcke, D. Gawrecki, R. Kaczmarek, Gliwice 2011, s. 273.

16 Konstanty Adam Wojtaszczyk opisuje Unię Europejską jako wspólnotę (lub docelową wspólnotę) w wymiarach kulturowym, społecznym, politycznym i prawnym (K. A. Wojtaszczyk, *Unia Europejska jako wspólnota ponadnarodowa*, [w:] *Spółczesność i polityka: podstawy nauk politycznych*, red. K. A. Wojtaszczyk, W. Jakubowski, Warszawa 2003, s. 697-710).

17 Czego najdonioślejszym ostatnio dowodem jest z pewnością wielokrotnie tu przywoływana pozycja *Historia Górnego Śląska*, opracowana przez naukowców z Polski, Niemiec i Republiki Czeskiej czy wydawane przez dom Współpracy Polsko-Niemieckiej pozycje książkowe, często skupiające się na śląskim dziedzictwie niemieckojęzycznym

18 Mówiąc w największym skrócie, Górny Śląsk przestrzeni dziejów formalnie przynależał do Polski pod względem politycznym jedynie w okresach od schyłku wieku dziesiątego do pierwszej połowy wieku czternastego, a następnie dopiero w wieku dwudziestym. Całość formalnych związków z Górnym Śląskiem z Polską obejmuje więc cztery i pół wieku, a i we wzmiankowanych okresach można jeszcze wskazać kilka wyrw.

19 P. Sztompka, *Socjologia: analiza społeczeństwa*, nowe poszerzone wydanie, Kraków 2012, s. 671.

20 G. Ritzer, *Makdonaldyzacja społeczeństwa: wydanie na nowy wiek*, Warszawa 2005

21 K. Krzysztofek, M. S. Szczepański, *Zrozumieć rozwój: od społeczeństw tradycyjnych do informacyjnych*, wydanie drugie, Katowice 2005.

22 J. Turowski, *Socjologia: Wielkie struktury społeczne*, Lublin 2000, s. 144-146.

23 M. Hroch, *Social Preconditions of National Revival in Europe, Social Preconditions of National Revival in Europe: A Comparative Analysis of the Social Composition of Patriotic Groups Among the Smaller European Nations*, Cambridge - New York 1985; wydana w Polsce praca tego autora również przytacza we wstępie opisaną w tekście koncepcję (M. Hroch, *Małe narody Europy: Perspektywa historyczna*, Wrocław - Warszawa - Kraków, 2003, s. 9).

24 P. Dobrowolski, *Ugrupowania i kierunki separatystyczne na Górnym Śląsku i w Cieszyńskim w latach 1918-1939*, Warszawa - Kraków 1972.

25 Autor *Historii narodu śląskiego* (D. Jerczyński, *Historia narodu śląskiego: prawdziwe dzieje ziem śląskich od średniowiecza do progu trzeciego tysiąclecia*, Zabrze 2006)

WSPÓŁCZESNOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ MUZEALNICTWA

Mimo niepokojących zjawisk współczesnej kultury, spośród których głównym problemem jest wszechobecna komercjalizacja, może cieszyć fakt wzrostu zainteresowania ofertą muzeów na całym świecie. Autor książki Mirosław Borusiewicz – dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi w latach 1997-2006, pełnomocnik Ministra Kultury i Sztuki ds. muzeów w latach 1993-94) już na wstępie stawia pytania, czy współcześni odwiedzający muzea szukają wiedzy, czy rozrywki z pogranicza gier komputerowych i różnego autoramentu programów telewizyjnych?

Pierwsza część pracy skupia się na krótkim rysie historycznym instytucji muzeum *sensu largo*, tworzeniu się kolekcji na przestrzeni wieków, powstawaniu najważniejszych do dnia dzisiejszego placówek muzealnych. Niezwykle interesujące są też porównania definicji muzeum w XX wieku – np. jedna z nowszych definicji autorstwa Goeffreya D. Lewisa (przewodniczącego Międzynarodowej Rady Muzeów – ICOM w latach 1983-89) ujmuje całe bogate spektrum zadań współczesnego muzeum:

Muzeum w tradycyjnym i powszechnie przyjętym znaczeniu pojęciu jest instytucją przeznaczoną do ochrony interpretacji głównych namacalnych (materialnych) dowodów rozwoju rodzaju ludzkiego i środowiska (...) W muzeum obiekt, w wielu przypadkach wyrwany (...) ze swego oryginalnego kontekstu, staje się komunikatem kierowanym do widza w sposób nieosiągalny przez inne media. To jest atrybut, który decyduje o celu zakładanych muzeów: by służyły jako placówka rekreacyjna, źródło wiedzy naukowej, zakład edukacyjny; by przyczyniały się do podnoszenia jakości życia w rejonach, gdzie są usytuowane, przyciągały turystów do regionu, wzmacniały dumę obywatelską lub działania narodotwórcze, a nawet przekazywały otwarte



Mirosław Borusiewicz
Nauka czy rozrywka? Nowa muzeologia w europejskich definicjach muzeum
Wydawnictwo Universitas
Kraków 2013

teorie ideologiczne. (...) Mimo tak różnych zadań muzea są nastawione na wspólny cel: ochronę i interpretację niektórych materialnych kulturalnej świadomości społeczeństwa¹.

Ze względu na swój profil autor wyróżnia pięć kategorii muzeów: ogólne, historii naturalnej, nauki i techniki, historii oraz sztuki. Omówione są także inne definicje sformułowane przez ICOM oraz poszczególne państwa Unii Europejskiej, których wspólnym mianownikiem jest upowszechnianie – wystawiennictwo, działalność naukowa, co bezpośrednio rzutuje na rolę edukacyjną. Do stosunkowo nowych wyróżników muzeów, bo od połowy XX wieku jest rozrywka (definicja ICOM z 1951 r. mówi i „przyjemności” publiczności).

W części poświęconej problematyce nowej muzeologii autor stwierdza, że przedmiotem jej zainteresowania jest nie tylko wystawa, ale także szeroko rozumiany tekst – napisy w salach ekspozycyjnych, druki, publikacje oraz – szerzej mówiąc – sposoby komunikowania się muzeum z widzem. Z pewnością godna podkreślenia jest uwaga Ulrica Neissera, iż:

goście muzealni nie katalogują wizualnych wspomnień obiektów i podpisów według akademickiego, konceptualnego schematu, lecz asymilują wydarzenia i sytuacje do mentalnych kategorii osobistych znaczeń i rodzaju, determinowanymi wydarzeniami z ich życia przed i po wizycie w muzeum².

Muzea w przyszłości – tej bliższej i tej dalszej staną w obliczu konkurencji w stosunku do innych instytucji proponujących spędzanie czasu wolnego. Warunkiem *sine qua non* musi być jednak rzetelność – w imię komercyjnego sukcesu nie wolno fałszować rzeczywistości. Autor podaje jako niechlubny przykład wystawy „Salvador Dali. Grafika z kolekcji Heinza Essa”, na której brak było rzetelnych informacji, jakie z grafik artysty były jego autorstwa, a jakie jedynie przez jego naśladowców. Wprawdzie sukces komercyjny był osiągnięty, niemniej nosił bez wątpienia znamiona nieuczciwości w stosunku do zwiedzających.

Niektóre z muzeów, nie posiadając wartościowych eksponatów ucieka się do prezentacji kopii, rekonstrukcji i wirtualnej rzeczywistości – rodem z Disneylandu. Nadmierna komercjalizacja nosi wiele zagrożeń – także w naszych polskich warunkach:

Dochodzimy tu do poważnego problemu, który jakkolwiek wraz z upadkiem komunizmu powinien zniknąć z rzeczywistości krajów w przeszłości nim dotkniętych, jak się jednak wydaje, jest nadal żywy. Powstają bowiem ostatnio w naszym kraju muzea, które dysponują nowymi lub adaptowanymi budynkami, duże z założenia i dostatecznie finansowane, co jest unikatowym zjawia-

skiem i powodem zazdrości innych muzeów. Mają one w praktyce odgrywać rolę polityczną, w pewnej mierze propagandową i edukacyjną. Anie chodzi oczywiście o propagowanie jakiejś ideologii, lecz o zaznaczenie postawy politycznej w stosunku do wartości uznanych w danym momencie za nadrzędne. Do takich inicjatyw należy budowa Muzeum powstania Warszawskiego, Muzeum Sztuki Współczesnej, Muzeum Historii Polskie czy muzeum historii Żydów polskich. Sprawą pierwszoplanową nie jest więc zasobność kolekcji czy poziom prac badawczych, istotne jest natomiast hasło, najczęściej zawarte w samej nazwie, i spodziewana frekwencja wynikająca z intensywnej promocji. Instytucje te będą zatem poszukiwały sposobów, by maksymalnie przyciągnąć uwagę społeczną swą „nowoczesnością”, wystawianymi gadżetami, inscenizacją przedstawianą publiczności. Wspierać je w tych wysiłkach prawdopodobnie będą, jak się to często dzieje obecnie, środki masowego przekazu. Oczywiście, publiczność będzie odwiedzała te przybytki, ale efekt nie będzie miał większej wartości. Piszący te słowa nie zamierza twierdzić, że ich powstanie nie jest wynikiem osiągnięcia określonego potencjału czy możliwości merytorycznych w postaci zbiorów, kadry i zaplecza badawczego. Powstają one, najczęściej angażując ogromne środki, na moc decyzji polityków, bez wystarczającego oparcia w muzealnych realiach.

Postawiona przez autora diagnoza *expressis verbis* stawia pytanie o kształt nowoczesnego muzeum - nasuwa też pytanie „co w zamian?” Nie sposób odstąpić kategorycznie od wspomnianej „disneylandyzacji” (przyznaje to sam autor) w epoce, gdzie każdy z większych lub mniejszych ośrodków poszukuje pomysłów tzw. atrakcji turystycznej. Często poszukiwania owej atrakcyjności idą w parze z poszukiwaniem kształtu architektonicznego budynków muzealnych - nierzadko stając się symbolami miast, w których zostały zbudowane. Najwybitniejsi architekci współcześni - Frank Lloyd Wright, Frank Gehry, Daniel Liebeskind, Renzo Piano stają się twórcami nowych obiektów, które mają za zadanie przyciągać turystów wyszukaną koncepcją architektoniczną. Do dzisiaj mówi się np. o „efekcie Bilbao” - czyli o znaczącym ożywieniu turystyki w baskijskim mieście, gdzie powstało nowe Muzeum Guggenheima zaprojektowane przez Franka Gehry'ego.

W ostatnim rozdziale książki „Do czego dzisiaj potrzebne są muzea?” przytoczony został przykład protestu długoletniego dyrektora Muzeum Picasso w Paryżu - Jeana Claira przeciwko otwarciu w stolicy Zjednoczonych Emiratów Arabskich - Abu Dhabi stałej wystawy części zbiorów Luwru - jako „drugiego Luwru”. Powstaje zatem pytanie o granice komercjalizacji współczesnego muzealnictwa - przypomnijmy, że także bestseller Dana Browna „Kod da Vinci” ma swoje sceny w Luwrze. Pytanie, czy jednemu z najbardziej obleganych muzeów świata potrzebna jest

jeszcze taka reklama (*summa summarum* Luwr rocznie odwiedza ponad 8 mln osób)? Na marginesie można dodać, że podobną rolę pełni już trzy części filmu „Noc w muzeum”, którego akcja rozgrywa się wśród ożywionych postaci historycznych i eksponatów waszyngtońskiego Smithsonian Institution.

Na zakończenie swoich rozważań autor postuluje opracowanie w każdym z muzeów misji, która „jest dokładnym opisem celu w jakim muzeum zostało powołane, i zakresu, w jakim będzie się poruszało zarówno w gromadzeniu zbiorów i tworzeniu kolekcji, jak i podczas organizowanych imprez³. Powinny z niej wynikać m. in. plany wystaw, określenie zakresu badań naukowych.

Podsumowując, współczesne muzea na równi z działalnością naukową i edukacyjną rozwijają także funkcję rozrywkową, choć utrzymaną w określonych granicach, by nie doprowadzić do komercjalizacji i obniżenia rangi społecznej. Niemniej – zdaniem autora – „trzeba się jednak spodziewać, że prędzej czy później rozwój społeczny wymusi następne zmiany, albo sami muzealnicy, pracując nad nowymi wersjami, będą starali się stworzyć formalne podstawy do nowych działań i nowych potrzeb społecznych, tak jak dzieje się we wszystkich dziedzinach życia społecznego i kulturalnego⁴”.

PRZYPISY:

1 G. D. Lewis, /hasło:/ „Museums”, cyt za: M. Burusiewicz, *Nauka czy rozrywka? Nowa muzeologia w europejskich definicjach muzeum*, Kraków 2012, s. 51-52

2 U. Neisser, *Memory Observed: Remembering in Natural Context*, San Francisco. Cyt. za M. Burusiewicz, op. cit., s. 132

3 Tamże, s. 185

4 Tamże, s. 193

NOWE OBLICZA EDUKACJI MUZEALNEJ

Coraz częściej pojawiają się opinie, że tzw. muzeum wirtualne może stać się poważnym zagrożeniem dla tradycyjnych form zwiedzania muzeum, bowiem nie wychodząc z domu możemy na ekranie monitora przemieszczać się za pomocą myszki oglądając poszczególne eksponaty wraz z czytaniem informacji. Oczywiście współczesna technologia jest jeszcze bardzo niedoskonała – nawet obrazy 3D są jedynie raczej skromnym przemieszczeniem do quasi-muzealnej przestrzeni.

O tym, co wynika ze współczesnych rozwiązań technicznych w zakresie tworzenia nowych metod edukacyjnych w muzeum omawia książka pt. „Edukacja w muzeum rzeczywistym i wirtualnym” pod redakcją Doroty Folgi-Januszewskiej oraz Elżbiety Grygiel stanowi 7 tom serii „Muzeologia” wydawanej przez Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS. Jest ona zbiorem dziesięciu artykułów ujmujących tę problematykę w różnych aspektach, stanowiąc cenne kompendium dla wszystkich zainteresowanych tą sferą edukacji.

Paweł Jeskanis na przykładzie Muzeum Pałacu w Wilanowie postuluje stworzenie paradygmatu „mądrej e-edukacji”, będącej nie tylko klasycznym, podręcznikowym kursem, ale też „przygodą w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, czym jest historia”. Placówka posiada dobrze zorganizowany wortal zawierający m.in. 4000 tekstów, 7000 zdjęć, 29 filmów, 67 modułów e-learningu i prezentacji multimedialnych. Zdaniem autora „muzeum jest po prostu otwartym, barwnym i multimedialnym podręcznikiem, z którego można korzystać w trakcie różnych kursów adresowanych do różnych grup wiekowych, także do osób uczących się w uniwersytetach trzeciego wieku¹”. Oczywiście wortal adresowany jest także do przewodników, nauczycieli, metodyków będąc też miejscem publikacji naukowych.

Dorota Folga-Januszewska w artykule pt. „Zabawa czasem. Edukacja w muzeum rzeczywistym i wirtualnym” wyjaśnia po-



Edukacja w Muzeum rzeczywistym i wirtualnym
Wydawnictwo Universitas
Kraków 2013

jęcie wirtualności nieobce przecież od starożytności i średniowiecza aż po współczesność. Autorka rozróżnia kategorie „iluzji”, w której kryje się intencja mylenia od „wirtualności”, u której podstaw leży potęca wyobraźni. Ważne jest ujęcie obiektu wirtualnego:

Obiekt wirtualny - pochodna obiektu rzeczywistego - nie jest wbrew pozorom wyłącznie wytworem technologii cyfrowych. Oczywiście odpowiednia wizualizacja przy wejściu do muzeum, właściwie skonstruowana strona internetowa oferująca „las wiedzy”, multimedialne i holograficzne „reklamy” i inne wartości proponowane przez muzeum i kolekcje są pożądane i coraz częściej spotykane. Prawdziwie wirtualny odpowiednik obiektu muzealnego nie musi jednak wcale być uzależniony od technologii cyfrowych. Wirtualnymi, co nie oznacza „dokładnymi” kopiami wybitnych dzieł w muzealnych kolekcjach bywały w przeszłości specjalnie przygotowane opowiadania przewodników. Wirtualność była też materią mnemotechniki - sztuki pamięci².

Współczesne muzeum, zarówno to realne, jak i to wirtualne, najczęściej posługuje się w pomysłach edukacyjnych strukturą gry, która umożliwia swoistą „zabawę czasem”. *Edukacja w muzeum jest zatem interpretacją wybranego czasu: rzeczywistego liniowego czasu naszego życia i hipertekstowanych odeń wielu innych cyberczasów. W tych kreowanych cyberczasach działają muzea elektroniczne, cybernetyczne, najczęściej nazywane wirtualnymi. Zaglądamy do nich z ciekawością, z potrzeby wiedzy i zabawy. Po to, aby po powrocie do rzeczywistości zobaczyć ja już z innej czasowej (i historycznej) perspektywy³.*

Piotr Francuz w artykule „Jak ludzie oglądają obrazy? Perspektywa neuronauki poznawczej” podejmuje analizę procesu odbioru dzieł malarskich i artystycznych sposobach wykorzystywania neurobiologicznych własności systemu wzrokowego. Z kolei Jacek Marciniak omawia problematykę promocji kultury i sztuki w internecie, m.in. lekcje e-learningowe uzupełnianie elementami multimedialnymi i interaktywnymi oraz multimedia edukacyjne będące swoistymi prezentacjami multimedialnymi. Przytacza przykłady wortalu wspomnianego już Muzeum Pałacu w Wilanowie, który został również obszerniej opisany przez Elżbietę Grygiel. Piotr Górajec w swoim artykule na temat przekazu multimedialnego w edukacji, trafnie stwierdza, że:

nie należy obawiać się, że przekaz wirtualny zastąpi lub wypaczy kontakt z autentycznym zabytkiem, stając się nierzeczywistym substytutem wizyty w muzeum. Efekt może być odwrotny może być odwrotny: umiejętnie przygotowany i sprawnie realizowany projekt „muzeum wirtualnego” może stać się ogromnym wsparciem i bodźcem rozwojowym oraz uzupełnieniem działań w przestrzeni rzeczywistej⁴”.

Podobnie jak wcześniej cytowani autorzy – Grażyna Czetwetyńska oraz Sabina Kiełczewska rozszerzają w swoich artykułach zakres wiadomości o wspomnianym już wortalu wilanowskim. Techniczne aspekty trójwymiarowej dokumentacji dzieł sztuki z użyciem skanu 3D omawiają Robert Sitnik i Eryk Bunsch. Proces odbioru estetycznego zwłaszcza dzieł sztuki powstałych z wykorzystaniem tzw. nowych mediów analizuje w artykule pt. „Od kontemplacji do uczestnictwa” Ryszard W. Kluszczyński:

Charakterystyka i swoistość sztuki, a w szczególności sztuki nowych mediów, nie jest bowiem już dziś ufundowana na koncepcji autonomii, nie jest już budowana w opozycji do innych sfer życia, lecz przeciwnie – jest kształtowana w znaczącym z nimi związku. I w tym właśnie kryją się nowe wyzwania dla sztuki i dla jej teorii. Sztuka nowych mediów odnajduje w tej wspólnocie możliwość głębszego niż dotąd wpisywania się w relacje społeczne⁵.

Omawiana książka stanowi z pewnością cenne kompendium szeroko rozumianej problematyki muzeum wirtualnego w kontekście wykorzystania go w procesie edukacji. Z pewnością coraz nowsze rozwiązania techniczne stymulować będą opracowanie nowych metod przekazywania wiedzy. Ważne jest to, że muzeum trwale przestało być kojarzone z tradycyjnym oprowadzaniem i omawianiem zawartości kolejnych gablot na rzecz wykorzystania tego, czym dysponują nowe media.

PRZYPISY:

- 1 Edukacja w muzeum rzeczywistym i wirtualnym, D. Folga-Januszewska, E. Grygiel, Kraków 2013, s. 10
- 2 Tamże, s.18
- 3 Tamże, s.22-23
- 4 Tamże, s.66
- 5 Tamże , s.104

EDUKACJA MUZEALNA W POLSCE

Książka „Raport o stanie edukacji muzealnej. Suplement. Część 1” wydana jako 8 tom serii „Muzeologia” przez Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS oraz Część 2 wydana jako 9 tom serii jest efektem projektu przygotowanego przez Forum Edukatorów Muzealnych w 2012 roku. Redaktorem całości jest dr Marcin Szeląg - historyk sztuki, wykładowca Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, kierownik Działu Edukacji Muzeum Narodowego w Poznaniu. Pierwszą część stanowią wypowiedzi pracowników polskich muzeów na temat edukacji muzealnej na temat m.in. współpracy ze szkołami, oczekiwań publiczności, marketingu w muzeum; niezwykle interesujące są też wywiady na temat edukacji z dyrektorami m.in. Muzeum Narodowego, Zamku Królewskiego, Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, Centrum Sztuki Współczesnej. Część druga omawia m.in. modele edukacji realizowane w polskich muzeach, edukacyjne oddziaływanie wystaw z uwzględnieniem zasad komunikacji, interpretacji, partycypacji.

Już na początku książki pojawia się ważny postulat na temat charakteru współczesnego muzeum w kontekście procesu edukacji:



Raport o stanie edukacji muzealnej
Wydawnictwo Universitas
Kraków 2013

Dzięki edukacji – poprzez zrozumienie i poznanie prezentowanych w muzeach eksponatów – wielu ludzi będzie w stanie uznać te instytucje za ważny element w ich życiu, dający im zarówno określone przeżycia o charakterze estetycznym czy emocjonalnym, jak i – przede wszystkim – bodziec do krytycznego i twórczego myślenia. Nie może to być jednak muzeum w typie „świętynnym” kultywując tradycyjny charakter tych instytucji. Nie powinno to być również muzeum nastawione na rozrywkę. Powinna to być instytucja edukacyjna, swoiste centrum nauczania, muzeum partycypacyjne, wchodzące w aktywny dialog z innymi instytucjami kulturalnymi, naukowymi i edukacyjnymi. Muzeum nastawione na ciągły rozwój, a nie trwanie w stagnacji, na stawianie trudnych

pytań, a nie dawanie łatwych odpowiedzi, otwierające – w zależności od instytucji – pewne mniejsze lub większe możliwości wpływania publiczności na jego działania, a nie przyzwyczajające ją do bierności¹.

Niezbędna jest zatem ścisłą współpraca pomiędzy muzeami a instytucjami edukacyjnymi wszystkich szczebli – od przedszkoli po uniwersytety trzeciego wieku. Ważne też jest stworzenie w muzeum przestrzeni przyjaznej, gdzie publiczność przychodzi nie tylko podziwiać zbiory, ale także uczestniczyć w interesujących formach edukacyjnych.

Jeremiasz Misiak w rozdziale „Muzeum jako organizacja usługowa” postuluje przyjrzenie się instytucji muzeum z innej perspektywy:

Szeroko rozumiana edukacja powinna być postrzegana jako sfera rozprzestrzeniająca się na inne aspekty działalności instytucji. Edukować to przecież wychowywać i kształcić (educare). Jest to funkcja, która najlepiej oddaje usługowy charakter muzeum².

Autor krytycznie odnosi się do dominującego w polskich muzeach biurokratycznego podejścia do zarządzania. Jego zdaniem potrzebna jest zmiana paradygmatu „tak, aby dostrzeżono nie tylko ludzki, ale i usługowy wymiar funkcjonowania tych instytucji kultury”.

Marcin Szelaąg w części 2 opracowania dokonuje podsumowania zawartych w części 1 wypowiedzi uczestników dyskusji poświęconej „Raportu o stanie edukacji muzealnej w Polsce”. Autor zastanawia się m.in. na temat kompetencji edukatora muzealnego:

(...) edukatorzy muzealni to specjalny typ muzealników, posiadających przygotowanie pedagogiczne lub metodyczne i odpowiednie cechy osobowościowe, które w skrócie charakteryzuje się pojęciem „pasja”³.

Na bazie doświadczeń studiów muzeologicznych w Amsterdamie i Leicester autor postuluje utworzenie „E-Akademii Muzealnej Interpretacji i Komunikacji” w formie półtorarocznego kursu mającego na celu zintegrowanie muzeum wokół edukacji, komunikacji, interpretacji i partycypacji w odniesieniu do wystawiennictwa muzealnego.

PRZYPISY:

1 *Raport o stanie edukacji muzealnej. Suplement. Część 1.* Red. M. Szelaąg, Kraków 2014, s.108

2 Tamże, s. 112

3 M. Szelaąg, *Raport o stanie edukacji muzealnej. Suplement. Część 2*, Kraków 2014, s. 65

KALENDARIUM WYSTAW I IMPREZ W MUZEUM MIEJSKIM

WYSTAWY STAŁE

- „Czyn zbrojny Górnoślązaków w XX wieku”
- „Z dziejów Siemianowic Śląskich”
- Galeria Rzeźby w Węglu
- „Tradycyjna kultura wsi górnośląskiej”
- „Wnętrza mieszkalne i gospodarcze z I poł. XX wieku”

WYSTAWY ZMIENNE

„Zimowe krajobrazy z kolędami” – wystawa kółka plastycznego Młodzieżowego Domu Kultury im. dr. H. Jordana w Siemianowicach Śląskich (17.12.2013 – 2.02.2014)

„Opowiem Wam o Śląsku” – wystawa fotografii Antoniego Kreisa połączona z prezentacją prac uczniów śląskich szkół fotograficznych (19.02 – 10.04)

„Sól ziemi czarnej. Portrety” – wystawa fotografii Iwony Wander, Kai Konarskiej i Anny Tomaki – Wójcik (19.03 – 5.06)

„Oblicza Holokaustu. Anna Frank – opowieść współczesna” – wystawa historyczna ze zbiorów Muzeum Anny Frank w Amsterdamie (współorganizacja: Młodzieżowy Dom Kultury im. dr. H. Jordana w Siemianowicach Śląskich; 16.04 – 12.05)

Wystawa malarstwa Georgija Safronowa (17.05 – 10.06)

„Siemianowiczanie w polskich siłach zbrojnych na frontach II wojny światowej” - wystawa historyczna (13.06 - 20.09)

„Gawęda o Siemianowicach Śląskich” - wystawa fotografii Remigiusza Miklaszewskiego (13.06 - 20.09)

Wystawa malarstwa Urszuli Figiel (26.09 - 12.12)

„Zimowe krajobrazy z kolędami” - wystawa kółka plastycznego Młodzieżowego Domu Kultury im. dr. H. Jordana w Siemianowicach Śląskich (16.12 - 01.2015)

WERNISAŻE, SPOTKANIA, KONCERTY

8.01 - „Z muzyką w Nowy Rok” - koncert kolędowo-noworoczny w wykonaniu uczniów Szkoły Gitary Bohdana Lizonia oraz zaproszonych gości - Eugeniusza Szwarcera wraz zespołem poezji śpiewanej „Kilka Słów”. Gość Specjalny wieczoru - Lizoń & Ziótek Quartet w składzie: Bohdan i Mateusz Lizoniowie oraz Dariusz i Grzegorz Ziółkowie

9.01 - Zajęcia Akademii Muzealnej (dla słuchaczy Siemianowickiego Uniwersytetu III Wieku oraz wszystkich zainteresowanych) - temat: „Z dziejów AK na Śląsku” - prowadzący Wojciech Kempa (historyk, kierownik Referatu Promocji Miasta UM w Siemianowicach Śląskich)

10.01 - Zajęcia Małej Akademii Jazzu i Muzyki Świata. Temat: „Let's go fusion - elektronika w muzyce jazzowej”. Prowadzący: Bernard Maseli

15. 01 - „W karnawałowym nastroju” - koncert noworoczny w wykonaniu kół piosenkarskich Młodzieżowego Domu Kultury im. dr. H. Jordana w Siemianowicach Śląskich. Gość specjalny wieczoru - „GaD Mu Trio” w składzie: Michał Gasz - śpiew, Adam Rybak - instrumenty klawiszowe, Tomasz Mucha - skrzypce

23.01 - Zajęcia Akademii Muzealnej (dla słuchaczy Siemianowickiego Uniwersytetu III Wieku oraz wszystkich zainteresowanych). Temat: „Spotkania z filozofią”. Prowadząca: Patrycja Skorek (historyk filozofii, pracownica Miejskiej Biblioteki Publicznej w Siemianowicach Śląskich)

6.02 - Zajęcia Akademii Muzealnej (dla słuchaczy Siemianowickiego Uniwersytetu III Wieku oraz wszystkich zainteresowanych) - „Powojenne

losy Górnoszlązaków”. Prowadząca: dr Kornelia Banaś (katowickiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej)

14.02 - Zajęcia Małej Akademii Jazzu i Muzyki Świata - temat: „Od bluesa do rock & rolla - muzyczna podróż w czasie i przestrzeni”. Prowadzący: Dominika Ziolo - śpiew, Dominik Rosłon - fortepian (absolwenci Akademii Muzycznej w Katowicach)

19.02 - Wernisaż wystawy fotografii pt. „Opowiem Wam o Śląsku” autorstwa Antoniego Kreisa połączony z wystawą prac uczniów śląskich szkół fotograficznych. W części muzycznej zespół jazzowy PKB w składzie: Patryk Zdebek - saksofon, Marek Kosiński - gitara basowa, Bartosz Bereska - gitara, Piotr Szarafiński - perkusja, Paweł Stawarz - mallekat (ksylofon elektroniczny)

20.02 - Zajęcia Akademii Muzealnej (dla słuchaczy Siemianowickiego Uniwersytetu III Wieku oraz wszystkich zainteresowanych). Temat: „Historyczne panoptikum II Rzeczypospolitej”. Prowadzący: Artur Garbas (znawca historii wojskowości, pracownik Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich)

6.03 - Zajęcia Akademii Muzealnej (dla słuchaczy Siemianowickiego Uniwersytetu III Wieku oraz wszystkich zainteresowanych). Temat: „Evviva l'arte” - spotkanie z Andrzejem Sitko - tenorem, tłumaczem, konstruktorem zegarów słonecznych

14.03 - Zajęcia Małej Akademii Jazzu i Muzyki Świata. Temat: „Instrumenty perkusyjne”. Prowadzący: Krzysztof Nowakowski

19.03 - Wernisaż wystawy fotografii Kai G. Konarskiej, Iwony Wander i Anny Tomaki-Wójcik pt. „Sól ziemi czarnej. Portrety”. Koncert muzyki wokalne. Wykonawcy: Andrzej Sitko (tenor), Andrzej Filipek - fortepian, Magdalena Wachulewicz - lutnia

20.03 - Zajęcia Akademii Muzealnej (dla słuchaczy Siemianowickiego Uniwersytetu III Wieku oraz wszystkich zainteresowanych). Temat: „Bałkańskie reminiscencje”. Prowadząca: Monika Pojda-Dziekońska (menadżer kultury, pracownik Siemianowickiego Centrum Kultury)

3.04 - Zajęcia Akademii Muzealnej (dla słuchaczy Siemianowickiego Uniwersytetu III Wieku oraz wszystkich zainteresowanych). Temat: „Z życia artysty”. Prowadzący Piotr Dwornik - tenor, animator kultury

3.04 - Koncert pt. „Sacrum w muzyce wokalne”. Wykonawcy: Piotr Dwornik - tenor, Bogdan Wantuła - fortepian, Krzysztof Bogdoł - słowo o muzyce

11.04 - Zajęcia Małej Akademii Jazzu i Muzyki Świata. Temat: „Sekcja rytmiczna w muzyce jazzowej”. Prowadzący: Kinga i Ireneusz Głykowie

16.04 - Otwarcie wystawy pt. „Oblicza Holokaustu. Anna Frank - opowieść współczesna” ze zbiorów Muzeum Anny Frank w Amsterdamie (współorganizacja: Młodzieżowy Dom Kultury im. dr. H. Jordana w Siemianowicach Śl.)

17.04 - Zajęcia Akademii Muzealnej (dla słuchaczy Siemianowickiego Uniwersytetu III Wieku oraz wszystkich zainteresowanych). Temat: „Pamiętniki dzieci Holocaustu - Anna Frank, Rutka Laskier, Abramek Kopłowicz”. Prowadzący: Mirosław Domin (Towarzystwo Opieki nad Oświęcimiem)

8.05 - Zajęcia Akademii Muzealnej. Temat: „Kultura Śląska Cieszyńskiego”. Prowadząca: Władysława Magiera - pisarka, dziennikarka, przewodnik PTTK

17.05 - NOC MUZEÓW

Program:

- Wernisaż wystawy malarstwa Georgija Safronowa
- Koncert w wykonaniu duo gitarowego w składzie Bohdan Lizoń i Szymon Mika
- Spektakl „Światło i dźwięk” przygotowany przez Pracownię Intermediów i Technik Cyfrowych katowickiej ASP
- Otwarcie wystawy Siemianowickiej Grupy Plastycznej „Spichlerz '86” połączone ze zwiedzaniem Pracowni Grupy
- „Noc majowa” - wieczór poezji siemianowickich poetów: Joanny Łackiej, Eugeniusza Depty, Jarosława i Pawła Englerów oraz zaproszonych Gości - Katarzyny Młynarczyk, Jolanty Klimek i in. Prezentacja wierszy przez wszystkie zainteresowane osoby uprawiające twórczość poetycką. Występ zespołu poezji śpiewanej „Kilka Słów” oraz recital gitarowy Adama Bula

22.05 - Zajęcia Akademii Muzealnej. Temat: „Piękno natury, piękno sztuki”, część 3. Prowadząca: Grażyna Salata (pedagog, znawca pedagogiki waldorfskiej)

23.05 - Zajęcia Małej Akademii Jazzu i Muzyki Świata. Temat: „Od bluesa do rocka - gitara elektryczna”. Prowadzący: Krzysztof „Puma” Piasecki

5.06 - Zajęcia Akademii Muzealnej pt. „Siemianowickie witraże”. Prowadząca: Małgorzata Derus - Miejski Konserwator Zabytków w Siemianowicach Śląskich

6.06 - Finał Zajęć Małej Akademii Jazzu i Muzyki Świata połączone z quizem i wręczeniem dyplomów uczestnictwa

13.06 - Wieczór w Muzeum - w ramach XXXII Dni Siemianowic Śląskich
Program:

- Otwarcie wystawy historycznej pt. „Siemianowiczanie w polskich siłach zbrojnych na frontach II wojny światowej”
- Wernisaż wystawy fotografii pt. „Gawęda o Siemianowicach Śląskich” Remigiusza Miklaszewskiego
- Koncert pt. „Moja ziemia wyśniona” w wykonaniu Józefa Skrzeka (instrumenty klawiszowe) wraz z Bohdanem Lizoniem (gitara), Dariuszem Ziółkiem (gitara basowa) i Mateuszem Lizoniem (perkusja)
- Spotkanie z Autorami Siemianowickiego Rocznika Muzealnego nr 12

26.06 - Uroczyste zakończenie cyklu zajęć Akademii Muzealnej w roku akademickim 2013/2014 połączone z wręczeniem dyplomów uczestnictwa. Prelekcja Mirosława Domina na temat działalności Teatru Amatorskiego „Domino” z SCK

4.07 - Koncert muzyki wokalne. Wykonawcy: Christine Friedek-Dwornik - sopran, Piotr Dwornik - tenor, Lucyna Bielska - sopran, Tomasz Bielski - fortepian, Bohdan Wantuła - fortepian, Krzysztof Bogdoł - słowo o muzyce

9.09 - Wieczór autorski dr. Eugeniusza Depty - lekarza i poety połączone z koncertem Bogdana Wantuły

26.09 - Wernisaż malarstwa Urszuli Figiel. Koncert w wykonaniu duo jazzowego: Michał Gasz - śpiew i Adam Rybak - instrumenty klawiszowe

10.10 - Inauguracja zajęć Małej Akademii Jazzu i Muzyki Świata. Temat: „Viva flamenco!”. Prowadzący: Michał Czachowski (wirtuoz gitary flamenco)

16.10 - Zajęcia Akademii Muzealnej (dla słuchaczy Uniwersytetu III Wieku i wszystkich zainteresowanych). Wykład inauguracyjny dr. hab. Zdzisława Janeczka (Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach) pt. „Wspólnoty wyznaniowe Siemianowic Śląskich”

22.10 - „Muzealny mityng poetycki” - spotkanie z „Reprezentacją Śląska w poezji” pod kier. Wiesława Ciecieręgi - poety i pieśniarza

30.10 - Zajęcia Akademii Muzealnej - „Kultura Śląska Cieszyńskiego”. Prowadząca: Władysława Magiera - pisarka, dziennikarka, przewodnik PTTK

7.11 - Zajęcia Małej Akademii Jazzu i Muzyki Świata. Temat: „Rytm czyli muzyka serca”. Prowadzący: Krzysztof Nowakowski

13.11 - Zajęcia Akademii Muzealnej (dla słuchaczy Siemianowickiego Uniwersytetu III Wieku oraz wszystkich zainteresowanych). Temat: „Historia rodzinna”. Prowadzący: Wojciech Kempa (historyk, kierownik Referatu Promocji Miasta UM w Siemianowicach Śląskich)

26.11 - Finał Konkursu Przedszkolaków „Siemianowice Śląskie - moje miasto”

27.11 - Zajęcia Akademii Muzealnej. Temat: „Podstawy rysunku. Martwa natura”. Prowadzący Jarosław Bednarz - plastyk Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich

4.12 - Zajęcia Akademii Muzealnej (dla słuchaczy Siemianowickiego Uniwersytetu III Wieku oraz wszystkich zainteresowanych). Temat: „Wrzesień 1939 na Śląsku”. Prowadzący: Leszek Drabicki - historyk, pracownik Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich

16.12 - „Zimowe krajobrazy z kolędami” - wernisaż wystawy kółka plastycznego Młodzieżowego Domu Kultury im. dr. H. Jordana w Siemianowicach Śląskich połączony z koncertem kolęd w wykonaniu kółek muzycznych MDK

18.12 - Zajęcia Akademii Muzealnej (dla słuchaczy Siemianowickiego Uniwersytetu III Wieku oraz wszystkich zainteresowanych). Temat: „Boże Narodzenie w wybranych krajach świata”. Prowadzący: Wojciech Grzyb (etnograf Muzeum Miejskiego)

W TYM NUMERZE „SIEMIANOWICKIEGO ROCZNIKA MUZEALNEGO” PUBLIKUJĄ:

Małgorzata Derus - historyk sztuki, Miejski Konserwator Zabytków w Siemianowicach Śląskich, autorka publikacji z zakresu historii architektury Śląska;

Piotr Dwornik - artysta śpiewak, wieloletni animator kultury w Siemianowicach Śląskich i Katowicach, obecnie wraz z żoną Krystyną związany z Landestheater w Detmold k. Dortmundu;

Franciszek Guzy (1889-1977) - powstaniec śląski, żołnierz armii gen. J. Hallera, prezes bytkowskiej placówki Związku Hallerczyków, w okresie międzywojennym pracował w katowickiej policji; ojciec Czesława Guzego - autora publikacji o Bytkowie;

Krystian Hadasz - dyrektor Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śl.;

Jakub Halor - dr, ekonomista, znawca zabytków techniki, autor publikacji z zakresu historii transportu;

Bogumiła Hrapkowicz-Halor - filolog polski, długoletnia dziennikarka śląskiej prasy, autorka publikacji o historii i kulturze Śląska;

Zdzisław Janeczek - dr hab., historyk, pracownik naukowy Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, autor publikacji historycznych, przewodniczący Rady Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich;

Wojciech Kempa - historyk, autor publikacji z zakresu najnowszej historii Polski, członek Rady Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich;

Michał Kompała - historyk, socjolog, współpracownik Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich;

Wiesława Konopelska - zastępca redaktora naczelnego Miesięcznika „Śląsk”, autorka publikacji o współczesnej kulturze;

Urszula Krakowska - autorka książek na temat historii Siemianowic Śląskich oraz artykułów w „Gazecie Siemianowickiej”;

Michał Kuryś - historyk, współpracownik Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich;

Krzysztof Lisowski - poeta, krytyk literacki, redaktor Wydawnictwa literackiego w Krakowie;

Katarzyna Młynarczyk - historyk i krytyk sztuki, poetka, autorka licznych publikacji o współczesnej sztuce oraz książek poetyckich;

Marcin Wądołowski - historyk, współpracownik Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich;

Teresa Weintrit (1934-2015) - pedagog, długoletni dyrektor Młodzieżowego Domu Kultury im. dr. J. Jordana w Siemianowicach Śląskich, wychowawca wielu pokoleń młodzieży.

